

# robot 5-6

ZBIORY OŚRODKA KARTA

wolne pismo

© WYDAWNICTWO



WARSZAWA 86

©

# most

Numer 5-6

Warszawa 1986

## SPIS TREŚCI

Edward Opolski: ***	3
Jerzy Lewski: Flebiscyt?	5
<u>Pięć lat później</u>	
Po nitce nad przepaścią /rozmowa z Jackiem Kuroniem/	10
Kto ma większe szanse? /rozmowa z Andrzejem Słowikiem/	13
Opór nie słabnie /wypowiedź Zbigniewa Janasa/	18
Na rozstajnych drogach /rozmowa z Jerzym Kropiwnickim/	19
Czas płynie w naszą stronę /rozmowa ze Stefanem Bratkowskim/	22
Nie być obojętnym /wypowiedź Jerzego Puciaty/	24
Andrzej Julicki: "Solidarność" wobec kryzysu społeczno-gospodarczego /2/	26
<u>Analizy i propozycje</u>	
Kazimierz Iranek: Moralność i polityka	32
Karol Winnicki: Interesy Polaków	41
<u>Długios o propagandzie</u>	
Jacek Maziarski: Osobliwości modelu	46
Dariusz Fikus: Filozofia Urbanowszczyzny	49
<u>Prasa czechosłowacka o zamordowaniu księdza Poniełuszki</u>	
Mechanizm manipulacji	55
Kulisy prowokacji /artykuł Zdenka Porybnego w bratysławskiej "Pravdzie"/	59
Wiersze Jaroslava Seiferta	61
<u>Normalizacja w kolorze czerwonym</u>	
Michał Fordon: Sprawiedliwość na opak	65

## Uwagi o inteligencji polskiej

Timothy Garton Ash: Dysydencka większość 76

## Z notatnika reportera

Jerzy Surdykowski: Kroniki wojenne 81

Wybieram wolność w Polsce /rozmowa z Jerzym Surdykowskim/ 90

Andrzej Szczypiorski: Czy zna pan telefon Kremla? 97

Pętla - relacja z KWK "Wujek" 103

## Biografie

Eugeniusz Kwiatkowski: Kamienista droga  
Józefa Becka 111

Antoni Zambrowski: Moje rozmowy z ojcem 127

Jerzy Zamróż: Rozmowy z cieniem 138

Michał Heller, Aleksander Niekricz: Utopia u władzy /4/ 145

## Związek Radziecki A.D. 1986

Andrzej Kurbski: Zmierzch imperium? 153

Stefan Kościelec: Patrząc na Chiny... 160

## Fakty - Sygnały - Opinie

Rozmowa ze Zbigniewem Brzezińskim 163

Próba bilansu /głos w dyskusji/ 165

"Video iz Rassiji..." 168

Sytuacja w Bułgarii 170

Ostatnie zwycięstwo ułanów karpaccich 171

Donos 173

Drobiazgi wyborowe 176

Z księgarskiej półki 177

Futbol i inteligencja 178

W video-kinie: Bez nadziei 179

Przypadek 182

Copyright by MOST **wolne pismo**



Redagują członkowie NSZZ "Solidarność"

\*\*\*

- Nie doszliśmy do władzy dzięki kartce wyborczej i nie przez kartkę wyborczą ją utracimy - uspakajał zdenerwowanych towarzyszy Kazimierz Barcikowski na jednym ze spotkań, jeszcze przed wyborami do rad w 1984 roku. Wygląda na to, że towarzysz Barcikowski trafił w istotę problemu. Jeśliby nawet w tegorocznych wyborach do sejmu wzięło udział nie więcej niż 15 procent wyborców i byłyby na to dowody, to i tak czerwony nie popuści władzy - bankowo. A gdyby się - przy świadkach - udało do urn 99 procent - jak nigdy nie było, bo w najlepszych dla władzy latach do 20 procent faktycznie olewało wybory - to i tak władza nie utrzyma się ani o godzinę dłużej, jeśli będzie miała być obalona.

Po kolejnym spektaklu przy urnach trudno jest powiedzieć coś, czego by nie powiedziano po zeszłorocznym. Wtedy Urban stwierdził, że nie ma o wydziwiać, skoro w wyborach wziął udział mniej więcej taki sam procent, jak w wyborach na Zachodzie. Tak samo jest oczywiście i teraz, lecz jednak pewne różnice zostają. Otóż na Zachodzie nie ma i nie było 99-procentowego standardu. Na Zachodzie wybiera się między różnymi możliwościami i ci, którym nie odpowiada żadna, nie głosują. Agituje się tam nie tyle za głosowaniem w ogóle, lecz za oddaniem głosu na określoną partię lub kandydata. I każdy ma pewność, że niewzięcie udziału absolutnie niczym mu nie grozi; u nas takiej pewności ludzie nie mają. I choć najbardziej się boją ci, co są najmniej zagrożeni, to warto pamiętać, jaki trening odbyli oni w ciągu czterdziestu lat.

Ni zeszłoroczne, ni tegoroczne wybory nie mogą cieszyć opozycji, która jakby wszystko rozumie, lecz ciągle jeszcze ciężko przeżywa rozstanie ze standardem Sierpień-Grudzień. Przebieg i wynik wyborów w 1980 roku, po których w kilka miesięcy później nastąpił Sierpień, nie wydaje się być argumentem wystarczającym. Warto jednak pamiętać, że nawet zwycięskie rewolucje nie zachowują szczytowego poziomu swoich zdobyczy. Cofają się, lecz już nie do poziomu wyjścia.

Jak na rewolucję, która poniosła klęskę i do tego programowo samoograniczającą się, wypada to jeszcze zupełnie nieźle.

Proces stabilizacji i normalizacji faktycznie następuje, choć nie tak szybko i nie do tego stopnia, jak głosi rządowa propaganda. Ludzie się w większości błyskawicznie adaptowali do warunków legalnej "Solidarności" i mimo krótkotrwałości tego okresu odebrali 13 grudnia jako zamach na coś, co jest im należne. Ale lata mijają, oczekiwany przełom nie nadchodzi, a żyć trzeba - i następuje powrót większości do PRL-owskiej normalności w zachowaniach. Można chyba założyć, że zmia-



ny świadomościowe zaowocują w ponownym akcesie do kolejnego ruchu przemian, jeśli nadejdzie nań pora, z uwzględnieniem nauk płynących z okresu 1980-1981. Na razie przejawiają się one w życiu prywatnym, w demonstracjach patriotycznych, związanych z życiem religijnym. Dobrze by było, gdyby ów azył niezależności w większym stopniu obejmował taki publiczny akt, jak udział w wyborach, ale tak nie jest i trzeba mieć tego świadomość. Wydaje się, że w obecnych warunkach opozycja, szczególnie zaś "Solidarność", może złożyć, iż miliony, które wstrzymały się od głosu, będą skłonne wykonać publicznie choćby gest na jej wezwanie. Na miliony, które głosowały, władza może liczyć w nieco mniejszym stopniu: że obecnie nie wykonają wyraźniejszego gestu przeciwko niej. Z tym, że jeden i drugi rachunek muszą być traktowane jako dość względne.

Obie strony przez jakiś czas będą dyskutowały wynik wyborów jako swój sukces, bez większego wpływu na dalszy rozwój wydarzeń i motywację ich uczestników. Z władzą, która jest faktycznie wykonywana liczyć się musi i społeczeństwo, nawet jej nieprzychylnie w większości, i inne kraje, w tym tej władzy niechętnie. Co innego jednak uznanie za prawomocną jej legitymacji, która w cywilizowanych krajach musi pochodzić z wyboru suwerennego narodu. Na tej podstawie odmówiliśmy prawomocności władzy pochodzącej z obcego nadania i podpierającej się groźbą obcej interwencji, a powołującej się na wybory, które w 1947 roku zostały brutalnie sfałszowane, a potem już nigdy wyborami nie były. Nie wydaje się, aby głosowanie 13 października br. podniosło stopień prawomocności PRL-owskich rządów.

Dość łatwo jest z pozycji opozycjonistów, czy choćby tylko niegłoszących z pryncypialnych pobudek, wykazać niedoskonałość -- mówiąc bardzo ogólnie -- tych, którzy poszli głosować wbrew sobie, swoim głębokim przekonaniom, powodowani strachem czy stadnym instynktem. Mądry ruch polityczny tego jednak nie robi, co nie znaczy, że ma kadzić tym ludziom i rozgrzeszać ich oportunistyczne zachowanie. Wystarczy nie uzurpować sobie roli sędziego. Człowiek atakowany za to, co zrobił, powodowany -- w swoim przekonaniu -- koniecznością, będzie się bronił, wymyślając sobie usprawiedliwienia tzw. wyższej natury, przedstawiając oportunizm jako rozważę itp. Liczni, atakowani za to samo, będą się razem utwierdzać w swojej słuszności. Niech lepiej każdy zostanie ze swym sumieniem i sam się osądzi. Marks, który przecież nie był głupim człowiekiem, powiedział, że wstyd jest uczuciem rewolucyjnym. On chyba też utrafił tym w istotę problemu.

Edward Opolski

# Plebiscyt ?

Po ostatnich wyborach, na pytanie: kto je wygrał? - odpowiadano: indywidualnie - Szurkowski, drużynowo - Związek Radziecki.

Przypomniało mi się to, kiedy zasiadłem do pisania tego tekstu. Było to po południu w środę, 27 listopada. Telewizja przerwała właśnie nadawanie I programu i wyemitowała przemówienie Gorbaczowa, wygłoszone tego dnia przed południem na sesji Rady Najwyższej ZSRR.

A tak się jakoś dziwnie złożyło, że tego samego dnia, w tę samą środę, obradował od rana sejm PRL. I to nad sprawami o bądź co bądź niemającym znaczeniu - omawiano plan i budżet na rok przyszły. Z tych obrad natychmiastowej transmisji nie przeprowadzono.

Bo i po co, zresztą. Wiadomo, że posłowie mieli tylko poglądzić trochę o tym, jak dobre i słuszne jest to, co już na partyjnym forum ustalono oraz podnieść posłusznie ręce.

Tak to już od samego początku działalności naszego "socjalistycznego, suwerennego parlamentu" - jak to się dumnie określa - dano społeczeństwu kolejną lekcję zarówno służalczości wobec ZSRR, daleko dalej idącej niż sami siewci tego oczekują, jak i miejsca i roli posłów w podejmowaniu ważnych decyzji.

Można by przejść nad tym do porządku, bo przecież nikt rozsądnie myślący nie łudził się, że sejm nagle przestanie być dekoracją, atrapą. Ale skrajnie niepokoić musi krótkowzroczność partyjnych bonzów i ich zdolność zapominania o węzłowych dla samej władzy sprawach.

X X X

Faktem jest, że podczas wszystkich kryzysów władzy w Polsce - począwszy od roku 1956 po rok 1980 - głównym tłumaczeniem odpowiedzialnych za przestępczą lub bezmyślną tylko czy nieudolną politykę, za której skutki zawsze gorzko płaciło społeczeństwo, było: - "No wiecie, chcieliśmy dobrze, ale nie wyszło. Nikt nam nie zwracał uwagi, że popełniamy błędy!"

Zaś w czasie, kiedy ta władza czuła się zagrożona przez doprowadzone do stanu wrzenia społeczeństwo - niektórzy próbowali wyciągnąć pewne wnioski z przeszłości. Najpełniejszy wyraz znalazło to chyba w trakcie dyskusji poprzedzającej IX nadzwyczajny zjazd partii w 1981 roku. - Musimy - mówiono na różnych gremiach i konferencjach - wbudować w mechanizmy działania partii i państwa instrumenty, które uniemożliwią w przyszłości popełnianie tak fatalnych błędów. Zarówno w partii, jak i w państwie musi istnieć system wczesnego ostrzegania. I nie musiało potem - drogą kumulowania się błędów i wyrzuceń - dochodzić do tragedii.

Ale o tym rządzący - i to tylko niektórzy - myślą tylko wtedy, kiedy ogarnięci są strachem przed zbuntowanymi masami.

Natomiast zapominają, i to bardzo dokładnie, kiedy tylko po-  
cząją się znów trochę mocniej w siodło.

Dla porządku tylko wspomnę, że nawet szczątkowe wnioski z  
tych przedzjazdowych dyskusji uchwalone przez zjazd, poszły  
w całościowe zapomnienie. Jednym z nich np. było, że w celu  
uniemożliwienia manipulacji swoim i obcym, I sekretarza KC  
wybiera cały zjazd. I wybrał. Tylko tyle, że jeszcze zanim  
szeregowi członkowie zdążyli się zapoznać z przyjętymi uch-  
wałami, już Kanię zastąpił Jaruzelski. Droga wewnętrznej ma-  
nipulacji. Zjazdowy zapis, że ustalanie i realizowanie poli-  
tyki należy do wybieralnych gremiów, nie zaś do aparatu,  
znalazł wymowne zastosowanie w instrukcji ze stycznia 1982  
roku, że wszelkie wybieralne gremia podporządkowuje się apa-  
ratowi. O zasadzie niełączenia stanowisk partyjnych i państ-  
wowych już lepiej nie wspominać.

No i doprowadzili do sytuacji, w której partia jako masy  
członkowskie przestała zupełnie istnieć, natomiast istnieje  
i działa - i to najgorzej jak tylko być może - jej aparat.

Zresztą uchwały zjazdu - poza tym, co w jego trakcie  
przyniosła prasa - nie zostały nigdy i nigdzie opublikowane.  
Zongluje się tylko ich fragmentami, spreparowanymi na bieżą-  
ce potrzeby.

Może mi ktoś zarzucić, że piszę o sprawach znanych i że w  
ogóle "czerwonym" nie należy się tak poważnie zajmować. Ale  
pamiętajmy, że ten czerwony ciągle rządzi, że potrafił pono-  
wie terroryzować społeczeństwo i że - przynajmniej w dają-  
cym się przewidzieć, najbliższym czasie - na radykalne zmia-  
ny raczej się nie zanosi.

Warto więc przynajmniej znać podstawowe mechanizmy świad-  
czące o tym, że obecna władza nie tylko nie dba o jakakol-  
wiek wiarygodność w społeczeństwie. Nie chce być wiarygodna  
nawet sama dla siebie.

X X X

Stąd też mamy sejm taki, jaki mamy. Nikt jednak z aktual-  
nych właścicieli PRL nie może powiedzieć, że nie wiedział,  
że nikt go nie ostrzegał. Ludzie, którzy uważali, że należy  
wziąć udział nawet w oficjalnych dyskusjach, by właśnie po-  
wiedzieć to, co się ma do powiedzenia, nie szczędzili przes-  
tróg.

Ot, taki wybrany przykład. Mówi jeden z profesorów w pro-  
nowskiej dyskusji:

"Chciałbym nawiązać do przykładu Kemala Atatur-  
ka /ojca Turków/, który stworzył współczesną Turc-  
ję. Twierdził on, że przy istnieniu systemu mono-  
partyjnego, podstawową rzeczą jest opozycja, żeby  
poprawić działalność własnej partii.

A u nas? Zamiast opozycji tworzy się koalicję.  
Zapomina się, że istnienie opozycji, choćby umiar-  
kowanej, jest podstawową kwestią dla właściwego  
funkcjonowania partii rządzącej. Miałem nadzieję,  
że krytyczne zdanie będzie się u nas instytucjo-  
nalizować w Sejmie przez odpowiedni dobór posłów.  
Niem zmian wśród kandydatów brakuje osób znanych  
z ostrzejszych występów /... - cenzura/. Czy par-

stwc zastanawiali się nad tym, że z tego Sejmu odchodzą wszyscy ci posłowie, którzy w ostatnich głosowaniach mieli inne zdanie niż to, które było reprezentowane przez większość? Ja tu nie będę wyliczał tych wszystkich posłów, którzy głosowali przeciwko takiej czy innej ustawie, natomiast znamienne dla mnie rzeczą jest, że żaden z nich nie jest nadal nawet na liście kandydatów do Sejmu. A mamy tu do czynienia z problemem doboru ludzi, którzy będą mieli w różnych sprawach rozmaite zdanie. Inaczej będzie działo się tak, że ten sam skład Sejmu uchwała dwie sprzeczne ze sobą ustawy, w tej samej kadencji i wszyscy jednogłośnie głosują za obiema...".

To tylko przykład jednego z głosów i to takiego, który - jak kwiatek do kózucha - dostał się na oficjalne łamy. Podobnych głosów-ostrzeżeń ludzi, którzy wzięli udział w oficjalnych dyskusjach dlatego, żeby potem decydenci nie mówili, że nie wiedzieli - było co niemiara.

I znów ktoś może powiedzieć, że jeżeli ktoś wdaje się w dyskusję z czerwonym - dobrze mu tak!

Ale jeśli chce się o coś walczyć, trzeba znać mechanizm działania przeciwnika. Zaś jedną z części składowych oszustwa, którym jesteśmy zewsząd karmieni, jest oszustwo polegające na dopuszczaniu pewnych krytycznych wypowiedzi.

Toż to przecież niemal jak "na Zachodzie". Można publicznie wyłożyć argumenty przeciwko kagańcowej czy wręcz humorystycznej ustawie przygotowywanej w sejmie. Ale efektem tego może być, że Urban zagrzmie do korespondentów: - Patrzcie, jaka u nas demokracja! A i własnemu społeczeństwu różne fassenty tłumaczyć będą, jak wiele można powiedzieć.

Sejm zaś, czy to poprzedni czy też nowy i tak uchwali "co trzeba".

Ale trzeba głośno i wyraźnie mówić, że "zwycięstwo wyborcze" tych, którzy trzymają w swych rękach cugle władzy, jest zwycięstwem pyrrusowym i niesie w sobie zalążek kolejnej, fatalnej klęski. Między innymi dlatego właśnie, że rządzący oszukują samych siebie.

Jest taki charakterystyczny kwiatek. Do dnia wyborów, 13 października, prasa oficjalna była przepełniona kłamliwymi w założeniu, ale dobrze brzmiącymi sloganami:

"Sejm w Polsce - pisała "Trybuna Ludu" z 12-13 października - zawsze był symbolem państwowości - miarą suwerenności i demokracji... Sejm wybierany jest głosami obywateli. I przed nimi odpowiadają posłowie. Wybierzemy ludzi, od których oczekujemy, że uczynią Sejm IX kadencji skuteczną siłą narodowego porozumienia i socjalistycznej odnowy... Zgodnie z logiką naszego ustroju, w zgodzie z polską tradycją - skuteczność ich działania zależy wprost od społecznego poparcia, udzielonego im w wyborach. W nim bowiem należy szukać najgłębszej motywacji pełnienia poselskiego mandatu, z niego także wypływają dla posłów największe zobowiązania...".



A więc mieliśmy wybierać suwerenny sejm. A gdy już "wybraliśmy"? Jerzy Urban jeszcze w dniu wyborów, w nocy z niedzielą na poniedziałek, wyjaśnił czym - jego zdaniem - one rzeczywiście były: "Znaczna część społeczeństwa - stwierdził - uznała trwałość i wartość ustroju socjalistycznego, jego niepodważalność. Wyrażona została generalna aproba dla linii politycznej kierownictwa państwa...".

Zatem nie suwerenny sejm chcieli wybrać ci, którzy zdecydowali się pójść do urn. Oni uczestniczyli w plebiscycie, który miał stwierdzić, że społeczeństwo kocha tych, którzy aktualnie rządzą i udziela im generalnego poparcia!

I znów ktoś może powiedzieć, że egzegeza takich propagandowych tekstów jest bezsensowna i bezpłodna. Jednakże mechanizm ich powstawania jest wiele mówiący. Mówi o tęsknocie tych, którzy przywłaszczyli sobie władzę, do jej zalegalizowania. Tylko, że tej legalizacji dokonuje nie społeczeństwo - jego postawa i opinia jest powszechnie znana - lecz żalony, cyniczny i opuszczony przez władzę Urban, swoją słowną, pokrętną żonglerką. Ale czy to może rzeczywiście rozproszyć frustrację i niepokoje tych, ciągle przez społeczeństwo - eufemistycznie mówiąc - niekochanych?

X X X

Miał to być powyborczy artykuł. A zebrała się tylko garść luźnych uwag na tematy związane z systemem sprawowania władzy.

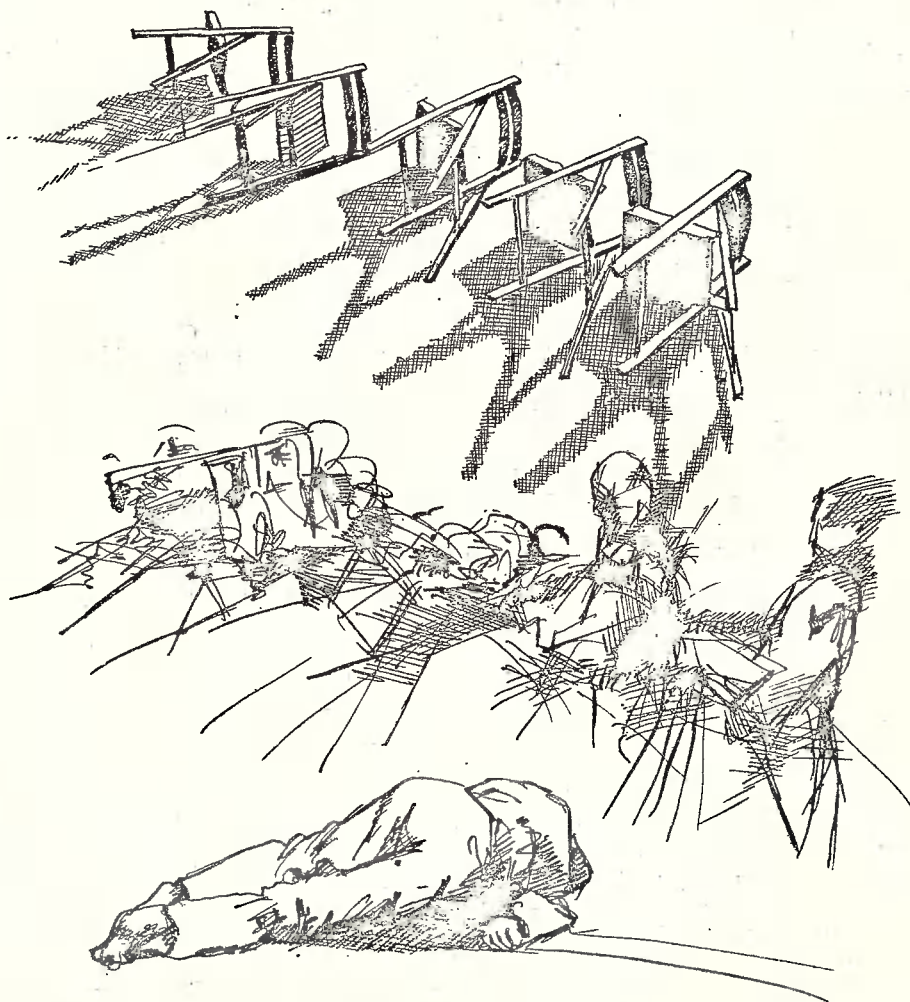
Toteż zakończyć te uwagi można by słowami mądrego i analizującego "bez jadu" społeczne problemy, działacza i publicy. Napisał on przed rokiem:

"W Polsce bunt przeciwko dyktaturze nie jest buntem przeciwko "silnej władzy", lecz przeciwko oelom, jakim ta władza ma służyć. Gdyby przyłożył ucho do tętna społecznego życia, bez trudu wyczułoby się tęsknotę tego znękanego narodu do silnej władzy. Społeczeństwo ma dosyć chaosu panującego w naszym życiu, dosyć dezorganizacji, indolencji i niekompetencji w załatwianiu najprostszych nawet spraw, ma dosyć demoralizacji, dosyć beznadziejności, sytuacji, kiedy wszyscy mówią o sprawach, w których panuje "ogólna niemożność". Ma dosyć władzy, która nie widzi, że jej własny aparat jest siewcą i nauczycielem anarchii. Dosyć życia w fikcyjnym świecie, w którym temu, co się mówi, przeczy rzeczywistość, w którym największe słowa, mające stanowić pokarm dla ducha, oświetlać drogę, zostały zeszmacane, budzą odruch samoobrony. Trudno temu społeczeństwu pogodzić się z władzą, która jest celem dla siebie i której głównym zadaniem jest umocnienie swej władzy...".

A sejm jaki jest, każdy widzi...

Jerzy Lewski

# III Kongres Nauki Polskiej



## Po nitce nad przepaścią

Rozmowa z Jackiem Kuroniem

- W 1964 r. ukazał się głośny podówczas "List otwarty do członków partii". Jego autorami byli młodzi marksiści: Jacek Kuron i Karol Modzelewski, którzy dokonali pierwszej niezależnej, krytycznej analizy rzeczywistości społeczno-politycznej PRL, oskarżając zarazem aparat /nomenklaturę/ o wyzyskiwanie klasy robotniczej, o zdradę ideałów socjalizmu. Dyskusji, jak wiadomo, nie było, "reformatorów" wykluczono z partii, osądzono i skazano na kilkuletnie więzienie. W 10 lat później NOWA wydaje twój broszurę pt. "Myśli o programie działania", opublikowaną następnie poza granicami kraju. W międzyczasie byłeś również czynny /o ile nie siedziałeś w więzieniu/. Odc choćby twój udział w proteście intelektualistów /List 59/ przeciwko poprawkom w Konstytucji. Dalej, praca w TEN i jakby ukoronowanie pewnego procesu - aktywny udział w założeniu KOR-u. Kolejne represje i więzienie i... uparte dążenie do wyjścia na szerszy obszar działania, do stworzenia bezpośrednich związków organicznych pomiędzy inteligencją, środowiskiem akademickim a klasą robotniczą. I tak do "Solidarności", w powstaniu której odegrałeś wybitną rolę, a następnie, jak ci zarzucają ośrodki dyspozycji politycznej, przyczyniłeś się do jej upadku. Jesteś uwielbiany przez jednych i znienawidzony przez innych. Jesteś postacią kontrowersyjną, człowiekiem, który świadomie wkroczył na tę "drogę przez mękę" i nigdy już z niej nie zszedł. Chodzi mi, w tym nieco przydługim wstępie, o m o t y w a c j ę i c i a g ą o s ę postawy młodego współautora "Listu" z 1964 roku i Jacka Kuronia AD 1985, czołowej postaci polskiej sceny politycznej. Czy jesteś nadal tym samym człowiekiem?

- O, broń Boże! Oczywiście, oczywiście, że nie! Można szukać zbieżności w postawach, rozważaniach o wartościach, ale politycznie... Wspomniany tekst z 1964 r. pisało dwóch młodych marksistów, próbujących dokonać pewnego przewrotu, rewolucji w sposobie widzenia naszych spraw w obozie. Od tego czasu my obaj dość zasadniczo zmieniliśmy swoje poglądy.

Jeśli chodzi o "List 59", to myślę, że istotnie ma on pewne znaczenie w historii Polski, właśnie ze względu na to, że przybliżył on jakby powstanie KOR-u. Pokazał pewien rodzaj jedności inteligencji polskiej i jej gotowość do działania w sprawach robotniczych. Były inne apele do społeczeństwa, właściwie było ich trzy. W ostatnim myśmy jakby prognozowali Sierpień 80. Gdybym miał punktować swoje piśmiennictwo, zacząłbym od "Myśli o programie działania". Tekst ten ukazał się najpierw wiele razy w kraju, w wydaniu powielaczowym w roku 1976, a następnie istotnie zagranicą, m.in. w paśmie "Kulturze". To była taka koncepcja ruchów społecz-

<sup>X</sup> Wskazałem w tym bloku rozmowy i wypowiedzi, które miały miejsce podczas Sierpnia, między innymi się w numerze 10 "Kultury", a projekty niepublikowanych od redakcji były w tym czasie. W tym numerze to przypisywany naszym redaktorom.

nych, które zdobywają pole, które wypierają totalitarną władzę z różnych sfer życia, ograniczają ją w innych i tą drogą usiłują zdobyć nad nią kontrolę. I to uważam za najważniejszy dorobek mojej myśli politycznej; to jest wreszcie droga, na którą wszedł KOR i wszystkie inne niezależne instytucje, co w końcu w sprzyjających okolicznościach zaowocowało "Solidarnością". Gdybym miał szukać linii wznoszącej się, to prowadziłbym ją od "Myśli", od działania ruchów społecznych poprzez ich zwieńczenie w "Solidarności" aż do linii załamanej w grudniu 1981 roku. Z tym, że nawet to załamanie w praktycznie politycznej zmieniło bardzo wiele. Tak bardzo wiele się zdarzyło - mianowicie: władza odrzuciła wszelką myśl o porozumieniu ze społeczeństwem, społeczeństwo zaś odrzuciło wszelką myśl o porozumieniu z władzą. A tymczasem żyć i naoczniej niż razem, póki co, nie możemy i na tym polega cały dramat politycznej sytuacji Polski.

Natomiast jeśli chodzi o pewne procesy społeczne, o dojrzałość społeczną, o kulturę narodową, to myślę sobie, że przeciwnie - rozwój samoorganizacji społeczeństwa, jak to nazwałem w "Myślach o programie działania", następuje, trwa. I to chyba jest najważniejsze.

- W 1981 roku, w głośnym wywiadzie dla "Sztandaru Młodych" powiedziałeś, że mówiąc o socjalizmie nie należy wyłączać się w spory semantyczne; że słowo "socjalizm" dla wielu ludzi znaczy bardzo wiele i dla siebie także; że nie można w jednej strefie świata nadawać jakąś szczególną treść znaczeniową słowu, które w innych częściach świata ma inną wartość. Czy wydarzenia w Polsce, cały ich łańcuch poczynając od 1956 roku, można rozpatrywać wyłącznie w wymiarze polskim?

- Gdyby nie było tego "motta", odpowiedź moja brzmiałaby bardzo prosto. Powiedziałbym: nie tylko! Ale z tego cytatu wyrzuciłeś pewien kawałek; powiedziałem tam mianowicie, że dla jednych socjalizm znaczy bardzo wiele, coś bardzo pozytywnego, również i dla mnie; dla innych natomiast coś bardzo negatywnego i że posługiwanie się słowem, które ma dla różnych ludzi różną treść znaczeniową, jest nieużyteczne. Wtedy rozmówcy mnie zapytali: "No, a Chile?". Wówczas właśnie odpowiedziałem, że "nie można w jednej strefie świata nadać szczególną treść znaczeniową słowu, które w innych częściach świata ma inną wartość". Język powinien służyć do porozumiewania się, a słowo "socjalizm" służy do nieporozumień. Tyle o socjalizmie i dajmy już spokój z tym!

Czy to wszystko, co się stało, ma znaczenie wyłącznie polskie? W żadnym razie nie! Nie ulega wątpliwości, iż w dawnej walce, w XIX wieku, problem: uciskani i uciskający, wyzyskiwani i wyzyskujący - tradycyjnie prowadził do zasadniczego podziału na prawicę i lewicę. Sądzę, że i w połowie XX wieku, w drugiej połowie wieku XX, a zwłaszcza w wieku XXI, najważniejszym problemem, sednem konfliktu, będzie spór o model władzy. Chodzi o to, czy światu grozi absolutna władza małych ośrodków...

- ...ośrodków dyspozycji politycznej?

- Tak. Nie, właśnie nie tylko o dyspozycji politycznej. Idzie czas totalitaryzmu! A więc, czy będzie władza małych ośrodków dyspozycyjnych nad całym życiem człowieka? Czy też podmiot o-



w o ś c s p o ł e c z e ń s t w, realizowana przez małe grupy, środowiska lokalne, przez demokratycznie zorganizowane społeczeństwo, czyli pluralizm polityczny? To będzie ten największy konflikt.

Powiedziałem przed chwilą, że idzie czas totalitaryzmu, ale ja nie jestem deterministą. Nie mówię, że on na pewno przyjdzie. On może przyjść, jeśli nie będziemy umieli temu się przeciwstawić. Otóż uważam, że światu grozi przyszłość taka, jaką pokazuje "realny socjalizm", ten obóz, w którym tkwimy. Na miejscu zachodnich Europejczyków nie dałbym się nabrać na żadne pozory, że to jest "prymitywne" i "azjatyckie" i że to tym lepiej dla nich, bowiem do tego samego, do totalitaryzmu, można dojść zupełnie inną drogą, między innymi przez scedowanie wszystkich swoich uprawnień na fachowców, poprzez utrzymanie wyjątkowo wysokiej stopy życiowej. Te ich wszystkie "gadgets", których już dziś nie potrafią się wyrzec...

- No, nam raczej "wysoka stopa" na razie nie grozi...

- Ja mówię o tym, co grozi zachodnim Europejczykom. Kiedy oni patrzą na nas, na sytuację polską, to im się zdaje: "Dziękuję! Nam nic takiego nie grozi...". Otóż kiedyś mogą obudzić się oni z ręką w nocniku. Czywiście, jeśli się nie opamiętają.

Twierdząc przeto, że w Polsce po pierwsze, ukazuje się przyszedłość świata w postaci zagrożenia totalitarnego i po drugie: ukazuje się nadzieje świata jako walkę przeciwko temu zagrożeniu. Twierdząc, że my tutaj, w Polsce, dokonujemy wielkiego dzieła, przede wszystkim poprzez demaskację "realnego socjalizmu", gdyż demaskować istniejący ład społeczny może tylko ruch społeczny. Dzieło Marksa pozostałoby na papierze, gdyby nie stanął za tym ruch robotniczy. Czytaliby, oczywiście, intelektualiści, różni erudyci, uczeni, natomiast doświadczeniem masowym stało się ono dzięki ruchowi robotniczemu. I tak samo trzeba było o ruchu, trzeba było "Solidarności", trzeba było walki Polaków, aby świat dowiedział się, czym jest "realny socjalizm". Lecz nie dość na tym. My zarazem pokazujemy drogę walki z tym zagrożeniem, drogę walki poprzez ruchy społeczne. Można powiedzieć, że znów jesteśmy jakby "mesjaszem narodów" i przedmurzem chrześcijaństwa, jeżeli przez "chrześcijaństwo" rozumieć kulturę śródziemnomorską, kulturę judejsko-antyczną-śródziemnomorską.

- Aleksander Zinowiew, człowiek niewątpliwie o cechach zarazem i szarlatana i geniusza, który dokonał bodaj czy nie najbardziej bezlitosnej wiwisekcji systemu komunistycznego. "Realnego socjalizmu", powiedział swego czasu, że "Solidarność" była skazana od samego początku. I natychmiast, w tymże wywodzie, kontrowersyjnie - jak to on - dodał: "Wszystko, co się stało w Polsce, stało się we właściwym miejscu i we właściwym czasie". Co sędzisz o tym twierdzeniu?

- Pamiętam ten jego wywiad. Powiem, że myślałem podobnie. Na pytanie, czy jestem optymistą, czy pesymistą, odpowiadałem zawsze i odpowiadał nadal: jestem pesymistą, bo mówię, żeby nam się udało, musimy przelecieć po nitce nad przepaścią. Ale jestem też optymistą, gdyż sędzę, że nam się to uda. Na razie nie udało nam się... ale to chyba z mocne słowo "nie

udało". Jesteśmy w pół drogi! Ta nitka trzęsie się bardzo, może za chwilę urwie się, ale jesteśmy w ruchu, nie upadliśmy. Jesteśmy!

Stało się natomiast coś naprawdę niezwykłego. Oto nastąpiło u m a s o w i e n i e e l i t społecznych. Pierwszy raz w dziejach Polski, a myślę, że również świata, mamy do czynienia z tak masowymi elitami przywódczymi. To już nie jacyś tam intelektualisci, politycy - to są robotnicy, chłopi, urzędnicy, taksówkarze itd.

- Zinowiew ze smutkiem mówił, że w ZSRR nie ma na razie "świątłych, jak w Polsce, robotników"...

- No, coś takiego... Muszę powiedzieć, że nie wszyscy robotnicy są tacy, tak jak nie wszyscy pisarze oraz intelektualiści są świątli. Ale jest to tak nieprawdopodobne, tak niezwykle... No, można mówić o dwudziestu pięciu procentach społeczeństwa! I to jest nasz kapitał. Ale mimo to jesteśmy w dramatycznej sytuacji: rząd nie chce uznać społeczeństwa, ale na razie nie ma ochoty wybrać sobie nowego społeczeństwa. Społeczeństwo zaś nie uznaje rządu, ale na razie nie ma możliwości, aby wybrać sobie inny rząd. Musimy żyć razem, ale jakoś nie umiemy...

- Czy widzisz perspektywę znalezienia jakiegoś modus vivendi, sposobu tego przymusowego istnienia razem?

- No, pozostaje nam tylko wierzyć albo w to, że znajdują się takie siły "po tamtej stronie", które będą chciały szukać tego modus vivendi, albo...

- Gdzie? Wśród nomenklatury?!

- ...albo że się wywali Związek Radziecki. Co daj nam Boże! Amen.

Rozmawiał: Andrzej Pankiewicz

## Kto ma większe szanse?

Rozmowa z Andrzejem Słowikiem

- Co wiemy na pewno po pięciu latach?

- Na pewno to wiemy, że władza na ulicy nie przegra. Przegra tylko i wyłącznie w zakładach pracy.

- A czy po tych latach w zakładach pracy istnieje nadal chęć wygranej?

- W zakładach pracy nie ma obecnie takich wszechogarniających więzi, jakie istniały w okresie oficjalnego istnienia Związku. Te więzi są w dużej mierze porwane. Dlatego dziś tym, co jest najbardziej potrzebne, jest wiara w skuteczność działania i nowe formy walki. Starymi metodami można już tylko narażać ludzi, których jest o wiele mniej niż po Sierpniu 80. Tracąc legalną "Solidarność", straciliśmy dobry klucz do przyszłości. Władza tego klucza też nie ma. Zwycięży więc ten, kto prędzej klucz dorobi.

- Kto ma większe szanse?

- Czas działa na korzyść władzy tylko pod tym warunkiem, iż zaoferuje i zrealizuje ona to, na co społeczeństwo czeka.

Ala czy to jest możliwe? Czy komunistyczna administracja PRL jest w stanie zaspokoić aspiracje narodu AD 1985? Neozwiązki wyprzedają to, co polscy pracownicy wywalczyli już w czasach II Rzeczypospolitej, np. ośmiodziny dzień pracy wprowadzony dekretem z 1919 r. przez rząd Jędrzeja Moraczewskiego. Podobnie cichaczem i od tyłu neozwiązki rezygnują z ostatniej zdobyczy świata pracy - wolnych sobót. Powolna, ale systematyczna likwidacja zdobyczy socjalnych i szybko postępujące zubożenie społeczeństwa godzi przecież w najżywotniejsze interesy narodu.

- Wokół nas wiele się zmienia i nie jest to ta sama sytuacja, jak np. biedowanie za Gomułki.

- Owszem, sytuacja jest inna, jest gorsza nie tylko niż za Gomułki, ale gorsza od tej, która była w 1979 roku. Totalitaryzacja systemu postępuje naprzód. Stał się ten system o wiele bardziej opresyjny i bezwzględny niż w okresie późnego Gierka. Ale z drugiej strony, stopień samoświadomości i samowiedzy Polaków jest dużo większy. Ludzie o wiele więcej wiedzą o istocie ustroju i systemu, w którym żyją. Doświadczenia 16 miesięcy "Solidarności" i późniejszego stanu wojennego zrobiły swoje. Dziś praktycznie nie ma w naszym Regionie zakładu, do którego nie docierałaby podziemna prasa związkowa i niezależne wydawnictwa. O takiej sytuacji w końcu lat siedemdziesiątych można było tylko marzyć. Paradoks polega jednak na tym, że nie ułatwia nam to działania, ponieważ władza wyciągnęła wnioski ze swoich błędów.

- Jakie błędy masz na myśli?

- Wnioski władzy nie idą, oczywiście, w kierunku oczekiwania społecznych, nie dotyczą demokratyzacji systemu, upodmiotowienia społeczeństwa, uwłaszczenia politycznego obywateli. Zdaniem władzy, jak wynika z bieżącej praktyki, jej największym błędem był zbyt wielki stopień liberalizmu. Naprawić ten błąd to - zdaniem obecnej ekipy - radykalnie zwiększyć represyjność systemu. I to się teraz dzieje na wielu polach. Jednak zwiększenie siły bezpośredniego przymusu, skierowanego przeciw społeczeństwu, trafia w próżnię, gdyż Związek i cała opozycja przyjęli i konsekwentnie realizują koncepcję walki bez użycia przemocy. Siła fizyczna i pałki, to nie nasze argumenty. Władzy zaś ciągle i nieodmiennie się wydaje, że jej siła mierzy się długością zomowskich pałek. Jest to mniemanie błędne i z błędu tego powinny wyprowadzić władzę przykłady naszych więzionych kolegów. Władze Frasiński czy Bogdan Lis nie używają siły, a władza się ich mimo to boi, gdyż wie, jakim autorytetem cieszą się w swoich zakładach pracy. Wie również, że do jej kolejnej porażki dojdzie właśnie w zakładach. Póki co, przed lipcowymi podwyżkami pośpiesznie przekupywano ludzi podwyżkami płac, nakręcającymi inflację. Jest to chwyt znany i charakterystyczny dla okresów przedkryzysowych. Zabieg, który - jak wykazuje praktyka - nie ratuje sytuacji. Ani społecznej, ani gospodarczej.

- Coraz częściej mówi się o braku nadziei...

- Ale jakiej nadziei? Ludzie wyzbyli się nadziei na to, że władza z własnej woli może zrezygnować ze swej monopolistycznej i nadrzędnej względem narodu pozycji. Kolejne porozumienia są już dziś nie bardzo realne, ponieważ ludzie wiedzą, że ta władza ich po prostu nie dotrzyma. Stąd coraz więcej świadomych obywateli widzi absolutną konieczność zmiany obecnego

systemu politycznego na taki, który dawałby chociaż minimum gwarancji na to, że ewentualne przyszłe porozumienie będzie przez władzę realizowane. Dziś nie ma żadnej absolutnie gwarancji, iż elementarne aspiracje obywatelskie, jak i ekonomiczne, będą realizowane przez ludzi z obecnej ekipy, która aspiracje te i samo społeczeństwo traktuje obojętnie i wrogo.

- W jaki sposób osiągnąć owo minimum gwarancji systemu?

- Sądzę, że w tym celu należy dążyć do osiągnięcia pewnego minimum legalności działania i stale to minimum powiększać. Oznacza to stałą walkę o prawo do pluralizmu związkowego. To jest absolutne minimum, gwarantowane nam nadal przez umowę międzynarodowe. I to trzeba wywalczyć. To jest na dzień oel zasadniczy. Tezy szefa neozwiązków, Miodowicza, o szkodliwości pluralizmu związkowego dla stabilnej gospodarki są błądliwe. Przed 1939 rokiem istniał pluralizm i gospodarka się nie zawaliła. Na Zachodzie istnieje do dziś z wiadomymi skutkami. Przedwojenne związki zawodowe wywalczyły takie u- normowania prawne, które po 1945 roku znakomicie nadawały się do zastosowania w "ludowym państwie".

- Te pięć lat minęło jak z knuta strzelił. Sądzisz, że ludzie są dziś mądrzejsi?

- Są ostrożniejsi i mądrzejsi o prawdę, że ta władza nie służy społeczeństwu, że występuje przeciwko interesom własnego kraju. Ludzie, jak chyba nigdy dotąd, widzą marnotrawstwo dorobku własnego życia, marnotrawstwo indywidualnych i narodowych szans. Ludzie pracujący w polskich miastach i wsiach widzą dziś wyraźnie, że komuniści nie zrobili dla nich przez czterdzieści lat nic, poza możliwością codziennej, nieefektywnej harówki. Chyba, że się jest milicjantem, bądź członkiem establishmentu. Ludzie idą na emeryturę i popadają w nędzę. I to ma być państwo ludzi pracy? Garstka ludzi, którzy popierają tę władzę, to są cynicy występujący w swoim prywatnym interesie. Nawet oni nie wierzą w ideologię, którą realizują, a która się jeszcze nigdzie nie sprawdziła.

- Sądzisz, że w PRL AD 1985 ideologia ma jakiegokolwiek znaczenie? że ktokolwiek traktuje ją poważnie?

- Dziś już nikt, poza może paroma troglodytami, których sama PZPR się wstydzi.

- Czym jest podziemie według Ciebie?

- To bardzo potrzebna kontynuacja "Solidarności".

- Były głosy o potrzebie rozwiązania podziemia. Nieliczne, ale były. Kto jest zainteresowany w jego dalszym utrzymaniu?

- Powinni być wszyscy, którym na sercu leży demokratyczny system rządzenia w niepodległej Rzeczypospolitej. Podziemie jest dla żywołu niezależnego gwarantującej nieprzerwaną działalność w wolnym ruchu związkowym. Bo to jest działalność związkowa, działalność w interesie ludzi pracy, a nie działalność szpiegowska - jak chce tego Urban. Dopóki istnieją TKR-y /Tajne Komisje Robotnicze/, dopóty mamy nasz związkowy sztył. Zadaniem jest doprowadzenie do takiej sytuacji, w której TKK mogłaby się ujawnić i rozpocząć normalną, oficjalną działalność. Działalność skierowaną nie przeciwko państwu, ale to państwo i jego agendy kontrolującą. Na tym polega nasza wersja normalizacji.

Po pięciu latach jest o wiele więcej ludzi decydujących



się na konkretne działania, mające na celu zmanifestowanie podmiotowości społecznej. W tym sensie stajemy się krajem bardziej normalnym niż miało to miejsce w przeszłości. Społeczeństwo ma dziś swoją własną, autentyczną twarz, własną specyfikę różną od tej, którą mu chce wmówić władza. Ludzie myślą samodzielnie i nie poddają się bezwolnie działaniom ogólnoparadygmatycznej propagandy oficjalnej. Nie udało się zorganizować we wronich związkach nawet połowy pracujących.

- Gdyby nagle powstała możliwość reaktywowania "Solidarności" - sądzisz, że byłoby nas znowu 10 milionów?

- Nie sądzę. Społeczeństwo nasze jest pluralistyczne i chce ten pluralizm zaświadczać. Myślę więc, że w sprzyjających okolicznościach jeden związek na pewno nie pomieściłby wszystkich. Jedności moralno-politycznej dość już było w tym kraju.

- Nie sądzisz, że po okresie "Solidarności" zmienił się język propagandy?

- Zmieniła się poetyka wmawiania, ale jakościowo nie ma chyba większych różnic. Obecnie mamy już do czynienia z pewnym rodzajem propagandy sukcesu, zaprawionej szczyptą różnorodności. Tu towarzysze potrafią, a tam jeszcze nie potrafią. W jednych województwach czy branżach jest już dobrze, w innych jeszcze nie. Moim zdaniem władza dobrze wie, jakie są prawdziwe przekonania społeczeństwa. Dlatego potrzebny jest elastyczny styl ogłupiania. Urban irytuje społeczeństwo, w przeciwieństwie do Jaruzelskiego, który potrafi zachowywać się spokojnie i z pewną miną przemilczać oczywiste niepowodzenia rządu. W ostatnim okresie zacieranie rażących niepowodzeń gospodarczych aż krąży w oczy, nawet z ofiojalnych środków masowego przekazu. Znowu więc wchodzimy w dobry okres. Partia się konsoliduje, a społeczeństwo - poza grupkami ekstremistów - popiera władzę. Słowem, już zaczyna być byczo. Powtarza się tu znany schemat z lat siedemdziesiątych. Po 1976, po "Ursusie", też była normalizacja i były sukcesy. Prawdę mówiąc, to Jaruzelski miał już sukcesy 14 grudnia 1981. Nie zawieszono gazet, podały wówczas o zwiększonym udaju mleka. Od daty zamachu grudniowego powoli zaczynało być lepiej. No, a po pięciu latach, na ostatnim plenum partii, mówiło się już tylko o zwiększeniu ofensywności PZPR, która wreszcie odzyskała zaufanie narodu. Świadczy to o tym, że komuniści znowu widzą rzeczywistość tak, jak im jest wygodnie.

- Równia pochyła?

- Moim zdaniem, tak. Z tym, że władza tym razem nie da się zaskoczyć. W każdym zakładzie pracy siedzą etatowi ubecy i mają baczenie na wszystko. No, może nie na wszystko, bo wtedy nie byłoby miejsca dla nas. W każdym razie historia się nie powtórzy dokładnie w kształcie scenariusza z roku 1980. Ale że się powtórzy, to pewne. To komuniści mają jak w banku, gdyż co jak co, ale prowokować niezadowolone pracowników to oni potrafią jak nikt. I na to musimy być przygotowani. Stąd, poza absolutnym imperatywem moralnym, jakim jest walka o uwolnienie więźniów politycznych, nasza działalność nie może się na tym kończyć. Więźniów sumienia musi być jak najmniej, co można osiągnąć dwoma sposobami: walką o wypuszczenie tych, co siedzą oraz takim zorganizowaniem roboty związkowej, aby straty własne były jak najmniejsze. Naczel-

nym jednak zadaniem jest rozbudowanie i umocnienie w zakładach pracy struktur, gotowych na wypadek kolejnego kryzysu pokierować związkiem.

- Jaką obecnie dysponujecie kadrą w Regionie Łódzkim?

- Jest dość duża grupa ludzi. To trzeci rzut działaczy, niespecjalnie widocznych przed 13 grudnia, często zakrzywczanych przez posierpniowych krzykaczy, bo i tacy byli. Ludzie ci sprawdzili się w działalności niezbyt widocznej i mało efektownej, ale niezwykle potrzebnej dla istnienia podziemnego Związku. Wśród tych działaczy można zaobserwować dwie tendencje. Jedni wyznają filozofię długiego marszu ze wszystkimi jej konsekwencjami. Drudzy są w taktyce radykalniejsi i ich działalność obliczona jest na szybkie efekty. Problemem jest więc pogodzenie tych punktów widzenia. Ci pierwsi są obecnie w Regionie w większości i mają głos decydujący. Poza tym ich strategia daje większe gwarancje względnego bezpieczeństwa dla ludzi zaangażowanych w działalność. A ta działalność, to pomoc finansowa prześladowanym i ich rodzinom, świadczenia statutowe, kolportaż prasy i książek.

- Co nazywasz gwarancją względnego bezpieczeństwa?

- To te wszystkie gwarancje, które są konsekwencją faktu, iż ludzie muszą działać wspólnie. Pomoc finansowa, świadczenia i inne formy działalności związkowej powodują odbudowanie na nowo więzi społecznych w zakładach. Ludzie wiedzą, że w razie nieszczęścia, wpadki, nie zostaną sami. Oni i ich rodziny. Po zajściach w 1976 roku protestujący i represjonowani ludzie zostali sami. Poza KOR-em nikt się nimi nie interesował. Co więcej - unikano kontaktów z rodzinami prześladowanych. Dawniej represja polityczna działała jak trąd, dziś jest zupełnie inaczej. Represje i prześladowania wywołają w kolegach z zakładu pracy ofiary solidarność i realną pomoc. I to jest nasze największe zwycięstwo po pięciu latach. Zwycięstwo solidarności przez małe "s". Izolacja społeczna ludzi niepokornych i z tej racji podlegających represjom, zawsze była celem każdej władzy dyktatorskiej. Dziś pod wpływem opinii nie są skuteczne nawet próby przekupstwa za wyrzeczenie się międzyludzkiej solidarności. To jest chyba najistotniejsza zmiana społecznego sposobu myślenia w minionych pięciu latach. Zmiana, która będzie fundamentem naszego zwycięstwa w przyszłości. Prześladowani nie są sami. Oni o tym wiedzą. Władze też.

- Czego spodziewasz się po polskiej emigracji? Jak może ona pomóc w waszej działalności?

- Emigracja jest fragmentem kraju. Tak sędzę. Zaś rola Polaków rozsianych po świecie trudna jest do przecenienia, gdyż możliwości emigracji są ogromne, już choćby przez sam fakt istnienia tego emigracyjnego kawałka Polski w demokratycznym otoczeniu. Polacy na emigracji winni zaświadczać światu, że w kraju trwa walka o ludzkie prawa, o godność i prawdę. Świat musi wiedzieć o naszej działalności, o oporze i niezgodzie na zło i kłamstwo. W przekazywaniu tej wiedzy nikt i nie emigracji nie zastąpi. No i, oczywiście, wszelka materialna pomoc dla kraju, pomoc której potrzebujemy, bo rozmiary obywatelskiego sprzeciwu są takie, jak nigdy i nigdzie w komunistycznym państwie. Mamy szansę utrwalenia społeczeństwa obywatelskiego i historia nikomu nie wybaczy jej

zaprzepaszczenia.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Adam Sarna

## Opór nie słabnie

WYPowiedź ZBIGNIEWA JANASA

W stosunku do 16 miesięcy oficjalnej działalności Związku bez wątplenia straciliśmy rozmach, a także część działaczy i członków "Solidarności", zyskaliśmy natomiast nowe pomysły na działalność, a nawet na życie, zdobyliśmy nieznanne wcześniej doświadczenia, wreszcie, co wydaje mi się najważniejsze, te lata stały się sprawdzianem dla ludzi. Okazało się kto jest kim.

Rozumiem to tak: w czasach jawności ruchu wszyscy mogli do niego należeć, a więc i ci, którzy wiązali przynależność do związku z popularnością, sukcesem, karierą, posadami, uznaniem; natomiast po 13 grudnia pozostali w Związku ludzie zaangażowani w działalność społeczną i ci, którym naprawdę szło o zmiany w społeczno-politycznym obrazie Polski. Dziś jest zbyt trudno działać i trzeba płacić zbyt wysoką cenę, aby w Związku pozostali ludzie kierujący się wyłącznie kategorią interesu czy pobudkami osobistej kariery... I tyle byłoby o moralnej stronie obrachunku.

Natomiast można by się jeszcze zastanowić nad rolą Związku. Pierwszy okres oficjalnej i nieoficjalnej działalności podzieliłbym na dwa etapy. W czasie od sierpnia 1980 do marca-kwietnia 1981, "Solidarność" rzeczywiście wiele mogła osiągnąć, wymóc na władzach, ale w drugim okresie zaczął się pat polityczny i w sprawach zasadniczych Związek bardzo niewiele osiągał. Wszystkie rozmowy były przez władze prowadzone tak, aby rozmawiać i przedłużać negocjacje, a nie po to, by coś załatwić. Rząd nie przestrzegał nawet minimalnych uzgodnień, a Związek nie umiał wymóc na władzy realizacji czegokolwiek. Więc w gruncie rzeczy, na tym etapie "Solidarność" była instytucją oficjalnie istniejącą, ale niewiele załatwiającą. Potem przyszedł grudzień i kolejny etap - krótkich strajków, demonstracji, akcji ulotkowych, które nie miały większego znaczenia, poza podnoszeniem ludzi na duchu, poprawianiem stanu psychicznego.

I teraz, wydaje mi się, nadeszła kolejna faza. Faza stabilizacji Związku. Polega to na tym, że opór nie słabnie, że dochodzi wielu ludzi młodych, że działalność "Solidarności" rozwija się w strefach: związkowej - co znakomicie widać w TKZ-ach, ruchu społecznego i w sferze politycznej, czego przykładem były wybory do rad narodowych i będą wybory do sejmu. Mam wrażenie, że "Solidarność" wywiera dziś, choć pośrednio, większy wpływ na władzę, niż miało to miejsce w ostatnich miesiącach wolności i w tym widzę stabilizację. Właśnie choćby kwestia wyborów - nie dało się, jak w Rumunii, przeprowadzić ich z wynikiem 99,9%. Sprawa podwyżek cen. Dwa etapy zostały przeprowadzone, ale zobaczymy, czy ten manewr jeszcze raz się powiedzie. Zresztą wprowadzenie każdej niepopularnej decyzji, wymaga już wielu zabiegów ze strony władzy. Nie da się dekretować odgórnie, bez liczenia się z rea-

koją społeczną. I nic, co robi władza, nie odbywa się bez głosu opinii publicznej, którą reprezentujemy. To również uważam za sukces.

Notowała /es/

## Na rozstajnych drogach

Rozmowa z Jerzym Kropiwnickim

- Minęło 5 lat od Sierpnia '80. Jesteśmy o pięć lat starsi. Czy jesteśmy o pięć lat mądrzejsi?

- "Pięć lat temu" to - jak rozumiem - określenie umowne, hasło. Nie chodzi zapewne o porównanie jakiegoś konkretnego dnia jesieni 1980 roku z tymże dniem jesieni 1985. Choć może i to miałyby sens. Wolę jednak to hasło jako zachętę do porównań różnych aspektów życia społecznego w Polsce okresu jawnego działania "Solidarności" z sytuacją po zakończeniu stanu wojennego, dokładniej: z sytuacją, jaką mogę obserwować od lipca 1984, a więc od chwili wyjścia z więzienia.

- Co się zmieniło przez te pięć lat?

- Drastycznie zmniejszył się zakres swobód demokratycznych. Wolność słowa została społeczeństwu odebrana. Porównaj choćby prasę oficjalną, państwową i partyjną dnia dzisiejszego i tę z okresu 1980-1981 - o czym się wtedy pisało i jak się wtedy pisało. Prasa, a nawet w jakimś stopniu radio, stawały się wówczas środkami społecznej komunikacji - dziś ponownie przeobraziły się w środki masowego przekazu, czy jak kto woli - masowego rażenia propagandą partyjną. Po masowych zwolnieniach, po brutalnym złamaniu godności ludzkiej tych, którzy pozostali dziennikarzami prasy oficjalnej, osiągnięto stan, w którym autocenzura i cenzura redakcyjna tak skutecznie niszczą wszelką swobodniejszą myśl, że nawet cenzura państwowa okazuje się niepotrzebna. Poza "Tygodnikiem Powszechnym" i "Przeglądem Katolickim" trudno jest znaleźć w kiosku gazetę, w której byłyby ślady ingerencji urzędu cenzorskiego. Ślady tego, że była jakaś myśl "bez oficjalnego stempla", że zespół redakcyjny uznał prawo do tej myśli, że nie próbowano na autorze wymusić "przemyslenia" też zawartych w artykule.

Prawo organizowania się, wolność zrzeszania się - zabrano całkowicie. Zlikwidowano te stowarzyszenia i związki, przez które artykułowana była opinia i wola społeczeństwa, czy też poszczególnych środowisk - te zaś, które pozostawiono poddać czystce. Powołano też nowe. Te nowe i te "oczyszczone" nie są już nosicielami życzeń i żądań społecznych - stały się instrumentami zniewalania społeczeństwa, posłusznymi realizatorami bieżącej polityki aparatu władzy, twórcami mario-netkowymi.

- Nic nie jest podobne do tego, co było wtedy? Pięć lat temu i później, w okresie oficjalnego działania "Solidarności"?

- Istnieje pewne szczególne podobieństwo tamtego okresu sprzed 4-5 lat i tego jaki przeżywamy dzisiaj. I wówczas, i dzisiaj, dokonywano wielkich zmian w różnych dziedzinach prawa. Tylko, że wówczas celem tych zmian było osiągnięcie



stanu zgodności między prawem a społecznym przekonaniem o tym, co słuszne, dobre i sprawiedliwe. Dzisiejsze zmiany mają na celu stworzenie bezlitosnego systemu ucisku, narzędzia przy pomocy którego społeczeństwo ma być utrzymywane w ry-  
zach posłuszeństwa wobec aparatu władzy.

- Kiedy było normalnie: wtedy czy dziś?

- Wiele rzeczy normalnych w tamtym czasie, normalnych w każdym demokratycznym państwie, stało się dziś nielegalne. Nielegalne są pisma autentycznego ruchu związkowego, nielegalne książki, pisane w Polsce o sprawach ważnych dla Polaków, nielegalne są wydawnictwa, które je wydają, nielegalny jest ich kolportaż. Nielegalne są manifestacje wyrażające autentyczną wolę społeczeństwa, nielegalne są procesy przeciw zamachom na prawa pracownicze, na warunki pracy, na poziom życia ludzi pracy. Nielegalne są strajki i wezwania do strajków. Nawet złożenie podpisu pod listem protestacyjnym skierowanym do władz grozi represjami.

- Do nowego języka politycznego weszło słowo używane powszechnie w każdym normalnym porządku publicznym: opozycja. Choć opatrywane epitetami i cudzymi słowami nazywa się w końcu - po czterdziestu latach - zjawisko, które trudno uważać za nieistniejące.

- Stan wojenny zapełnił więzienia ludźmi, którzy / w przeważającej większości / niewiele mieli wspólnego przed Sierpniem z opozycją antystrojową. To władza zrobiła z nich opozycję i robi nadal - przez odebranie nadziei na Polskę, w której Polacy będą mogli czuć się gospodarzami, przez więzienie tych, którzy ośmielają się upominać o prawa obywatelskie, o prawa związkowe, o prawa ludzkie, o prawa narodowe. Nie sposób w kategoriach moralnych, w kategoriach dobra i zła pojąć także tych nowych "zamknięć" - Frasyńnika, Lisa, Michnika, Sreniowskiego i Moczulskiego i tych ponad 200 innych ludzi, którzy od amnestii 1984 roku trafili do aresztów i więzień. A liczba ta przecież rośnie. Więzień polityczny to już nie ewenement. Zjawiskiem "normalnym" są też pozaprawne represje w stosunku do działaczy "Solidarności". Ilu z nich pozwolono pracować w tym samym zakładzie? Ilu nadal nie może znaleźć pracy?

- Czym był okres "Solidarności" i jak rzutuje on na czas dzisiejszy?

- Lata 1980-1981 to okres wielkich nadziei na reformę wszelkich dziedzin życia społecznego. Nadziei i oczekiwań tak wielkich, że gen. Jaruzelski wprowadzając stan wojenny, nadal czuł konieczność składania deklaracji, że będą dokonane. I jego ekipa przez pewien czas wykonywała gesty, które miały przekonać społeczeństwo o szczerości tej deklaracji. Już w stanie wojennym lub wkrótce po jego zakończeniu przyjęto szereg ustaw, których projekty powstały w znacznej mierze przed 13 grudnia, np. ustawę o szkolnictwie wyższym, ustawę o adwokaturze. Potwierdzono zasadę pluralizmu związkowego. Kontynuowano prace nad liberalną reformą prawa karnego. Zaczęto wdrażać reformę gospodarczą. Rychło okazało się - a w tym roku proces ten szczególnie przybrał na sile - że władza nie może ścierpieć żadnych ograniczeń swej władzy i oto świeżo uchwalone ustawy znalazły się pod młotkiem "nowelizacji". A wszystkie z tych ustawowych praw.

- Władze jednak ciągle szczycą się dokonanymi reformami i stale deklarują chęć dalszego reformowania systemu.

- Los reformy gospodarczej stanowi szczególnie dowód na to, że bez nacisku społecznego, bez zinstytucjonalizowanej formy tego nacisku, władza nie jest w stanie dokonać nawet tego, co wydaje się leżeć w jej interesie. Reforma zatrzymała się tam, gdzie powinna była się zacząć: w tym roku ostatecznie zrezygnowano z zamiaru reformy centrum gospodarczego. Pozostawiono wolne pole dla działania tradycyjnych grup nacisku, dla inercji w administracyjnym myśleniu i działaniu. Oferuje się społeczeństwu warianty planu gospodarczego - nie informując go, że podstawowe rzeczy, decydujące w znacznej mierze o obecnych i przyszłych procesach gospodarczych, o strukturze gospodarczej - już przesądzono. Przesądzono w przyjętym programie rozwoju hutnictwa i programie energetycznym. Projektowane nowelizacje ustaw o samorządzie i o związkach zawodowych stanowią kolejną propozycję likwidacji tego, co jest szersze z zamierzonej w latach 1980-1981 reformy pozostało.

Reforma gospodarcza jest dla władzy propozycją zrezygnowania z części bezpośredniej władzy. A władza z żadnego kawałka swej władzy dobrowolnie zrezygnować nie chce. Gospodarki nie da się zreformować deklaracjami o chęci reformowania.

- Istotą lat 1980-1981 był jednak, mimo wszystko, dialog. Trudny, pełen zadrażeń i odkładanej latami nieufności, ale dialog. A dziś?

- W okresie 1980-1981 były dwa kluczowe słowa: reforma i porozumienie. Reforma całościowa - naprawa Rzeczypospolitej, miała się dokonywać w wyniku działań władz państwowych odpowiadających na zapotrzebowanie społeczne. Przytłaczająca większość społeczeństwa - z rozmaitych powodów - nie życzyła sobie, by "Solidarność" obaliła władzę. Żądała, by władza realizowała postulaty społeczeństwa artykułowane i przedstawiane przez "Solidarność". Z uchwał i oświadczeń KKP, a potem KK NSZZ "Solidarność" wynika, że przywódcy związkowi tak właśnie rozumieli wolę swych wyborców. Żądania mogły być wspierane, a nawet musiały być wspierane, siłą Związku - groźbą akcji protestacyjnych. Ale celem tych akcji musiało być jedno: przeprowadzenie przez rząd żądanych reform. Przez rząd, nie przez "Solidarność". Konflikty, i te większe i te mniejsze, miały się rozwiązywać i cały proces naprawy Rzeczypospolitej miał się dokonywać w wyniku porozumienia i a. W wyniku ugody między społeczeństwem a rządem, który /jak doć powszechnie wierzono/ "w gruncie rzeczy" też chce "tego samego". No, może "niektóre betony"...

Stan wojenny spowodował rozejście się dróg rządu i społeczeństwa. Wkroczyliśmy na rozstajne drogi.

Związek, a wraz z nim wolne słowo drukowane, zszedł do podziemia. Kultura narodu rozwija się w "drugim obiegu" - w nielegalnych wydawnictwach, w półlegalnych prelekcjach, wernisażach i spektaklach teatralnych organizowanych w pomieszczeniach kościelnych...

Nie ma dialogu między władzą a społeczeństwem, jak tylko ten, który dokonuje się poprzez ulotki, nielegalne publikacje, nielegalne manifestacje ze strony podziemia, poprzez oświadczenia Wałęsy, Bujaka i innych działaczy "Solidarności" oraz poprzez rozmowy Kościół-państwo.

- Jaka jest więc sytuacja po tych pięciu burzliwych latach? Sytuacja władzy, społeczeństwa. Wszystkich.

- Nie jest to w sumie sytuacja zdrowa. Ale czy możliwa jest inna, gdy władze wprawdzie mówią "porozumienie", ale z dążań ich wynika, że nie o porozumienie im chodzi, a o polityczne posłuszeństwo. A to jest dla społeczeństwa nie do przyjęcia. Symbolem rozmowy Polaka z Polakiem nie może być "rozmowa" Piotrowskiego z Popiełuszką.

Rozmawiał: Adam Sarna

## Czas płynie w naszą stronę

Rozmowa ze Stefanem Bratkovskim

- Co uważasz za zysk społeczny minionego pięćdziesięciu lat i jakie są w tym poczucie największe straty?

- Strata: jest stworzenie tak głębokiego podziału społecznego między aparatem władzy a społeczeństwem. Aparat władzy przestał się czuć odpowiedzialny za społeczeństwo, przestał kierować się jakimikolwiek nakazami natury patriotycznej i stał się tak egoistyczny, jak nigdy przedtem, mimo że przedtem bardziej korzystał ze swojej pozycji uprzywilejowania. Co więcej, podział ten udaremnia wszelkie konstruktywne rozmowy, a jest rzeczą jasną, że żyjąc w jednym kraju obie strony przynajmniej powinny rozmawiać, choćby poprzez nieoficjalne kontakty.

- Takich kontaktów nie ma?

- Otóż nie ma, choć oczywiście kanały takich nieoficjalnych kontaktów są otwarte i ze strony społecznej taka oferta rozmów ciągle istnieje.

- Dlaczego tak się dzieje?

- Bo strach przed wywłaszczeniem, przed utratą pozycji i urazy psychologiczne w tej ekipie rządzącej są tak głębokie, że praktycznie paraliżują całość aparatu władzy. Wcześniej czuł się on w jakiś sposób odpowiedzialny za kraj, w tej chwili już nie czuje tej odpowiedzialności i jakby wróciliśmy do sytuacji z XVIII wieku, kiedy przytłaczająca część warstwy panującej nie była zainteresowana tym, co się w Polsce stanie. I to jest największa strata. Bo choćby zakładając, że to są przeciwnicy, którzy nie chcą dopuścić społeczeństwa do współudziału w decydowaniu, to nawet przy takim podejściu ci ludzie mogliby się starać robić dobrze to, co robią. Tymczasem prób takiego starania nie widać. I to, o co następne pokolenia będą najostrejżej oskarżały gen. Jaruzelskiego i całą jego ekipę, to nie będzie samo pogwałcenie zasad społecznego współżycia, ale brak odpowiedzialności za Polskę, dopuszczenie do dalszej degradacji kraju, bez żadnej perspektywy na uregulowanie tej sytuacji.

- Bez perspektywy? Więc co będzie?

- Rzecz jasna, sytuacja taką regulację wymusi, ale to, że ten aparat jest sam niezdolny do szukania dróg wyjścia powoduje zwiększenie kosztów społecznych "eksperymentu".

Lwecia druga - a nie wartościowałbym tego w kategoriach zysków czy strat, ale zmian natury obiektywnej - że cto zakończył się pewien etap historii. Pewne złudzenia umarły.

- W wyniku Sierpnia?

- I Sierpnia i stanu wojennego. Ta partia - jak powiedział Rakowski na jednym z plenów w czasach solidarnościowych - nie mogła przeżyć trzeciego użycia siły w stosunku do społeczeństwa. I nie przeżyła. Ona jest już martwa i pozostała właściwie zjednoczonym aparatem okupacyjnym. I nie jest to żaden epitet, ale proste stwierdzenie faktu.

- Statusu społecznego.

- Tak. I tego nie da się już odbudować, bo partia kończy się biologicznie, to znaczy praktycznie nie ma następców. Do partii przychodzi element wyjątkowo cyniczny i od razu zdemoralizowany, a dla każdej partii jest to rzecz fatalna, bo jeśli przestają napływać naiwni, uczciwi, to taki organizm musi obumierać... I to jest ten fakt obiektywny, który trzeba odnotować, aby zrozumieć, co stało się w konsekwencji politycznego.

A przede wszystkim stało się to społeczne odkrycie, że o to możemy polegać tylko na sobie. I społeczeństwo uczy się powoli - bo to wcale nie jest proces zakończony - jak się samoorganizować. W czasach "Solidarności" to odkrycie zostało dokonane, że możemy decydować o sobie, ale też nie umieliśmy tego zrobić, nie byliśmy przygotowani do samodzielności, cała szkoła codziennego współdziałania ludzi zanikła, byliśmy zdeintegrowani jako społeczeństwo, jako środowiska społeczne, zawodowe, lokalne i teraz to się stopniowo i powoli odradza. A dzięki tej wielkiej lekcji czasów "Solidarności" społeczeństwo uczy się podmiotowości życia. To jest bardzo ważny proces i - jak wielokrotnie mówiłem - od Sierpnia czas płynie w inną stronę - w naszą stronę... To zresztą jakby odbiera nadzieję i wiarę w siebie stronie drugiej. Aparat jest bardzo silny, ale pozbawiony najzupełniej wiary w przyszłość.

Natomiast, mówiąc o naszej stronie, jest to sytuacja także nowa i do pełnego zorganizowania się, ponownego wykształcenia wszystkich dawnych umiejętności z XIX i początków XX wieku jest daleko. Na to trzeba i wiedzy i lat doświadczeń, ale to staje się. Przykład ostatniej eksplozji bractw żeńskich i stowarzyszeń wstrzeźliwości świadczy o tym jaki jest społeczny potencjał. I myślę, że jest to dowód, iż czas płynie w naszą stronę.

- I czy my zdążymy w tym czasie? Świat się rozwija...

- W sensie cywilizacyjnym nie tylko zostajemy w miejscu, ale cofamy się. Jesteśmy degradowani coraz bardziej i nawet nie zdajemy sobie w pełni sprawy, jak nasza - w cudzysłowie - cywilizacja oddala się choćby od cywilizacji zachodnioeuropejskiej. To już są drastyczne i dramatyczne różnice. I to, niestety, będzie postępowało dalej. Problem w tym, czy ten odstęp będzie rósł także w mózgach.

- No właśnie...

- Otóż ja myślę, że nie, że społeczeństwo polskie, tak gorzko i boleśnie doświadczane, hartuje się. My się uczymy samoorganizacji, uczymy się pracować, to się przyda... Bo sama technika nie jest takim trudnym do opanowania polem. Na to, aby nadrobić straty w technice wystarczy parę lat. Ważniejsze będzie to, jak jej użyć rozsądnie, jak zorganizować pracę, jak ją wykorzystać społecznie. Wierzę, że to się uca



zrobić, ale tego nie da się zaszczepić, do tego społeczeństwo musi dojrzeć, musi się tego nauczyć. I jesteśmy na początku tego mozolnego, choć w perspektywie owocnego, procesu.

Rozmawiała /es/

## Nie być obojętnym

WYPowiedź JERZEGO PUCIATY

Nie da się precyzyjnie określić czy sprawy, które dziś - po pięciu latach - oceniamy jako zyski lub straty, nie zostaną zweryfikowane w perspektywie historii i z punktu widzenia celu, jakim jest niepodległa i demokratyczna Polska.

Nie wiemy również, kiedy ten cel osiągniemy, czy będzie to sukces naszego czy dopiero następnych pokoleń. A także przez jakie doświadczenia będziemy jeszcze przechodzić. W każdym razie wyraźne uświadomienie sobie, że celem podstawowym jest właśnie wolność i niepodległość, uważam za nieodwołalną zdobycz Sierpnia i całego okresu posierpniowego. No, a im więcej jednostek będzie sądzić podobnie, im więcej ludzi dokona wyboru na rzecz wolności, tym bliższy będzie nasz wspólny cel.

Czasy, w których żyjemy sprzyjają takim wyborom. Dziś nie można być obojętnym politycznie, obojętnym moralnie na to, co dzieje się w kraju, szczególnie, że władza nie daje społeczeństwu żadnych szans, poza pokornym wypełnianiem poleceń... Ja, na przykład, w tym nielogicznym, absurdalnym układzie czuję się jak atrapa i wiem, że wielu ludzi myśli i czuje podobnie. A to z kolei musi prowadzić do podejmowania decyzji, określania standardu podstawowych wartości, a także wyboru takich dróg postępowania, aby przynajmniej hamować tę maszynę, która zagraża społeczeństwu i całemu społecznemu życiu.

Patrząc z tego punktu, uważam również, że na swój sposób korzystne jest obnażanie intencji władzy. Przez długi czas sądziliśmy, że droga negocjacji i porozumienia jest możliwa. Ten czas jest już za nami, a więc konieczny jest wybór innych dróg, nowych metod postępowania, tworzenie społeczeństwa samostanowiącego o sobie i szukającego innej organizacji życia niż ta, którą próbuje narzucić i instytucjonalizować władza. W konsekwencji - tak przygotowane społeczeństwo będzie potrafiło tworzyć prawdziwe i niezależne od władzy życie kulturalne, ekonomiczne. W sumie przygotowuje to nas do demokracji, zbliża do celu.

Idąc dalej tym tokiem rozumowania uważam, że również stan wojenny, mimo całego zła, które przyniósł, wydał zgoła niezamierzone owoce. Otóż, przede wszystkim, "Solidarność" oczyściła się z tych ludzi, którzy widzieli w niej tylko interes lub drogę do kariery. Po drugie, zaczęła się "czas pokory". Gdybyśmy wówczas, w okresie 16 miesięcy, doprowadzili w Polsce do zmian systemowych, pogrzebalibyśmy się na wiele lat, ponieważ ludzie nie byli do demokratycznych metod funkcjonowania społecznego gotowi, a Związek karykaturalnie wykazywał wiele cech działania i stylu władzy. Był to syndrom bardzo niebezpieczny...

Nie chciałbym się rozwódzić nad stratami wynikającymi z okresu pogrudniowego, bo znamy je wszyscy. Mówiąc najkrócej - degradacja ekonomiczna, ekologiczna, społeczna; stratyfikacja społeczna, podziały często dramatyczne - w obrębie rodzin i środowisk; śmierć ludzi, strata najboleśniejsza, poczawszy od górników z "Wujka" a kończąc na ks. Jerzym; apatia społeczna, niepewność jutra - zarówno w kategoriach ekonomicznych, jak i życia w ogóle; zablokowanie wszelkiej aktywności społecznej przez ustawodawstwo skierowane przeciw społeczeństwu. Władza stworzyła system odwróconych pojęć i wartości, doprowadziła do obniżenia społecznego nastroju do przegu apatii, ale patrząc z innej strony, jest to moment zagrożenia dla niej samej.

Rodzi się wrażenie, iż władza nie bierze pod uwagę zdolności regeneracji społeczeństwa i zachowań, które wyzwalają się w sytuacjach krańcowych, kiedy ludzie dochodzą do wniosku, że dalej tak żyć nie można. Widzę symptomy takich postaw, które są bądź obronnymi, bądź niezależnymi. Przede wszystkim - jak wspominałem - dokonywanie wyboru i utrwalanie swoich postaw. Powiększanie swojej wiedzy na tematy ekonomiczne, polityczne, historyczne /ludzie więcej czytają, uczestniczą w wykładach, wszechnicach, np. robotniczych itp./. Wyrażną jest radykalizacja młodzieży, nie tylko werbalna. Większość ludzi młodych szuka, co jest zupełnie naturalne, niezależnego sposobu działania. Tworzą się nowe związki międzyludzkie, międzyśrodowiskowe, oparte nie jak kiedyś o środowiska zawodowe, "branżowe", ale o wspólnotę poglądów, o związek duchowy.

Obserwuję to również w środowisku plastycznym. Rozwiązanie ZEPAP rozbiło naszą "rodzinę" i wypracowany przez lata system funkcjonowania. Oczywiście, część ludzi stała się z tego powodu bezradna i samotna. Część weszła do związków utworzonych przez władzę. Ale znaczna część twórców połączyła się w nowe grupy, wyszła do społeczeństwa, znalazła inną formę upowszechniania kultury, zaproponowała nowe formy jej przeżywania. Powstał prawdziwie społeczny ruch kulturalny skupiający się wokół Kościoła i tworzony przez twórców różnych dyscyplin. Można zatem powiedzieć, że twórcy wyszli ze środowiskowych gett, że poszli do odbiorców, do społeczeństwa, co jest wartością samą w sobie.

Obserwuję, że w trakcie tych spotkań twórców i publiczności w sferze religii i kultury rodzą się w kulturze nowe wartości, powraca jej podmiotowa rola, której kryzys istniał do niedawna w Polsce, i której kryzys trwa dalej na świecie. Ta zdolność regeneracji również wydaje mi się elementem optymistycznym i dobrze rokującym na przyszłość.

Notowała /es/

Andrzej Julicki

"Tworzy się organizacja zawodowa pod nazwą: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy "Solidarność", zwany dalej Związkiem. Związek, stosownie do zasad wyrażonych w Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w ratyfikowanej przez Polską Rzeczpospolitą Ludową Konwencji nr 87 i nr 98 Międzynarodowej Organizacji Pracy oraz w części 1 pkt 1-7 porozumienia zawartego przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z Komisją Rządową w Gdańsku..., rozwijać będzie działalność w zakresie obrony interesów pracowników, realizacji ich potrzeb materialnych, społecznych i kulturalnych".

Tak brzmi wstęp do statutu NSZZ "Solidarność", który po wielu dyskusjach i wyraźnych szykanach ze strony władz, został wreszcie zarejestrowany w listopadzie 1980 roku. Była to jakby "pierwsza runda meczu rewanżowego". Poprzedni sromotnie przegrała władza.

Następną rundą był epór o wolne soboty; aczkolwiek zapis w Porozumieniach z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia nie pozostawiał żadnych wątpliwości, władze próbowały wycofać się z przyjętych na siebie zobowiązań.

Potem zwłoczono z podwyżkami płac dla poszczególnych grup zawodowych, odmawiano współpracy z nowymi związkami zawodowymi na terenie niektórych zakładów produkcyjnych, zwłaszcza małych i w małych miejscowościach, i tak dalej...

Nie jest wszakże moim zamiarem pisanie szczegółowej kroniki trudnych początków "Solidarności". Pragnę natomiast tu podkreślić z całym przekonaniem, iż rola masowego ruchu społecznego, występującego z rewindykacyjnymi żądaniem również w s f e r z e p o z a e k o n o m i c z n e j została "Solidarności", w pewnym sensie, n a r z u c o n a, gdyż machina administracyjna praktycznie nie funkcjonowała, zaś aparat partyjny uprawiał obstrukcję. A tymczasem była to r e w o l u c j a, która trwa.

Nowa klasa partyjnych biurokratów, która doprowadziła w latach siedemdziesiątych kraj do kryzysu gospodarczego, najdotkliwszego ze wszystkich poprzednich, rozpaczliwie broniła swoich pozycji i swoich klasowych przywilejów. Ta nowa klasa nie potrzebowała ani "Solidarności", ani też żadnej reformy!

"Reforma, o ile ma się udać, musi być szybka, głęboka i rzetelna" - stwierdził doc. dr hab. Stefan Kurowski, jeden z czołowych ekspertów "Solidarności", człowiek, który walczył o reformę gospodarczą jeszcze w Październiku 1956 r., m.in. na łamach zamkniętego w 1957 r. pisma "Po prostu".

Natomiast rząd, znajdujący się pod silną presją społeczną z jednej strony i zachowawczego /właściwie należałoby powiedzieć: reakcyjnego/ aparatu partyjnego z drugiej, zwłóczył,

kluczył i opóźniał nawet przygotowanie "Raportu o stanie gospodarki", który ukazał się dopiero w czerwcu 1981 r. Z kolei "Rządowy program przezwyciężenia kryzysu oraz stabilizowania gospodarki kraju" /lipiec 1981 r./ przypominają liczne, znane z przeszłości dokumenty partyjne, które cechowała przede wszystkim ogólnikowość, nowomowa i niczym nie zachwiany optymizm. Dewaluacja wielu tez, lansowanych zazwyczaj przez aparat partyjny, mogła jedynie dorównać postępującej dewaluacji złotówki, z tą różnicą, że obietnicami partyjnymi nikt się już nie przejmował, natomiast wartość złotówki malejąc z dnia na dzień, stawała się przyczyną pogłębiającej się, powszechnej troski o dzień dzisiejszy i jutrzejszy.

Władze nie zadały nawet sobie wysiłku, aby odpowiedzieć na bulwersujące opinię publiczną pytanie: g d z i e s i e p o d z i a ł y t e m i l i a r d y ? Dotyczyło ono kredytów zagranicznych, zaciąganych bez żadnej koncepcji docelowej, natomiast w warunkach nasuwających uzasadnione podejrzenia co do rzetelności niektórych prominentów państwowych i partyjnych.

Na łamach "Życia Gospodarczego" próbę analizy tego problemu podjął czołowy publicysta tego tygodnika Andrzej Lubowski, a właściwie niemal cały zespół redakcyjny pisma, który przez czas dłuższy usiłował sforsować mur biurokracji, jawnie zainteresowanej we wszystkim, lecz tylko nie w ujawnieniu chociażby części prawdy. Niewiarygodne wprost, ale prawdziwe, że ni w Komisji Planowania, ni w poszczególnych ministerstwach branżowych nie było k o m p l e t n e j d o k u m e n t a c j i w k w e s t i i k r e d y t ó w i n w e s t y c y j n y c h !

"...w świetle ujawnionych machlojek, szwindli, afer... Z grubsza wiadomo, co robić z aferzystami, mniej jasności mamy w kwestii rozliczeń z tymi, którzy wprawdzie nie kradli w potoczny sposób tego słowa rozumieniu, ale których ignorancja i arogancja kosztowała nas jeszcze więcej". Autor "Życia Gospodarczego" ujawnił, że o ile w latach 1971-1975 ok. 53 proc. wszystkich kredytów wykorzystano na cele inwestycyjne, to w następnej pięciolatce już tylko 27 proc. Z roku na rok wzrastał natomiast import zbóż - z 1 miliarda dolarów w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych do 3,5 miliarda dolarów w drugiej. Lubowski nie wspominał jednak, że rosnący import zboża i pasz przeznaczony był p r z e d e w s y s t - k i m dla państwowych gospodarstw rolnych i spółdzielni produkcyjnych. Innymi słowami, społeczeństwo ponosiło koszty "błędów doktrynalnych", które w istocie nie były błędami, lecz z a ł o ż e n i e m uprawianej polityki rolnej.

Z drugiej strony ok. 30 proc. kredytów w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych i ok. 60 proc. w drugiej, przeznaczono na zakupy surowców i półfabrykatów, podzespołów, części zamiennych itp. Zakupiono, co prawda, 450 licencji zagranicznych, lecz ok. 10 proc. stanowiły rozwiązania r ó w - n o r z ę d n e do tych, które opracowano w kraju. Blisko połowa wdrożonych licencji /nie wszystkie bowiem zakupione licencje doczekały się wdrożenia/ nie osiągnęła projektowanych zdolności wytwórczych. Natomiast produkcja licencyjna przyczyniła się do rosnącej importochłonności całej gospodarki.

"Ile z zaciągniętych kredytów - czytamy na łamach "Życia Gospodarczego" - tkwi w obiektach nie za-



kończonych, ile poniewiera się na setkach, jeśli nie tysiącach rozgrzebanych placów budów? Jeśli mówimy o 800 miliardach złotych zamrożonych nakładów inwestycyjnych, to pamiętajmy, że składają się na to także niebagatelne wydatki dewizowe. Na niejednej budowie można bez trudu obejrzeć, jak cząstka naszego zadłużenia w postaci importowanego urządzenia spokojnie rdzewieje".

## "MÓWIŁY O JAPONII, A TWORZYMY BANGLADESZ"

- powiedział w pewnym momencie, po Sierpniu 1980 r., Ryszard Reiff, znany działacz katolicki. Występuje u nas b e z w ł a d z a - stwierdził on. - Ci, którzy rządzą, nie mają władzy, a ci którzy mają władzę, nie rządzą. Niemal wszystkie decyzje istotne dla narodu i państwa podejmują ci, którzy nie odpowiadają za ich realizację. Kogo reprezentuje partia? Klasę robotniczą czy doktrynę, która kłóci się z odczuciem klasy robotniczej i z tradycją narodu polskiego?

Wybiegając nieco naprzód godzi się przypomnieć, że poseł Ryszard Reiff był j e d y n y m członkiem Rady Państwa, który odmówił zaakceptowania decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego.

Sytuacja Polski stawała się niemal z dnia na dzień wręcz dramatyczna. I to nie dlatego, że raz po raz wybuchały spontaniczne strajki na tle lokalnych konfliktów bądź zatargów z dyrekcjami przedsiębiorstw /są podstawy, aby sądzić, że nie jeden konflikt był zwyczajnie prowokowany przez biurokrację partyjną/, lecz z tego powodu, iż władze nie pragnęły żadnych reform i unikały odpowiedzi na zasadniczej treści pytanie: J a k d o t e g o d o s z ł o ?

W tym kontekście warto, jak się wydaje, przytoczyć kilka fragmentów z opracowania "Społeczeństwo wobec kryzysu", przygotowanego przez konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość". W epoce gierkowskiej działało ono w warunkach półlegalnych, przestrzegając konsekwentnie aparat władzy przed naciągającym niebezpieczeństwem. W konwersatorium działali wybitni naukowcy, dziennikarze i twórcy, nazwiska których nigdy nie zostały podane oficjalnie do publicznej wiadomości.

"Zachowania społeczeństwa jako całości mogą być rozpatrywane tylko w kategoriach spożycia, tj. konsumpcji, ponieważ w procesach produkcji każda grupa społeczna i klasa uczestniczy inaczej. Cel naszego społeczeństwa jako kręgu spożywców można sformułować obecnie następująco: przeciwdziałanie dalszemu wzrostowi różnicy między podażą /wartość tego, co można kupić/ a popytem /wartością posiadanych pieniędzy/, za które można kupić/, ponieważ dalszy wzrost tej różnicy może wywołać niekontrolowany wzrost cen".

Zwracając uwagę na postępujący spadek produkcji i rozkręcająca się spiralę inflacji, autorzy opracowania postulowali wprowadzenie systemu racjonowania podstawowych artykułów spożywczych w warunkach s a m o o r g a n i z a c j i s p o ł e c z e ń s t w a i ś c i s ł e j k o n t r o l i aparatu władzy, zwłaszcza w dziedzinie cen.

"Bieg wydarzeń po Sierpniu, wielokroć dramatyczny i pełen napięć, pozwala jednak przypuszczać, że mimo utrudnień i szykan nowe związki zawodowe ugruntują w ciągu najbliższych miesięcy swoją pozycję".

I dalej:

"Jednakże obok problemu rozwoju nowych związków zawodowych, przed robotnikami, kadrą techniczną i dyrektorami polskich przedsiębiorstw przemysłowych staje nowy problem - przeciwdziałanie, a następnie przezwyciężenie katastrofy gospodarki polskiej. Trudność tego problemu polega na tym, że po pierwsze - ani władze partyjne, ani państwowe, ani władze gospodarki nie mają skryształizowanego programu w tym zakresie, a powołana przez nie komisja reformy gospodarczej nie widzi szansy prędkiego jej wprowadzenia; po drugie - początkiem wszelkiego sensownego programu będzie musiała być zasadnicza reorganizacja centralnego układu kierowania gospodarką...".

Autorzy proponowali /jako rozwiązanie przejściowe/ "prze-trwanie firmy" i przygotowywanie przedsiębiorstw przemysłowych do reformy. W tym celu sugerowali oni utworzenie w przedsiębiorstwach rady nadzorczej, składającej się z reprezentantów dyrekcji, związków zawodowych i rad pracowniczych, a następnie dokonanie analizy działalności przedsiębiorstwa w przeszłości w zakresie organizacji, kosztów, cen, zatrudnienia itp.

Zwracając się w stronę wsi, autorzy podkreślali, że:

"rolnictwo nie otrzymuje dla swojej produkcji artykułów przemysłowych, poczynając od maszyn i narzędzi, a kończąc na paszach i nawozach. Równocześnie monopolistyczny system skupu czyni rolniczym dostawcą lekceważonym petentem, bezradnym nadomiar wobec machinacji pracowników aparatu skupu".

"Miasto musi pilnować i wartość pieniądza, żeby wieś chciała go mieć!" - stwierdzali.

Postulowali również samoorganizację wsi do czasu uzyskania samorządu wiejskiego. Eksperci rolni z zespołu DiF-u uważali, że istnieją wszelkie racjonalne przesłanki, aby w ciągu pięciu lat osiągnąć samowystarczalność żywnościową Polski.

Należy dodać, że w tym czasie trwała uporczywa walka o rejestrację "Solidarności Wiejskiej", czemu stanowczo sprzeciwiały się władze partyjne, które utraciwszy kontrolę nad przedsiębiorstwem i przemysłem, zaczynały tracić grunt pod nogami także na wsi.

Nikt nie liczył w Polsce na cud gospodarczy. Mówienie /m.in. Lecha Wałęsy/ o "drugiej Japonii" było po części re-toryką, po części zaś chwytem psychologicznym wobec społeczeństwa, które nie z własnej winy znalazło się rzeczywiście w sytuacji mieszkańców Bangladeszu. Wszyscy byli w pełni świadomi, że władze grają na czas i potęgują napięcia, aby skompromitować tak samą ideę odnowy, jak i zmistyfikować reformę gospodarczą, której wówczas nie było jeszcze nawet w zarysie.

## DYLEMATY "SOLIDARNOŚCI"

Na posiedzeniu krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ "Solidarność" w lipcu 1981 r., sekretarz Komisji, Andrzej Celiński, zwrócił uwagę na niebezpieczeństwa, w obliczu których znalazł się Związek, a przede wszystkim kraj: "Ja nie widzę programu ani po stronie rządowej, ani po stronie "Solidarności".

Radca gospodarczy Regionu "Mazowsze", Szymon Jakubowicz, wystąpił na wspomnianym posiedzeniu z pewnymi propozycjami dotyczącymi samorządu robotniczego w zakładach produkcyjnych. Za centralny punkt przyszłej ustawy o samorządzie, którą miał uchwalić Sejm, lecz nad projektem której trwały spory "Solidarności" z władzami, ekspert uznał problem: kto ma mieć władzę w przedsiębiorstwie - kto ma powoływać i odwoływać dyrektora. Uważał on zarazem, że jest to również i s t o t a reformy gospodarczej...

"Jeżeli mówimy o walce o reformę gospodarczą, to według mnie najlepszym instrumentem walki dla Związku jest walka o autentyczny samorząd, jako że autentyczny samorząd od razu określa charakter tej reformy /.../ Związek powinien forsować społeczny ruch na rzecz reformy gospodarczej poprzez przede wszystkim samorządy pracownicze, rady pracownicze, które staną się najważniejszym elementem społecznego parcia na reformę gospodarczą".

Większość przywódców i ekspertów "Solidarności" zdawała sobie sprawę, że przyszłość odnowy, losy reformy, a więc i wyprowadzenie Polski z głębokiego kryzysu społeczno-gospodarczego, zależą od pr z e j ę c i a k o n t r o l i n a d p r z e d s i ę b i o r s t w e m. Podwójna struktura zarządzania, czyli administracji /teoretycznie odpowiadającej za swoje decyzje/ i aparatu partyjnego, sprawującego faktyczne rządy, ale nie ponoszącego ż a d n e j odpowiedzialności prawnej czy konstytucyjnej, powodowała niską efektywność, marnotrawstwo oraz konflikty społeczne.

Daleko posunięty d y f u z j o n i z m, a więc wzajemne przenikanie się tych struktur, układy personalne, które i wręcz mafie, zdyskredytowały system, którego praktyka była jawnym zaprzeczeniem głoszonych zasad ustrojowych.

Jest rzeczą zrozumiałą, że biurokracja /tak partyjna, jak i państwowa/ - dodajmy na ogół niekompetentna i pazerna na wszelkiego rodzaju przywileje, a w znacznej części wyczerpanie skrupupowana - zarzucała "Solidarności" a n a r c h o - b y n d y k a l i z m oraz dążenie do ustanowienia w ekonomice kraju "własności grupowej", mającej jakoby zastąpić "własność społeczną", której orędownikiem i obrońcą jest właśnie... biurokracja!

"... Jeśli przedsiębiorstwo ma być zarządzane na drodze nakazów i rozdzielników, a sterowane środkami ekonomicznymi, to mianowanie i odwoływanie dyrektorów przez władze nadrzędne jest w ogóle do zarządzania przedsiębiorstwem przez centrale niepotrzebne..."

- twierdził Karol Modzelewski, dawny opozycjonista z czasów Gomułki i Olszka, jeden z czołowych działaczy "Solidarności".

Trzeba przypomnieć, że rola przedsiębiorstwa w układzie funkcjonalnym gospodarki socjalistycznej od zwycięstwa rewolucji w Rosji, należała do dylematów nierozstrzygniętych ani przez teorię, ani przez praktykę. Z drugiej zaś strony, doświadczenie tak ZSRR, jak i innych krajów socjalistycznych /z wyjątkiem Jugosławii/, dostarcza absolutnie niepodważalnych dowodów na istnienie permanentnego konfliktu pomiędzy biurokracją /zwłaszcza partyjną/ a klasą robotniczą. Polem tego konfliktu było zawsze przedsiębiorstwo, a podstawowym problemem - przedstawicielstwo robotnicze w tymże przedsiębiorstwie. Przecież wielka dyskusja, a następnie rozprawa z tzw. robotniczą opozycją na X Zjeździe WKP/b/ w 1921 r. stanowi najbardziej wymowną ilustrację tej tezy. Idea "ogólnokrajowego zjazdu wytwórców" - jako najwyższego organu gospodarczego - powstała właśnie tam i tam została uśmiercona...

/cdn./

Andrzej Julicki



Nie ulega wątpliwości, że czas powszechnego bojkotu, a nawet tylko bojkotu ze strony tych, którzy uważają się za mniej lub bardziej aktywnych opozycjonistów, dobiega końca. Czas jest nieubłagany i trudno przez całe, nie wiadomo jak długie jeszcze lata, trwać w postawie totalnej odmowy. Życie społeczne ma swoje prawa i coraz dotkliwiej dają one znać o sobie. Nie oznacza to, rzecz jasna, że nadszedł czas aktywnej współpracy społeczeństwa z komunistyczną władzą, ale na pewno coraz pilniejsza staje się potrzeba odpowiedzi na nurtujące wielu z nas pytania: jak zaspokoić potrzeby społeczne i ekonomiczne Polaków, a nie wspierać niechcianej władzy; jak zachować sens własnej pracy, a nie "służyć czerwonomu"; co jest słusznym protestem przeciw pasożytniczemu, niekontrolowanemu przez nas instytucjom, a co jest konieczne i autentycznie służy społeczeństwu? Sądzimy, że brak jasności w tych kwestiach - a nie tylko strach, czy zwykła prywata - skłoniły wielu do wzięcia udziału w paździerzniowej farsie wyborczej. Jest w tym, oczywiście, niemała wina przywódczych struktur podziemnych, jest tu i wina pozostających od wielu miesięcy na swobodzie członków kierownictwa "Solidarności", które - na co powszechnie w swoim czasie oczekiwano - nie sformułowały spośród siebie żadnego ciała opiniotwórczego o niekwestionowanym autorytecie politycznym i moralnym. Nie chodzi tu o to, aby kogokolwiek oskarżać; dlaczego tak się stało - jest to osobne zagadnienie. Niemniej, pewne jest, że dzięki temu przeciwnik zyskał wiele terenu, że stał się pewniejszy siebie i jeszcze bardziej bezczelny.

Toteż dobrze się dzieje, że wreszcie problemy te coraz częściej trafiają na łamy prasy niezależnej. Między innymi podnosi je od pewnego już czasu Grupa Publicystów Politycznych, są obecne w specjalnie do tego celu powołanym piśmie Grup Politycznych "Wola" pt. "Naprzód", przewijają się w niektórych wystąpieniach Stefana Bratkowskiego /by wspomnieć choćby publikowany na naszych łamach, w numerze 2, artykuł "Sinusoida"/.

Dobrze, że dostrzega je również emigracyjna prasa "Solidarności", o czym świadczy publikowany poniżej wielce interesujący szkic Kazimierza Iranaka, który ukazał się na łamach paryskiego "Kontaktu". Szczególnie ciekawa - i bliska naszym ocenom - jest dokonana przez autora analiza aktualnej sytuacji społecznej i moralnej w naszym kraju; warta też jest rozważenia i przedyskutowania koncepcja zaprezentowana przez autora w końcowej części jego rozważań.

Redakcja

# Moralność i polityka

Sytuacja społeczna w Polsce jest obecnie wyznaczana nie tyle poczuciem klęski, ile przeżyciem zeszmacającego zniewolenia. Stwierdzenie to może wyglądać na paradoks, bo przecież nieugiętość i wyrazistość moralnego protestu - "nie", jakie powiedział generałowi Jaruzelskiemu praktycznie całe polskie społeczeństwo, wzbudziło podziw ludzi na całym świecie. Mimo zniewolenia - dochowanie wierności sobie, zachowanie godności. "Normalizacji" nie udało się w Polsce zaprowadzić.

A jednak, socjologicznie rzecz biorąc, ostrość i wyrazistość moralnego układu odniesienia jako praktycznie jedynej płaszczyzny autentycznego życia społecznego może prowadzić - na dłuższą metę - również do skutków negatywnych. Nie chodzi tu bynajmniej o "zmęczenie trwaniem w oporze". To inna sprawa. Chodzi o to, że reakcja, która jest słuszną obroną i ochroną tkanki społecznej, bez której człowiek jest bezbronny, w pewnym momencie stać się może czymś szkodliwym.

Spółeczeństwo zastygło w moralnym oburzeniu, w moralnym oporze przeciwko zmilitaryzowanemu państwu rządzonemu przez komunistów - oto najprostsza diagnoza sytuacji. Słowo "zastygło" nie oznacza bezruchu. Aktywność, którą rozwijają ludzie drukując gazetki i książki, kolportując je, dostarczając informacji itp. - jest bardzo duża, choć znacznie spada w porównaniu z rokiem 1982 czy 1983. Lecz i tak to, co się składa na reakcję moralnego oburzenia, jest zjawiskiem na niezwyklej skalę. Reakcja ta jest zresztą najprostszym i najcenniejszym mechanizmem obronnym.

Ład moralny, przy którym się trwa, staje się autentyczną podstawą więzi społecznej. Ideał moralny stał się strukturą łączącą ludzi ze sobą, niezależnie od wszechogarniającej struktury instytucji, które kontroluje partia - państwo. Jest to wyraz niezależności społeczeństwa - wspólnoty kulturowej wobec o b c e j struktury organizacyjnej.

Taka reakcja jest również skuteczna z punktu widzenia życiowych interesów ludzi. Stanowi bowiem bazę bardzo silnego nacisku na aparat władzy i instytucje społeczne. Nacisk ten działa nawet bez szczególnych gestów protestu i buntu. Pozytywne tego skutki dało się doświadczyć niejednokrotnie w czasie trwania stanu wojennego.

X X X

Władze spontanicznie brały pod uwagę tę moralną presję, ustępując lub łagodząc szereg decyzji, głównie w sferze ekonomicznej, ale nie tylko. Moralne samozorganizowanie się społeczeństwa w wieloraki sposób sprzyja rzeczywistym interesom ludzi. Stanowi coś w rodzaju ochronnej poduszki. Presja moralna działa bowiem na pracowników państwowych instytucji /czyli niemal wszystkich instytucji w Polsce/ i powstrzymuje ich przed wykonywaniem albo wykonywaniem stanowczym poleceń z góry. Ska-

la nieposłuszeństwa administracji państwowej jest uderzająco duża i większa niż kiedykolwiek dotąd.

W Polsce zawsze mieliśmy do czynienia z jakimś nieposłuszeństwem i oporem administracji. Teraz jednak układa się on w system działań, które kierują się w jedną stronę, w kierunku zaspokojenia najelementarniejszych potrzeb i praw ludzi. Dzięki temu zresztą w pewnym stopniu powstrzymywana jest dewastacja życia społecznego i duchowego. Dewastacja, która niestety następuje nieustannie. Obejmuje wszystkie dziedziny życia. Najbardziej rzuca się w oczy w dziedzinie materialnej i życia kulturalnego.

Wspomniany opór administracji polega na takim działaniu w ramach instytucji, aby zaspokoić minimum życiowych potrzeb ludzi. Tym samym urzędnicy używają instytucji do celów, którym - zgodnie ze zdrowym rozsądkiem - powinny one służyć. Starają się oni tak postępować, by ulżyć i dopomóc swym klientom, właściwie niezależnie lub zgoła na przekór instrukcjom, ustaleniom, normom prawnym. Takie działanie, rzecz jasna, możliwe jest jednakże w ograniczonym zakresie. Struktura biurokracji nie dopuszcza samowoli urzędników. Nieposłuszeństwo jest więc zawsze ograniczone i musi być ukryte przed zwierzchnikami. Chciałbym podkreślić, że te działania, które socjologowie nazywają dysfunkcjonalnymi, są motywowane dobrze rozpoznanymi życiowymi potrzebami społecznymi. Mamy do czynienia z paradoksalną socjologicznie sytuacją: właśnie pewnego typu dysfunkcjonalność instytucji służy zaspokajaniu potrzeb ludzi.

Dostosowanie - poprzez nieposłuszeństwo wobec zwierzchników - działania instytucji do spełniania najważniejszych wymogów życiowych ludzi, w dużym stopniu jest możliwe dzięki jasnemu i pryncypialnemu ideałowi moralnemu. Niezwykle wyraźna i obłożona moralnymi sankcjami postawa wskazuje właściwe kierunki postępowania poszczególnym ludziom. Dzieje się tak jednakże w odniesieniu do pracowników własnej instytucji lub osób jakoś z nią związanych. Wykorzystuje się, na ile tylko jest to możliwe, działania w ramach instytucji, aby zabezpieczyć interesy i potrzeby życiowe tych, którzy są wewnątrz. Księgowa, całkiem spontanicznie, stara się tak manipulować rachunkowością, aby wygospodarować pieniądze dla potrzebujących, kierownicy starają się zaspokoić różne interesy pracownicze niezależnie od ostrych zarządzeń z góry itd. Regulatorem tej trzaski o zaspokojenie choćby minimalnych i podstawowych potrzeb jest właśnie nacisk wyraźnych ideałów moralnych.

X X X

Jednakże osobliwość sytuacji polega nie na tym biernym oporze administracji, który zapewnia pracownikom poszczególnych instytucji minimum bezpieczeństwa, a sumując się - prowadzi do zaspokojenia podstawowych potrzeb społecznych. Do tej sytuacji zresztą ludzie w Polsce /a zapewne i w innych krajach podbitych przez komunistów/ są przyzwyczajeni.

Rzecz w tym, że ostre działanie norm moralnych prowadzi do innych jeszcze skutków, które - aczkolwiek też już wcześniej występowały - nie miały takiego nateżenia. Otóż, jakkolwiek czymś zachwycającym był nieustępliwy i konsekwentny opór aktorów /jak i innych grup artystów/ wobec reżimu Jaruzelskiego, ich odmowa uczestnictwa w zakłamanych instytucjach, to jednak manifestacja takiej postawy praktycznie przez

Wszystkie grupy społeczne, prowadzi może do niepożądanych skutków. Sądzę, że w Polsce w tej chwili narasta proces odmowy uczestnictwa w formalnych rolach społecznych. To już nie jest zła praca, ani skłonne "czy się stoi, czy się leży" itp. Jest to spontaniczne odrzucenie reguł postępowania, wy-nikających z pełnienia takiej czy innej formalnej roli zawodowej. Ludzie niejako zapominają, że są w pracy. Że b y - c i e w p r a c y to nie tylko wypełnianie zobowiązań i reguł, narzuconych przez rządzących komunistów, ale również zachowanie reguł i spełnianie pewnych o b o w i ą z - k ó w, które są ważne dla życia wszystkich ludzi w kraju. Zapomina się teraz powszechnie, że wykonując jakąś rolę zawodową - czy to kasjera, czy to konduktora, czy robotnika - bierze się na siebie pewne zobowiązania wobec innych ludzi i że ta praca jest warunkiem zaspokojenia potrzeb społecznych, a nie tylko "służeniem czerwonemu", jak to się teraz mówi potocznie w Polsce. Postawa wycofania się z własnej roli społecznej dowodzi, że ludzie widzą instytucje jako obce, nieautentyczne, n i e n a s z e, i uznają, że głównym celem ich działania nie jest zaspokojenie potrzeb społecznych. To prowadzi do odrzucenia własnej roli zawodowej, a tym samym - przekreślenia sensu własnej pracy.

X X X

Chciałbym możliwie dokładnie sformułować problem, wobec którego stoimy, bo łatwo jest tu o nieporozumienia. Prawdą jest, że system instytucji społecznych jest tak ustawiony, iż zaspokojenie potrzeb społecznych jest dla ich działania celem drugoplanowym. Nie twierdzę, że nieważnym, niemniej jednak nie najważniejszym. Najważniejszym celem dla tych, którzy nimi władają, jest zmuszenie społeczeństwa do zaspokajania wszystkich swych potrzeb wedle reguł narzucanych przez system instytucji i zgodnie z tym obrazem społeczeństwa, którym posługuje się władza partyjno-państwowa. Utwierdzenie swego panowania z jednej strony, z drugiej - wymuszenie posłuszeństwa wobec decyzji centralnych, decyzji władców PRL - to podstawowy cel, narzucony działaniu instytucji. Oczywiście, muszą one działać tak, by minimum potrzeb było zaspokojonych.

Potraktowanie sieci instytucji jako czegoś nieautentycznego, n i e n a s z e g o jest dobrą, potoczną obiektywizacją pewnej cechy systemu. Niemniej jednak, na poziomie życia codziennego, prowadzi to do sytuacji życia niesprzyjających. Uzasadniona odmowa występowania w formalnej roli społecznej powoduje, że zaczyna rozplýwać się granica, oddzielająca to, co jest słusznym protestem przeciw fałszywym i pasywnym instytucjom, od tego minimum działania, które jest konieczne i a u t e n t y c z n i e służy ludziom. Gdy cała praca zostanie potraktowana jako nieautentyczna, jako im służąca, więc godna tylko sabotowania, mamy sytuację, w której potrzeby społeczne nie mogą być zaspokojone w zewnętrznym działaniu instytucji. Życie zbiorowe i indywidualna aktywność pograżają się w marazmie, co jest jednym z przejawów scwletyacji. Oczywiście, poza tą - stosunkowo wąską - sferą możliwego działania na rzecz własnych członków instytucji, przy wykorzystaniu wspomnianego nieposłuszeństwa. Zatem aby żyć, trzeba rozwijać gorączkową aktywność indywidualną. Polega ona na wyszerzywaniu wszystkiego układowi instytucjonalnemu, który przecież - na dodatek - jest posiadaczem niemal wszystkiego. Prowadzi to do wytworzenia się nieforma-



lonego układu porozumień, który jest systemem właściwie korpucyjnym wobec instytucji państwowych. Po drugie, system nie pisanych porozumień między ludźmi, chociaż autentycznie im służy i zachowuje tak wartości materialne, jak i kulturalne, pozostaje jednak w niezgodzie z moralnym ideałem społeczeństwa.

X X X

W latach siedemdziesiątych dużo mówiło się o podwójności życia, o schizofrenii społecznej, dwóch układach odniesienia, które budowały brandysowska nierzeczowość. Teraz układ jest o wiele bardziej skomplikowany. Bardziej zatem zagraża zdrowiu psychicznemu i moralnemu ludzi. Z jednej strony mamy odgraniczenie społeczeństwa od partii-państwa, zbudowane dzięki ideałowi moralnemu i w oparciu o Kościół, jako wyraziciela podstawowej hierarchii wartości moralnych. Sprzyja to więzi społecznej. Jednocześnie skłania do moralnego rygoryzmu, do stosowania wyśrubowanych żądań w życiu codziennym i w ogóle sprzyja czarno-białemu myśleniu o świecie. Skłania to również do odmowy działania w instytucjach i do odrzucania formalnych ról społecznych. Jednakże życie wymaga powołania alternatywnego sposobu działania i zaspokajania potrzeb.

Po stronie niezależnego społeczeństwa wytwarza się pewien luźny układ zaspokajania bieżących potrzeb, na który - formalnie rzecz biorąc - składają się dwuznaczne moralnie działania wobec oficjalnych instytucji. Mamy więc sytuację podwójnie moralnie zagrażającą: z jednej strony jest się nie w porządku wobec instytucji oficjalnych, co grozi represjami, jeśli nawet da się moralnie usprawiedliwić /na ogół tak/. Po drugie jednakże jest się narażonym w obrębie autentycznych więzi społecznych, w ramach niezależnego społeczeństwa, na postępowanie nie całkowicie zgodne z moralnymi normami, które ono głosi. Dzięki którym, co więcej, buduje swoją niezależność. Nagle okazuje się, że jesteśmy w pułapce: z jednej strony oni, z drugiej - nasze własne, szczególnie zaostrome normy. Obrona tych norm, trwanie przy moralnym ideale jest warunkiem przetrwania. Ale w warunkach wydziedziczenia ludzi ze wszystkiego nie dają one wzorów codziennego zachowania. Co więcej, w warunkach konfrontacji społeczeństwa z władzą, normy ulegają coraz większemu zaostreniu, usztywniają się, gdy właśnie potrzeba bogatego wachlarza różnych wariantów postępowania. Sprzyja coraz bardziej autorytaryzmowi, samopotępieniu i wzajemnym oskarżeniom, gdy właśnie wobec swoich trzeba być wyrozumiałym i budować nieustannie więź zagrożoną naciskiem władzy. Coraz mniej zatem przestrzeni do spokojnego namysłu, do sprawdzenia różnych wzorów zachowania, do wypróbowania różnych praktycznych sposobów radzenia sobie z sytuacją i pogodzenia nacisku myślenia normatywnego z codziennymi potrzebami i wymogami życiowymi. Zachodzi bowiem obawa, że każde nasze potknięcie "oni" wykorzystają. Moje praktyczne pytanie jest doniosłe: jak żyć, jeśli robotnik, który ma zrobić remont mieszkania, nie znacznie tego robić dopóty, dopóki nie zostaniemy kumplami; jeśli lekarz, dopóki nie zobaczy w nas kogoś bliskiego lub znajomego kogoś bliskiego, nie będzie nas leczyć; jeżeli kasjerka nie sprzeda nam biletu, dopóki nie wykonamy całego szeregu towarzyskich gestów pod jej adresem jako starszej pani i tak dalej?

Odmowa uczestnictwa w instytucjach i nieutożsamianie się

ze swą rolą zawodową związane jest z podziałem świata na "ich" i "nasz", ludzi na "swoich" i "obcych".

Wykonać moją pracę i zachować godność osobistą mogę tylko wtedy, gdy moje czynności będą na rzecz kogoś "swojego", na rzecz kogoś z nas. Ja jako człowiek - określiam się poprzez udział we wspólnocie moralnej i w więzach społecznych, których nie udało się podporządkować partii-państwu. Jestem sobą zatem w sferze stosunków rodzinno-towarzyskich. Sytuacja odwołuje ludzi od definiowania samych siebie poprzez zawód, wykonywaną pracę, poprzez rolę. Aby więc okazać, że jestem "swoją", muszę się przedstawić jako ktoś bliski. Aby ktoś wykonał efektywnie swój obowiązek, musi nastąpić między nami porozumienie towarzyskie. Bo tylko poprzez znaki właściwe stosunkom towarzyskim między ludźmi można potwierdzić to, że się jest z "nami", że się jest "swoim".

W tej sytuacji narażony jestem na słuszne zarzuty, że nie wykonuję swojej roli zawodowej tak, jak powinienem. Nie robię tak, bo nie chcę "im" służyć. Oznacza to utratę poczucia sensu własnej pracy, poza momentami, kiedy mogę coś zrobić dla "swoich". Wtedy staję jednak wobec własnych ideałów moralnych, wobec społecznego, "wysrubowanego" moralnego zobowiązania: nakazu uczciwości. I czuję się nie w porządku. Jak żyć, skoro ze wszystkich stron okazuje się, że jestem nie w p o r z ą d k u, bo nie mogę spełnić formalnych kryteriów roli społecznej, ani moralnych kryteriów społecznych.

To bardzo przytłacza duchowo, obciąża człowieka na wiele sposobów. Wydaje mi się, że jest to podstawowy czynnik, kształtujący obecnie życie ludzi w Polsce.

X X X

Nie są to abstrakcje. Dotyczą spraw nader konkretnych. Z jednej strony uciążliwość życia codziennego, która pomnaża się poprzez odmowę wykonywania ról. Odmowa jednakże jest czymś cennym moralnie i uzasadnionym. Powyższy dylemat dotyczy również sfery materialnej. Ot, choćby taki dylemat, jak na lewo załatwiane materiały i różne kombinacje, absolutnie k o n i e c z n e, żeby zbudować kościoły... W Polsce buduje się w tej chwili bardzo dużo kościołów i problem jest już czymś statystycznie istotnym. Ukazuje on stary dylemat w nowym, stężonym stopniu. Co to znaczy b y ć u c z c i - w y m w systemie gospodarki komunistycznej, gdy wiadomo, że jedynie dzięki korupcji wobec oficjalnych instytucji możliwe jest zaspokojenie realnych potrzeb społecznych? Sprawa jest niezwykle doniosła. Komuniści - moim zdaniem bardzo skutecznie - manipulowali moralnym potępieniem działań niezbędnych do życia. Duża część starszej inteligencji w Polsce /zwłaszcza intelektualistów z pokolenia październikowego/ ciągle na tę stronę propagandy systemu jest czuła. Z chwilą, gdy każdy sam musi rozstrzygać, czy dane zachowanie, z punktu widzenia systemu, jest rzeczywiście społecznie szkodliwe, kryteria ocen mają tendencję do roschwiania się. W sytuacji presji bardzo pryncypialnego, wysrubowanego ethosu i przy braku instancji, która przekładałaby ideały moralne na język sytuacji codziennych, gdy podejmujemy jakiegokolwiek działania albo mamy poczucie zeszczenia, albo heroizmu. Jedno i drugie bardzo obciąża.

Trzecia sytuacja, analogiczna do wskazanych, wiąże się z sytuacją młodego pokolenia, całej masy młodych ludzi kończą-

ych szkoły i wyższe uczelnie. Zwłaszcza humanistyczne czy artystyczne. Wyobraźmy sobie młodego człowieka, który kończy reżyserię albo polonistykę, albo wydział wiedzy o teatrze; który obrał sobie uczelnię z pasji i zamiłowania. Cc ma zrobić? Ideał moralny nakazuje mu kontestować oficjalny układ instytucji. Wreszta - całkiem słusznie. Cóż ma jednak począć, kiedy chce krecić filmy, pisać recenzje, robić teatr? To jest pytanie, które nabiera coraz większej doniosłości w Polsce. Myślę, że rządząca ekipa jest doskonale świadoma tej sytuacji. Stąd jej cynizm i samozadowolenie.

X X X

Sądzę, że dylemat w dużym stopniu stwarza sytuacja, w której niewyraźna jest p o l i t y c z n a reprezentacja niezależnego społeczeństwa i jego moralnego ethosu. Słowo: p o l i t y c z n a użyte jest tu w nieco innym znaczeniu niż to, do którego przyzwyczaili nas nie tylko komuniści. Chodzi o wizję polityki, jako gry między paroma ludźmi, na rozkaz których mogą ruszyć do ataku dywizje lub rakiety. Nie o takie rozumienie polityki mi chodzi. W Polsce s p r a w ą p o l i t y c z n ą jest przełożenie wysokiego i pryncypialnego ideału moralnego na język codziennych zachowań, nadanie tym samym pewnej struktury pojedynczym zachowaniom, ich symboliczne powiązanie przez grupę tych, którzy będą wyrażali wspólną opinię. Nie jest, być może, wcale takie ważne, aby ta opinia zawsze zyskiwała stuprocentowe poparcie społeczne. Ważne jest, aby była wypowiedzana przez ludzi, którzy mogą być uznani za reprezentantów niezależnego społeczeństwa i w s p ó l n e g o d o b r a .

Można powiedzieć, że mój pomysł jest chybiony, bo istnieją co najmniej dwa ośrodki, pełniące taką rolę: struktury podziemnej "Solidarności" oraz władze Kościoła. Istotnie, przez jakiś czas TKK pełniła rolę reprezentanta wspólnego dobra społeczeństwa. Mam jednak wrażenie, że należy to już do przeszłości. Podziemna "Solidarność" chce bowiem pozostać wierna ideałowi ruchu reform, który konstituował Związek. Sytuacja społeczna wymaga jednak innego myślenia niż to, które budowało "Solidarność" i społeczny consensus w czasie jej działania.

Odnosi się wrażenie, że nie jest dobrze, by Kościół podejmował działania o znaczeniu politycznym. Obecnie takiego charakteru nabiera refleksja nad większością ważnych spraw społecznych. Wypowiedzenie się na bieżące tematy jest - na ogół - wdaniem się w bezpośrednią grę z partią-państwem. Władze PRL są doskonale tego świadome i dążą w tej chwili do uwikłania Kościoła w bieżącą grę społeczną. A przecież właśnie Kościół powołany jest do reprezentowania i chronienia dóbr duchowych i etycznego ideału. Jest to zadanie zasadnicze: stanowić ochronę życia i kultury. Społeczno-polityczne wystąpienia Frymasy Polski budzą zbyt często wątpliwości, aby skłaniać go nadal do podobnej aktywności. Kościół powinien być bazą i zapleczem autentycznych działań społecznych, powinien ować ochronę i podtrzymywać wielorakie działania ważne dla przetrwania kultury, lecz lepiej byłoby, aby zachował dystans wobec spraw bieżących.

Potrzebna jest więc taka reprezentacja, która nie tyle byłaby wyrazicielem ideałów i pożądaných przemian społecznych, ale raczej symbolem tej żywej, codziennej wspólnoty, jaka zachowała się w Polsce, wciłąż nie znormalizowanej. Reprezen-

cja ta miałyby za zadanie określenie tego, co można nazwać w s p ó l n y m d o b r e m społeczeństwa, określenie tego w kategoriach aktualnej, bieżącej sytuacji, w kategoriach codziennego życia. Wyobrażam sobie taką reprezentację w postaci jakiejś Rady Społecznej, czy Społecznego Komitetu - myślę, że powinien tam się znaleźć przedstawiciel Kościoła i podziemnych struktur "Solidarności", ale też i inni ludzie, wyraziciele różnych interesów i grup społecznych.

Nie ulega wątpliwości, że taka Rada miałyby znaczenie polityczne, ale przy nieco szerszym rozumieniu polityki niż to, które utożsamia ją z rządzeniem. Bowiem polityką w Polsce w chwili obecnej jest naprawdę ustalenie różnych praktycznych wzorów postępowania i potocznych ocen. Ktoś musi móc powiedzieć, na przykład kontestującym aktorom, że mogą już zakończyć swój protest, bez narażenia swego moralnego autorytetu ani wystawienia na szwank prawdziwych wartości. Ktoś musi powiedzieć młodym ludziom, czy mogą, czy też nie, pisać w "Polityce". Ktoś musi przypomnieć kasjerce, że jej praca jest ważna dla ludzi. Ktoś musi zaproponować różne sposoby działania indywidualnego i zbiorowego, które uznać można za korzystne i sprzyjające zaspokojeniu rzeczywistych potrzeb.

W praktyce życia społecznego ideał moralny, choćby przez ogół ludzi uznawany najszczerzej, ma tendencję do rozmywania się z jednej strony, do usztywniania - z drugiej. Wówczas w zwykłym, codziennym życiu tworzy się pełna niepewności, tłamsząca i zeszmacająca próżnia bieżącej chwili. Ideał musi zatem znajdować pewną strukturę organizacyjną, by dawał oparcie ludziom na dłuższą metę. To zresztą podstawa ludzkiego dążenia do zrzeszania się.

Powstanie takiej instytucji wydaje mi się nie tylko możliwe, ale i konieczne dla przetrwania Polski i Polaków. Siły destrukcji, jakie rozwija bez ustanku partia-państwo, są naprawdę ogromne. Namysł nad tym, jak się im przeciwstawić, jak żyć, jak godzić wymogi i konieczności z potrzebami i aspiracjami, zdefiniowanie tego, co służy wspólnemu dobru, zaproponowanie takich czy innych. p r a k t y c z n y c h wzorów zachowania - oto sprawy o zasadniczym znaczeniu.

x x x

Najogólniej mówiąc, postuluję powołanie instytucji, która stanowiłaby forum namysłu nad wspólnym dobrem społecznym; która wyrażałaby swoje opinie na temat praktycznych spraw bieżących, która proponowałaby pewne życiowe kryteria ocen i sugerowała pewne wzory zachowania. W dziedzinie życia społecznego byłoby to przekładaniem zasad moralnego ideału na codzienne sytuacje; byłoby próbą nazwania, opisanie, doradzenia, co robić w codziennym życiu w kategoriach innych, niż etycznie pryncypialne. Oznacza to istotnie myślenie społeczne lub polityczne.

Powstanie takiej instancji społecznej nie znosiłoby sprawy o zasadniczym znaczeniu dla przetrwania niezależnego społeczeństwa - sfery ideału moralnego. Wyobrażam sobie bowiem troskę o wspólne dobro nie jako coś sprzecznego z ideałami, ale próbującego nadać im formę użyteczną, czy partykularną. Formę, która uwzględniła konieczność kompromisów i wyrzeczeń, a która jednocześnie broni podstawowej linii życia.

Powstanie takiej instytucji odciążałoby Kościół i pozwoliłoby na większą jego swobodę w precyzowaniu i budowaniu,



niejako w głąb, etycznego ideału, skierowało uwagę Kościoła na utwierdzenie wartości duchowych. Pozwoliłoby to również "Solidarności" na swobodne reprezentowanie tego ideału społecznego, który się wyraził w wielkim ruchu związkowym, na jego nowe sformułowanie, na jego kontynuację. Trwanie tego ideału i jego duchowych zdobyczy wydaje się bardzo użyteczne dla przyszłości Polski.

Powstanie reprezentacji społecznej dałoby również symboliczne i praktyczne oparcie różnym działaniom, które dopóty, dopóki będą podejmowane pojedynczo, osobno, zawsze będą miały niejasny status działań korupcyjnych. Skoro żyjemy w takiej sytuacji, że praktycznie właśnie zachowania korupcyjne służyć mogą realnym interesom i potrzebom społecznym, ktoś musi rzetelnie zbadać, jakie to działania i gdzie przebiega granica, poza którą można mówić o zachowaniach niegodnych. Systematyczny namysł nad tym ma kolosalne znaczenie - zwłaszcza w obliczu katastrofy ekonomicznej, której natężenia wciąż nie można dokładnie ustalić.

X X X

Moja propozycja nie wynika z chęci przeciwstawienia ideału moralnego tzw. życiowym koniecznościom, ani nie płynie z przyjęcia tzw. rozsądnej postawy, która oznacza rezygnację z jasnych kryteriów moralnych i wartości podstawowych. Nie jest też moim zamierzeniem wyrażenie postawy, która opór moralny i trwanie przy pewnym etycznym ideale na przekór bieżącej chwili, skłonna jest nazywać głupotą lub określić innymi lekceważącymi epitetami.

Dokładnie odwrotnie! Twierdzę, że moralny opór, z którym mamy do czynienia w Polsce, jest czymś niezwykłym w życiu społeczeństw, że jest - co więcej - podstawą zachowania na dłuższą metę życia społecznego i własnej kultury, że dzięki pryncypialnemu ideałowi moralnemu niezniszczona jest tkanka rzeczywistej więzi społecznej i poczucie wspólnoty między ludźmi. Jeżeli więc wskazuję na możliwe negatywne skutki takiej sytuacji, z jaką mamy do czynienia w Polsce, to nie po to, by ów moralny ideał i jego siłę osłabić, ale by zachować jego żywotność jak najdłużej.

Kiedy więc wskazuję na konieczność wcielenia w życie, a więc nadania instytucjonalnej postaci innemu myśleniu, niż tylko myślenie w kategoriach z a s a d n i c z y c h, w kategoriach m o r a l n y c h, to raczej by przydać mocy sferze spraw podstawowych. Powstanie społecznej instancji, której zadaniem byłoby sugerowanie takich czy innych wzorów codziennego zachowania, przekładanie ideału na codzienne sytuacje, oparte na rzetelnym rozeznaniu co do wspólnego dobra - nie przeciwstawia sobie ideału i konieczności życiowych. Raczej odwrotnie: dąży do takiego rozwinięcia ideału, aby ludzie mogli mierzyć się z realną sytuacją ani nie gubiąc rozeznania w pryncypiach, ani nie zaniedbując konieczności skłębienia życia w świecie, w którym bez przerwy zło walczy z dobrem i jest ze sobą przemieszane. Nic nie zastąpi ideału moralnego, sporu moralnego i etycznej refleksji, ani też autorytetów i instytucji społecznych, które je głoszą i chronią. Ale moc ideału moralnego znacznie wzrasta wtedy, gdy rozwija się w życiu społecznym sfera kryteriów użytecznościowych i praktycznych, które nie stoją w sprzeczności z pryncypiami, ale wskazują takie drogi postępowania, aby w realnej, codziennej walce zła i dobra w konkretnym rezultacie

- stawać po dobrej stronie. Z tej życiowej walki, z tej gry, którą konstituuje świat społeczny, nikt nas nie zwolni. Płaszczyzna moralna jest podstawą życia - ale nie wyczerpuje jego zakresu. Sfera polityki - to sfera zorganizowania życia wokół moralnego ideału.

Stanisław Iranek

Karol Winnicki

## Interesy Polaków

1. Uwaga wstępna: nie jesteśmy podmiotem na arenie międzynarodowej. Nawet władza, będąca tym podmiotem w protektoracie, jakim jest PRL, podlega całkowitemu ubezwłasnowolnieniu w świecie. Czasem, w ramach przyznanej delegacji, może zgłosić własną inicjatywę czy zaznaczyć swoją obecność, przy czym - poza sferą gestów - skończyło się to wraz z Gomułką. Poza tym, pozostaje jej udawanie niezależnego państwa i wyrażanie własnymi słowami poparcia dla wszelkich możliwych inicjatyw ZSRR.

2. W ten sposób, zresztą, władza realizuje swój podstawowy interes, polegający na tym, by jak najdłużej trwały warunki międzynarodowe, pozwalające jej rządzić Polakami. Były protektoraty, których władze starały się uniezależnić od protektorów. W tym celu jednak musiały się opierać na jakichś liczących się siłach we własnym kraju. U nas, władza opiera się na samej sobie - 1 do 1,5 miliona dobrze zorganizowanych, motywowanych i należycie wyposażonych ludzi i na bierności wielkich rzesz społeczeństwa, która to bierność jest czynnikiem zmiennym. Istnieje przy tym przeświadczenie - we władzy i w społeczeństwie - że bez radzieckiej obecności i gotowości pomocy, system polityczny nie utrzymałby się 24 godzin. Wprawdzie 13 grudnia pokazał, że z techniczno-organizacyjnego punktu widzenia chyba by się utrzymał dłużej, lecz przeświadczenie to jest siłą sprawczą i może być samosprawdzającą się prognozą. Władza woli zatem nie ryzykować, mimo że jej zależność od hegemonu ma dla niej samej dość nieprzyjemne strony.

3. Władzy zależy więc na tym, aby obóz istniał nadal w swej dotychczasowej postaci, ze Związkiem Radzieckim na czele. Aby Związek, ze swoim blokiem, był potęgą światową, co najmniej dorównującą Zachodowi, a szczególnie Stanom Zjednoczonym.

To jest warunek spełniający podstawową zasadę komunistycznych rządów - safety first.

4. Jednocześnie, wraz z Moskwą i innymi bratnimi stolicami, nie wydaje się być zainteresowana we wzroście napięcia i zdecydowanie wolałaby ograniczenie wyścigu zbrojeń, na wygodnych dla obozu warunkach. Napięcie przeszkadza w korzystnej wymianie z Zachodem, ogranicza dopływ kredytów, nowych technologii, nowoczesnych produktów i nie sprzyja wyjazdom na Zachód, co dla elit realnego socjalizmu jest ważnym składnikiem ich statusu. Zaś wyścig zbrojeń staje się stopniowo nie do wytrzymania dla gospodarki, co pociąga za sobą reperkucje społeczne. Poza wszystkim, Wschód zdaje się zaczyna przegrywać ten wyścig.

5. Na ile jest to możliwe i nie koliduje z poczuciem bezpieczeństwa władzy, lubiła by ona mieć względną autonomię w obozie, siłę przebicia w RWPG, być uważaną za w miarę niezależną od Moskwy, bez podważania wizji jedności obozu. Za taką też chciałyby uchodzić w oczach swojego społeczeństwa.

Służą temu bełkot propagandowy na temat roli Polski i sztafaż w postaci licznych kontaktów, w dużym stopniu jałowych, umów, udziałów w najrozmaitszych imprezach, jak sesja ONZ itp.

6. Przy wzroście napięcia wewnętrznego władza dość otwarcie sięga po swą prawdziwą legitymację, jaką jest radzieckie nadanie i po groźbę bratniej pomocy, realności której nikt w Polsce - łącznie z władzą - wolałby nie próbować.

7. Nie widząc dla siebie alternatywy w wypadku istotnych zmian w międzynarodowym układzie sił, na którym opiera swe panowanie, władza nie rozważa żadnych koncepcji na tę okoliczność. Preferowany bezruch przedstawia jako jedyną możliwość, co nie znaczy, że nie może tak właśnie być przez kolejne dziesięciolecia. Refleksja, że historia nie stanęła w miejscu w Jańcie i Poczdamie, traktowana jest jako próba zwracania dziejów.

8. Propaganda w tym zakresie odwołuje się do emocji raczej niż do logiki, wykorzystując odruchy, resentymenty i uprzedzenia, a nie przejmując się niespójnością używanej argumentacji. Tak więc: moc obozu, gwarantującego stabilność układu sił, na którym opiera się pokój światowy, jest niewzruszona, co ma uczynić nierealnymi wszelkie myśli o zmianie tego stanu rzeczy, a jednocześnie niezależny związek zawodowy i częściowe upodmiotowienie społeczeństwa w PRL narusza spistość obozu, zagraża równowadze sił, stabilizacji, pokojowi itp. Dalej: z jednej strony podkreśla się internacjonalizm, ideowy charakter stosunków w obozie, trwałość i pewność jaką to daje, a z drugiej - wykorzystuje się uczulenie na eyndrom rozbiorów, zwłaszcza na pakt Mołotow-Ribbentrop i straszy nowym antypolskim porozumieniem Rosja-Niemcy /te ostatnie w różnych wariantach: RFN, NRD, ewentualnie zjednoczone/ jeśli Polska miała zawieść oczekiwania obozu.

Z jednej strony tworzy się unctim między próbą wszelkiej niekontrolowanej aktywności społecznej a zamachem na bezpieczeństwo państwa, byt narodu, granice, pokój światowy itp., a z drugiej - konstatuje się podział polityczny społeczeństwa /to novum lat osiemdziesiątych/, przedstawiając je zarazem jako jednomyślne w sprawach zagranicznych. Tu nadal obowiązywać ma jedność, z której wyłamują się antypolskie jednostki.

9. Za granicą, w tym na Zachodzie, władza ma monopol na reprezentowanie stanowiska Polaków. Siły polityczne, które dostrzegają jej zależność od Moskwy i skłonne są popierać opozycję w Polsce, nie dostrzegają żadnego polskiego niezależnego podmiotu politycznego, który by występował z odmienną koncepcją interesu Polaków w Europie i świecie.

10. Opozycja polityczna, będąca już podmiotem w kraju i mająca - przy licznych rozbieżnościach - wspólne cele w polityce wewnętrznej, nie ma żadnej koncepcji odnośnie polityki zagranicznej, mimo powszechnego przeświadczenia, iż zasadnicze rozstrzygnięcie problemów wewnętrznych zależy od ukłonu sił w świecie. Świadomość całkowitej niemożności oddziaływania na wydarzenia poza granicami Polski, nie powinna

jednakże wstrzymywać przed rozeznaniem interesów Polaków w Europie i świecie i wyartykułowaniem ich na użytek wewnętrzny i zagraniczny.

Opozycja nie ma przy tym mandatu na reprezentowanie - szczególnie w sprawach polityki zagranicznej - interesu całego społeczeństwa, przeciwstawionemu wyizolowanemu aparatowi władzy. Po pierwsze - podział taki na dziś jest nieprawdziwy, a po drugie - poglądy szerokich rzesz na sprawy międzynarodowe wydają się być mniej klarowne i spójne niż w stosunku do problemów wewnętrznych. O ile jednak nie mająca legitymacji społecznej władza usurpuje sobie prawo reprezentowania w świecie interesów wszystkich Polaków, zakładając przy tym swój klasowy interes, o tyle opozycja ma prawo, a i obowiązek, podjąć się reprezentacji interesów opozycyjnej w stosunku do komunistycznej władzy części społeczeństwa i bronić tego, co uważa za słuszne dla większości narodu.

11. Koncepcja taka musi być uprzednio wypracowana w toku nieskrępowanej dyskusji. Należy ją prowadzić otwarcie, w miarę możliwości wyzbywając się urazowej reakcji na różnego rodzaju poglądy i koncepcje, nawet mocno kontrowersyjne w świetle dotychczasowych doświadczeń i powszechnych zapatrywań. Nie jest przy tym powiedziane, że opozycja wypracuje jedną koncepcję. Doświadczenie uczy, że może ich być więcej i mogą być sobie przeciwstawne i że niekoniecznie musi to oznaczać wzajemne znoszenie się skutków, bo może też być poszerzeniem szans, jak to było w czasie I wojny światowej.

12. Skuteczność jakiegokolwiek koncepcji zależy nie tylko od jej trafności w ocenie i prognozowaniu, lecz również od stopnia poparcia społecznego. Dlatego linia postępowania, wypracowana nawet przy odrzuceniu tabu i przesądów, nie może ich lekceważyć w świadomości społecznej. To znaczy, że nie może nie uwzględniać - przynajmniej dziś - obawy przed Niemcami, niechęci do Rosjan, lekceważenia innych sąsiadów, sympatii do Węgrów, Francuzów i Amerykanów, zaufania do Watykanu, polocentrycznego postrzegania świata. Nie znaczy to, że trzeba się zawsze dopasowywać do poglądów, które się uważa za niesłuszne czy szkodliwe, a odrzucać czy kamuflować pozostałe. Trzeba jednakże długo i mozolnie przekonywać do nich opinię publiczną, zdobywając poparcie przynajmniej liczących się jej odkamów. Historia pokazuje, że jest to możliwe, nawet w warunkach konspiracji.

13. Interes opozycyjnego społeczeństwa - NASZ, z punktu widzenia niniejszego opracowania - polega na zniesieniu dominacji radzieckiej w Polsce - bez popadania w ewentualną inną zależność - tak, aby naród polski odzyskał możliwość suwerennego decydowania o swoim bycie wewnętrznym i polityce zagranicznej. Z licznych względów - głównie rosnące zacofanie cywilizacyjne - wskazana by była zmiana w miarę możliwości szybko. /Suwerenności nie należy przy tym mylić z niezależnością, co czyni propaganda rządowa i część opinii opozycyjnej. Największe nawet mocarstwa nie są całkowicie niezależne od układów i organizacji, poziomu rozwoju, stosunków światowych itd. Jednak suwerenne podmioty przeważnie same podejmują swoje decyzje. Szczególnie dotyczy to spraw wewnętrznych. Zresztą przy trudnościach w tworzeniu formułek, wystarczy porównać zależność Grecji od USA i Polski od ZSRR, by zrozumieć różnicę jakościową, a nie tylko stopnia uzależnienia/.



14. W ramach naszego interesu narodowego mieści się także przejściowe - może na długi historycznie okres - ograniczenie stopnia tej dominacji, tak aby możliwe było upodmiotowienie się społeczeństwa w stosunku do władzy, rozszerzenie wolności ludzkich i obywatelskich, radykalna reforma gospodarcza, w stopniu wykonalnym w ramach tego ustroju.

15. Nie wydaje się, aby w obecnej sytuacji istniała sprzeczność między tymi dwoma celami - dalekosięznym i przejściowym. Oba wyglądają dzisiaj na dość odległe, przy czym ten drugi jest jakby bardziej prawdopodobny. Czy i który uda się zrealizować, zależy od sytuacji międzynarodowej, na którą nie możemy wpływać ani nawet jej w miarę pewnie przewidzieć oraz od postawy liczących się sił w społeczeństwie. Żaden z tych dwóch czynników sam nie doprowadzi do pożądanych przemian.

Uznanie tych przesłanek sugerowałoby opozycji otwartość na oba te rozwiązania, z potraktowaniem tego ograniczonego jako możliwego, acz niekoniecznego. Wybór powinien zależeć od rozwoju sytuacji i nie mieć charakteru aksjologicznego.

16. Żywotnym interesem narodu jest pozostanie w obecnych granicach, niezależnie nawet od tego, co będzie się z nami działo. Niechęć do oddawania czegokolwiek jest zrozumiała, nie powinniśmy jednakże być zainteresowani żadnym przyrostem terytorialnym, w tym zwłaszcza powrotem do Lwowa i Wilna. Z etnicznego punktu widzenia obecne granice są dla nas idealne. Jeśli chodzi o geografie, gospodarkę, zasoby, komunikację - są co najmniej odpowiadające. Historyczne uzasadnienie jakichkolwiek granic jest co najmniej problematyczne. Za każdą linią i przeciw każdej można znaleźć masę argumentów historycznych, prawnych, kulturowych i wszystkie będą przekonujące dla chcących uzasadnić bądź trwałość, bądź zmianę danej granicy. Za naszym ewentualnym powrotem na Wschód dziś przemawiałyby już tylko, słabnące zresztą, sentymenty. Przeciwnie jakiegokolwiek zmianie przemawia zaś opór zasiedziałej tam już ludności, konieczność bolesnych i dramatycznych przesiedleń, nieuchronność związanych z taką zmianą konfliktów, gospodarcza i inna amputacja pewnych terenów i konieczność integrowania innych, powstanie precedensów i wywołanie dalszych roszczeń, które trudno byłoby zakończyć.

Widzimy zresztą, że w tak licznych dziś na świecie konfliktach, a nawet wojnach, problem granic przeważnie nie występuje, bądź nie gra pierwszoplanowej roli, podczas gdy jeszcze niedawno terytorium i granice był to najczęstszy casus belli. Przeważnie chodzi dziś o samostanowienie jakichś terenów, wpływ na sprawy innego państwa, a nie o przesuwanie słupów granicznych.

17. Warunkiem nie tylko rozwiązania polskich problemów, lecz i biologicznego przetrwania jest uniknięcie niszczycielskiej wojny, tak konwencjonalnej, jak i A, B, C. Zważywszy, że nawet ograniczona co do rozmiarów i sposobu prowadzenia wojna może przerodzić się w niszczycielską /coś podobnego zaszło podczas I wojny światowej/, nie należy interesów narodowych opierać na jakiegokolwiek wojnie, w przeciwieństwie do lat 1794-1914. Dotyczy to tak sfery koncepcyjnej, jak i działania, w przyszłości, w której dzisiejsza opozycja miałaby jakąś możliwość wpływania na rzeczywistość międzynarodową.

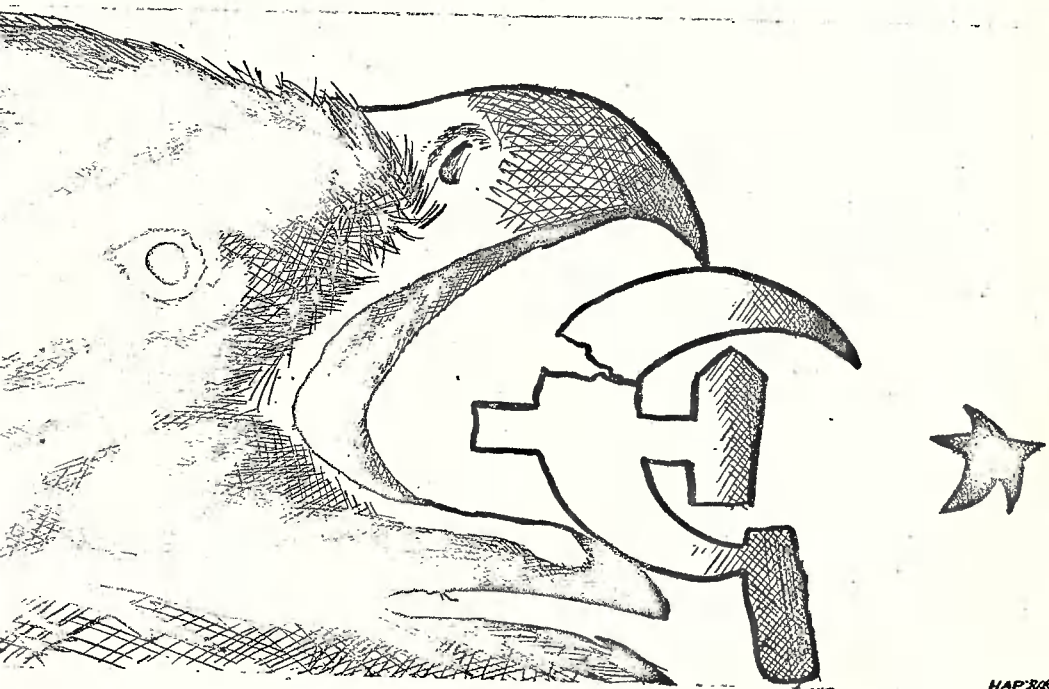
18. Byłoby naiwnością oczekiwanie, że rozwój wydarzeń, nawet gdyby zmierzał ku suwerenności Polski, nie może przynieść niepożądanych zjawisk. Może m.in. nastąpić zmiana granic w tym i utrata terytorium, może być i wojna. Mogło by to stanowić koszty wyzwalań się, i to koszty wysokie, być może nawet podważające opłacalność tego procesu, lecz może też być samoistnym negatywnym zjawiskiem. Nie wolno również wykluczyć pogorszenia się sytuacji Polski na jakiś historyczny okres.

19. Polska myśl polityczna, o której rozwój tak się obecnie apeluje, nie może nie dostrzegać także i tych niebezpieczeństw. Zaś ruch społeczny i polityczny, uzyskując z czasem wspomnianą wyżej podmiotowość, musiałby w swe plany i działania wliczyć również koszty i ryzyko, ponosząc przy tym historyczną odpowiedzialność.

X X X

Ciąg dalszy - prawdopodobnie - nastąpi. Byłoby w nim o rozeznaniu sytuacji światowej i europejskiej, o tym co i jak może się zmienić oraz o tym, czy coś i co możemy w naszej sprawie uczynić.

Karol Winnicki



HAP 806

Jacek Maziarski

## Osobliwość modelu

Pierwszym pytaniem dla zawodowca jest następująca kwestia: czym dzisiejszy model propagandy różni się od modelu, z którym mieliśmy do czynienia w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych? Mam wrażenie, że z perspektywy tych pierwszych czterech lat da się w jakiś sposób określić przybliżone cechy tego modelu, uformowanego po stanie wojennym. Wymieniłbym następujące jego osobliwości:

• Po pierwsze, w porównaniu ze wszystkimi poprzednimi modelami ta propaganda jest bardziej agresywna, bardziej brutalna - słowem - nie jest to propaganda, która by chciała ludzi przekonać, a raczej stara się ludzi złamać, pokonać. Można to interpretować w ten sposób, że jej celem jest załamanie psychiczne społeczeństwa. Obserwujemy wiele bezradności w zetknięciu się z brutalnymi napaściami personalnymi. Poziom tych ataków jest jednak tak niski, że odbiorcy muszą ręce opisać.

Z pewnością w opracowywaniu tego modelu propagandy uczestrzyli psycholodzy. Ale można też spojrzeć na to z drugiego końca. A mianowicie, można postawić tezę, że jest to propaganda adresowana do swoich, a nie do całego społeczeństwa, ona jakby położyła krzyżyk na społeczeństwie, jakby uświadomiła sobie, że i tak już go nie przekona. Ponieważ nie warto już mówić do ogółu, propagandyści zwracają się do swoich towarzyszy, do prostego posterunkowego, do szeregowych funkcjonariuszy MSW, zwracają się w taki sposób, aby to współbrzmiało z odczuciami adresatów. Jeśli się zastanowić, jakie są odczucia tych towarzyszy, to ten model propagandy zaczyna być czytelniejszy. Są to bowiem odczucia ludzi sfrustrowanych, ludzi, którzy czują swoje osamotnienie, swoją bezradność i reagują - jak zawsze w takich sytuacjach - agresją i brutalnością. Więc ten model przylega do określonego stanu psychicznego adresatów.

W latach poprzednich, za panowania Gierka, propaganda starała się mówić do wszystkich, aby kogoś pozyskać, skorumpować, przekonać. Natomiast obecna - mówiąc trywialnie, językiem tych panów - kładzie już na nas łacnę. Mówi tylko do swoich, stara się im radzić, a zarazem wyrażać ich urazy, kompleksy, ich stany psychiczne, lęki, frustracje itd.

Agresywność tej propagandy i jej nastawienie psychiczne znajduje także odzwierciedlenie w militarystycznej frazeologii i mentalności, gdzie wszystko układa się "po dwóch stronach barykady", gdzie jest wyraźny "wróg", gdzie są "nasze szeregi", gdzie partia ma "cenny oręż ideowy" itd. Znacznym uproszczeniem byłoby tłumaczenie tej frazeologii tym tylko, że na czele państwa stanął wojskowy, choć być może jakiś

x/ Obydwa teksty drukujemy bez wiedzy i zgody autorów.  
/Red./

Wpływ to miało. Ale gdy sięgniemy do wzorów propagandy stalinowskiej, to znajdziemy tam dokładnie to samo. Jest to obraz świata widzianego jako pole bitwy, w której przeciwnika się nie przekonuje, tylko go się po prostu razi kopytami.

• Drugą cechą tej propagandy - po wspomnianej agresywności i brutalności - jest pewna ostentacyjność. Jeśli poprzednie modele przynajmniej starały się być zręczne, starały się jakoś docierać do ludzi, to teraz propaganda jakby przekreśliła się w drugą stronę. Ostentacyjnie stara się jątrzyć i być niezręczna. O co tu chodzi? Skąd się wzięła ta tendencja? Po pierwsze stąd, że ta propaganda chce się wykaazać poprawnością ideologiczną i swoją pryncypialnością, wykazać - oczywiście - wobec swoich możnych przyjaciół i protektorów. Chodzi o przekonanie ich, że "nie będziemy paktowali z przeciwnikiem". Dlatego ta propaganda rozgrzeszana jest z niezręczności, z jaskrawości, arogancji, gruboskórności i chamstwa; ale nigdy nie jest rozgrzeszana - przez pewnych obserwatorów - z prób klajstrowania różnic, zacierania podziałów, dopuszczania przeciwnika do głosu. Ta propaganda stara się być ostentacyjnie jaskrawa, na plan pierwszy wydobyla represje. Jeśli opinia publiczna potępia Urbana za tekst, który był jakimś kamyczkiem poprzedzającym śmierć ks. Popiełuszki, to Urban reaguje natychmiast tekstem jeszcze bardziej antyklerykalnym i jeszcze bardziej przesyconym nienawiścią, zatytułowanym zresztą "Nienawiść". W takim przypadku zamiast jakiejś próby łagodzenia, następuje odpowiedź jeszcze bardziej ostentacyjna - że nie wycofujemy się ze stanowiska i nie zmieniamy zdania. To byłaby cecha druga.

• Trzecią cechą propagandy obecnego okresu jest jej zgrzebnosc. Nie odwołuje się ona do żadnych wartości. Cały system wartości jest poza argumentacją propagandy. Ona nie mówi jednym słowem o wartościach moralnych, ale apeluje wyłącznie do tego, że trzeba się jakoś urządzić w życiu, że trzeba być rozsądnym. Tutaj następuje nawiązanie do tezy małego realizmu. Unika się wszelkich superlatyw, raczej mówi się o koniecznościach, o trudnych wyborach, o mniejszym złe. Jest to posługiwanie się wyłącznie argumentami niższego rzędu. Nie ma tutaj tego, co było tak charakterystyczne dla propagandy Gierkowskiej - pewnego zadęcia.

Oczywiście, króluje filozofia: niech każdy robi, co do niego należy, a jakoś się wszystko ułoży. Trzeba zrobić porządek wokół siebie, załatwić sprawy własnego podwórka. Są to argumenty jak najciaśniejsze. Jest to propaganda adresowana do ludzi o bardzo ciasnych horyzontach, jak gdyby z góry zakładano, że tam znajdzie dobry odbiór. Rezygnuje ona tym samym z dotarcia do ludzi, którzy mają szersze horyzonty i są bardziej uwrażliwieni moralnie. Oczywiście, ta propaganda atakuje wszystkie mity, mrzonki, iluzje, marzenia. Można by cały słownik ułożyć z tych haseł, których ona nie chce nazwać po imieniu, ale przy pomocy takich ogólnikowych określeń stara się totalnie dyskredytować.

• Następną cechą obecnej propagandy jest jej wyraźna niespójność. O ile propaganda Gierkowska była na swój sposób spójna, apelowała do kieszeni, do naturalnej tendencji bogacenia się /nie była to w gruncie rzeczy propaganda typowa dla komunizmu/, to ta obecna sięga po argumenty do dwóch różnych kieszeni. Z jednej strony, sięga się po pojęcia z zakresu słownika ideologicznego, z drugiej zaś - po pojęcia z



zakresu gospodarki rynkowej. Mamy więc - przykładowo - w tej propagandzie zarówno masy pracujące, jak i siłę roboczą. Są to jak gdyby dwa wymieszane ze sobą słowniki. Jeden tradycyjny, stalinowski, i drugi - menadżersko-rynkowy. Ta niespójność i dwiistość tej propagandy wydaje mi się czymś tak charakterystycznym i odbiegającym od norm, że zasługuje na wymienienie w postaci osobnego punktu.

• Kolejną cechą współczesnej propagandy PRL jest jej zabarwienie patriotyczne. Jest to przy tym szczególnie rodzaj patriotyzmu. Polega on po prostu na zawłaszczaniu pewnych symboli, żeby nie stały się one wyłączną własnością strony przeciwnej. Więc przelicytowuje się ta propaganda na każdym kroku w narodowych, patriotycznych gestach, a robi się to w antynarodowym celu. Wolność ojczyzny, narodu, ofiarność patriotyczna - ta cała warstwa słownictwa stosowana jest bez umiaru. I nie chodzi o wzbudzenie żadnych autentycznych uczuć patriotycznych, tylko po prostu o to, żeby zawłaszczając te symbole, nie zostawić miejsca na rozgrywkę drugiej stronie.

• Dalej, mamy wyraźny renesans epoki stalinizmu. Jest to jak gdyby druga, słabsza epoka stalinizmu /mówiąc o stalinizmie, nie mam na myśli krwawych represji, ani tego, co było wielkością tamtej epoki, wielkością - oczywiście - w cudzoźwie/. Obecnie jest to sui generis neostalinizm, wprowadzany już tylko w celach doraźnych, taktycznych. Wygląda na to, że wziętą się on w języku propagandy stąd, iż obecna ekipa dopuściła do głosu pochowane po różnych zakamarkach życia relikty tamtej epoki, ludzi, którzy w ciągu 40 lat zachowali nie zmienioną mentalność stalinowską, wychowali się w tamtej mentalności i przez 40 lat ją pielęgnowali. Myślę tutaj o aparacie bezpieczeństwa, o milicji, o wojsku, gdzie nie występował inny typ pracy ideowo-wychowawczej, jak po prostu stalinowski. Stąd wzięły się w dzisiejszej terminologii propagandowej tak centralne pojęcia, jak pojęcie wroga, które stanowi jedno z kluczowych pojęć tego modelu propagandy, sił antysocjalistycznych, oczywiście spisków, agentów, obcych wywiadów itd. Jest to klasyczny repertuar, którym rozgrywał swoje gry polityczne stalinizm, z tym, że one były rozgrywane naprawdę. Dzisiaj natomiast są rozgrywane na ryby. Można być nazwanym siłą antysocjalistyczną /mnie się to przydarzyło i nie tylko mnie/ i nic się właściwie nie dzieje, choć stalinowskie doświadczenie powinno nasuwać jak najgorsze przypuszczenia. Powinny być jakieś skutki, tymczasem są słowa, a nie ma skutków.

• Wreszcie inną cechą znaną tego modelu jest jego polityczna optyka, czy polityczne zabarwienie. Kiedy się czyta te teksty, chwilami się wydaje, że pisał to sierżant albo oficer dochodzeniowy, tyle jest tam tego naruszenia porządku prawnego, tego zakłócania ładu, walki z patologią społeczną, spekulacyjnych operacji, akcji specjalnych itd. Czuje się za tym rękę dobrze wyszkolonego aparatu ścigania. Jest to szczególnie widoczne w DTW, który tak na nos i oko wydaje się po prostu przedłużonym ramieniem SB. I gdy tak się zastanawiam nad tym, kto uprawia tę propagandę i czyje interesy ona wyraża, to bym odpowiedział bez wahania, że raczej nie partii. W większym stopniu propaganda stała się domeną Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, co się odbija i na poziomie argumentacji, i na języku, na stylistyce, i nawet na składni, która jest w końcu niepowtarzalna. Jest coś takiego, jak polityczna uroda - cecha, która zdracza.

1 ● Cechą tego modelu propagandy jest także pewna swoista optyka emerytalna. Ta propaganda niesłychanie słabo kontaktuje z pokoleniem ludzi po trzydziestce czy około trzydziestki, nie mówiąc już o dwudziestolatkach. Jej optyka jest całkowicie zwrócona wstecz, odwołuje się do przeszłości, do doświadczeń ludzi, którzy przeszli przez ZMP, czy inne tzw. masowe organizacje. Jest to ten rodzaj życiorysu i doświadczeń, który podawała typ pewnych argumentów, pewnych skojarzeń. Tym samym jest to propaganda zwrócona w przeszłość i pozbawiona perspektyw przyszłości. Ona nam nic o przyszłości nie mówi, nie umie i nie chce mówić. Umie się tylko odwołać do tego, co zrobiliśmy, do dorobku, którego "nie wolno przekreślić". Jest to więc taki starczy konserwatyzm, z pewnym bagażem lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

● I wreszcie - na koniec - cechą tej propagandy jest zamykanie do posługiwania się lękiem jako argumentem. W sposób świadomy albo podświadomy stara się ona sączyć w odbiorców różnego rodzaju lęki. To taka technika psychologiczna - żeby własny lęk odsunąć od siebie i przerzucić na społeczeństwo. A więc pompuje się strach przed wojną, strach przed zaburzeniami, przed "wielkim bratem". Przy czym nie robi się tego jasno, tylko za pomocą niedomówień i aluzji. Strasz się nas rewizjonistami, narastaniem fali przestępczości i Bóg wie czym jeszcze.

Nie sądzę, żebym wymienił wszystkie osobliwości obecnego modelu propagandy. Z pewnością znalazłoby się ich więcej, ale myślę, że te, które wyliczyłem, pozwoliły w jakiś sposób zidentyfikować go na tle innych; wcześniejszych modeli propagandy, z którymi mieliśmy do czynienia w ciągu 40 lat PRL.

Jacek Maziarski

Dariusz Fikus

## Filozofia Urbanowszczyzny

Zanim spróbuję określić to, co na własny użytek nazywam Filozofią Urbanowszczyzny, chcę powiedzieć, że w moim przekonaniu cele strategiczne rządzących nie uległy właściwie zmianie od lat czterdziestu. Są one takie same, jak w każdym systemie totalitarnym: odebrać społeczeństwu podmiotowość, obezwładnić je całkowicie, wygasić wszelką wolę niezależnego, samorządnego działania. Oczywiście, metody osiągania tych celów są bardzo różne; zupełnie inne były w czasach stalinizmu, inne w erze gomułkowskiej, zupełnie inne w gierkowskiej. Jeszcze inne są teraz. To, co cechuje dzisiejsze metody rządzenia, to pewna elastyczność dostosowywania się do sytuacji, do nastrojów. Społeczeństwo nie w pełni jeszcze przejrzało te metody, ale ich cel jest taki sam, jak dawniej, jak dotychczas: odebranie podmiotowości. Chodzi o to, żeby ludzie czuli się przedmiotami, żeby rozbić, zniweczyć wszelkie więzi, jakie istnieją między ludźmi.

W jaki sposób się to osiąga? Przede wszystkim jest to niszczenie wszelkich prób manifestowania związków ze zbiorowością, niszczenia tego, co się nazywa atrybutami zbiorowości. Chcę przypomnieć sytuację, która istniała zaraz po odwołaniu

stanu wojennego, a więc ściganie na ulicach młodych ludzi ze znaczkami z Matką Boską, tępienie wszystkich napisów na murach. To nie był przejaw jakiegś nerwowości policji. Jest to metoda stara i znana jeszcze ze starożytności: nie pozwolić jednostkom na łączenie się we wspólnoty, choćby nawet o znaczeniu symbolicznym.

Inna sprawa, która także wiąże się z walką z atrybutami identyfikacyjnymi: zawłaszczanie symboli ściśle związanych z okresem "Solidarności". To też nie jest zjawisko nowe. Pamiętamy z czasów Gierka zawłaszczanie tradycji polskiego harcerstwa, tradycji AK, Powstania Warszawskiego, wpisywanie jak gdyby tych tradycji w fałszywą partyturę chóru propagandy komunistycznej.

Teraz mamy do czynienia z czymś jeszcze bardziej perfidnym. Oto delegacje oficjalne składają kwiaty poległym w Gdańsku. A przecież były to ofiary tego, rzekomo jedynie szusznego, systemu! Ale posunięto się jeszcze dalej. Bo jeżeli te kwiaty składa przewodniczący Rady Narodowej, to wszystko jest w porządku. Jeśli natomiast składa je Wałęsa z kolegami, to jest to działanie chuligańskie. Z tym, że nie aresztuje się Wałęsę, bo Wałęsa - chroniony Noblem i zachodnią opinią publiczną - jest jak gdyby niedostrzegalny. Aresztuje się natomiast osoby, które mu towarzyszą.

Kiedy Papież podczas swojej drugiej pielgrzymki do Ojczyzny mówił o podmiotowości pracy, o wolności, o sprawiedliwości, o wartościach moralnych, o prawie do zrzeszania się - dawano nam do zrozumienia, że popiera On tym samym politykę generała, który te wartości jakoby realizuje.

W przeciwieństwie do tego, co było w epoce gierkowskiej, kiedy polityka zmierzała raczej do zacierania konfliktów, jak gdyby wyciągała rękę do społeczeństwa /pisało się przecież o jedności narodu, podkreślano to, co niby społeczeństwo łączy/ - teraz robi się odwrotnie: wyraźnie dzieli się społeczeństwo. Wyrazem tej postawy jest działalność Urbana, a więc to, co nazywam Urbanowszczyzną: propaganda pełna arogancji i lekceważenia w stosunku do społeczeństwa.

Trzecią cechą obecnej polityki władzy jest tworzenie systemu pozorów. Świat pozorów spotykamy na każdym kroku - od pozorów negocjacji, z którymi mieliśmy do czynienia po zawieszeniu stanu wojennego, poprzez pozorowane, fasadowe instytucje i organizacje, poprzez całą tę tzw. normalizację, poprzez konsultacje, które stają się albo pseudokonsultacjami, albo w ogóle nie są przez władzę brane pod uwagę, jak to było w przypadku podwyżek cen czy nowelizacji ustawy o wyższych uczelniach.

Czwarta sprawa to nadmierne rozbudowywanie systemu prawa, nadprodukcja ustaw i przepisów szczegółowych. Z takim zalewem inicjatyw prawodawczych właściwie nie mieliśmy nigdy do czynienia, w całym czterdziestoleciu. Władza zmierza do usankcjonowania całego swego bezprawia.

Ale wracając do istotnej sprawy - różnicy między czasami gierkowskimi a obecnymi. Czasy gierkowskie cechowała chęć zdobycia popularności drogą kupowania całego społeczeństwa, różnych grup społecznych. Dziś - i to jest istota Urbanowszczyzny - władza rezygnuje ze zdobywania sobie sympatii, stawia na coś zupełnie innego: na zmęczenie ludzi, wzbudzenie niechęci i odrazy. Odraza i niechęć mają prowadzić do rezyg-

nacji. Władza doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co ludzi drażni, co ich złości i gniewa, i świadomie to drażnienie praktykuje. Jestem przekonany, że wiele działań i publikacji - zwłaszcza publikacji Urbana /te jego "Samosady"/ - ma na celu wywołanie uczucia upokorzenia i bezsilności. Jest to polityka dużo groźniejsza, dużo bardziej niebezpieczna od propagandy sukcesu, której absurdalność była dla większości oczywista, mogła nawet wywoływać uśmiech. Śmiech jest środkiem oczyszczającym i rozbijającym, natomiast operowanie szyderstwem i obelgą wywołuje nienawiść, rodzi uczucie bezsilności i rezygnacji.



Głównym celem tej propagandy jest odebranie społeczeństwu nadziei. Służy temu bezustanne powtarzanie, że jedyną naprawę liczącą się wartością jest siła, sukces i władza. Tego się nie mówi wprost, to się mówi ogródkami. Gdyby to było powiedziane jawnie i otwarcie, to można by tę tezę zanegować i odrzucić. Właśnie dlatego Urban woli operować aluzjami. Wedle słów pewnego socjologa - w tej propagandzie chodzi o to, żeby obrona najsłuszniejszych i najbardziej szlachetnych



racji moralnych, jawiła się nam jako groteskowy, żaloszny i bezpłodny wysiłek w konfrontacji z życiowymi realiami.

Jest tak, jak jest i nie zmienimy tego, żyjemy w tzw. realiach. Wobec tego trzeba się urządzać jak najlepiej, załatwić sobie wszystko, co się da załatwić - oto cała prymitywna filozofia obecnej propagandy. Jest to racjonalizm dla ubogich, jest to mrużenie okiem do społeczeństwa.

Jednym z podstawowych chwytów propagandy jest teza o mniejszym złe, koncepcja mniejszego zła. Nazywa się tę koncepcję czasami realizmem politycznym. To jest najbardziej ulubiony chwyt, który ma tę władzę uprawomocnić. Słyszeliśmy wielokrotnie, że 13 grudnia był mniejszym złem, bo uchronił nas od większego zła: od objęcia bezpośrednią opieką przez najlepszych przyjaciół. Strach przed najlepszymi przyjaciółmi i sojusznikami ma być niejako legitymacją tej władzy. Jest to najbardziej niezwykły paradoks tych osobliwych czasów. Oto gwarantem naszej suwerenności jest sojusznik, który wymaga tylko jednego: żebyśmy wyzbyli się własnej suwerenności. I nawet nie to jest niezwykłe, że tak jest w istocie, ale to, że ekipa Jaruzelskiego bez cienia żenady używa tego argumentu aby usprawiedliwić swoje posunięcia. Ta ekipa stroi się w szaty męża opatrzczościowego, ona chroni nas przed większym złem, przed zbrojną interwencją przyjaciół, przed rozlewem krwi, chroni nas także przed rodzimą konserwą. Bo zawsze, gdy jest złe, wyciąga się ten straszak, daje się do zrozumienia, że "ktoś" mógłby być gorszy, że lepszy jest Jaruzelski i Rakowski, niż Olszowski i Kociołek. Zapomina się jednak o tym, że ktoś przecież tę konserwę konserwuje, że nikt inny tylko władza hoduje i popiera ten najbardziej betonowy beton, przed którym nas jednocześnie ochrania i osłania.

Owa koncepcja mniejszego zła stosowana jest na wielkim polu i na wszystkich mniejszych polach polityki. Szkody, jakie płyną ze stosowania tej koncepcji, są zgoła niewymierne, bowiem społeczeństwo nie daje sobie na ogół sprawy, że tą teorią można usprawiedliwić właściwie wszystko. Ta teoria oznacza niesłychanie groźną erozję moralną, bo zbyt łatwo się zapomina, że to "mniejsze zło" jest jednak przecież złem. Przykładem zastosowania w praktyce tego paradoksu była linia obrony Piotrowskiego, który twierdził na procesie w Toruniu, że mniejszym złem było zabicie ks. Popiełuszki, niż pozwolenie mu na działalność pozareligijną. Takich przykładów można przytoczyć dziesiątki.

Z teorią mniejszego zła związana jest jeszcze inna koncepcja, rozwijana przez wielu publicystów, tzw. obrona państwa. To właśnie Koźniewski, Passent, Toeplitz i pomniejsi, w prowincjonalnych gazetach, dokonują nadzwyczajnej nieraz ekwilibrystyki, aby udowodnić tezę, że przede wszystkim trzeba ochronić państwo, "nasze największe dobro". Tu znowu mamy do czynienia z założeniem, które jest przecież w gruncie rzeczy słuszne. Przecież wszyscy się zgadzają, że instytucja państwa jest konieczna dla przetrwania narodu. Z drugiej jednak strony niewiele to, w gruncie rzeczy, znaczy. Nie mówi się bowiem o prawdziwej treści pojęcia "państwo". Ale nawet nie o to chodzi. Istota sprawy polega na tym, że mwawia się nam, iż wszelkie działanie, które z różnych względów władzy się nie podoba - np. czynnie demonstrowana, krytyczna postawa wobec konkretnych wynaturzeń, czy jakichś nieudolności systemu rządzenia - od razu podważa państwo, owo "najwyższe do-

bro". Stosowany jest tutaj zabieg myślowy niezlatwy do wykrycia, zwłaszcza że powielany jest jak ze sztancy w wielu artykułach: dobro państwa staje się jakby tożsame z interesem aktualnie rządzącej ekipy i z jej celami. Państwo staje się zatem tożsame z aparatem władzy, co jest twierdzeniem kłamliwym i ahistorycznym.

Z hasłem obrony państwa wiąże się koncepcja winy narodu. W czasie stanu wojennego było to ukochane hasło mojego b. szefa, p. Rakowskiego. Oto teza główna: Polacy są pozbawieni kultury politycznej, społecznej i kultury pracy, są obojętni niezatwą przeszłością, amoralnymi tradycjami XVII w., nie rozumieją racji stanu, sytuacji geopolitycznej i wszelkich uwarunkowań. A poza tym nie chcą i nie lubią pracować. Nie bez kozery przypomina się dziś często Wielopolskiego i jego słynne powiedzenie, że dla Polaków można zrobić bardzo wiele, z Polakami nic... I znowu jest w tym jakaś prawda. Tylko, że jest tu jakby odwrócenie sytuacji. Polacy źle pracują, to fakt, ale dlaczego źle pracują? Przecież zła praca jest wynikiem niedomagań tego systemu, który - wbrew sloganom - pracy nie szanuje, marnotrawi ją. Propaganda odwraca tę sytuację twierdząc, że przyczyną niedomagań systemu jest zła praca.

Z koncepcją winy narodu wiąże się inna kłamliwa koncepcja: kompromitacji zwyciężonego. To jest też teza, do której bardzo często powraca Urban w swoich felietonach. Wynika z niej rzekomo, że każdy nurt społeczny stłumiony siłą jest tym samym skompromitowany oraz że każde działanie, które zostało stordedowane przez działanie silniejsze, jest bezsensowne. Chciałbym w tym miejscu przypominieć wypowiedź Mariana Orzechowskiego, zamieszczoną na łamach pisma "Odrodzenie", w której sformułował on tezę zupełnie nową, dotychczas nie spotykaną w reżimowej publicystyce. A mianowicie - według niego - 13. grudnia dowiódł, że to właściwie większość społeczeństwa poparła stan wojenny. Gdyby społeczeństwo nie poparło Jaruzelskiego, to by musiało dojść do krwawego starcia, musiałyby się polać krew. A jeżeli krew się nie polała, to znaczy, że większość społeczeństwa poparła 13 grudnia. Doszli oni do tego, oczywiście, dopiero 4 lata po fakcie, ale te lata nie były zmarnowane. W tym czasie dokonywano przesuwania akcentów. Jeszcze w okresie zawieszenia "Solidarności" propagowano tezę, że "Solidarność" była ruchem dobrym, tylko ekstrema była zła i kierownictwo, które jej uległo. Dzisiaj obowiązuje teza, że cała "Solidarność" była zła. Tak kształtuje się obraz owych 16 miesięcy. Niekiedy mówi się z całym "liberalizmem", że "Solidarność" być może nie miała racji, ale stały za nią wartości moralne. Wszelako dyskwalifikuje ją - bardzo często podkreślany przez Urbana - fakt przegranej. Nie są bowiem ważne racje, popularność idei, nawet nie jest ważna prawda, ale ważna jest siła przebiecia. Racja jest zawsze po stronie zwycięzcy. Co więcej - Urban nas przekonuje, że zwyciężyli, ponieważ historyczna racja była po ich stronie. Tu znów mamy do czynienia z odwróceniem sytuacji: skutek jest przyczyną.

Urban stosuje także w swojej publicystyce taki perfidny chwyt - myśmy to nazwali koncepcją prezentu. Otóż - twierdzi on - wszystko, co jest potrzebne nam do życia, otrzymujemy jako dar od państwa. Wszystko, co łaskawie władza czyni, ma na celu dobro społeczeństwa. Ta mistyfikacja, uprawiana zresztą od wielu lat, głęboko wrosła w naszą świadomość. Napra-

wdę wielu ludzi sądzi, że tak jest, że otrzymujemy w darze mieszkanie, pracę, opiekę lekarską, cukierki dla dzieci itd., itp. I zapomina się o tym, że to wszystko jest za nasze pieniądze, z naszej pracy. Ale im chodzi o stworzenie przekonania, że ta władza wszystko nam daje jako podarunek. I w związku z tym jest głęboką nielojalnością, czarną niewdzięcznością krytykowanie czegokolwiek. Wszyscy, którzy żyją i pracują w PRL są w sytuacji lokaja utrzymywanego przez pana, któremu mają służyć.

Dariusz Fikus

# Mechanizm manipulacji

Polska i sprawy polskie ukazywane w oficjalnej prasie ZSRR, NRD i Czechosłowacji w latach 1980-82 budziły u nas szerokie zainteresowanie. Nie tylko dlatego, że dawały doskonały materiał do dowcipów /ówczesny korespondent "Rudego Prava", Jan Lipavski, stał się nawet bohaterem piosenek satyrycznych/, ale przede wszystkim ze względu na to, że sposób informowania o "polskiej anarchii" traktowaliśmy jako wykładnik stosunku "zaprzeczonych rządów" do przemian w Polsce. Oczywiście, nikt rozsądny nie oczekiwał, że "Literaturna Gazieta" poinformuje "czy" i "kiedy wejdą". Ważne były natomiast podteksty dotyczące szans "Solidarności" na przetrwanie. A także był to jeden z kanałów instruowania i grożenia nam przez "bratnie rządy i partie". O tym, jak reagowano na 13 grudnia 81, napisano już w niezależnej prasie sporo, natomiast niewiele wiemy o sposobie informowania o porwaniu i zamordowaniu księdza Jerzego Popiełuszki w komunistycznej propagandzie południowego sąsiada.

X X X

Analizę doniesień o porwaniu zaczniemy od informacji wstępnych. Czeskie "Rude Pravo" i słowacka "Pravda" są organami KC w CSRS, stanowią więc odpowiednik "Trybuny Ludu", a tym samym ukazują się w największych, w porównaniu z innymi gazetami, nakładach, mają największą liczbę zagranicznych korespondentów oraz - co może najistotniejsze - każda podana w nich wiadomość musi być zgodna z oficjalną linią partii /tej regule podlegają nawet wiadomości sportowe!/. Obie gazety otrzymują wiadomości z Polski kilkoma kanałami. Po pierwsze, w Warszawie rezyduje stale specjalny korespondent /obsługuje oba pisma/. Cieszącego się złą popularnością Jana Lipavskiego, zastąpił na tym samym stanowisku Pavel Minarik, który stylem pracy dokładnie przypomina swego poprzednika. Drugi czeski kanał informacyjny, to wiadomości agencyjne ČTK /odpowiednik PAP-u/. Agencja ta ma również korespondenta oddelegowanego do Warszawy. I wreszcie trzecie źródło, wykorzystywane bardzo chętnie i często: polska prasa oficjalna, szczególnie "Trybuna Ludu" i "Żołnierz Wolności". Inne środki masowego przekazu przynoszą dużo mniej informacji o Polsce, z reguły ograniczając się do powtarzania komentarzy ČTK. Można więc powiedzieć, że "Rude Pravo" i "Pravda" posiadają niemal monopol na informowanie o sprawach zagranicznych, w tym o Polsce /pomijamy tu TV - ma ona co prawda korespondenta w Warszawie, ale obraz Polski w czechosłowackiej telewizji jest jeszcze bardziej ubogi i skrzywiony, niż w obu wspomnianych dziennikach. Zapewne i dlatego, że manipulowanie obrazem jest trudniejsze technicznie. Większość migawek z Polski w Dzienniku TV CSRS, to obrazy uścisków bratnich przywódców, sceny podpisywania porozumień, przyloty i odloty oficjalnych delegacji./

X X X

x/ Z materiałów Instytutu Europy Wschodniej.



Pierwsze spostrzeżenie, które nasuwa się po lekturze wszystkich opublikowanych w "Pravdzie" i "Rudym Pravie" informacji, wzmianek i komentarzy o śmierci ks. J. Popiełuszki, to nadspodziewanie duża liczba tekstów. Oto bowiem słowacka "Pravda" zamieściła ich dziewięć, co - biorąc pod uwagę wstydliwy dla komunistów temat - prowokuje do snucia domysłów nad taktyką propagandowego rozegrania kompromitacji SB, zwłaszcza, że wiadome organa kreowane konsekwentnie w prasie GSRŚ od Sierpnia 80 na jedyną, obok partii, siłę dzielnie przeciwstawiającą się anarchii, chaosowi, prowokacjom "Solidarności" i imperialistów, ujawniającą zbrodnie Rulewskich, Bujaaków, Wałęsów and Co. Zdziwienie i apetyt na rewelacje przechodzi jednak czytelnikowi zanim doczyta do końca pierwszą z notatek dotyczących porwania. Po pierwsze dlatego, że styl i zasady propagandy w niczym nie odbiegają od wcześniej stosowanego modelu, po drugie zaś - owe "informacje" w większości ograniczają się do kilkunastu notek, powtarzających za "Trybuną Ludu" dobrze znane nam formuły. Z jednym jednak zastrzeżeniem. Tamci "specjaliści od spraw polskich" posunęli się mianowicie w przeinaczaniu faktów dalej, niż nasze rodzime środki przekazu. Porwanie i morderstwo stały się od początku materiałem, służącym do bezpośredniego oskarżania... "Solidarności", prowokatorów z podziemia i Kościoła w Polsce. Niżej przedstawione zasady manipulacji informacją wydadzą się czytelnikowi polskiemu prymitywne, wręcz zabawne w swej bezczelności. Przypomnijmy jednak, że teksty te adresowane są do odbiorców niedoinformowanych, skazanych /poza wyjątkami/ na monopol informacyjny partyjnej prasy.

1. Afera z porwaniem księdza Jerzego wmontowana została w mechanizm zasad obowiązujących nad Wełtawą w informowaniu o sprawach polskich. Jedną z owych zasad określić można następująco: o sprawach niewygodnych propagandowo mówić mało, jak najmniej. Sprzeczność z przedstawioną wyżej konstatacją o sporej ilości tekstów jest pozorna. Spośród dziewięciu artykułów dwa stanowią spreparowane tłumaczenia skrótów komentarzy PAP, jeden to omówienie konferencji prasowej Urbana, kolejny - to relacja o posiedzeniu KC PZPR, w którą wpleciono informację o wrogim stosunku partii do terroryzmu, a jedynie pięć tekstów to informacje własne. Ale nawet wśród tych pięciu najbardziej nas interesujących, cztery to jedynie kilkunastu zdaniowe /od 1 do 5 zdań/ notatki.

Można jednak zapytać: skoro temat jest niewygodny, to dlaczego nie unikano go w ogóle? Nie byłoby to w historii propagandy realnego socjalizmu ewenementem. Odpowiedź jest prosta: ci mieszkańcy południowych Czech i południowo-zachodniej Słowacji, którzy choćby słabo znają język niemiecki, mogą bez przeszkód odbierać program telewizji austriackiej lub RFN. Tam zaś wiadomości o porwaniu i zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki były przez dłuższy czas wiadomością dnia. Całkowicie pominięcie sprawy, którą szeroko komentowano w całej Europie, mogło więc być niewygodne. Uznano, iż bardziej celowe będzie wykorzystanie wydarzenia do kontynuacji wcześniejszej linii propagandowej.

2. Poetyka przemilczeń i kłamstw. Pierwsza notka o porwaniu została opublikowana dopiero 23 października /cztery dni po fakcie, w dniu aresztowania funkcjonariuszy MSW/. Jej zawartość informacyjna ogranicza się do jednego zdania: "Jak podała polska agencja PAF, nieznani sprawcy /podkreślenie na-

sze/ porwali 19 października w pobliżu Torunia księdza Jerzego Popiełuszkę." Pozostałe cztery zdania /zwracamy uwagę na proporoje! / podkreślają "energiczne działania sił bezpieczeństwa" /2 zdania/, a przede wszystkim montują kontekst prowokacji ze strony "Solidarności" i Kościoła: "Chociaż nic dotąd nie wiadomo o sprawcach i motywach ich czynu, przywódcy byłej "Solidarności" próbują wykorzystać porwanie Popiełuszki do kampanii antypaństwowej. Również polski episkopat pospieszył z oświadczeniem jakoby "porwanie nastąpiło z powodów politycznych".

Najjaskrawszym przykładem posługiwania się przemilowaniem jest sposób poinformowania o sprawcach mordu. Polskie środki przekazu, a za nimi agencje światowe, oznajmiły o zatrzymaniu pracowników MSW, podejrzanych o zamach na życie księdza Jerzego, 23 października. Czytelnik "Pravdy" musiał czekać na tę informację długo, jeżeli zaś był czytelnikiem nieważnym lub niecierpliwie odbierał nowomowę komentarzy zagranicznych prasy czechosłowackiej, to mógł się o tym fakcie... w ogóle nie dowiedzieć! Jedyna wzmianka o zatrzymaniu podejrzanych wciśnięta została w najobszerniejszy co prawda komentarz na tematy polskie, ale nie dotyczący bezpośrednio porwania, odpowiedzialności za zbrodnię, czy choćby przebiegu wydarzeń. Tekst ten stanowi prawdziwy majstersztyk propagandowy, dlatego podajemy go na końcu niniejszego opracowania w dosłownym tłumaczeniu. Tym, którzy pamiętają rodzinnych "oratorów" po wydarzeniach marcowych 68 czy w czerwcu 76, skojarzy się niewątpliwie ten popis erudycji z metaforyką typu: "... syjonistyczna pieczeń usmażona na polskim różnie..." albo określeniami bardziej swojskimi: "elementy wyrotowe", "chuligani", "ekstrema" itp.

3. Kolejną zasadą dezinformowania polega na tym, że nazwisko księdza Popiełuszki jest sygnałem do natychmiastowego uruchomienia sprawdzonych kontekstów. Wybór tych kontekstów nie jest imponujący ilościowo, a o oryginalności nie ma co mówić. Łatwo podać pełne ich zestawienie: "prowokacja wymierzona w partię i tow. Jaruzelskiego", "tragedia, na której żerują polityczni hazardziści", "akcje weteranów konfrontacyjnych ozynów, specjalistów od wywoływania awantur i mistrzów prowokacji - Jaworskiego, Kuronia, Wujca, Romaszewskiego, Onyszkiewicza". W powyższy sposób publicyści "Pravdy" i "Rudego Prava" nie marnują miejsca w gazetach na podawanie faktów, a zajmują się tym, co najważniejsze - karmieniem odbiorcy mało strawną papką, na dodatek ciągle podgrzewaną.

Warto też zwrócić uwagę na tytuły omawianych doniesień /donosów/ - one również "ustawiają" czytelnika, programują odbiór wiadomości: "Nie pozwolic na powrót anarohii", "Tło prowokacji", "Protest rządu polskiego" /oczywiście, przeciwko żerowaniu imperialistów i ich szlugusów na tragedii/, "Niebezpieczna prowokacja polityczna", "Konieczny porządek i dyscyplina".

4. Istotną cechą doniesień z Warszawy była tendencja do neutralizowania politycznego znaczenia morderstwa na księdzu Popiełuszce, przynajmniej tego znaczenia, które dla każdego jest oczywiste. Trzeba przyznać, że zabiegu tego dokonywali komentatorzy czechosłowaccy w sposób brawurowy i bezczelny, choć mało logiczny. Nie wystarczało im pominięcie nazwisk i miejsca pracy zabójców oraz metod działania SB. Zgodnie z tezą, że najlepszą obroną jest atak, skonstruowano następu-

jący dowód niewinności MSW, PZPR i Przewodzącego Urzędu: komunizm i komuniści nie mają nic wspólnego z terrorem, terroryzmem, zamachami i mordami politycznymi. Wręcz przeciwnie - to imperialiści, trockiści, CIA i "zawodowi antykomuniści w Polsce" są odpowiedzialni za awantury polityczne na całym świecie, a szczególnie za takie incydenty, jak hitlerowska prowokacja gliwicka, zastrzelenie biskupa Romero, zamach na Aldo Moro, cicha wojna z Nikaraguą. Można podać nawet "corpus delicti": tajna instrukcja CIA, zawierająca sugestie jak i kogo mordować. Niestety, to nie jest czarny humor. Panom Minarikowi, Porybnemu i innym nie przeszkadza, że każdy logicznie myślący /poprawka: wystarczy samo "myślący"/ obserwator wydarzeń poszukuje odpowiedzi na pytania: kto zabił? kto jest za morderstwo odpowiedzialny? Wystarczy stworzenie próżni informacyjnej, by móc następnie wciskać do głów najbardziej nawet nieprawdopodobne bzdury.

5. Ciężkość propagandy na tematy polskie polega nie tylko na ukazywaniu "jedności" procesu historycznego od Gliwic po Nikaraguę. Tuż po sierpniu stworzono słownik terminów, doskonale służący celom propagandy. Oczywiście, nie ma w tym niczego zaskakującego. Nowomowa nie jest wynalazkiem agencji CTK. Pamiętajmy jednak, że mamy do czynienia z sytuacją różną od znanej nam z polskiego doświadczenia. Polega ona na tym, że system oddziaływania propagandowego w Czechosłowacji działa sprawniej i bardziej konsekwentnie niż w Polsce. Spróbujmy wyobrazić sobie, że jedynym źródłem informacji o świecie jest u nas "Żołnierz Wolności" i Jerzy Urban, a będzie to tylko mała próbka systemu obowiązującego u naszych południowych sąsiadów, zwłaszcza że zasięg działania niezależnych instytucji typu Karta 77, VONS, wydawnictwa niezależne, jest tam mocno ograniczony.

Powróćmy jednak do repertuaru chwytów "Pravdy" i "Rudego Prava" stosowanych w artykułach o Polsce. Oprócz znanych i nam środków /wartościujące przymiotniki, wmawianie jedności partii i społeczeństwa przeciw Kościołowi i przestępcom z "Solidarności"/, pojawiają się i takie: "przywódco byleż Solidarności" /skoro "była" "Solidarność", to dlaczego "przywódco" nie "byli"?/, "okupacja kościoła" /= modlitwy i msze w intencji ks. Jerzego/, "prowokacyjna manifestacja" /= pogrzeb ks. Popiełuszki/. Konsekwentnie stosowane są również dwa, przeciwstawiane sobie, ciągi skojarzeń:

- jeśli "partia" i "rząd", to zawsze w towarzystwie słów "konsolidacja", "normalizacja", "dążenie do pokoju", "porozumienie społeczne", "starania o dobrobyt społeczeństwa"...  
- jeśli "Solidarność" /zawsze "była"/, to obok - "Kontrrewolucja", "cynizm", "szpiegostwo", "spiski", "żerowanie na tragedii....." /tu wpisać nazwisko kolejnej ofiary/.

X X X

Niewątpliwie "problem polski" nadal znajduje się w centrum uwagi sterników propagandy komunistycznej w Czechosłowacji. Świadczy o tym wyraźnie reżyserowana konwencja komentowania wydarzeń w Polsce. Zwróćmy przy tym uwagę, że aparat propagandowy znajduje się w bardzo korzystnej sytuacji dzięki utrzymywaniu za wszelką cenę monopolu informacyjnego. Morderstwo dokonane przez funkcjonariuszy MSW można więc było przedstawić w środkach przekazu na wiele sposobów, w zależności od zamierzonych celów. Zastanawiające, że wybrano i konsekwentnie zastosowano wariant "nieznanych sprawców", do-

Konujących "prowokacji przeciw polityce partii i rządu", choć nie mniej atrakcyjne dla ideologów w Pradze mogły wydawać się inne, np. wątek mafijnych porachunków wewnątrz podziemia, akcja CIA, porwanie dla okupu... Wydaje się, że zdecydował pragmatyzm, tj. możliwość połączenia stałej linii propagandowej /atakowanie wszystkich/, co w Polsce niezależne od ośrodków decydenckich/ i niespodziewanego wydarzenia w spójny "proces dziejowy".

X X X

Na zakończenie, cytuję z artykułu opublikowanego w "Prawdzie" z 30.10.84 r. pod tytułem "Niebezpieczna polityczna prowokacja": "ZEROWANIE NA TRAGEDIĘ JEST PODŁOŚCIĄ".

Bedykujemy to zdanie warszawskim korespondentem prasy czechosłowackiej.

/p.n./

### KULISY PROWOKACJI

/Artykuł Zdenka Porybnego, opublikowany w bratysławskiej "Prawdzie" 31.10.1984/

Wiadomości z Polski w ciągu ostatnich dni pokazują, że siły polskiego podziemia kontrrewolucyjnego i międzynarodowej reakcji, która je popiera, chcą wykorzystać porwanie katolickiego księdza J. Popiełuszki do prób politycznej prowokacji wymierzonej w PZPR, władzę ludową, cały proces konsolidacji życia politycznego i gospodarczego kraju. Siły antysocjalistyczne znowu rozpowszechniają ulotki wzywające do strajków, niepokoju. W licznych kościołach wywieszają się pamflety o antyrządowej treści, mnożą się symbole rozwiązanej "Solidarności". Reakcyjne środki przekazu na Zachodzie robią równocześnie wszystko, by te nastroje jeszcze bardziej potęgować.

Informowaliśmy już, że KC PZPR na posiedzeniu 27.10.84 potępił porwanie jako niczym nie usprawiedliwiony akt przestępczy, który nie ma nic wspólnego z polityką PZPR i polskiego rządu. KC wezwał organy ścigania i sądownictwa do przyspieszenia śledztwa i ukarania sprawców. Rzecznik rządu PRL stwierdził jednoznacznie, że porywacze działali wbrew polityce partii, rządu i że będą postawieni przed sądem.  
/.../

Dodajmy, że podobne czyny nie mają nic wspólnego z polityką i praktyką całego międzynarodowego ruchu komunistycznego i robotniczego, który zawsze walczył właśnie przeciw tym, którzy terrorem indywidualnym chcieli rozwiązywać problemy społeczne - przeciw anarchistom, najróżniejszym ultrapravicowcom, trockistom. Międzynarodowy ruch rewolucyjny pryncypialnie odciął się od nich. Historia dostarczyła już dostatecznie dużo przykładów, komu służą podobne prowokacyjne akcje - zawsze służą siłom reakcji, prawicy, kontrrewolucji.

Motyw porwania polskiego księdza stale otoczony jest wieloma znakami zapytania. Gdyby do niego nie doszło w kraju socjalistycznym, jego scenariusz wyglądałby na kopię niedawno ujawnionej tajnej instrukcji amerykańskiej służby infor-



macyjnej CIA na temat wojny psychologicznej, w której agentom CIA zaleca się m.in. wykorzystywać odpowiednie osoby do prowokowania demonstracji i starć z urzędami, do wywoływania niepokoju i strzelaniny.

Polska ma także swoje historyczne doświadczenia z politycznymi prowokacjami. Wystarczy przypomnieć incydent "gliwicki", w którym Hitler w przeddzień napaści na Polskę zainscenizował napad na niemiecką radiostację w Gliwicach przez osoby przebrane w polskie mundury. Ta akcja miała otworzyć śluzę podlegawczej nazistowskiej propagandy i uargumentować napad na Polskę. Historia zna wiele podobnych prowokacji i prędzej czy później znane będą też kulisy obecnej.

W jedno nie można wątpić już dzisiaj - komu posłużyło porwanie katolickiego księdza, kto smaży na nim swoją pieczeń, komu to jest na rękę? Odpowiedź jest jednoznaczna: siłom, którym jest nie w smak, że w Polsce zapobieźono próbie kontrrewolucyjnego przejęcia siłą władzy, że dokłada się wszystkim sił, by skonsolidować życie w kraju. Właśnie te siły chciałyby w dzisiejszej, rozjątrzonej atmosferze wykorzystać przestępstwo trzech pracowników MSW do celów politycznych o dużym zasięgu. Jak wskazała agencja PAP, już pojawili się ludzie, którzy pasyżytują na tragedii. Chwycili się jej jak niecodziennej okazji do tego, by wystąpić zza kulis, by dokonać rewansu za porażkę polityczną...

Te właśnie siły politycznego rewansu chętnie zhańbiłyby i zdestabilizowałyby te elementy władzy ludowej w Polsce, które niosły i niosą wielki ciężar boju z kontrrewolucją. Chętnie też zhańbiłyby wszystkich polskich komunistów, wszystkich zwolenników socjalizmu w Polsce i zahamowały trudny proces konsolidacji w kraju, przerwałyby początek normalizacji stosunków z Zachodem, z Kościołem.

Indywidualny terror, jako metodę likwidacji wrogów politycznych, zawsze stosowała i stosuje reakcja. Tak przed czterema laty faszystowskie komando zamordowało arcybiskupa Romero, który nie podobał się miejscowej reakcji i jej amerykańskim protektorom dlatego, że sprzeciwiał się antyludowemu reżimowi, utrzymywanemu przy życiu dzięki amerykańskiemu dolarom i amerykańskiej broni. Tak zamordowano byłego premiera Włoch, Aldo Moro - rękoma terrorystów z maoistowskiej organizacji Brigade Rosse, manipulowanej przez stojące w cieniu określone zachodnie służby tajne, przez które Aldo Moro został "skazany" dlatego, że był zwolennikiem udziału komunistów w rządzie włoskim. Tak samo jak "zneutralizowano", stosując cytowaną instrukcję CIA, niewygodnego salwadorskiego arcybiskupa i włoskiego polityka, rozdmuchuje się dziś antypolską i antysocjalistyczną kampanię, wykorzystującą tragiczne okoliczności porwania polskiego księdza katolickiego.

Zbrodnie eskadr śmierci w Salwadorze, rozkazy CIA "neutralizowania" przedstawicieli rządu sandinowskiego w Nikaragui, czy rozmieszczanie min w wodach terytorialnych innych państw, wszystko to są elementy jednego politycznego działania. Inspiratorzy tych akcji dziś wylewają obłudne łzy nad polskim księdzem, ale jednocześnie nie hamują się w rozpętywaniu namiętności, hazardowych czynów, które - jak podkreśla się w Warszawie - grożą nieobliczalnymi skutkami.

Trum. /p.n./



## PARK W VALRUSACH

Josefowi Palivcovi

Gdy weszła, uchylając lekko bramki  
zmieszał się: Nie wchodź!  
Boję się i lękam twych oczu.  
Uśmiechnęła się, a on zachłysnął się szczęściem  
Wkrótce rzekła: Odchodzę.  
Pracząc prosił ją: Nie odchodź.

Ale ona odeszła.

Kto tu mówił o szczęściu?

Nie ma żadnego szczęścia.

Wszyscy są nieszczęśliwi,  
ale niektórzy o tym nie mówią.  
Przy wejściu stoi kocz.

Zaprzęgają konia.

I poeta odjeżdża.

Pozostają po nim brzeg i rzeka  
i stare drzewa pełne gawronów  
Także obtłuczony Sfinks.

Ale ten zgoła nic nie wie,

udaje tylko.

Jedynie woda w rzece

a może i wiatr

mają pamięć.

A ponieważ ustawicznie wracają  
może znają tajemnicę płoszenia żałoby.  
Gdybyż nam ją zdradzić zechciały  
Lecz woda upływa

i noc splukuje z niej ciemność,

aż stanie się różowa.

Nogi zaś moje wodzie nie wystarczą,

abym wysłuchać ją mógł do końca.

I znowu ktoś lekko uchyla bramki

i wchodzi.

Nie wchodź!

Boję się i lękam twych oczu.

Lecz ta, co weszła, już się uśmiechnęła.

/Tłum. Maria Wirpsza-Kurecka/

## MOROWY SZŁUP

W cztery strony świata obraca się  
czterech zdemobilizowanych książąt  
wojska niebieskiego.  
I cztery strony świata  
są zamglone  
i obwieszane ciężkimi czterema zamkami.

Na drodze słońce zatacza się  
stary cień słupa  
od godziny łańcuchów  
do godziny tańca.

Od godziny róży,  
do godziny węzowych zębów  
od godziny uśmiechu  
do godziny nienawiści.

Od godziny nadziei  
do godziny Nigdy  
i stąd jest już tylko jeden krok  
do godziny beznadziejności  
i do kołowrotu śmierci.

Nasze życie przesuwają się  
jak palec po ściernym papierze.  
Dni, tygodnie, lata, wieki.  
A bywało, że przepłakaliśmy  
rok po roku.

Jeszcze dzisiaj chodzę wokół słupa,  
gdzie tak często czekałem  
i słuchałem ciurkania wody  
z jego apokaliptycznych pysków.  
I raz myślałem o zalotności wody  
aż cień padł na twoją twarz.  
To była godzina róży.

/Tłum. Włodzimierz Odojewski/



## PIOSENKA O ŚMIECIACH

Co pozostało z tych pięknych chwil?

Blask oczu  
kropelka zapachu  
kilka westchnień na wyłogach  
oddechów na szkle  
szczypta łez  
i naporstek smutku.

A ponadto, wierzcie mi, już prawie nic.

Garstka dymu papierosowego  
przelotny uśmiech  
i kilka słów  
które wirują w kącie  
jak śmieci  
gdy je rozdmucha wiatr.

A jeszcze - żebym nie zapomniał -

trzy płatki śniegu.  
To wszystko.

/Tłum. Maria Wirwsza-Kurecka/

x x x

Dopiero na starość nauczyłem się  
kochać ciszę.  
Niekiedy wzrusza bardziej niż muzyka.  
W ciszy pojawiają się rozchwiane znaki  
i na rozdrożach pamięci  
usłyszysz imiona,  
które zadławić próbuje czas.

Wieczorem w koronach drzew słyszę  
nawet serce ptaka.  
I kiedyś na cmentarzu  
słyszałem z głębi grobu  
skrzyp trumny.

/Z cyklu "Słup mostowy"/

/Tłum. Włodzimierz Odojewski/

Michał Fordon

# Sprawiedliwość na opak

Zmiany w kodyfikacji karnej uchwalone przez Sejm w dniu 10 maja i wprowadzone w życie z dniem 1 lipca br. w postaci dwóch ustaw, a mianowicie ustawy o zmianie niektórych przepisów prawa karnego i prawa o wykroczeniach oraz ustawy o szczególnej odpowiedzialności karnej, stanowią najbardziej drastyczny krok w celu utrzymania, jak się to w oficjalnym języku nazywa "ładu, porządku i poszanowania prawa" od chwili zniesienia stanu wojennego. Są one wyrazem tendencji, jaka rysuje się od kilku lat, mówiąc dokładniej od czasu znoszenia rygorów stanu wojennego. Przejawem jej jest zastępowanie znoszonych obostrzeń i zakazów innymi, pozwalającymi ująć w mocne cugle oaze spokoju, ze specjalnym uwzględnieniem działaczy "Solidarności" i opozycji, czyli osób najbardziej kłopotliwych dla władzy.

Stąd też niektóre zmiany w prawie karnym zaczęto wprowadzać już w progu zawieszenia stanu wojennego. Wypada tu wspomnieć ustawę o szczególnej regulacji prawnej w okresie zawieszenia stanu wojennego z dnia 18 grudnia 1982 r., która - pomimo swej nazwy sugerującej, iż obowiązywanie jej jest czasowe - wniosła trwałę zmianę do kodyfikacji karnej. Jeden z rozdziałów wspomnianej ustawy, zatytułowany "Zmiany w obowiązujących przepisach", wprowadził szereg innowacji do kodeksu karnego i kodeksu postępowania karnego, pozostających w mocy aż po dzień dzisiejszy. Tam właśnie znaleźć można przepis, który w minionych trzech latach zrobił ogromną wprost karierę. Jest to dopisany do kodeksu karnego art. 282a, który brzmi: "Kto podejmuje działania w celu wywołania niepokoju publicznego lub rozruchów podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech". Przepis ten, który nie precyzuje wszak na czym owo działanie miałoby polegać, jest ogromnie rozciągliwy i pasuje do rozmaitych stanów faktycznych. Nic więc dziwnego, że z tego właśnie artykułu sądzonych jest po dzień dzisiejszy najwięcej działaczy "Solidarności" i opozycji, kolportujących prasę podziemną czy ulotki, rozlepiających plakaty, czy też biorących udział w pokojowych manifestacjach i protestach. Ów gumowy artykuł stał się jeszcze groźniejszy z chwilą wprowadzenia ostatnich zmian. Osoby, którym postawiono zarzut z art. 282a są bowiem obecnie sądzone w trybie przyspieszonym, o którym za chwilę.

Zmiany wprowadzone w przededniu zawieszenia stanu wojennego na tym się nie kończą. Przewidziano również, obok grożącej już uprzednio odpowiedzialności karnej za rozprowadzanie, odpowiedzialność za sporządzanie w celu rozpowszechnienia druków, nagrań itp. "zawierających fałszywe wiadomości mogące wyrządzić poważną szkodę interesom PRL" i wyznaczając za nie karę od 6 miesięcy do 5 lat więzienia. Wreszcie, pewną interesującą, acz na pozór niewielką zmianę wprowadzono

do kodeksu postępowania karnego. Na mocy art. 198 sąd i prokurator mogą w każdej chwili wydać postanowienie o udostępnieniu przez urząd pocztowy i telekomunikacyjny na potrzeby postępowania karnego treści rozmów telefonicznych, korespondencji i zawartości przesyłek pocztowych. Jest to szczegóół o tyle ciekawy, iż ta sama ustawa w pierwszej swej części przywraca obywatelom większość zawieszonych w stanie wojennym praw, a w tym również - jakby na ironię - znosi cenzurę przesyłek pocztowych, korespondencji oraz rozmów telefonicznych. Dalsze, niebawem wprost, ograniczenie niby to przywróconych praw obywatelskich przyniosła z sobą wydana w dniu 14 lipca 1983 r., a więc u progu zniesienia stanu wojennego, ustawa o Ministrze Spraw Wewnętrznych, nie wchodząca zresztą w skład kodyfikacji karnej. Zezwala ona funkcjonariuszom służby bezpieczeństwa i milicji na legitymowanie obywateli bez żadnych powodów, zatrzymywanie ich, przeszukiwanie mieszkań, dokonywanie kontroli osobistej, przeszukiwanie bagaży itp.; ubrano więc w majestat prawa wszystko to, co w stanie wojennym uważaliśmy za bezprawie. Milicja może przy tym działać wedle swego uznania, ani prokurator, ani tym bardziej sąd, nie są wcale potrzebni. W razie znalezienia nielegalnych wydawnictw, sprzętu drukarskiego lub innych zakazanych przedmiotów grozi odpowiedzialność karna. Przyznanie służbie bezpieczeństwa i milicji tak szerokich uprawnień ma na celu z jednej strony inwigilację społeczeństwa, z drugiej zaś - wytworzenie atmosfery ogólnego zagrożenia.

Przed zniesieniem stanu wojennego doszło też do znacznego podniesienia grzywien zarówno w sądach, jak i w kolegiach do spraw wykroczeń, co dotknęło opozycjonistów sądowych na przemian bądź za naruszenie porządku, bądź za niesubordynację wobec milicji /gdy ta ostatnia nakazywała np. się rozejść/.

**W ŚCISZEJ  
TAJEMNICY** Wszystkie trwałe zmiany wprowadzone w okresie wstąpienia stanu wojennego zmierzały do spacyfikowania społeczeństwa, co władza tłumaczyła niestabilną sytuacją w kraju i rozmaitymi niebezpieczeństwami. Najgorsze przyszło jednak wówczas, gdy zaczęto mówić coraz głośniejsz o normalizacji i przywróceniu porządku, zaś światło w osławionym tunelu Jaruzelskiego stawało się coraz jaśniejsze, przynajmniej w oczach ekipy rządzącej. Wtedy właśnie, gdy wedle oficjalnych źródeł sytuacja w kraju znacznie się jakoby poprawiła, zaś wpływ "Solidarności" i podziemia osłabł /klapa, zupełna klapa - oświadczył Urban na jednej ze swych wrześniowych konferencji prasowych/, sięgnięto po środki niezwykle drastyczne, budzące podejrzenia, że z normalizacją wcale nie jest tak dobrze.

Pomysł znówelizowania kodyfikacji karnej nie był zresztą nowy, tyle tylko, że ekipa Jaruzelskiego odwróciła na opak wcześniejsze zamysły. O potrzebie zmian mówiło się od dawna, ponieważ kodeks karny i kodeks postępowania karnego z 1969 r. obciążone były poważnymi wadami, zwłaszcza nadmierną surowością i niedostateczną ochroną praw podejrzanego i oskarżonego. Świadczyła o tym nie tylko analiza wyroków sądowych, charakteryzujących się nieustannym wydłużaniem kary pozbawienia wolności, ale i populacji więziennej. W Polsce w 1979 r. siedziało stokilkanaście tysięcy ludzi, proporcjonalnie znacznie więcej niż w NRD, Czechosłowacji czy na Węgrzech, nie mówiąc już o krajach zachodniej Europy. Odkryto też, że drakoński

reżim, wprowadzony do naszych więzień w latach siedemdziesiątych, nie wychowuje lecz pacy charaktery i niszczy zdrowie skazanych, zaś utracić wolność łatwo, zwłaszcza że areszty tymczasowe nie są poddane skutecznej kontroli. Rozpoczęto więc prace zmierzające do zmian, których celem miała być pewna liberalizacja oraz lepsze zagwarantowanie praw ludzi podejrzanym i oskarżonym w postępowaniu przygotowawczym i sądowym. W roku 1981 pracowały aż dwie komisje kodyfikacyjne, z których każda przygotowywała własny projekt zmian: jedna "Solidarności", na czele z profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i członkiem rzeczywistym PAN - Władysławem Wolterem, druga - Ministerstwa Sprawiedliwości, w skład której weszli również postępowi /przynajmniej wówczas/ profesorowie prawa. Kres tym pracom położyło oczywiście wprowadzenie stanu wojennego. Dopiero w roku 1984 zaczęto mówić o przygotowywanych w tajemnicy przez Komitet Rady Ministrów do spraw Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej pod wodzą gen. Czesława Kiszczaka, nowych projektach zmian. Tyle tylko, że pierwotne zamierzenia, mające prowadzić do humanizacji prawa karnego, uległy zupełnemu odwróceniu. Wstępnym założeniem Komitetu było bowiem uznanie polskiego prawa za zbyt łagodne, sądów za zbyt liberalne, a więzień za zbyt puste.

Nad dwiema wspomnianymi na wstępie ustawami pracowano w ścisłej tajemnicy, bardzo długo żadne informacje nie przenikały do opinii publicznej, o dyskusji społecznej nad projektami nie było w ogóle mowy. Ostatecznie przekonsultowano je jednak z Instytutem Państwa i Prawa PAN, z Uniwersytetem Warszawskim /Wydziałem Prawa/ oraz z Naczelną Radą Adwokacką, przy czym opinie wszystkich wymienionych środowisk były zdecydowanie negatywne. Przeciwno ustawom wypowiedziała się znaczna większość ekspertów, poparło je tylko - usługowe wobec władzy - Zrzeszenie Prawników Polskich. O kształt projektów toczyły się jeszcze boje w komisjach sejmowych, jednak ani krytyka, ani perswazja nie przyniosły żadnych rezultatów. Ekipie rządzącej nie przypadły do przekonania argumenty, że zmiany są niecelowe z punktu widzenia racjonalnej polityki karnej, a naoto sprzeczne z Konstytucją, jak i konwencjami międzynarodowymi.

Uchwalaniu zmian w kodyfikacji karnej, ani wejściu ich w życie nie towarzyszyły żadne protesty społeczne, choć zdaniem moim problem ten był ważniejszy od podwyżki cen. Społeczeństwo wciąż jeszcze nie dość dobrze obznajmione z naszym prawem, nie orientowało się co zmiany te mogą oznaczać w praktyce, władza zaś ze swej strony starała się je przekonać, że kieruje się interesem społecznym i wychodzi naprzeciw żądaniom robotniczym. W telewizji pokazano paru ochotników, którzy powtarzali, że ze złodziejstwem, chuligaństwem itd. trzeba bezpardonowo walczyć i nowe ustawy weszły w życie niemal wśród oklasków. Prasa wychwala je zresztą po dzień dzisiejszy, zapewniając, że staną się filarem ładu, porządku i praworządności. Przeciężni obywatele, zwłaszcza ci niezbyt jeszcze liczni, którzy zetknęli się już z ofiarami nowych regulacji, teraz dopiero zaczynają rozumieć, co się stało.



KARACI WSZYSTKICH  
ZA WSZYSTKO

Przejdźmy jednak do omówienia nowych ustaw. Pierwsza z nich, to ustawa o zmianie niektórych przepisów prawa karnego i prawa o wykroczeniach, która ma obowiązywać na stałe i została już inkorporowana do kodeksu karnego, jak i do kodeksu o wykroczeniach. Druga - ustawa o szczególnej odpowiedzialności karnej jest znacznie groźniejsza, choć obowiązywać ma tylko przez trzy lata, czyli od 1 lipca 1985 r. do 30 lipca 1988 r. Nikt nie może jednak mieć pewności, czy okres jej obowiązywania nie będzie przedłużony. Ustawy czasowe mają u nas zazwyczaj bardzo długi żywot, wystarczy wspomnieć niesławną historię małego kodeksu karnego z roku 1947, który obowiązywał aż do 1970 r.

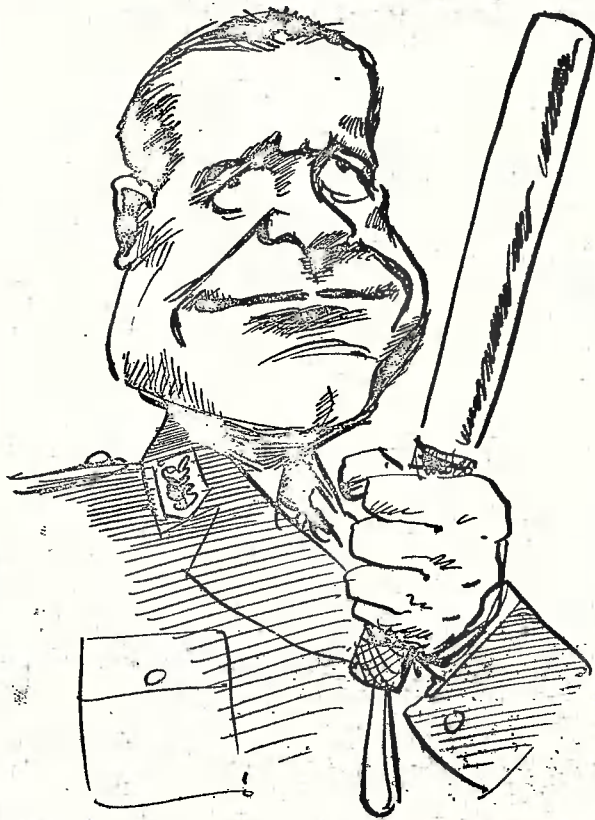
Zatrzymajmy się chwilę nad zmianami, jakie przyniosła z sobą pierwsza z ustaw. Otóż przede wszystkim podniosła ona drastycznie wszystkie grzywny przewidziane w kodeksie karnym i kodeksie o wykroczeniach. Poprzednio najniższa grzywna, jaką mógł wymierzyć sąd, wynosiła 5 tysięcy złotych, obecnie wynosi ona 20 tysięcy złotych. Górna granica grzywny wzrosła z 1 miliona do 5 milionów, co w zestawieniu z przeciętną zarobków w Polsce, kształtującą się na poziomie 14-16 tysięcy złotych miesięcznie, brzmi wręcz szokująco. Wzrosły również grzywny wymierzane w kolegiach - do sumy 50 tysięcy złotych /poprzednio - do 20 tysięcy złotych/. Znane są już wypadki, że grzywny w tej właśnie wysokości wymierzano opozycjonistom będącym rencistami, których emerytura nie przekracza 10 tys. złotych lub nisko uposażonym ojcom wielodzietnych rodzin. W razie niemożności zapłacenia grzywny przez skazanego, zamienia się ją na areszt w proporcji od 500 do 1500 zł za każdy dzień, zależnie od uznania kolegium. Trzeba tu dodać, że ustawa zakazuje płacenia grzywnien za skazanego /znowelizowany art. 57 kodeksu o wykroczeniach/ przez osoby inne, niż najbliższe. Ucina to, a przynajmniej dotkliwie ogranicza pomoc, jaką dotychczas niosły skazanym podziemna "Solidarność", niekiedy Kościół czy przyjaciele. Wymierzanie grzywnien ponad możliwości płatnicze skazanych jest zresztą dodatkową formą sztykan.

Zmiany nie kończą się jednak na podwyższeniu grzywnien. Ustawa wprowadza i inne zmiany, między innymi zaostrzając odpowiedzialność za niszczenie mienia społecznego lub utrudnianie korzystania z niego, powodujące istotne zakłócenia w działalności gospodarczej, komunikacji lub łączności, co może również dotyczyć strajku. Czyny takie zagrożone są karą nie krótszą, niż trzy lata więzienia.

Ustawa wnosi też szereg na pozór drobnych, lecz bardzo charakterystycznych zmian do kodeksu o wykroczeniach, wymierzonych w aktywność społeczną, źle widzianą przez władzę. Tak więc obowiązujące obecnie przepisy zakazują używania bez specjalnych zezwoleń godła państwowego i hymnu narodowego, co godzi bezpośrednio w pokojowe manifestacje, które niekiedy organizują się spontanicznie. Wykroczenie stanowi obecnie również umieszczanie w miejscu publicznym do tego nie przeznaczonym ogłoszenia, plakatu, ulotki, napisu lub rysunku, bez zgody zarządzającego tym miejscem. Przepis ten nie wymaga komentarzy. Wreszcie jedno jeszcze obostrzenie zawarte w nowym /37a/ artykule kodeksu o wykroczeniach: "Jeżeli w związku z wykroczeniem przeciwko porządkowi i spokojowi publicznemu zostały użyte uzbrojone oddziały lub pododdziały zwarte

Milicji Obywatelskiej można orzec wobec sprawcy nawiązke w wysokości 30 tys. zł". Trzeba tu wspomnieć, iż na mocy ustawy o Ministrze Spraw Wewnętrznych oddziały takie mogą być użyte bez istotnie ważnych powodów, a jedynie na podstawie widzimisię kierującego akcją. W praktyce za wezwanie ich będą zapewne płacić pobici.

ну погоди!



Pomimo wszystko, co tu powiedziano, znacznie więcej niebezpieczeństw niesie z sobą druga z nowych ustaw, a mianowicie ustawa o szczególnej odpowiedzialności karnej. Podstawowym jej założeniem jest niebawem wprost zwiększenie penalizacji, do którego prowadzić mają trzy zasadnicze drogi. Pierwsza z nich polega na zastrzeżeniu kar, druga na szerszym niż dotychczas stosowaniu aresztu tymczasowego, trzecie - na znacznym skróceniu postępowania karnego i zastoso-

bowaniu trybów specjalnych, przy zarzuceniu wszelkiej troski o rzetelność i to, co zwykliśmy nazywać prawdą materialną. Obok tego ustawa wprowadza dalsze - niezależnie od już omówionego - podwyższenie grzywien i szeroko szafuje konfiskatą mienia w wypadku drobnych nawet przestępstw.

Jednym ze sposobów zaostrzenia kar jest znaczne ograniczenie sytuacji, w których sądy będą mogły orzekać zawieszenie wykonania kary pozbawienia wolności, z czego poprzednio korzystano dość często. Projekt wymienia szereg przestępstw poprostych objętych tym zakazem, a więc przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu, przeciwko mieniu uspołecznionemu i prywatnemu, przyjmowanie i udzielanie korzyści /zapówki/, przestępstwa drogowe popełnione w stanie nietrzeźwości, spekulację, nielegalne wytwarzanie spirytusu i inne. Na pozór nie brzmi to może szokująco, cpinia publiczna nie okazuje w nas zbyt wiele pobłażania przestępstwom poprostym, przeciwnie - często słyszy się głosy potępienia skierowane przeciwko ich sprawcom. Znaczna część społeczeństwa nie zdaje sobie jednak sprawy, że skuteczność w walce z przestępczością polega nie tyle na surowości represji, co na szybkości i skuteczności ścigania, a z tą ostatnią jest wręcz niedobrze, na co wskazują wyraźnie statystyki wykrywalności. Ludzie też na ogół nie zdają sobie sprawy jak łatwo u nas popaść w konflikt z prawem, jak powierzchownie i często tendencyjnie prowadzone są śledztwa, a często i rozprawy sądowe, kończące się surowymi wyrokami. Nikt nie prowadzi statystyki, byłoby to nawet niemożliwe, ile w Polsce zdarza się omyłek sądowych, ile wyroków zapada wobec ludzi niewinnych, bądź ilu oskarżonych ukarano nieproporcjonalnie surowo. Mamy za to do dyspozycji oficjalne dane, z których wynika, iż dotychczas naruszenia prawa, których sprawcy zostali z zawieszenia kary pozbawienia wolności, stanowiły jedną trzecią wyroków karnych, orzekanych przez sądy w ostatnich latach. Teraz wszyscy ci skazani będą musieli odsiadywać wyroki więzienia, co zapaści ogromny wzrost populacji więziennej w zawsze przepełnionych zakładach karnych. Zwłaszcza, że równoległe ta sama ustawa wprowadza także ograniczenie przedterminowych zwolnień z odbywania kary dla tej samej kategorii sprawców. Niezależnie od wyroków pozbawienia wolności będą im również wymierzone podwyższone grzywny /np. co najmniej dziesięciokrotna wartość przyjętej zapówki, co najmniej dwukrotna wartość rzeczy będących przedmiotem spekulacji itd./ oraz konfiskata całości lub części mienia. W wypadku skazania nawet za czyn o niewielkim ciężarze gatunkowym, jak np. kradzież mienia niewielkiej wartości, czy odsprzedanie kupionego towaru po wyższej cenie, podsądny stanie się człowiekiem zupełnie zniszczonym. Sam powódruje za kraty, nie będzie mógł spłacić nieproporcjonalnie wysokiej grzywny, zwłaszcza wobec konfiskaty mienia, co dodatkowo zrujnuje jego rodzinę.

Skutecznym pozbawieniem obywatela wolności może być jednak nie tylko wymierzenie mu wyroku więzienia, lecz także areszt tymczasowy, którym w Polsce i tak szafowano nader hojnie, często bez uzasadnienia i potrzeby. W areszcie tym podejrzani spędzali niekiedy całe lata, oczekując na akt oskarżenia i proces, wystarczy przypomnieć tu choćby sprawę KOR-u. Ustawa wprowadziła dalsze rozszerzenie stosowania tego środka, wykorzystując areszt tymczasowy jako narzędzie represjonowania, co jest sprzeczne z jego istotą, a mianowicie zapobieganiem uchylaniu się od odpowiedzialności karnej, ucieczki, bądź ma-

tactwa, czy też ochrony bezpieczeństwa innych, jeśli sprawcą jest groźny przestępca. Pod rządami nowej ustawy obligatoryjne stało się aresztowanie sprawców wszystkich przestępstw, wobec których zniesiono możliwość zawieszenia kary, wobec osób naruszających prawo w warunkach recydywy /polityczni też mogą być recydywistami, jak np. Frasylniuk/, a także osób sądzonych w postępowaniu przyspieszonym.

#### PUNKT NEWRALGICZNY

Dochodzimy tu do punktu najbardziej newralgicznego, a mianowicie do postępowań szczególnych, przewidzianych przez ustawę, to znaczy do postępowania uproszczonego, przyspieszonego i nakazowego, które kryją w sobie najwięcej niebezpieczeństw. Postępowanie uproszczone stosowane być dotychczas jedynie w sprawach drobnych, co zresztą praktykuje się i w innych krajach. Postępowanie przyspieszone wprowadzono u nas w 1969 r., wraz z ówczesną kodyfikacją karną, jedynie dla spraw chuligańskich, co od razu spotkało się z ostrą krytyką znacznej części środowiska prawniczego, zaś minicne lata wykazały, że nie zdało egzaminu praktycznego. Postępowanie to charakteryzuje się tym, iż rozprawa sądowa odbywa się najdalej w ciągu czterdziestu ósmiu godzin od chwili popełnienia przestępstwa /lub wykroczenia/, sędzi tylko jeden sędzia, oskarża milicja bez udziału i nadzoru prokuratora, zaś wyroki zapadają natychmiast i są z reguły surowsze, niż w trybie zwykłym.

Sytuacja człowieka sądanego w trybie przyspieszonym jest więc godna pożałowania. Może on wprowadzić mięt obronę, ale musi go znaleźć, nie mając czasu ani możliwości wyboru, z reguły jest bowiem aresztowany, o czym nawet najbliższa rodzina często dowiaduje się dopiero po "procesie" i wyroku. Zresztą adwokat też potrzebuje czasu na przygotowanie się do sprawy, znalezienie świadków lub innych dowodów. W Warszawie problem obrony w sprawach sądzonych w trybie przyspieszonym rozwiązano w ten sposób, iż członkowie zespołów adwokackich pezną kolejno dyżury w sądzie, aby oskarżony mógł zapaść obronę przed rozpoczęciem rozprawy. Wartość takiej obrony budzić musi wątpliwości nawet przy najlepszej woli obrońców. Pośpiech ciąży również nad rozprawą sądową, co narusza od dawna uznane i respektowane w cywilizowanych krajach zasady procesowe, jak obowiązek sądu do dochodzenia prawdy materialnej, obiektywnego badania dowodów, czy wreszcie zasadę domniemania niewinności oskarżonego. Tryb przyspieszony łamie też zasadę kolegalności sądenia, mającą być gwarancją wzechstronnego i możliwie wnikliwego rozpatrzenia sprawy. Wreszcie, w trybie przyspieszonym milicja najczęściej ma rację, a sąd przyjmuje bezkrytycznie sporządzone na prędcę, a czasem wręcz spreparowane dowody, zaś prawo do obrony staje się po prostu fikcją.

W myśl wprowadzonych przepisów, obok przestępstw natury kryminalnej, postępowanie przyspieszone ma zastosowanie również do naruszeń prawa natury politycznej, w stosunku do osób wyrabiających bądź przechowujących materiały wybuchowe /art. 143 k.k., z którego w swoim czasie postawiono zarzut ks. Jerzemu Popiełuszce/, biorących udział w zbiegowisku publicznym, którego uczestnicy dopuszczają się gwałtownego zamachu na osobę lub mienie /art. 275 kk/, posiadających aparaty nadawcze bez wymaganego zezwolenia /art. 287/ oraz podejmujących działania w celu wywołania niepokoju publicznego



lub rozruchów. Wchodzi tu w grę najczęściej stosowany, osławiony art. 282a, będący "workiem", do którego wszystko da się wrzucić.

Postępowaniem przyspieszonym objęto również osoby "uprzączywie uchylające się od pracy", dla których wydano ustawę z dnia 26 października 1982 r. Jak z tego wynika, tryb przyspieszony będzie mógł być stosowany nie tylko wobec sprawców przestępstw kryminalnych, ale i wobec "niekryminalnych", jak eufemistycznie nazywa ich Urban, czyli po prostu politycznych, a także i osób niewygodnych dla władzy, które bez swej winy znalazły się bez pracy.

Kary, które zapadają w trybie przyspieszonym, są dotkliwe, zazwyczaj znacznie dotkliwsze od zapadających w postępowaniu zwykłym. W trybie tym sądy orzekać mogą karę do trzech lat więzienia i pół miliona złotych grzywny. Aby zdać sobie sprawę z powszechności postępowania przyspieszonego, warto przypomnieć, iż objęto nim pięćdziesiąt sześć przestępstw, w porównaniu z dziewięcioma o charakterze chuligańskim, dla których tryb ten przewidziano w kodyfikacji karnej z 1969 roku. Owe pięćdziesiąt sześć przestępstw stanowią około 33 proc. wszystkich naruszeń prawa przewidzianych w kodeksie karnym.

Na tym jednak innowacje wprowadzone ustawą o szczególnej odpowiedzialności karnej się nie kończą. Wprowadziła ona jeszcze jedno postępowanie szczególne, a mianowicie tryb nakazowy. Wedle tej nowej procedury, aplikowanej sprawcom drobnych przestępstw, którzy odpowiedzialiby w postępowaniu uproszczonym, skazanie dopuszczalne jest w ogóle bez procesu sądowego, nawet bez jakiegokolwiek przesłuchania. Wystarczy, że milicja nadesła do sądu oskarżenie, a sędzią w ciszy swego gabinetu przeczyta je i nie badając dowodów, wyda wyrok w formie nakazu, a następnie wyśle go skazanemu do domu. W postępowaniu nakazowym nie można wprowadzić skazywać na więzienie, a jedynie na karę ograniczenia wolności lub grzywnę, ale i to budzi najwyższy niepokój. Postępowanie nakazowe jest bowiem nową formą procesu zaocznego, w którym obwiniony nie ma najmniejszej nawet szansy obrony, skoro w ogóle nie widzi sędziego na oczy, zaś jego racje nikogo nie interesują.

Zarówno postępowanie przyspieszone jak i nakazowe gwałcą prawo oskarżonego do obrony oraz naruszają zasadę domniemania niewinności, zwłaszcza że w trybie nakazowym zakłada się z góry, że jeśli ktoś jest oskarżony, musi być winny i bez zarzecznej wymierza mu się karę. Jest to sprzeczne zarówno z założeniami naszej kodyfikacji karnej, jak również z Konstytucją oraz ratyfikowanymi przez Polskę konwencjami międzynarodowymi, a zwłaszcza z Faktami Praw Obywatelskich i Politycznych.

**BUDZĄCA GROZĘ PRAKTYKA**

Nówe ustawy weszły w życie 1 lipca br. i obecnie kończy się trzeci miesiąc ich obowiązywania. Zdaniem Ministerstwa Sprawiedliwości /korzystam z oficjalnych informacji w prasie/, za wcześniej jeszcze na oceny dotyczące funkcjonowania nowych przepisów, choć pierwsze doświadczenia są zadowalające, władze oczywiście. Dotychczas ogłoszono jedynie statystyki skazań za lipiec. Otóż w tym jednym miesiącu, w którym nowe praktyki nie nabrały jeszcze pełnego rozpędu, w postępowaniu przyspieszonym skazano w Polsce 2455 osób, z czego połowa znalazła się w zakładach karnych. Obok pozbawienia wolności skazano na grzywnę 1101 osób, z czego 500 na grzywny

"niskie" w granicach od 50 do 100 tysięcy złotych. W tymże miesiącu lipcu wydano 2519 nakazów karnych, z czego wynika, że znacznie łatwiej skazywać bez procesu, niż sędzić, choćby i w pośpiechu. 1580 osób skazano na grzywnę samocistną, resztę na karę ograniczenia wolności. Zachwył prasy wywołał fakt, iż spośród osób, do których skierowano nakazy karne, tylko 318 odwołało się, wnosząc do sądu sprzeciw. Reszta - jak komentują tę statystykę dziennikarze oficjalnej prasy - uznaje wyroki za słuszne.

Euforia ta pochodzi stąd zapewne, że dziennikarzom umknęły z pola widzenia art. art. 33 i 34 ustawy, z których pierwszy w § 3 stanowi, że w razie sprzeciwu nakaz karny traci moc, zaś drugi powiada, że sąd rozpoznając sprawę po wniesieniu sprzeciwu, nie jest związany treścią nakazu karnego, który stracił moc, a zatem wydaje w sprawie nowy wyrok. Oznacza to, iż sąd może ukarać oskarżonego surowiej niż uczyniono to w nakazie i - jak mi wiadomo z rozmów z obrońcami - wypadki takie się zdarzały. Zaostrzenie wyroku może więc być karą dla kramarnych, którym nie podobał się nakaz, traktujący ich "pogodnie". Trudno w tych okolicznościach dziwić się ludziom skazanym w postępowaniu nakazowym, że nie rwą się do wnoszenia sprzeciwów i podejmowania ryzyka znalezienia się w więzieniu. Wolą pogodzić się z "mniejszym złem", by użyć tak popularnego dzisiaj w Polsce określenia, i przyjmują nakaz, choć postępowanie uważają za niesłuszne lub za niewspółmierne surowe.

Wypada dodać, że sposób odwoływania się w trybie nakazowym stanowi wyjątek. Rozpatrując rewizję, wniesioną jedynie przez oskarżonego, tzw. rewizję na korzyść, sąd drugiej instancji jest związany granicami wyroku pierwszej instancji. Oznacza to, że nie może podwyższyć orzeczonej już kary, a jedynie ją złagodzić lub uznać rewizję za nietrafną i ją oddalić. Inaczej oczywiście ma się sprawa, jeśli rewizję zakładają i oskarżenie, i obrona. W postępowaniu nakazowym wniesienie sprzeciwu przez oskarżyciela, czyli z zasady przez milicję, nie jest w ogóle przewidziane, za to skazany, wnosząc sprzeciw, bierze na siebie duże ryzyko, może bowiem dograć się zaostrzenia kary.

W miarę jak biegnie czas, do opinii publicznej przedostaje się coraz więcej informacji na temat działania procedur szczególnych. Docierają, zwykle drogą okrężną, budzące grozę wiadomości o wyrokach. Przykładowo, za znalezienie w domu nielegalnych wydawnictw na 1 rok bezwzględne więzienia i 70 tys. złotych grzywny skazani zostali przez Sąd Rejonowy w Sochaczewie Magdalena i Grzegorz Koziarscy, zaś Andrzej Wiśniewski z Warszawy, oskarżony o druk wydawnictw nielegalnych, otrzymał karę 1,5 roku więzienia i grzywnę. W obu wypadkach zastosowano art. 282a kk. Nie brak też przykładów z innej łączki. Za odmowę pokazania zawartości przenoszonej walizeczki, potraktowaną jako opór wobec władzy, młody pracownik naukowy w Warszawie skazany został na 30 tys. złotych grzywny przez kolegium do spraw wykroczeń; za sprzedaż jednej butelki piwa po zawyżonej cenie oskarżonego ukarano rokiem bezwzględnego więzienia i grzywną; za włamanie do samochodu, młodego człowieka skazano na półtora roku więzienia, konfiskatę silnika i grzywnę!

Wprowadzeniu w życie nowych ustaw towarzyszy też wyraźna tendencja do znacznego zaostrzenia kar wymierzanych w trybie

zwykłym, na podstawie przepisów kodeksu karnego, które przewidują wszak pewne rozpiętości w ich stosowaniu. Ciągłe też słyszy się krytykę sądów karnych, płynącą ze sfer oficjalnych, a dotyczącą rzekomego liberalizmu sędziów. O potrzebie większej penalizacji mówi się na naradach sędziowskich, tłumacząc ją potrzebą zaostrożenia walki z przestępczością; temu samemu celowi służą uchwały Sądu Najwyższego, a ostatnio coraz częściej rewizje nadzwyczajne wnoszone przez ministra sprawiedliwości.

Rewizja nadzwyczajna, jak sama nazwa wskazuje, jest środkiem nadzwyczajnym, służącym do rewidowania prawomocnych już wyroków i z tej racji powinno się po nią sięgać jedynie w wypadkach wyjątkowych. Tymczasem w ostatnim okresie minister sprawiedliwości zaczął wykorzystywać ten środek wręcz rutynowo, dając przy jego pomocy do wywierania nacisku na sądy w celu podwyższania kar. W pierwszych ośmiu miesiącach tego roku założył on aż 475 rewizji nadzwyczajnych, w tym tylko 29 na korzyść oskarżonych. W rewizjach nadzwyczajnych na niekorzyść oskarżonych minister z reguły zarzucał wyrokom niewspółmierną łagodność, choć nie były to bynajmniej wyroki pobłażliwe. Sąd Najwyższy, pełniący od lat funkcję instytucji dyspozycyjnej wobec władz, uznawał ich słuszność i wyroki zaostrożał. W ten sposób dochodzi do ustawicznego nakręcania spirali kar, prowadzącej wręcz do absurdu, który mógłby wydać się po prostu groteskowy, gdyby nie kryży się za nim krzywdy i tragedie ludzkie.

Władze nie szczędzą też kroków mających nadać ich surowości szeroką publiczność. Służą temu przede wszystkim środki komunikacji społecznej, ale nie tylko. Ostatnio sądy coraz częściej dodatkowo zarządzają ogłaszanie wyroków w prasie i to na koszt skazanego, po co dawniej nie sięgano niemal nigdy, ponieważ informacje o tym, co się dzieje na salach sądowych, przynosiły gazety. Owe ogłoszenia, dość zresztą kosztowne, spełniają mają rolę odstraszającą i przekonawą społeczeństwa o bezkompromisowości władzy w walce z przestępczością. Temu samemu celowi służą też procesy pokazowe, do których wrócono po długich latach przerwy. W ostatnich miesiącach urządzono 441 sesji wyjazdowych sądów, aby umożliwić publiczności z miejsca zamieszkania lub pracy oskarżonych obserwowanie procesu i zademonstrować jej, jak surowo traktuje się u nas osoby naruszające prawo. Przedstawienia tego rodzaju odbyły się m.in. w zakładach "Polan" w Szczecinku, w hucie "Florian", w hucie "Świętochłowice", w "Mostostalu" w Siedlcach oraz w warszawskiej PZO. Rozmawiałem z jednym z robotników, który przystąpił do procesowi. Sala była półpusta, udało się na nią zapędzić jedynie część załogi, nastrój ponury. Obecni przedstawiciele klasy robotniczej, rzekomo domagającej się jak najsurowszego traktowania złodziei mienia społecznego, nie wydawali się zachwyceni procesem. Toczył się on zresztą w trybie zwykłym, kradzieże będące przedmiotem aktu oskarżenia popełniono wiele miesięcy temu, całą sprawę można było spokojnie osądzić w budynku warszawskich sądów przy ulicy Świerczewskiego.

ZNAMIONA CZASU

Cóż, kiedy inne są znamiona czasu. Z jednej strony mnożą się pokazówki, z drugiej zaś - procesy polityczne odbywają się w ścisłej izolacji od opinii publicznej, przy szczelnie zamkniętych drzwiach. Tych procesów władza nie chce ani popularyzować,

ani nikomu pokazywać. Wszelka obecność publiczności, będąca zarazem gwarancją kontroli społecznej nad wymiarem sprawiedliwości, jest w najwyższym stopniu niepożądana. Praktyki te nasuwają smutne skojarzenia. Przypominają bowiem aż nadto żywo okres stalinowski i tajne procesy, w których skazywano niewinnych ludzi. Wprawdzie obecnego okresu nie można porównać do stalinizmu w pełnej jego krasie, wszelkie podobieństwa głęboko jednak poruszają społeczeństwo, obdarzone wszak pamięcią i własnym poczuciem sprawiedliwości.

Surowo karać, wtrącać do więzień, nie zbadawszy nawet czy oskarżeni są winni, walczyć nieubłaganie z opozycją, czyli z ludźmi, którzy mają własne poglądy i odwagę ich wyrażania - oto idee przyswiecające obecnie wymiarowi sprawiedliwości w PRL. Cofają one nasze sądy w mrok minionych wieków, kiedy to więziono i skazywano na podstawie podejrzeń, pomówień i uprzedzeń. Cel takich poczynań jest oczywisty - zastraszenie społeczeństwa, a tym samym złamanie wszelkich, pokojowych nawet, prób oporu. Prowadząc jednak do eskalacji kar i zwiększając zakazane obszary ludzkiej aktywności, władze zdają się zapominać o tym, że nic tak nie deprecjonuje kary, jak szafowanie nią w sposób sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Im więcej też zakazów i nakazów prawa, tym mniej przejmują się nimi obywatele, obojętniejąc wobec zagrożeń czyhających dosłownie ze wszystkich stron. Między innymi na tym właśnie polega owa słynna polska specyfika. Społeczeństwo polskie nie jest pomimo wszystko ani zastraszone, ani ubezwłasnowolnione, a w miejsce jednego działacza opozycji, ulokowanego za wysokim murem, natychmiast pojawiają się inni, skłonni do tych samych działań i poświęceń.

Michał Fordon

Wrzesień 1985 r.



Timothy Garton Ash jest znanym angielskim publicystą i historykiem, specjalistą od spraw polskich. Jego opublikowana w 1982 roku książka o "Solidarności" była przedmiotem licznych omówień i polemik zarówno w prasie niezależnej, jak i oficjalnej. W lecie br. Ash przebywał w naszym kraju, zbierając materiały do kolejnych publikacji. Prezentowany przez nas artykuł jest pierwszą refleksją na temat tego pobytu, nie wolną od uproszczeń i kontrowersji, tak typowych dla zachodniego rozumienia naszych spraw, aczkolwiek z pewnością obiektywną i życzliwą w swych intencjach. Artykuł ukazał się na łamach włoskiego tygodnika "L'Espresso". /Red./

Timothy Garton Ash

## Dysydencka większość

Wielce budujący jest fakt, że właśnie tu, w Polsce, spełniło się marzenie Marksa - powiedział podziemnemu "Tygodnikowi Mazowsze", Kurt Vonnegut w czasie swojej ostatniej wizyty w Polsce. Miał on na myśli marksistowski sen o "zaniku państwa albo raczej o ignorowaniu państwa". Ta elegancka koncepcja Vonneguta wyraża niezwykłą jakość dzisiejszego życia intelektualnego w Polsce. Bowiem istnieje tu państwo komunistyczne, w ramach którego najlepsi autorzy piszą dla wydawców podziemnych, najlepsi dziennikarze piszą do gazet podziemnych, najlepsi nauczyciele pracują poza szkołami; w ramach którego postawione poza prawem zespoły teatralne nadal dają przedstawienia po kościołach, a zwolnieni profesorem prowadzą wykłady jako "prywatni goście" na własnych seminariach; w ramach którego kościoły są również szkołami, salami koncertowymi i galeriami sztuki.

Naturalnie wszyscy Polacy wiedzą, że na inteligencji zaw sze spoczywała misja podtrzymywania ducha i kultury narodowej przeciwko danym władzom politycznym - dla intelektualisty idea nabiera absolutnego pierwszeństwa nad rzeczywistością, a świadomość określa byt. W warunkach nie-wolności ogłasza ona zasadę "jakby", tzn. starania się żyć "jakby" żyło się w kraju wolnym, nawet jeśli dzisiaj wasza uozelnia jest całą więzienną. Bądź też, jak ujmuje to polski poeta współczesny, Ryszard Krynicki, w wierszu zadedykowanym Adamowi Michnikowi: "Żyjąc tu i teraz musisz udawać, że żyjesz gdzie indziej i w innych czasach, a w najlepszym razie walczyć z umarłymi poprzez żelazną kurtynę chmur".

Kiedy Krynicki pisał w połowie lat siedemdziesiątych te strofy, liczba intelektualistów, którzy usiłowali żyć wedle zasady "jakby", była jeszcze mała. W rzeczywistości typowy student lub pracownik naukowy z lat gierkowskich, nastawiony był cynicznie do wszystkich idei i ideałów, składając forma-

l'ny hołd, nieomal bez zastanawiania się, panującej ideologii, jako że służyło to realnemu celowi życiowemu - poważnej poprawie materialnej i prywatnemu szczęściu.

Tym, co przekształciło "dysydencką" mniejszość w "dysydencką" większość, była rewolucja "Solidarności" z lat 1980 i 1981, rewolucja świadomości. Zmieniły się, i to trwale, nie instytucje, nie stosunki własności ozy uwarunkowania materialne, lecz mentalność i postawy ludzi. Miliony w całym kraju - w fabrykach, biurach, wyższych uoelniach, w szkołach - nagle poczuły, że nie muszą już żyć podwójnym życiem, że mogą publicznie mówić to, co myślą prywatnie. Przez parę miesięcy było naprawdę tak, "jakby" żyło się w wolnym kraju.

Dzisiaj ten świat kultury niezależnej - kultury rozumianej w najszerszym tego słowa znaczeniu - jest w rzeczywistości, prawdopodobnie, najszerszym polem opozycji w Polsce, podczas gdy "Solidarność" robotnicza, która pierwotnie stworzyła przestrzeń dla tej rewolucji kulturalnej, została starta w proch i rozcłódkowana.

Weźcie pierwszego z brzegu studenta I roku z Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Poznania czy Gdańska. Jeżeli ma szczęście, jego docent nauczycy go korzystać z planu studiów w dużej mierze uzgodnionych w czasach "Solidarności". Poza tym, mógł on już skorzystać z tej czy owej książki Edukacji Narodowej /znanych pod polskim skrótem jako ZEN/, w których na przykład podaje się prawdziwy obraz udziału Polski w II wojnie światowej. ZEN-y produkowane są przez Komitet Oświaty Niezależnej, jeden z trzech powiązanych ze sobą, nieoficjalnych komitetów /pozostałe dwa to: Społeczny Komitet Nauki i Komitet Kultury Niezależnej/, których członkowie - anonimowi, wyjąwszy Kościół - odpowiedzialni są za koordynowanie większej części niezależnego życia kulturalnego w Polsce.

Dostawszy się na wyższą uczelnię, młodzieniec ów odnajdzie w swojej auli niemal oaskowitą swobodę słowa. Jedno z pierwszych seminariów na I roku może okazać się poświęcone "krytyce totalitaryzmu": Orwell, Arendt, Hayek. Podstawowe materiały: "Rok 1984", "Źródła totalitaryzmu", "Konstytucja wolności" itd., są publikowane - oczywiście w podziemiu - i można je kupić u kolegów na uczelni. Faktycznie, wydaje się, że łatwiej zdobyć książki z obiegu nieoficjalnego, aniżeli wydawnictwa państwowe. Nasz student na półkach własnej, domowej biblioteczki dysponuje wyborem prasy podziemnej - jeżeli chodzi o ważne wiadomości ma do dyspozycji dwa gęsto zadrukowane arkusze "Tygodnika Mazowsze" /"Newsweek a" podziemia/, jeśli zaś o opinie i publicystykę - jeden z licznych, nieregularnie wychodzących, miesięczników, może nawet numer o Orwellsu "Arki", która wydawana jest w Krakowie albo organ narodowego ruchu katolickiego Młodej Polski - "Polityka Polska" - z artykułami o potrzebie powstania w Polsce nowej prawicy. Jeśli dopisze mu szczęście, nasz młodzian wykombinuje bilety na przedstawienie poznańskiego Teatru Osme-go Dnia, oficjalnie postawionego poza prawem, który w klasztorze dominikanów wystawia znakomitą inscenizację o Osipie Mandelsztamie.

Wracając na uniwersytet, nasz pierwszoroczniak znajdzie tam również niezwykle aktywny komitet, który nazywa się "Samorządem Studenckim" /którego tożsamość głoszą niewątpliwe litery "Solidarności", czerwone na białym/. Reprezentuje on

interesy studentów i rozdziela wszystkie fundusze na działalność socjalną - kółka, sport, wycieczki<sup>x/</sup>. Przedstawiciele studentów wybierani są w tajnym głosowaniu do organów sprawujących władzę w wyższych uczelniach. Na niektórych wydziałach Uniwersytetu Warszawskiego studenci nie tylko mówią swoje na temat planu studiów, ale i wystawiają oceny profesorom. "Dostałem 4,7" - powiedział mi z uśmiechem zadowolony nowo wybrany rektor, profesor Białkowski /w Polsce zakres ocen jest następujący: 2 /niedostateczny/ - 5 /bardzo dobry/. "Jeden z moich kolegów dostał w ubiegłym roku 3,1" - dodał rektor. W tym roku jego kolega lepiej przygotował się do zajęć i dostał 4,5.

Zarówno wybrany rektor, jak i wybrani przedstawiciele studentów, nie szczędzą sobie nawzajem pochwał: "Wiele się od nich nauczyłem" - mówi Białkowski i wydaje się, że znakomicie ze sobą współpracują. "Widzi pan, wielu z nas było razem internowanych w 1982 r." - wyjaśnił mi pewien działacz studencki. "Fakt dzielenia celi więziennej pomaga przezwyciężyć dystans między studentem a profesorem". I obie strony podkreślają fakt najbardziej chyba godny uwagi - samodzielność i demokracja wewnętrzna wyższych uczelni opiera się na ustawie o szkolnictwie wyższym, uchwalonej w czasie stanu wojennego w maju 1982 r., ustawie, która nawet jeśli nie do końca zrealizowała propozycje zarysowane w czasie kiedy "Solidarność" była jeszcze organizacją legalną, to jednak jest najliberalniejszą spośród wszystkich, jakie Polska kiedykolwiek miała.

W tym momencie gość z Zachodu, jeżeli ma jakie takie rozeznanie w bloku radzieckim, a jeszcze bardziej gość ze Wschodu, nie potrafi się już powstrzymać. Jak to wszystko jest możliwe w czwartym roku tzw. normalizacji? - zada sobie pytanie. Jeżeli Husakowi udało się wyciszyć intelektualistów, to czemu nie powiodło się Jaruzelskiemu? Gdzie jest państwo? Gdzie, faktycznie, jest partia? Wydaje się, że ostatnio również i państwo i partia postawiły sobie te pytania. Oczywiście odpowiedź brzmi, że reżim polski miał całkiem co innego do "normalizowania". Jego pierwszym celem było zmiążyć "Solidarność" robotników.

Drugą hipotetyczną odpowiedzią, jaka się tu nasuwa, jest, że w tej początkowej fazie przywracania minimum kontroli politycznej za pomocą, krótko mówiąc - a trzeba to powiedzieć - minimum terroru fizycznego, współpraca z Kościołem katolickim była /i jest?/ taktyczną koniecznością dla rządu Jaruzelskiego.

A jednak obie te przyczyny nie wystarczają jeszcze do wyjaśnienia, dlaczego Jaruzelski zatwierdził taką kartę swobód akademickich w pierwszym roku stanu wojennego, i dlaczego, mimo że rozwiązał związki pisarzy, artystów, aktorów i dziennikarzy, okazał się tak dziwnie tolerancyjny, że przystał na wyraźne krytyki prasy oficjalnej i /cenzurowanej/ prasy katolickiej, zgadzając się poza tym na oficjalne wydawanie książek tych autorów, którzy w przeciwnym razie drukowaliby w "samizdatach", bądź na Zachodzie.

Niektórzy wysunęli przypuszczenie, całkiem wiarygodne, że w pierwszym roku stanu wojennego rządzący w Polsce mieli na-

---

<sup>x/</sup> Artykuł pisany był jeszcze przed sejmową pacyfikacją samorządności uczelni /red./



dzieję - a być może mają ją jeszcze - zawojowania części intelektualistów demonstracyjną tolerancją, w myśl znanego powiedzenia Janosa Kadara na Węgrzech: "Kto nie jest przeciwko nam, ten jest z nami." Inni przypominają, że różni doradcy polityczni generała Jaruzelskiego - wicepremier Mieczysław Rakowski czy rzecznik rządu, Jerzy Urban, wywodzą się z warszawskiego środowiska intelektualnego. Nie mogą oni /przynajmniej taką się ma, naiwnie, nadzieję/ tak całkiem zupełnie zarzucić tego zobowiązania do swobodnej dyskusji, która stanowiła poważną część Polskiego Sierpnia.

W praktyce życie intelektualne i kulturalne wyzwoliło się spod ideologicznej kontroli partii /która chciałaby być totalitarna/ w stopniu nie do pomyślenia w jakiegokolwiek innej części bloku radzieckiego. Poza tym polska partia została tak zredukowana, że rządowi Jaruzelskiego z głównych narzędzi przywracania porządku pozostaje dzisiaj policja i prawo.

Typowe jest zatem dla reżimu Jaruzelskiego, że najostrejsze zagrożenie dla wspólnoty akademickiej nadeszło wraz z ostatnimi, represyjnymi "poprawkami" do ustawy z 1982 r. o szkolnictwie wyższym.

Odpowiedzią wspólnoty intelektualnej na ten atak był powrót do wielkiej zasady "jakby" w formach, które można by nazwać i względną, i absolutną. Forma względna polega na mówieniu w praktyce generałowi Jaruzelskiemu: "Pan, proszę pana, twierdzi, że kieruje państwem silnym, ale cywilizowanym, rządzonym w oparciu o prawo. Państwem prawa polskiego. Świętnie, my panu wierzymy, nawet jeśli miliony panu nie wierzą. Oto pańskie proklamowane ustawy. Teraz proszę się ich trzymać." Co za pretensja. Ale w Polsce ostatnich lat okazała się, o dziwo, skuteczna. Czasem wydawało się, że niektórzy z tych, co są u władzy, sami chcieli przyjąć tę zasadę.

Forma absolutna polega po prostu na nauczaniu, pisaniu, badaniu, malowaniu, recytowaniu, publikowaniu na ile i jak długo to możliwe, "jakby" państwo /by przypomnieć koncept Vonneguta/ było w zaniku; "jakby" żyło się w wolnym kraju.

Zasadę "jakby" dobrze ilustruje przypadek profesora Leszka Nowaka z Uniwersytetu Poznańskiego. Profesor Nowak, filozof, zawieszony został w czynnościach nauczania we wrześniu 1984 r., a zwolniony z pracy przez ministra w lutym br. Odpowiedź była dwojaka. Przede wszystkim Rada Akademicka Uniwersytetu Poznańskiego wystosowała protest do ministra w sprawie trybu, w jakim dokonano zwolnienia - obecna ustawa wymaga sądu dyscyplinarnego /kolegów akademików/ jako warunku wstępnego do zwolnienia. "Jakby" w formie względnej. Po drugie, profesor Nowak całkiem po prostu kontynuował swoje wykłady w charakterze "prywatnego gościa" na własnych seminariach i to nawet, gdy minister złożył osobistą wizytę w Poznaniu, by zapytać, czy Nowak został usunięty z uniwersytetu. Kiedy poszedłem go odwiedzić, prowadził właśnie seminarium na temat znaczenia nurtów w systemach monopartyjnych. Zamiast pensji profesorskiej otrzymuje co miesiąc sumę niemal jej równą od solidaryzujących się z nim kolegów. "Jakby" w formie absolutnej.

Intelektualiści mogą więc ciągle żyć całymi latami wedle "jakby", ale jak to wpłynęło na treść i jakość życia kulturalnego kraju? W Poznaniu spędziłem godzinę na rozmowie z przewodniczącym samorządu studenckiego, magistrem historii.



"Myślę, że zostanę stolarzem" - powiedział mi. Wyjaśnił mi, że z jego uniwersytecką przeszłością, służby bezpieczeństwa zablokowałyby mu wszelką możliwość znalezienia dobrej pracy w przedsiębiorstwie państwowym. Jeżeli będzie pracował prywatnie jako stolarz, policja nie będzie mogła go tknąć i będzie zarabiał więcej niż historyk. W wolnych chwilach nadal będzie czytał i pisał. W Warszawie słyszałem wiele podobnych opowieści: najzdolniejsi i najbardziej niezależni studenci pracują jako taksówkarze, listonosze czy handlarze na bazarach. Oczywiście, możliwe że teraz studenci ci utrzymują swoje zaangażowanie intelektualne i kulturalne - pomyśleć tylko o tych niezwykłych katakumbach, jakimi jest życie intelektualne Pragi, z jej filozofami pracującymi w charakterze czyścicieli okien, z jej księżmi pracującymi jako roznosiciele mleka i jej historykami jako ogrodnikami. Ilu jednak i jak długo będzie to robić?

Poza tym pytaniem o przyszłość jednostek, powstaje również pytanie poważniejsze o przyszłość zbiorową. Jak może prosperować kraj, kiedy najlepsza część jego wykształconej klasy odmawia współpracy w jego zarządzaniu? W redakcji najlepszego tygodnika Polski, katolickiego niezależnego "Tygodnika Powszechnego", ktoś zaatakował rysunek przedstawiający wielkiego intelektualistę z trudem brnącego naprzód, w przemocznym butach, przez opuszczony, na poły zniszczony krajobraz - zespół budynków zbudowanych w stylu radzieckim, z wybitnymi szybami, uszkodzonymi wodociągami, pozrywanymi przewodami telegraficznymi. Posunięty w latach intelektualista pcowtarza przez zaciśnięte zęby: "Jesteśmy częścią Europy, jesteśmy częścią Europy, jesteśmy częścią Europy".

Poczucie, że tkwi się na marginesie Europy jest równie dominujące, jak dumny jest patriotyzm europejski. Bowiem przyzwyczajenie do niedoli czyni również cierpkim. Naukowcy skarżą się rozpaczliwie na brak nowoczesnego sprzętu, co opóźnia ich badania c lata w porównaniu z zachodnimi kolegami. Pracownicy nauki ostro odczuwają niedostatek książek i czasopism zagranicznych, po części spowodowany brakiem dewiz przez państwo. Wielu jest studentów medycyny absolutnie dezorientowanych przez brak podstawowej literatury z ich przedmiotu. Pomoc osób prywatnych i Kościoła nie może w sposób odczuwalny zapełnić tej studni potrzeb.

Upolitycznienie kultury może również wypaczyć ocenę - utwór drugorzędny może być wychwalany tylko dlatego, że został oficjalnie skrytykowany, a dzieło wybitne może przejść bez echa tylko dlatego, że zostało oficjalnie docenione. Tak, to cudowne znaleźć trzy tysiące młodych ludzi, którzy wybierają się na wieczór poezji. Ale jakie to pytania zadaje się poecie? - Czy powinniśmy wziąć udział w pierwszomajowych demonstracjach? Jak powinniśmy traktować członków partii? - Poeta chce być poetą, a nie spowiednikiem, przywódcą politycznym, ekonomistą czy biurem informacji dla obywateli. Nie dziwi zatem odkrycie, że wielu najlepszych intelektualistów polskich w obliczu takich presji postanowiło przenieść się na Zachód, daleko od linii frontu, aby móc odychać /na dżugę lub na krótko/, by tak rzec, "normalnością" europejską czy amerykańską. "Nieszczęsny to kraj, który nie ma bohaterów" - krzyczy w gniewie uczeń Galileusza. Ale Galileusz Brechta odpowiada: "Nieszczęsny to kraj, który potrzebuje bohaterów".

/Copyright by "The New York Review of Books"  
i "L'Espresso"/.

Reportaż ten, napisany wiosną 1982 roku, nadal służyć może za powodem jako dokument swojego czasu. Nagrodzony w Konkursie im. A. Polewki w Krakowie w 1983 roku, dwukrotnie /w wersji nieoc za zgodą Autora okrojonej, pod tytułem "Siła"/ zdejmowany był przez cenzurę - po raz pierwszy z krakowskiego miesięcznika "Zdanie", a następnie z warszawskiej "Literatury". Prezentując go na naszych łamach, publikujemy pełną wersję tekstu. /Red./

Jerzy Surdykowski

## Kroniki wojenne

Historia naszej chemiczki, która zatrąka się cztereoetylkem ołowiu.

Dziewczyna zawsze jeździła samochodem, nic wielkiego - fiacik. Osiedle odległe, tramwaj się wlecze, a i dzieciśka trzeba po drodze do przedszkola podrzucić. Tak było zawsze, więc dlaczego mam nagle uwierzyć, że to już się skończyło, że już nie ma, że trzeba zrezygnować? Co naprawdę oznacza: "tamtam wróci"? Czy choć ktokolwiek z nas próbował zrozumieć bez złudzeń? Nie, to tylko beznadziejnie obracamy pomiędzy zębami to gorzkie ziarno, zaledwie przeczuwając czekający nas bezsmak; nie, to tylko dopiero nielicznych z nas oślepił i powalił rozbłysk bezpowrotnej odmiany czasu. Tak też dwudziestocmioletnia pani inżynier w zdrowym odruchu samozaradnej niezależności wyciągnęła z magazynu bankę rozpuszczalnika i odlała w laboratorium trochę ołowicwego płynu, niosącego niezbędne dla uruchomienia fiacika oktany. Przecież zawsze radziliśmy sobie jakoś w potrzebie... Wiedziała, że to trujące, ale nie żeby aż tak. Teraz leży na nefrologii, kolejna bezskuteczna dializa, walczy ze śmiercią.

I co jeszcze?

Chyba tylko to, że przedtem my z "Solidarności" chodziliśmy wyprostowani z podniesioną głową, zaś partyjni przemykali się chytkiem. Teraz na odwrót. Tylko, że ci, którzy byli i tu i tam, dalej nie wiedzą, czy ich miejsce wśród dumnych, czy wśród przygarbionych?

Nawet strajku u nas nie było.

Dla mnie i dla moich przyjaciół, gdyśmy czternastego grudnia przyszli do pracy, wszystko wydawało się jasne: jest wyraźna instrukcja Komisji Krajowej, że strajk generalny w razie zagrożenia Związku. Czy się bałem? Jeszcze jak. Stan wojenny, surowe dekryty, wozy pancerne na ulicach. Żonie coś nakłamałem, dzieciaki zęgnąłem, tak jakbym miał widzieć je ostatni raz. Więc co, warta na bramę, opaski i strajkujemy?

Ludzie, co z nami będzie? Nie, jeszcze zrobimy plebiscyt po wydziałach, żeby było demokratycznie. Rany boskie, a jak zaczną strzelać? Wyniki podawaliśmy przez radiowęzeł: konstrukcja - trzydzieści procent za, pięćdziesiąt przeciw, reszta się wstrzymała; montaż pierwszy - osiemdziesiąt za; montaż drugi - sześćdziesiąt pięć za; narzędziownia - siedemdziesiąt za; administracja - tylko dwadzieścia za, ale to jasne. Całość zakładu: sześćdziesiąt pięć za; strajkujemy, jak rany! Nie po to przecież dałem się wybrać przewodniczącym Komisji Zakładowej, żeby zadawać szyku większą od innych plakietką albo miejscem pod sztandarem w pobliżu księdza biskupa; teraz trzeba zdać rachunek z mandatu zaufania, trzeba ich poprowadzić, nikt nie zrobi tego za mnie. Przecież nie będą strzelać, postrajkujemy tylko trochę i wszystko załatwią te "niesiżkowe siły", tak jak było dotąd przez szesnaście miesięcy. A jeśli...

Nie, jeszcze zrobimy tajne głosowanie w gronie Komisji Zakładowej. Patrzymy sobie w oczy: kto bci się najbardziej, kto cofnie się pierwszy, kto już szykuje swoje własne miękkie ładowanie? Trzech robotników, kierowca, inżynier, księgowa i ja, technik mechanik, jako przewodniczący - swój głos składam ostatni: za strajkiem. Gorączkowo rozwijamy wrzucone do szapki karteluszeki: trzy głosy za, cztery przeciw strajkowi! Już nie patrzymy sobie w oczy, przewodniczący pójdzie do radiowęzła, ogłosi wynik, odda dyrektorowi klucz do związkowego lokalu, zerwie ogłoszenia i ulotki z tablicy. Już nigdy nie spojrzymy sobie w oczy; wielka ulga i wielki, choć nigdy nie nazwany, wstyd. Zwycięstwo sił odpowiedzialności i rozsądku, resztę znacie z gazet.

Właśnie dlatego dzisiaj chodzę, a nie siedzę.

Bo wyszło na to, że tylko ekstrema jest internowana, a siły odpowiedzialności i rozsądku siedzą z wieloletnimi wyrokami za strajk. Mietek - wiadomo, dostał cztery lata za Hutę, a jeszcze niedawno wywizdywano go publicznie za kompromis i umiarkowanie. Józek - tylko rok z zawieszeniem, ze względu na stan zdrowia, a jeszcze niedawno pisywano na niego paszkwilankie donosy jako na milicyjną, rzekomc, wtyczkę. Adam - trzy lata, a dopiero co szeptano o nim jako o "niepewnym". I jeszcze ten, który potrafił przy wszystkich wyciągnąć czerwoną legitymację i powiedzieć, że jest członkiem kierowniczej siły; też wykonał instrukcję KK, poprowadził ludzi, nie ładował miękką, teraz twardo siedzi.

I co jeszcze?

Więcej nic, głucha cisza.

Tylko ja chodzę, pracuję, próbuję patrzeć swoim przyjaciółom i wyborcom w oczy, pomimo wszystko.

POLFORM - żaden wielki zakład, takie precyzyjne drobiazgi, trochę elektroniki. Klasa robotnicza? Pięć lat przepracowałem ze swym dyplomem technika w narzędziowni, zanim się przeniósłem do zakładu doświadczalnego i wbiłem w biały fartuch, więc chyba mam prawo. A czy jest robotnikiem ten, który przy skomplikowanym montażu czuwa nad wychyleniem wskaźników i migotaniem czerwonych lampek, pracując wszak wysiłkiem głowy, a nie ręki? A nawet ta z lutownicą, czy ten ze śrubokrętem? I czy urzędasem zostaje się tylko przez dyplom i wiedzę w głowie, czy przez zurzędniczenie duszy? Więcej

niech teraz nie mówią nam, że to wszystko przez manipulowanie robotnikami, bo ludzie z POLFORM-u różnią się trochę od kopaciarzy i od początku wiedzieliśmy o co idzie gra i jak wąska jest ta ścieżka.

Wcale nie ohodziło tylko o kiełbasę i o tysiąc pięćset, te inne postulaty tak samo były nasze, jak i dla tych z Gdańska. Odnowionym gazetom wierzyliśmy bardziej niż ulotkom. Trzeba było trzymać ludzi głupimi, nie puszczać do szkół, dyplomów, za granicę i do elektroniki, jeśli się chciało, by patrzali tylko kieszeni i brzucha.

I to jest największe osiągnięcie Polski Ludowej bez wątpienia: naród niegłupi i niełatwowierny - po szkołach.

I teraz ci niełatwowierni próżno wpatrują się we wskazówki swoich precyzyjnych przyrządów, tylko czerwone lampki świecą równym niemigocącym światłem: taśma stoi. Nie ma cyny. Nie ma diod. Kupiona za ciężkie dolary prasa i takie wtryskarki stoją bezczynnie, nawet gdy jest trochę surowca, bo nie ma takiego silnego, co by za kilkadziesiąt dolarów sprowadził parę zużytych podzespołów do milionowego majątku.

Nie ma nic.

Będą zwalniać?

Ale niech nam przynajmniej nie wmawiają, że to wszystko przez strajki i warcholstwo.

Nigdy w swym trzydziestoletnim życiu nie zajmowałem się polityką, nie ciągnęło mnie, nie miałem nerwu, działackiego napędu. W sierpniu byłem akurat na wozasach pod Gdańskiem, spędziłem ten czas pod stocznia, na tym obskurnym, rozgrzebanym placu budowy, gdzie pośpiesznie, byle zdążyć przed dziesiątą rocznicą tamtego Grudnia usiłowano wzniesić jakiś pawilon, czy wielcopoziomowy parking, byle tylko zakryć przed ludźmi te splamione krwią miejsce. Plany powędrowały do szuflady, ludzie się zbuntowali. Inny owoc wystrzelił w tym miejscu z rozgrzebanej nadmorskiej ziemi. Na zdążających ku południowi pociągach pisano białą farbą: "Cała Polska już strajkuje, tylko nie krakowskie h...!". Wiedziałem, że muszę to podjąć, właśnie ja. Nie pytałem komu bije... Nikt inny nie zrobi tego za ciebie. Tak właśnie polityka przyszła do mnie. Tak, polityka! Nigdy nie byliśmy tylko związkami, to jedno możecie nam dziś wmawiać z poczuciem racji; byliśmy buntem, obywatelskim ruchem odnowy.

Tylko dlaczego przegraliśmy?

Nasz pułkownik - człowiek porządny, wojskowy jak trzeba. W biurze konstrukcyjnym zniósł ruchomy czas pracy, bo wszyscy powinni sprawiedliwie przychodzić na siódmą. Kupy śmieci w zakładzie nie uświadczyś, rabatki pod ścianami hal równutko wytyczone, krawężniki wywapnowane, kwiatki posadzone. Nawet panie księgowe, które za odnowy co chwila przylatywały z pyskiem do komisji na swoją krzywdę i jakoby samowolę dykcji, grzeczniutko myją okna i szorują parapety, choć nigdy nie zostało to wpisane do ich obowiązków służbowych. Odpowiednie hasła odmalowano, szkolenia przeprowadzane są regularnie. Tylko, niestety, wskazówki przyrządów rzadko odchylają się od zera, a czerwone światła palą się wciąż niezmaconym blaskiem. I to wszystko ma nazywać się reformą.

Tak, będą zwalniać!



Jak to się stało, że już ledwie po paru miesiącach wyśliznąłem się z polityki, z kręgu bliskich współpracowników MKZ, z gonitwy pomiędzy wlicem, zebraniem, interwencją, aferą i podtrzymywaniem ludzi na duchu? Presja żony, dla której stałem się rzadko widzianym w domu gościem, czy presja tych - zwykle jeszcze młodszych ode mnie - którzy lataли z głową nabitą Katyniem, Jażtą i wierszykami o niedźwiedziu? Tak, wierszyki o niedźwiedziu kolportowano z takim przekonaniem, jakby to była recepta na odbicie się od dna. Polityka upomniała się o mnie. Nie, to przecież śmiech pusty - milcząca większość odrzuci ich w demokratycznych wyborach, przepadną gorącożłowi przywódcy czasu ruchawki, przyjdą ncwi - na czas pokoju i budowy!

Tylko dlaczego ludzie tak pogłupieli przez ledwie kilka miesięcy wolności? My, siły odpowiedzialności i rozsądku?

Rozmawiam teraz z naszym sekretarzem, z pułkownikiem. Może oni, mądrzej kształceni i wyżej postawieni, powiedzą mi cośmy pokpili, co zepsuli? Czyśmy tu w POLFORM-ie nierealne postulaty zgłaszali? Możemy tutaj produkcję antyradzieckich ulotek zaprowadzili? Albo partię z zakładu precz wyganiali? Obronność i siłę państwa skutecznie podważyć chcieli? Nie, wręcz przeciwnie, z komitetem zawsze szło się dogadać, na zebrania wzajemnie zaprosić, prawda panie sekretarzu?

Więc dlaczego przemykamy się przygarbieni?

Bośmy przegrali. My, siły odpowiedzialności i rozsądku; my, milcząca większość. I to jest właśnie nasza najboleśniej skrywana tajemnica, gorzkie jądro. Nie, nie gloria victis. Nie istnieją piękne porażki, ten kto przegrał, nie ma racji po prostu.

Pctem już nie wybierano nas, wybierano tamtych od niedźwiedzia i głośnego tupania. Wybierano w najbardziej demokratycznych wyborach, niestety.

I teraz cisza.

Ludzie mówią o kolejkach, o zwolnieniach i o naszej umierającej chemicyzce najwyższej.

Normalizacja?

Na początku pod ogołoconą z ulotek i ogłoszeń tablicą "Solidarności" czyjaś ręka zapalała świeczki i nikt nie poważyl się ich ruszyć, niby spod oktarza. Przez oszklone drzwi opleczętowanego związkowego lokalu widać było proporczyki, makietę gdańskiego pomnika i rozłożone na biurku papiery; ludzie zwalniali kroku w tym miejscu biurowego korytarza, urywali rozmowy. Spotykamy się z przyjaciółmi, gromadzimy po cudzych mieszkaniach, rozmawiamy szeptem, zbieramy składki. Ukradkiem czytamy roznoszoną na dzień teczki bibułę. Nie, mylisz się. Nie, nie po to, aby rozwałać, strajkować, wieszac na latarniach. Niech nam nikt tego nie wmawia, bardzo proszę! Tylko po to, aby podtrzymać się nawzajem na duchu, nie tracić poczucia wspólnoty, nie dać się upokorzyć napływającemu zewsząd poczuciu klęski. Bo przecież wcale nie jest pewne, ani już dziś zadekretowane, że zostaliśmy skazani na wieczne przygarbienie. Przecież mundur tożsamy był zawsze z patriotyzmem, umiarem i najlepszymi nadziejami udręczonych ludzi. Trzecia siła! Tak, oni na pewno pomogą nam odbudować Związek, odrodzić nasz odnowicielski ruch bez gorącożłowych szaleńców,

bez zapatrzonej tylko w siebie głupoty. Nie będzie powrotu ani do tego co przed Sierpniem, ani do tego co przed Grudniem. Tak, tak, słusznie. Wrócić do tamtych wielkich porcuźmien, tamtej nadziei, tylko tego chcemy, tylko po to się zbieramy, tylko po to usiłujemy żeglować pod prąd zatapiającego nas zwołna poczucia klęski, rozpaczcy podwójnie zwyciężonych - bo przecież raz przegraliśmy już w parę miesięcy po Sierpniu, po raz drugi teraz. Uwierzcie, o nic więcej nam nie chodzi, niczego więcej nie żądamy, choć i tak za to, co czynimy, grożą nam wyroki w trybie doraźnym! "Zgoda" - mówi mi coraz częściej jeden z drugim na naszych wieczornych posiadach, gdzie półgębkiem wymieniamy informacje i pokazujemy sobie ulotki - "zgoda, ale jak długo można czekać, a co najważniejsze, gdzie jest ta realna i przez obie strony zaakceptowana perspektywa?". Tak mówią coraz częściej i coraz częściej nie przychodzą na spotkania, nie przynoszą składek, machają ręką. "Co nam proponujesz?" - pyskują - "dalej stac z bronią u nogi, dalej nic, co poświadczyłoby naszą niezgodę?". I co mam odpowiedzieć, czym - prócz groźby paragrafu - gasic gorące głowy? Idzie jest to postulowane otwarcie ku nam, ku siłom odpowiedzialności i rozsądku, ku ludziom śmiertelnie zagrożonym poczuciem klęski? Otwarcie i wielkoduszny gest, który by uszanował naszą godność i naszą szesnastomiesięczną pracę. Prędz, gdzie? - jeśli chcesz abyśmy dalej szli razem! Już kt nie zwalnia kroku przed zaplombowanymi drzwiami bez napisu, mijają je obojętnie, jak dział rachuby albo normowania. Na co czekać, cisza? Nie, nikt nie żada od nas podpisywania deklaracji, wstępowania i występowania z czegokolwiek, przecież to mały zakład przemysłowy zaledwie; tylko cichutko odeszło ze swych stanowisk paru kierowników, którzy - jak im później powiedziano - "zbyt blisko zadali się z ekstremą". Nas nikt nie rusza, milczenie. Dawno zgasyły świeczki, sprzątaczką wyniosła okopcone, zaśmiecające czyste korytarz ogarki. Bali się tylko odebrać pokój, powiesić inną tablicę na przeszklonych drzwiach. Ludzie na montażu pokrzykiwali, że będzie strajk, ale gdy już świta zakładowych oficjali, w towarzystwie sprzątarek i nie wiadomo czemu zmobilizowanego na tę okazję palacza z kotłowni, zrywała plombę, już tylko biuraliści biegali po pokojach i wydziałach, roznosząc plotki o aktualnym postępie wydziedziczających prac. Robotnicy jeszcze niżej pospuszczali głowy, jeszcze głębiej ukryli się w swojej ciszy. Owszem, poproszono i mnie, pozwolono zabrać do domu proporczyki i makietę, papiery zwinąć pułkownik. I tyle, teraz za przeszklonymi i już odplombowanymi drzwiami urzęduje pełnomocnik zrzeczenia, jakoby dobrownego. Już nikt nie przychodzi na czwórkowe konspiracyjne spotkania, mażc kto płaci składki, zostało tylko paru najbardziej zapalonych chłopaków z narzędziowni - Marek, Wiesiek i Andrzej.

Normalizacja. Bezpownrotna odmiana czasu.

Jakie są nastroje ludzi? - pytasz się.

Ano właśnie takie: cisza, poczucie klęski.

A jeśli mocniej poskrobać, głębiej zejść? - pytasz znowu.

Różnąc!

Jak to! Kogo różnąc?

Wszystkich. Kolegę, bo zarabia o sto złotych więcej. Kierownika, bo kieruje. Panienkę w sklepie, bo brak towaru.

Księdza, bo nie uczynił cudu. Przyjaciela, bo wspólnie z nim przeszliśmy tę straszną drogę.

Wcale nie tylko tych, co na górze. Rozpacz bez kierunku i sensu. Boże, jak wytłumaczyć komu trzeba, że nie wolno igrzać z poczuciem klęski, bo ono tak blisko graniczy z nienawiścią, a ta z szalenstwem!

I oto jest POLFORM cały. Oto nasz stan wojenny.

Co się stało z ludźmi?

To właśnie ci, którzy krzyczeli najgłośniej, tupali najbardziej zajadle, z największym przekonaniem biegali z wierszykami o niedźwiedziu, teraz popadli w najgłębszą rozpacz, najdotkliwszą apatię; może przerażenie? Znam jednego, który pisywał w najbardziej roznognionych gazetkach, a teraz pierwszy poleciał, gdzie trzeba - pòskarżyć, że to nie on i zadeklarować gotowość podpisania wszystkiego. Ci, którzy dali z siebie najmniej, teraz narzekają najgłośniej: wszystko stracone, jedyna szansa to emigracja! Nigdy nie wolno ufać najbardziej hałaśliwym, kolejna fala rzuci ich pod przeciwny płót i w nowym miejscu określą się z równym co poprzednio przekonaniem. Zawsze liczyłem tylko na ludzi cęchujących się cnotą nieskwapliwości, tylko na ich sceptycznej, niełatwo-wiernej wierności można budować cokolwiek, tylko ich krytyczna i zawsze czymś uwarunkowana lojalność okazuje się trwałym fundamentem, tylko z ich wiecznych i nienasyconych wątpliwości rodzi się prawda. Ale jeśli i ich zwolna zatapia ta sama fala, wówczas znaczy, że nadciągająca odmiana czasu jest nie tylko bezpowrotna, ale i mordercza.

Potępięncze swary odsuniętych przywódców.

Poproszono mnie niedawno na zebranie większych niżli ja konspiratorów. "Jeśli Bujak będzie tak działał, jak działa, to nie może liczyć na głosy przy najbliższych wyborach" - opowiada emisariusz z Warszawy. A będą w ogóle kiedyś te wybory? - pytam. Popatrzyli na mnie jak na wariata albo na wtyczkę. Co robić? - pytam jeszcze. "Bierny opór" - odpowiada - "bojkot!". A jaka perspektywa, co dalej, jak ratować kraj i ludzi? "Przecież to wszystko nie potrwa dłużej niż parę miesięcy. Reżim runie. Wiosna nasza, no - ostatecznie jesień!".

Podobno tak samo myśleli i tak samo głupio wierzyli w rychłą odmianną pokonani w 1939 roku.

Jak uratować ludzi przed poczuciem klęski?

Przecież nie przegraliśmy - tłumaczę Markowi, Wieskowi, Andrzejowi i wszystkim innym, zwłaszcza młodszemu ode mnie o pięć, dziesięć lat. Przecież to co robiliśmy przez szesnaście miesięcy nie odstanie się i przez szesnaście lat. Ludzie zobaczyli, że mogą organizować się samorzędnie, od dołu, swobodnie wybierać sobie przywódców, ustalać program, kontrolować nominatów. Tej świadomości się nie wyważe, tej wiedzy nikt nie unieważni, to jest i zostanie w nas wszystkich przecież! Prawda, że przegraliśmy, prawda, żeśmy nie potrafili wszystkiego upilnować, ale tu w naszym zakładzie wygraliśmy na pewno! Wygraliśmy w ludzkich umysłach, ten naród nie jest już taki, jakim był przed dwoma laty - to nasze największe zwycięstwo.

Janowie, towarzysze, zróbcie coś, aby dać nam wszystkim, zwłaszcza tym o parę lat młodszymi, poczucie zwycięstwa! Może nie być naszego Związku, możemy nie nazywać się "Solidarność-

cią", nie musimy być drugą Japonią, możemy zapomnieć o fiaczkach, ale to jednc musicie im dać!

Nade wszystko im właśnie. Wstępującym pokoleniom.

Bo...?

Lepiej nie wymawiać tego w złą godzinę wojny.

Tylko nie usiłujcie znów nas przekonać, że jeśli będziemy wytrwale pracować, nie interesować się polityką, pceptać ekstremę i klaskać na masówkach, że jeśli zajmieni się skrętnie rozdziałem wczasów i transportem ziemniaków, to już wyżej ustawieni i mądrzejsi od nas wszystko załatwią i wszystkie pójdzie ku lepszemu.

To już braliśmy na poprzedniej lekcji, ze złym skutkiem.

Z tą różnicą, że wtedy jednak polityką kazano interesować się jak najbardziej i z pełnym zaangażowaniem.

Więc lepiej już pomilczeć.

Coś bardzo ważnego musi zależeć od nas samych i o czymś bardzo ważnym my sami - nie prowadzeni za rączkę - musimy decydować. I to jest właśnie ta postulowana tu perspektywa, tę wciąż oczekiwane otwarcie.

Jeszcze czekamy, przynajmniej tu w POLFORM-ie, zakładzie niewielkim. Nie wolno odbierać nam godności ludzi nieskwapliwych, wątpić w mądrość ludzi niekatwowiernych.

Pod tym warunkiem możemy poczekać jeszcze trochę.

Przynajmniej ja sam, bo sam pozostałem.

Jestem sam, bo w istocie ludzie zawsze pragnęli, aby ktoś za nich - nie w ich imieniu, ale właśnie za nich - załatwiał najważniejsze i wymagające podjęcia ostatecznych decyzji sprawy. Coraz bardziej podejrzewam, że tak było od początku, tylko po to wybierali sobie przywódców i wybierali takich właśnie. Jeśli z czymś się nie godzą, to zawsze znajdują sobie na tę okoliczność odpowiedniego opozycjonistę, krzykacza lub konspiratora, którego istnienie zwolni ich przynajmniej od mądrej aktywności w niezgodzie. Coraz częściej widzę jak cokolwiek przestaje obchodzić kogokolwiek; także w halach, przy taśmie, za biurkiem. Widzę już nie tylko zamknięte usta, ale nawet jakby ręce układające się - jak dawniej - do okłasków. Czyżbym zwątpił w mądrość niekatwowiernych i nieskwapliwych? Nie, nie po stokroć! Chcę ci tylko pokazać, że jest i taki wymiar człowieka, który ujawnia się w czasach skąpych w nadzieję. Ludzie maleją. To malenie, umniejszanie się ludzi, jest gorsze od biernego oporu, gorsze od materialnej nędzy, od wszystkiego, o co może się jeszcze stać. Im dłużej będziemy czekać, tym dotkliwiej będziemy się zmniejszać. Nie, nie chodzi mi wcale o pojedynczych gorliwców i donosicieli, chodzi mi o powszechny upadek ducha, w chwilach, gdy przestajemy patrzeć sobie w oczy, a każdy istnieje osobno, jakby w tylko dla siebie wykopanym i od innych oddzielnym dołku. A może właśnie komuś chodzi o to, aby ludzie nie porozumiewali się ze sobą naprawdę, aby tkwili w swych odrębnych i wciąż malejących monadach.

Jestem sam, bo Andrzej siedzi. Dopiero, gdy było już za późno, dowiedziałem się, że pojechał do Warszawy nie wiadomo z czyjego polecenia i taskał stamtąd wór nie wiadomo czyich



ułotek. Nawet nie zgolił na tę okoliczność brody, nie ubrał się jak urzędnik - oto konspiracja dwudziestolatków! Dworcowy patrol musiałby być głupi, gdyby nie wykuskał z tłumem takiego właśnie obszarpanego chłopaka, taszczonego plecakiem.

Nie wiem po co.

Znaczy to, że dzieją się sprawy poza mną i to wśród ludzi, których miałem za przyjaciół i powierników. Już mi nie ufają.

Znaczy, że...

Lepiej nie wymawiać tego w złą godzinę wojny.

Jeszcze raz proszę: panowie i towarzysze, praca i milczenie to za mało na program dla nas, na wielkie i przez wszystkich oczekiwane otwarcie, na ugodę, na uspokojenie, na przyszłość. Nie możemy zbyt długo czekać, bo przegramy już po raz trzeci, my - siły odpowiedzialności i rozsądku.

Władza nie kochanka, nie trzeba jej lubić, trzeba jej słuchać - mówią mi. A cóż to jest władza? Skąd pochodzi?

Tak, myśmy w "Solidarności" wśród morza błędów popełnili i ten jeden niezauważalny, ale w skutkach wyjątkowo podstępny: od początku usadziliśmy władzę po przeciwnej stronie stołu i żądaliśmy spełnienia postulatów, zamiast żądać po prostu aby władza pochodziła od ludu. W ten sposób ludzie uwierzyli, że bierze się ona z nadania świeckiego boga.

Wieczność nie jest atrybutem ziemskim. Wszystko kiedyś rodzi się, wzrasta i nieuchronnie umiera. Warto byłoby o tym pamiętać w złą godzinę wojny.

W przyszłości tak przyszłej  
że zapomniane będą nasze przeszłe kości  
W perspektywie tak odległej  
że żywe oko jej nie ujrzy bez martwego szkieleka  
W dniu jutrzejszym tak postępowo lepszym  
że aż nieziszczalnym  
- tak, wtedy zwyciężymy na pewno!

Nie znam nawet autora tego wiersza, wręczył mi go jakiś chłopak gdy w lutym 1981 roku, podczas beznadziejnie się wlokącego studenckiego strajku, gościłem tam chwilę w charakterze przedstawiciela przodującej klasy i popierającej studentów siły. Pewnie napisał sam.

Czy dopiero wtedy wyprostujemy się, spojrzymy sobie w oczy?

Przecież właśnie tacy jak wy zwyciężyli najbardziej daleko - tłumacząc Markowi i Wieskowi. Wasi koledzy wywalczyli swobody akademickie, jakich już w całości żadna władza nie cofnie mimo stanu wojennego. Wasi rówieśnicy myślą już inaczej, co innego niż przed dwoma laty wiedzą, czego innego chcą, a z nich przecież tak czy inaczej wyłonią się siły nadające bieg przyszłej historii tego kraju. Zwyciężyliście, uwierzcie mi chłopcy! W lutym czy w listopadzie, obojętnie, zwyciężyliście na pewno, chociażbyście mieli utracić nie tylko wiarę.

Cóż mogę powiedzieć im jeszcze, coż im dać w złą godzinę wojny?

Marek i Wiesiek siedzą. Poważne naruszenie przepisów stanu wojennego - tyle wiem. Coś robili całkowicie poza mną, z kimś innym, w innym celu, z innym zamierzeniem, przeciwną

+  
nadzieją.

Już się stało.

Przegraliśmy?

Ludzi łatwo rozognić. Ale wiele trudniej pokonać każdego z osobna, nawet wtedy, gdy odizolowany od współmyślenia z innymi, tkwi w swoim przeklętym dołku osobnym. Zmusić do innego pojmowania, przekształcić świadomość, podporządkować ducha? Nie, to się jeszcze nikomu nie udało na siłę. Bo zdradzę ci najtajniejszą z naszych wspólnych tajemnic: siły rozsądku i odpowiedzialności są twarde, o wiele twardsze i odporniejsze niż gorącogłowi. Czyżby ci, od których wiele zależy nie rozumieli, jak potężną bronią jest ta milcząca i niełatwowierna nieskwapliwość? Nie lekceważyłbym jej powolnych, lecz nieuchronnie nadchodzących skutków, nawet wtedy, gdy idzie czas taki, że ludzie maleją.

Nawet?

Bo jeśli nie, to już tylko pozostaje nam przekazywać dalej swą żółć i swoją nigdy niezaspokojoną nienawiść, pozostaje tylko zatrucie następnych pokoleń tym wiecznym jadem rozpędzonych buntowników, nie w czas zdarzonych odnowicieli? Pozostaje gorzknąć, coraz mniej być zdolnym do rozumiejącego przebaczenia. Pozostaje pielęgnować nowy narodowy kompleks, rosnący w wielką i nieszczęsną złudę - mit ludzi "Solidarności".

A jeśli...

Lepiej nie wymawiać tego w złą godzinę wojny.

Mam za sobą trzy kolejne porażki, dwoje dzieci, nadzieję na mieszkanie w bliżej nie określonej przyszłości; organizowałem wielki ruch, potem zostałem tylko przewodniczącym w małym zakładzie. Mam zaledwie 30 lat i wszystko co ważne wydaje się, że jest już poza mną.

Nie, pozostaje jeszcze cokolwiek do zrobienia.

Ale tak trudno jest czekać na coś, co nie musi nastąpić.

Jeśli w cokolwiek wierzę, to już tylko w naszą niełatwowierną nieskwapliwość. Wiecznie odradzające się ziele.

Czas wojny, ale też wojna czasu.

Spisał: Jerzy Surdykowski

# Wybieram wolność w Polsce

Wywiad z Jerzym Surdykowskim

- Jaką pan zastał Polskę po swoim powrocie?
- Smutniejszą.
- Ze względu na podwyżki cen, jakie w międzyczasie miały miejsce?
- Podwyżki cen byłyby i tak nieuchronne przy jakiegokolwiek próbie ratowania ciężko chorej polskiej gospodarki. Społeczeństwo mogłoby je zaakceptować, gdyby uzyskało jakieś realne dowody partnerstwa z rządzącymi. Tymczasem reformy utknęły przed tą wciąż nieprzekraczalną barierą, jaką są interesy rządzącej warstwy. Represje są zaostrzone. Zamyka się usta niepokornym. Choroba będzie się więc pogłębiać.
- I w tej sytuacji zaostrzających się represji godzi się pan na wystąpienie na naszych łamach?

- Właśnie w tej sytuacji. Kilka miesięcy temu Prokuratura Generalna PRL ostrzegła przed współpracą z wydawnictwami emigracyjnymi. Za publikowanie druków poza cenzurą już od dawna grozi kara więzienia. Żyjąc w Polsce i widząc tu swoje miejsce, staram się szanować prawo, choćbym nawet nie zgadzał się z jego genezą i stosowaniem. Ale tym razem muszę wyjaśnić i publicznie powiedzieć: NIE! Ten dzwon bije dla mnie i dla takich jak ja, którzy w tej bardzo trudnej do życia dzisiejszej Polsce usiłują zachować niezależność myślenia, którzy tę dziejącą się cierpiącą Polskę usiłują zrozumieć i opisać. Tu chodzi o odebranie polekimi ludziom pióra ostatniej możliwości niezależnego wypowiedziania się o polskich sprawach. Chodzi także o wykopanie przepaści pomiędzy emigracją a krajem. Więc powiadam: dopóki cenzura prewencyjna uniemożliwiać będzie swobodną i publiczną dyskusję pomiędzy ludźmi o różnych poglądach, dopóty wypowiadać się muszę z konieczności w obiegu niezależnym, tak krajowym, jak emigracyjnym. Jeśli pan prokurator zechce postąpić ze mną tak jak z Lisem, Michnikiem czy Frasyniukiem, proszę - jego wola. Ale mając wybór między milczeniem a spełnianiem tego podstawowego obowiązku intelektualisty, jakim jest wypowiedzianie się w sprawach publicznych - wybieram obowiązek. Nie jestem ekstremistą, staram się zrozumieć i docenić dzisiejsze realia środkowej Europy, nie interesują mnie gry o władzę, nie interesuje mnie tworzenie partii politycznych, nie interesuje mnie nawet konspiracja. Mam po prostu parę ważnych rzeczy do napisania. I zbyt dużo już straciłem czasu na daremne potyczki z cenzorskim ołówkiem nie zyskując nic w zamian, prócz sporej teczki nigdy nie opublikowanych tekstów. Nie bawi mnie tak zwany "bojkot", nie

---

x/ Jerzy Surdykowski, pisarz i dziennikarz, wiceprezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w latach 1980/81, od marca do lipca 1985 r. przebywał w Stanach Zjednoczonych na zaproszenie Meridian House International. Odwiedził także kilka krajów Europy Zachodniej. Publikowany przez nas tekst jeet przedrukiem wywiadu, jakiego J. Surdykowski udzielił po powrocie do kraju ukazującemu się w USA "Przeglądowi Polskiemu".

jestem na nikogo obrażony. Bardzo chętnie napisałbym tekst do "Polityki" czy "Życia Literackiego", wydał w państwowym wydawnictwie książkę o dzisiejszej Polsce, ale pod tym tylko warunkiem, że będą to moje teksty i moje myśli. I wiem, że to kiedyś nastąpi, bo do jakiegokolwiek porozumienia może dojść tylko przez porozumiewanie się, czyli przez niezależną, pluralistyczną wymianę myśli.

- Jakoś nie jest pan zachwycony faktem, że znalazł się pan w "drugim obiegu"...

- Tak, wcale się z tego nie cieszę. Znowu są dwa nawzajem odwrócone od siebie obiegi polskiej literatury i polskiego myślenia. Jedyną, szkodliwie krótką przerwą był okres "Solidarności". W tej sytuacji łatwo nie tylko o wielkie straty, ale i o eskalację. O dyskusję na epitety, nie argumenty. Jeśli już nie ma innego wyjścia, władzom lepiej procentowałyby miłująca tolerancja dla "drugiego obiegu", ignorowanie jego istnienia. Bo jest on tylko przetrwalnikowym zawiązkiem tego postulowanego pluralizmu, bez którego nie ma ani porozumienia, ani nawet zwyczajnego rzeczuja polskiej myśli.

- Ale czy nie jest czymś wspaniałym takie pisanie bez cenzury?

- Najstraszniejszym niebezpieczeństwem "drugiego obiegu" nie jest policja ani więzienie. My sami, nasza chęć rewanżu za lata cenzorskiej poniewierki, chęć przywalenia "czerwoniemu" z całej siły, współzawodnictwo w tym, kto wyżej podskoczy, a nie w tym, kto mądrzej pomyśli. Ileż piór wykrzywiło się na tych manowcach? Ale widocznie tędy musi prowadzić wcale niezatwa droga samowyzwolenia.

- A jak pana wsadzą?

- To odsiedzę, wyjdę i będę dalej robił to samo. Mam też pewien dżug do sprzeczania - dżug wobec polskiego robotnika, który w Sierpniu 1980 r. w trzecim punkcie swych postulatów upomniał się o polskiego inteligenta, żądając zniesienia cenzury. Przypominam, że dopiero czwarty punkt mówił o płacach, wolne słowo było więc dla niego jakby cenniejsze niż chleb z kiełbasą.

- W naszej rozmowie wciąż powtarza się słowo "niezależność".

- To wspaniałe słowo, prawie takie jak "wolność" albo "prawda". Ale jednocześnie - tak jak tamte słowa - wciąż nadużywane i jak tamte słowa - groźne. Mądrze powiada się, że prawda nie daje szczęścia, że poraża. Nie inaczej z niezależnością. W latach siedemdziesiątych przeczuwałem zbliżający się wstrząs. "Obleżenie" jest powieścią o upadku, musiało wiele lat czekać na wydanie, ukazało się już w czasach "Solidarności", gdy było po wszystkim. Tak "Horoskop", jak i nigdzie nie opublikowany i nie wykorzystany - choć nagrodzony w konkursie - scenariusz filmowy "Makro", kończą się sceną strajku robotników. "Horoskop" został wystawiony w wersji bardzo ocenzurowanej, potem zresztą szybko zdjęty tak ze sceny, jak z druku. Po Sierpniu, gdy to wszystko stało się rzeczywistością, nie było już do czego wracać. Wątpliwa satysfakcja, że wiedziałem wcześniej, skoro i tak cenzor z partyjnym nadzorcą sztuki uniemożliwili porozumienie z czytelnikiem lub widzem. Potem, w pięknych czasach "Solidarności" w "Wiadomościach Krakowskich", pierwszym piśmie tego ruchu wydawanym w Małopolsce, uważaliśmy, że misją piszących członków



i sympatyków "Solidarności" jest inicjowanie rzetelnej dyskusji, pełnienie funkcji krytycznego umysłu. W efekcie, ostatnie numery naszego pisma wydawaliśmy w konspiracji przed niektórymi osobami z Zarządu Regionu, które uważały nas za coś w rodzaju wtyczek wroga, jako że nie uczestniczymy w ogólnej chwalebnej i lakiernictwie, a stawiamy pytania o przyszłość. Piszę o tym zresztą - i w ogóle o postawach inteligencji w tamtym okresie - w 37 numerze londyńskiego kwartalnika "Aneks", kto ciekawy, niech przeczyta. Podobnie było w partyjnym, ale bardzo już w latach siedemdziesiątych niezależnym i krytycznym klubie "Kuznica" w Krakowie - zmuszono go do samorozwiązania w 1982 roku. Nie inaczej z brutalnie rozpędzonym przez władzę zespołem słynnej "Gazety Krakowskiej", jej ówczesny naczelny redaktor Maciej Szumowski jest dziś nocnym stróżem. Z tych gwałtownie zakończonych osasów "Solidarności" mam też sporą teczkę tekstów nie dopuszczonych do druku w "Tygodniku Solidarność", ale bynajmniej nie przez rządową cenzurę. "Cenzura solidarnościowa", trzymająca się obiegowych, utartych opinii, tu i ówdzie pokutuje zresztą nadal, także w prasie podziemnej, sam się z nią ze dwa, trzy razy zetknąłem.

Po co te wszystkie gorzkie żale, które by można ciągnąć długo? Nie tylko po to, abym teraz powiedział, że brzydzę się cenzurą we wszystkich postaciach, jakie ta hydra przyjmuje. Przede wszystkim po to, abyśmy mogli pojąć prawdziwy, gorzki sens słowa "niezależność". Bo nikt nie staje się niezależnym przechodząc z jednego stada do drugiego. Niezależność nie ma nic wspólnego z siłą tłumy, niezależność to bardzo utrudzająca i stroma ścieżka, los samotnego żeglarsza. Ale dlatego, że zbyt dużo o niej wiem, będę jej bronił do ostatka.

- O ile wiem, podczas pobytu w USA został pan ostro zaatakowany przez radio "Pomost" w Detroit. Czy to kolejna przygoda człowieka niezależnego?

- A to... Prawie zapomniałem. Skórę mam wygarbowaną, przyzwyczaiłem się... Podczas krótkiego pobytu w Detroit dopadło mnie miejscowe polskie radio prosząc o wypowiedź o dzisiejszej Polsce. Ponieważ nie użyłem stadnych epitetów przyjętych widać w tamtejszym "Pomoście", tylko usiłowałem posłużyć się rozumem, przy najbliższej okazji nazwano mnie - cytując dokładnie z nagranej taśmy - "obywatelem, a może towarzyszem, który musi wykazać się przed swymi mocodawcami". I tyle. "Pomostowi" życzę wszystkiego dobrego. Na pewno nie jest on - jak chce owo ostrzeżenie Generalnej Prokuratury PRL - "organizacją terrorystyczną", ale na pewno ma wszelkie szanse po temu, aby stać się sektą. Zaś dla osób demonstrujących nieprzejednanie w Detroit i gdzie indziej za granicą mam skromną propozycję: niech popробują podemonstrować nad Wisłą. Ja też bym wolał aby rząd Polski pochodził z wolnych wyborów i aby Polacy mogli sami wybrać sobie formę ustroju i organizacji państwa. Ale póki środkowa Europa jest taka, jaka jest, i póki mamy sąsiedztwo takie, jakie mamy, o wiele bardziej od jałowych dziś rozważań o przyszłym ustroju wolnej Polski i od równie jałowych demonstracji samego tylko nieprzejednania, interesuje mnie to, czy dzisiejsi Polacy będą mieli trochę mniej czy trochę więcej wolności, czy gospodarka naszego kraju będzie zamierać w centralistycznym gorsecie, czy jednak się reformować, czy w więzieniach będzie 200 więźniów politycznych, czy może aż 20 tysięcy? Sądzę, że nie są to takie bagatelne róż-

nice. Tym "wspaniałym nieprzejednanym" zza oceanu, my, polscy opozycjoniści, wcale nie jesteśmy potrzebni jako partner, ale coraz bardziej dochodzę do przekonania, że najchętniej widzieliby nas w więzieniu - jako potwierdzenie swego nieprzejednania i swej emigracyjnej decyzji. I jakoś gorzko, że w tym punkcie ich interesy zbiegają się z interesem zupełnie innych "nieprzejednanych", tych z KC PZPR i Służby Bezpieczeństwa, którzy także tam widzą nasze miejsce. A ja myślę, że w Polsce w jej dzisiejszych realiach jest sporo do zrobienia niekoniecznie w więzieniu, choć być może trzeba będzie więzieniem płacić za niezależność, tak jak płaci dziś wielu moich przyjaciół z "Solidarności". Dlatego właśnie odrzucając wstrętą mi cenzurę, wybierając swój szlak samotnego żeglarza - wybieram wolność w Polsce.

- Potępia pan wybór wolności na Zachodzie?

- Nigdy nie uważałem emigracji za zdradę, ucieczkę czy coś takiego. Polacy to taki sam naród jak inne, tylko o trochę trudniejszej historii: z faktu bycia Polakiem nie wynika ani szczególna misja, ani powód do wstydu. Jeśli ktoś potrafi lepiej ułożyć sobie życie na Zachodzie - jego sprawa. Wiele zyskując - coś jednak traci. Podobnie jak my - żyjąc w Polsce także tracimy coś ważnego. Nie istnieją decyzje doskonałe, bez konsekwencji. Dobrze byłoby to zrozumieć i zaakceptować, bo Zachód jest wspaniałym miejscem do pracy, do osobistego rozwoju, ale bardzo złym miejscem do leczenia kompleksów i demonstrowania obrażonych min.

- Obecny rząd PRL doprowadził do niesłychanego zaostrzenia stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, co pan na to?

- Nie chcę oceniać bieżącej gry politycznej. Powiem tylko, że jakiegokolwiek skuteczne leczenie tej ciężko chorej polskiej gospodarki jest możliwe poprzez bliską współpracę z Zachodem, w tym zwłaszcza z Ameryką. Jest to oczywiste dla każdego, kto choć trochę zna się na gospodarce i jej realiach. Nie mówiąc już o związkach kulturowych z Zachodem. Dlatego marzy mi się zupełnie inna polityka budowania nie barier, ale mostów pomiędzy Polską i Ameryką. Marzy mi się Polska bynajmniej nie zamerykanizowana, ale otwarta na Amerykę, na jej technologię, jej potencjał intelektualny, jej kulturę gospodarowania, jej mądrość...

- Mądrość? W Europie mówi się, że Ameryka jest krajem bogatym, ale głupim.

- Nie ma krajów głupich. Dla mnie najcenniejsza mądrość Ameryki, to mądrość jej demokracji, korzenie jej demokracji. Samorządność małych pionierskich wspólnot, które tu się osiedlały, dała Ameryce to niezwykle ważne poczucie, że władza idzie od dołu, że ludzie władzy nie są namiestnikami Boga albo jakiejś ideologii, tylko po prostu najemnymi pracownikami opłacanymi ze społecznych podatków, przez społeczeństwo kontrolowanymi i mającymi społeczeństwu służyć. W Europie podobne korzenie władzy i podobna świadomość władzy ukształtowały się tylko w górskich kantonach Szwajcarii. Wszędzie indziej o demokrację trzeba było dopiero walczyć, demokrację trzeba było dopiero tej poświęconej centralnej władzy wydziełać. I jeśli dziś w Polsce mówimy o demokracji, o zdobywaniu demokracji - a jeśli Polska ma mieć przyszłość jakąkolwiek, musi być to przyszłość demokratyczna - to możemy dyskutować i działać skutecznie tylko ze zrozumieniem korzeni i podstawowych mechanizmów demokracji, których uczyć się warto wia-

nie tu. Podobnie jak 150 lat temu Alexis de Tocqueville w swym fundamentalnym dziele "O demokracji w Ameryce" usiłował te mechanizmy, te słabości i wzloty demokracji amerykańskiej pokazać walczącym dopiero o demokrację Francuzom.

- Ale zanim się ziści, jeśli się kiedykolwiek za naszego życia ziści to, o czym pan mówił, mamy niestety znów tak zwane realia. Co będzie dalej z Polską?

- Nie wiem... Władza zachowuje się tak, jakby Sierpień i wszystkie poprzednie polskie kryzysy polityczne niczego jej nie nauczyły prócz strachu przed własnym społeczeństwem. Wszystkie mechanizmy społeczne i polityczne pchające nas do kolejnego wielkiego wstrząsu zostały odtworzone z jakimś zadziwiającym zaślepieniem. Reforma gospodarcza ograniczyła się do zmiany systemu podatkowego i finansowego, nie wprowadziła w znaczącym stopniu rynku i wolnej konkurencji, w niczym nie naruszyła świętych dotąd interesów nomenklatury partyjnej i centralnej biurokracji. Żeby wyjść poza ten - pchający kraj do kolejnego nieszczęścia - splot polskich niemożności, trzeba jednak wyjść poza obecny model polityczny, oprzeć się na jakichś prądach do reform siłach społecznych. Tymczasem siły takie nie mają żadnych możliwości zorganizowania się, ich przywódców wsadza się do więzienia, ich rzecznikom zamyka się usta. Tak więc mamy przed sobą - choć pewnie nie jutro, raczej pojutrze - kolejny polski dramat, pewnie znacznie bardziej gwałtowny niż poprzednie i pewnie znów jak poprzednie przegrany. Tymczasem teraz - pięć lat po Sierpniu, cztery prawie lata po wprowadzeniu stanu wojennego - mamy bez wątpienia okres międzykryzysowego odpływu i uśpienia, w którym władza, zwiększając represje, będzie usiłowała przesunąć tę delikatną równowagę choć trochę na swoją korzyść. To najzupełniej daremne, bo my, ludzie "Solidarności", schodzimy już z historycznej sceny. Nigdy to samo pokolenie nie wzniecało dwa razy płomienia buntu. W przyszłym polskim kryzysie wyjdzie na ulice to pokolenie, które dziś wkracza w dorosłe życie albo chodzi dopiero do szkoły. Ono zrobi to po swjemu, zapewne o wiele bardziej niż my gwałtownie. My możemy tylko uczyć historii, myśli politycznej, namawiać, perswadować... Ale nie my im będziemy autorytetami i przywódcami.

- Jaką perspektywę dla siebie widzi pan w tym nadciągającym polskim dramacie?

- Tak, dramat polskiego losu daleki jest od pogodnego zakończenia. Wiem, że żyję na wulkanie i pogodziłem się z tym. Czasy najbardziej dramatyczne dla narodu bywają najpłodniejszymi dla pisarza. Więc uczyć, perswadować, pisać książki, to już bardzo wiele. Sądzę, że jest to społeczna służba bardzo potrzebna w takich właśnie czasach. I jeszcze jedno: sądzą, że perspektywa kolejnej, pewnie tragicznej odsłony polskiego dramatu, perspektywa stagnacji gospodarki, upadku państwa i buntu społeczeństwa jest oczywista również dla ludzi władzy. Sądzą, że po doświadczeniach kolejno: października 1956, grudnia 1970, sierpnia 1980 i wreszcie stanu wojennego, nie mają już oni złudzeń. Tylko, że cała ich szkoła polityczna, tak warszawska jak moskiewska, cały ich strach przed społeczeństwem, skłaniają do działań zachowawczych i represyjnych, które jednak nie poprawią stanu państwa i gospodarki, nie tchną nowego ducha w martwą ideologię. Wyjście poza dotychczasowy konserwatyzm, poza dotychczasowy model polityczny "realnego socjalizmu" wymagałoby wielkiej odwagi, zwłaszcza że dokonywałoby się w warunkach o wiele mniej korzyst-

nych niż - powiedzmy - po październiku 1956. Ale przepaść, do której nas ciągną, jest przepaścią nie tylko dla nas, także i dla nich. Nie liczę już na ich liberalizm i dobrą wolę, liczę tylko na ich instynkt samozachowawczy, na to, że strach przed wspólną katastrofą przeważa nad strachem przed społeczeństwem. Wyjście z obecnej sytuacji nie przez krwawą zawieruchę, lecz przez reformy, zawsze jest możliwe, zamierzam na tę możliwość stale i uparcie wskazywać, także rządzącym.

- A Kościół, tyle się o nim mówi...

- Kościół w Polsce to wielka siła, tak duchowa jak i organizacyjna, tym więcej, że lgnie do niego wszystko, co opozycyjne i niezadowolone, tak jak po Sierpniu lgnęło do "Solidarności". Ale Kościół nie rozwiąże za nas naszych problemów politycznych, taka nadzieja, którą żywi wciąż wielu moich przyjaciół, to złudzenie. Zresztą nie jestem znawcą problemów Kościoła, tu w Krakowie jest tylu ludzi bliskich Kościołowi, proszę się do nich zwrócić... Ja byłem i pozostanę niedowiar-kiem. Owszem, wierzę w Boga i nieraz Go chwalam po swojemu, także w kościele. Ale nie czuję potrzeby określania się na gruncie zinstytucjonalizowanej religii, dogmatów i rytuałów. Takim już pozostanę...

- Przecież tylu pańskich przyjaciół, którzy rozczarowani blokowaniem przez partię posierpniowych reform, rzucili swoje legitymacje albo zostali z partii - jak pan - wydalenii, dziś uważa się za gorliwych katolików.

- Ach, te nagłe nawrócenia w stanie wojennym... Dla jednych były one pewno głęboką potrzebą, dla innych pewnie nową pozą. Nie mam jakoś ochoty zmieniać swojej starej skóry. Do partii - tak jak wielu ludzi z mojego pokolenia - wstąpiłem nie z wiary w ideologię, nie dla kariery, lecz z pragmatycznego przekonania, że tą drogą można doprowadzić do jakichś rozsądnych reform. Ponieważ było to małżeństwo z rozsądku, to i rozwód po 13 grudnia przebiegł łatwo. Komunistą nie czuję się nigdy, byłem i pozostanę socjalistą.

- Socjalistą? To bardzo niemodne dziś słowo. Czym dziś jest dla pana socjalizm?

- Na pewno nie zaskorupiałym "realnym socjalizmem", na pewno nie jest totalitarnym zniewoleniem, odmową zgody na pluralizm i demokrację. Dla mnie socjalizm to solidarność, to przekonanie, że stosunki w społeczeństwie nie powinny być kształtowane przez samą tylko walkę o byt, to ten sam co w chrześcijaństwie etyczny rdzeń poszanowania dla osoby ludzkiej i jej praw. Także wielka i piękna tradycja walki ruchu socjalistycznego o te prawa, zwłaszcza wtedy, gdy jeszcze nie upominała się o to nauka społeczna Kościoła. Piszę o tym szerzej w nr. 18 "Krytyki", która jest również dostępna na Zachodzie - kto ciekawy, niech przeczyta. Dał natomiast socjalizm przyzwolenie na totalitarną dyktaturę i z tego musi się sam rzetelnie rozliczyć. Sądzę zresztą, że jakkolwiek ust-rój socjalistyczny w sferze gospodarki jest mrzonką, musi ona opierać się - przynajmniej w dzisiejszym świecie - na sprawdzonych zasadach konkurencji, zyskowności i inicjatywy, choć nie musi być to inicjatywa wyłącznie prywatna. Myślę zresztą, że tak jak socjalistyczna z ducha jest dzisiejsza nauka społeczna Kościoła, tak socjalistyczny z ducha był program uchwalony na pierwszym i jedynym zresztą zjeździe "Solidarności",



choć delegaci bali się w nim użyć słowa tak okrutnie skompromitowanego przez 40 lat "realnego socjalizmu" w Polsce.

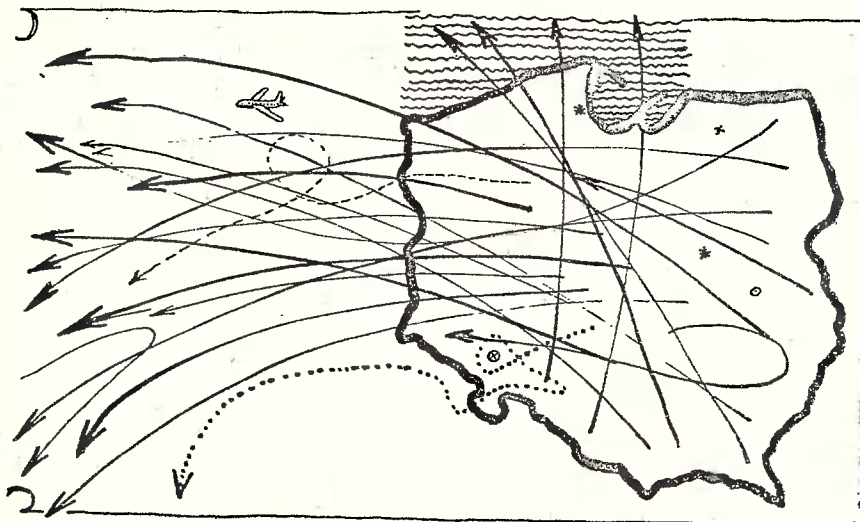
- Co pan przywiózł z USA?

- Mnóstwo materiałów i obserwacji o korzeniach demokracji amerykańskiej, o samorządności lokalnych grup i społeczności, o organizacjach kontrolujących proces sprawowania władzy. Myślę, że walczącym o swoją demokrację Polakom potrzebne jest nowe, idące śladem wspomnianego tu Tocqueville'a spojrzenie na takie problemy. Zamierzam więc tę książkę napisać po prostu od siebie, według swego poglądu i uznania, nie oglądając się na to, gdzie i kiedy będzie mogła być opublikowana.

- Może i o naszych, amerykańskich czytelnikach pan nie zapomni?

- Oczywiście. Wkrótce w "Przeglądzie Polskim" opublikuję wstępne uwagi i notatki, które mam już "na warsztacie". I jeszcze jedno z tej Ameryki przywiózłem: przekonanie, że większość emigracji i jej czołowe postacie rozumieją nasze krajowe problemy, że z głębokim z troskaniem patrzą na dramatyczne perspektywy, o których tu była mowa. Że wystarczyłoby trochę gestów dobrej woli ze strony władz PRL, pogłębienie reformy gospodarczej i zaniechanie represji, aby odblokować tu ogromny potencjał inicjatywy i pomocy. Ta zbawienna droga jest wciąż możliwa do otwarcia, ale klucz do niej nie znajduje się ani w moich, ani w amerykańskich rękach.

- Dziękuję za rozmowę.



## DO CZEGO DOCHODZI W POLSCE

Garść nie tak'bardzo  
niepoważnych rozważań

Andrzej Szczypiorski

# Czy zna Pan telefon do Kremla?

Rzecznik rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ma rację, gdy mówi, że w Polsce następuje normalizacja. Z jego punktu widzenia normalizacja jest jednakże czymś innym, niż z mojego. Wicepremier Rakowski wyjaśnił w telewizji, że zwyciężyła koncepcja społecznego pokoju. To samo powtórzył Lech Wałęsa. Ale jeśli obydwa mówią to samo, długo jeszcze nie będzie to tym samym.

Pokój społeczny może bowiem oznaczać relatywnie harmonijną współpracę różnych ideologicznych i światopoglądowych grup w społeczeństwie pluralistycznym, lecz również apatię, obojętność i odwracanie się dużej części ludności od życia publicznego. Wyniki gospodarcze w Polsce wskazują na to, że osiągnięty został ten drugi rodzaj pokoju społecznego. Według danych rządowych, wykonanie planu gospodarczego w pierwszej połowie 1985 roku było niższe niż w analogicznym okresie roku poprzedniego. Właśnie z powodu niskiej wydajności pracy, marnotrawstwa, obniżania jakości produkcji, postępującej inflacji i zagrożenia planu, szef partii i rządu W. Jaruzelski zwołał konferencję wojewodów. Niektórzy z nich wystąpili później przed kamerami telewizyjnymi. Zgodnie wyśniali, że teraz, po konferencji z generałem, zostaną "podjęte odpowiednie decyzje w celu przeciwdziałania niekorzystnym tendencjom i skutecznego rozwiązania istotnych zagadnień oraz bolesnych problemów, które nagromadziły się w społecznogospodarczym życiu prowincji". Znowu przemówił kolektywny rozsądek. Rząd wydaje się być uspokojony w wyniku zapewnień swych wojewodów.

Dobrze, że przynajmniej ktoś jest uspokojony.

Ostatnio dużo mówi się w Polsce o jesiennych wyborach do Sejmu. Publicysta Jan Rem, który wypowiada poglądy, jakich rzecznik prasowy Urban nie mógłby wyrazić /co rozumiem, gdyż i tak każdy wie, że Rem jest taki sam jak Urban, a Urban jak Rem/, opublikował w organie Komitetu Centralnego partii "Trybunie Ludu" artykuł pełen szyderstw i napaści przeciwko tym Polakom, którzy w miarę możliwości zbojkotują wybory i nie pójdą do urn. Zdaniem Rema-Urbana bojkot jest "odmową wzięcia udziału w życiu państwa. Nie jest on także metodą wypowiedzianą się na rzecz innej polityki. Nikt rozsądny bowiem nie spowoduje zmiany polityki przez niebranie udziału w życiu publicznym i rezygnację z wywierania na nie wpływu. Nie pójdzie do urn jest oznaką tchórzostwa, znamionuje bowiem

x/ Poniższy artykuł ukazał się we "Frankfurter Allgemeine Zeitung" we wrześniu br. Przekład nieutworzony. Red./

ucieczkę, brak odwagi powiedzenia «nie».

Rem jest fenomenem pokrętnego myślenia, ale tylko pozornie. W rzeczywistości myśli on w sposób banalny. Jeśli bowiem ktoś, zgodnie z rekomendacją Rema, pragnąłby wypowiedzieć się na rzecz innej polityki, musiałby mieć wybór między różnymi wariantami i programami. Tu wcale nie chodzi o tak wielkie sprawy, jak polskie ożonkostwo w Układzie Warszawskim i w RWPG czy o sojusz ze Związkiem Radzieckim. Idzie po prostu o to, że jeśli obywatel w PRL ma jakiś własny pogląd na pewne kwestie publiczne, by miał możliwość wyboru między rozsądkiem i absurdem, autentycznym pokojem społecznym i ogólną apatią, rzetelną reformą gospodarozą i ekonomicznym szamaństwem, samorządem społecznym i wodzeniem na pasku, pomiędzy godnością obywateli i ich poniżeniem we własnym państwie. Jeżeli Urban umożliwi naszym rodakom takie właśnie wybory, natychmiast pospieszymy do urn.

Ostatnie zdanie w artykule Rema brzmi: "Więc jeśli masz pewność człowieku, że jesteś przeciwko wszystkiemu temu, co my robimy, możesz tam pójść i przeciwko temu głosować". A jeżeli ten człowiek nie "przeciwko wszystkiemu" chce głosować? Jeżeli człowiek chce głosować za prawdą, przyzwoitością i dobrze zorganizowaną pracą, szacunkiem dla praw człowieka i obywatela we własnym kraju? Jeżeli chce on głosować za sojuszem ze Związkiem Radzieckim, a nie za płaszczaniem się? Za równoprawną współpracą państw RWPG i wszystkich innych krajów? Za wolnością słowa, za pluralizmem w życiu publicznym, za szanowaniem tysiącletnich republikańskich i chrześcijańskich tradycji narodu? Jeżeli Urban stworzy taką możliwość - Polacy skorzystają z niej bez ociągania. Na razie nie ma takiej możliwości.

#### NA CZYM POLEGA NIEPODWAŻALNOŚĆ

Odnosnie różnorodności myśli i form ich wyrażania, dowiedziałem się z warszawskiej telewizji, że Sejm obraduje nad projektem nowej ustawy na temat praw i obowiązków posłów. Środki przekazu podkreślają z naciskiem, że ustawa ta "zobowiązuje posłów do dawania wyrazu swym własnym poglądom". Zatem można dojść do wniosku, że dotychczas posłowie nie byli do tego zobowiązani i mogli dawać wyraz obcym poglądom. Ale co się stanie, jeśli niektórzy posłowie po prostu nie będą mieli żadnych własnych poglądów? Co się wówczas zdarzy? Jak wypełnią oni swój ustawowy obowiązek?

Miałoby to wielkie znaczenie, gdyby niektórzy ludzie pojęli - lub w końcu zgodzić się, że od dawna to już dokładnie pojęli - iż w Polsce w żadnym przypadku nie walczy się o władzę partii komunistycznej, ani też o jej usunięcie, tylko o zdrowy rozsądek w takich granicach, jakie zostały Polakom wyznaczone przez historię współczesną i geopolitykę.

Przed kilku tygodniami rozmawiałem z wpływowym funkcjonariuszem partyjnym. Przez cały czas był on trochę zakłopotany, jakgdyby nieprawidłowo funkcjonował magnetofon kasetowy pod jego marynarką. Na wstępie zapytałem go uprzejmie: "Dlaczego właściwie rozmawia pan ze mną? Przecież jestem podobno niepołączony?!" Na co on gorliwie: "Jak to? Pan jest umiarkowany". Potem ja: "Jeszcze niedawno pisano w gazetach coś innego". Na to mój rozmówca: "Czy pan wierzy gazetom?". Wówczas powiedziałem: "Ja nie, ale pan musi". On machnął ręką i oznajmił z naciskiem: "Przecież pan nie występuje przeciwko ustanowicznemu w Jarznie porządkowi w Europie!"

"Proszę pana - odpowiedziałem wesoło - z czym miałbym występować? Z moimi dziesięcioma palcami? Reagan i Gorbaczow mają rakiety, bomby, okręty wojenne, czołgi i diabeł wie co jeszcze. Ale oni nie występują przeciwko Jałcie. Czy wierzy pan, że ktokolwiek w tym kraju zvariowałby i chciał zupełnie poważnie zmienić europejski porządek, który został ustanowiony przez obie potęgi światowe? Czy jest pan istotnie zdania, że jeśli ktoś uważa ministra X za idiotę i ma na to niezbite dowody, to oznacza to, że chce on oddać Wrocław zachodnioniemieckim rewizjonistom? Lub jeśli ktoś sądzi, że bez porozumienia rządu z Episkopatem i z Wałęsą Polska nie wyjdzie z głębokiego kryzysu, w który została wtrącona przez waszą partię mimo wielokrotnych ostrzeżeń ze strony społeczeństwa, ma to oznaczać, że chce Polskę wysadzić w powietrze? Czy pan rzeczywiście tak sądzi, czy tylko robi pan takie wrażenie?

Odpowiedział, że niektórzy ludzie otrzymują paczki z Zachodu i że nikt nie wysyła obcym paczek za nic. Oznacza to więc, że imperializm podkopyje nasz system pastą do zębów "Colgate" i proszkiem do pieczenia dr. Oetkera. Zaproponowałem mu, żebyśmy robili to samo. Gdyż jeśli jego zdaniem jest to właściwa metoda, jeśli on w nią wierzy i przypisuje tabliczkom czekolady i torebkom rodzynek tak wiele znaczenia, z pewnością opłacałoby się taka próba. My wysłamy Amerykanom ideologicznie wiodące produkty, a oni z całą pewnością wysadzą tego kowboja Reagana z siodła.

Mój przyjaciel, Stefan Kisielewski, znany publicysta katolickiego "Tygodnika Powszechnego" często opowiada o swojej rozmowie z ministrem spraw wewnętrznych, generałem Kiszczakiem. Generał jest człowiekiem inteligentnym i posiada rzadki dar prowadzenia rozmów osobistych, o czym mogłem się sam przekonać. Być może dialog był niezwykle zgodny z rzeczywistością, w każdym jednak razie prawdopodobny; ilustruje on dobrze ciętość rozmówców, jak również prawdę o sytuacji w Polsce pod koniec XX wieku. Dialog przebiegał następująco:

Generał: Od wielu lat reprezentuje pan pogląd, że Polacy powinni przyjaźnie współpracować z ZSRR, ale należałoby wyeliminować z tych kontaktów polskich komunistów.

Kisielewski: Zupełnie słusznie. Wy, komuniści, narobiliście w Polsce dużo bałaganu. To inni muszą dojść do porozumienia z Rosjanami.

Generał: Być może ma pan rację, że nie wszystko nam się udało. Co to pomoże, takie jest życie. Jednakże w pańskiej koncepcji tkwi jeden mały błąd.

Kisielewski: Jaki?

Generał: Czy zna pan numer telefoniczny Kremla?

Kisielewski: Nie.

Generał: No widzi pan, a ja go znam.

Generał Kiszczak trafił w sedno. Nikt poza partyjnym establishmentem nie zna tego numeru. Ale w Polsce nie chodzi o to, by przeciąć tę linię telefoniczną, nie chodzi o to, że ktoś inny gdzie indziej telefonuje, ponieważ wszędzie natrafia na sygnał "zajęty" lub na głuchą ciszę, lecz wyłącznie o to, ażeby tamci, którzy mają właściwe numery, właściwe aparaty i właściwe połączenia, nie prowadzili rozmów wyłącznie we własnym imieniu, lecz także w imieniu 37 milionów Polaków. I dlatego, że swe rozmowy prowadzą oni najpierw z tymi



37 milionami. Potem dopiero, wsparci pewną, mocną i trwałą zgodą będą oni mogli prowadzić je na międzynarodowych liniach, telefonować wszędzie tam, gdzie wskaże im interes państwa.

Polska leży między Bugiem i Odrą, Morzem Bałtyckim i Karpatami. Widzi się to na każdej zwyczajnej mapie Europy, która pokazuje realia, a nie mity. Muszą to zrozumieć wszyscy ci, którzy życzą pojednania i normalnych ludzkich stosunków z Polską. Myślę tu zwłaszcza o Niemcach. Moje współczucie odnosi się do tych, którzy utracili swą dawną Ojczyznę, gdzie znajdują się groby ich przodków. Nie błaża część Polaków także straciła swą dawną Ojczyznę po drugiej stronie Bugu, w regionach Lwowa i Wilna. Ale to nie Polacy rozpętali drugą wojnę światową i nie Polacy prowadzili ją w sposób nikczemny. Granice Polski, ustalone po porażce Trzeciej Rzeszy, są trwałe i nienaruszalne.

Osobiście nie przypisuję zbyt wielkiej wagi działalności ziomkostw w Republice Federalnej, chociaż ich głupie gadulstwo nieraz działa na mnie irytująco. Ale rozumiem, że ziomkostwa istnieją i coś tam mówią, także i przeciwko Polsce. To jest ludzkie i da się psychologicznie wyjaśnić. Gdyby w Polsce panował system parlamentarno-demokratyczny, wówczas byłyby i u nas ziomkostwa Wilnian i Lwowian, które urządziłyby swe spotkania wraz z transparentami "Lwów zawsze polski" i "Wilno jest nasze". Nie miałyby to większego znaczenia w życiu narodu, który podobnie jak niemiecki, w swej przeważającej większości pogodził się z nowym kształtem terytorialnym ich państwa. I kształt ten dla wszystkich Polaków jest niezmienny. Pod tym względem nie ma żadnych różnic między Wojciechem Jazurkowskim i Lechem Wałęsą.

Nie ma także żadnych różnic w kwestii przynależności Polski do Układu Warszawskiego i do RWPG. Co więcej, także Wałęsa dobrze wie, kto ma właściwy numer telefonu. Być może, boli go, że w tej sprawie został pokrzywdzony, ale ma rozsądne zdanie o świecie i o Polsce, więc wynagradza to sobie faktami.

Jerzy Urban utrzymuje, że w Polsce nie ma politycznej opozycji. Szuszenie! Polityczna opozycja jest zgrupowaniem, które dąży do odebrania władzy swym przeciwnikom i sprawowania jej według własnego programu. Nie ma w Polsce takiej opozycji, gdyż ze względów historycznych i geopolitycznych, nie może jej być. Nikt, kto ma zdrowy rozsądek, nie chce odebrać partii jej władzy, ponieważ jest to zupełnie niemożliwe. Musiałoby się to skończyć wielką katastrofą dla polskiego narodu, a naród polski przeżył już w przeszłości zbyt wiele katastrof, żeby nierozsądnie wyzywać los. Na czym więc polega ten opór, opozycja, która niewątpliwie przetrwała i która dziś działa silniej i liczniej, niż kiedykolwiek w powojennej historii? Otóż opozycja w Polsce ma charakter moralny. Jest ona sprzeciwem wobec kłamstwa, obłądki i poniżania. Sprzeciwem wobec nieporządków, mitomanii, przywłaszczania praw, głupoty. Sprzeciwem wobec przemocy, ciemnienia i beznadziejności. Sprzeciwem wobec bezkarności mocnych i bezbronności słabych.

Dialektyka Anno Domini 1985 jest diabelnie prosta, jak za najlepszych czasów stalinowskich. W Polsce po prostu nie ma opozycji, są natomiast "przeciwnicy socjalizmu". Tkwi w tym nawet jakaś pokrętna logika, ponieważ - gdy opozycja jest zgrupowaniem, które dąży do przejęcia władzy, ale nie może jej przejąć, wówczas każdy, kto krytykuje rząd i partię, występuje

przeciwko systemowi, a co za tym idzie, przeciwko państwu.

Sedno sprawy tkwi w tym, że brakuje tu maleńkiego logicznego ogniwa, bez którego cały problem stoi na głowie. Brakuje mianowicie prostego stwierdzenia: uznanie istniejącej władzy nie oznacza akceptacji metod, którymi się ona posługuje.

Przed wielu laty pisałem w czasopiśmie "Europa Archiv" na temat schizofrenii słowa, które nic nie ma do czynienia z jego dosłownością, ani z rzeczywistością. Istnieje np. w mowie komunistycznej propagandy słowo "wolność", ale istnieje także "prawdziwa wolność". Tę "prawdziwą wolność" mam ja, wolność bez przymiotnika mają mieszkańcy Wiednia, Frankfurtu, Paryża. Istnieje także - do kompletu - "demokracja" i "prawdziwa demokracja"... Bez przymiotnika cała propaganda nie miałyby sensu, który jej przypisano zgodnie z receptą.

Przed wielu laty wybitny polski pisarz, Jan Parandowski, otrzymał wysokie odznaczenie państwowe. W przemówieniu wygłoszonym podczas wręczenia odznaczeń, ani razu nie użył terminu "Polska Ludowa". Mówił po prostu "Polska". Po zakończeniu uroczystości, ówczesny szef państwa, Ochab, zapytał Parandowskiego: "Mistrzu, dlaczego nie mówi pan Polska Ludowa?". "Panie Przewodniczący" - odpowiedział wysoce utalentowany pisarz - "moj zawód nauczył mnie, że przymiotnik zawsze osłabia znaczenie i sens rzeczownika".

Można by tu jeszcze dodać, że nie tylko osłabia, czasem może też prowadzić na bezdroża. I o to właśnie chodzi. Günther Grass był w swoim czasie uważany w prasie polskiej za "rozsądnego liberała". Dziś jest on "zgniłym liberałem". Nie zmienił się Grass, ale tylko przymiotnik. I jest przy tym szczególnie zabawne, że Grass nigdy nie był ani rozsądnym, ani też zgniłym liberałem, ponieważ był i pozostał socjaldemokratą. Jednakże termin ten jest zastrzeżony wyłącznie dla polityków zawodowych. Socjaldemokrata jest w języku propagandy komunistycznej czymś w rodzaju instalatora, stolarza czy Willy Brandta. Liberał natomiast, jest niekomunistycznym intelektualistą na Zachodzie, który albo przyjaźnie mówi o Gierku /wówczas jest rozsądny/, albo też nieprzyjaźnie o Jaruzelskim /wówczas jest zgniły/.

GDY WŁADZY  
BRAKUJE ARGUMENTÓW

Ponieważ nie zamierzam być dyskretny aż do końca, powiem co mi się nie podoba. Nie podoba mi się więzienie przyzwoitych ludzi tylko dlatego, że mają inne niż rząd poglądy w punkcie "związki zawodowe" lub w punkcie "zasady porozumienia". Nie podoba mi się koncepcja, w myśl której naród ma się "odnowić", aby stać się godnym zaufania moźnych, ponieważ taki pogląd, po pierwsze, obraża naród, po drugie - nie daje dobrego świadectwa skromności moźnych i po trzecie - jest fałszywy, ponieważ moźni powinni zabiegać o zaufanie społeczeństwa, a nie na odwrót. Przed przeszło 30 laty poradził Bertold Brecht Walterowi Ulbrichtowi, że jeśli mu się naród nie podoba, może go po prostu rozwiązać i wybrać jakiś inny.

Nie podoba mi się, że pospolita i jednostronna wypowiedź policjanta, że ten czy inny obywatel popełnił wykroczenie wystarczy, żeby obywatela skazać za to wykroczenie, mimo iż on go nigdy nie popełnił. Nie podoba mi się, jak zresztą

wszystkim polskim studentom i wykładowcom akademickim, ograniczenie praw i autonomii szkół wyższych. Nie podoba mi się powtarzanie starych błędów w zakresie współzawodnictwa socjalistycznego. Nie podoba mi się, że nikczemni i źli ludzie obrzucają oszczerstwami ludzi wybitnych i uczciwych, którzy nie potrafią się bronić, gdyż w życiu publicznym mają zakneblowane usta.

Nie podoba mi się, że z powodu upartego stanowiska prezydenta Mitteranda przeciwko polskiemu rządowi, zostało ogłoszone zawieszenie wykładow języka francuskiego. Skonsternowany zapytuję, co winien jest mój wnuk, który chce czytać Zolę i Camusa w oryginale, że Mitterand jest lokajem krwiożerczego kapitału francuskiego i Pentagonu? Nie podoba mi się także, że się lewą ręką grozi prezydentowi Reaganowi, kanclerzowi Kohlowi i premierowi pani Thatcher, a prawą wyciąga po kredyty. Nie podoba mi się elokwencja w sprawach reformy gospodarczej i tłumienie tej reformy przez aparat gospodarczy. Nie podoba mi się uprowadzanie i mordowanie księży przez funkcjonariuszy policji. Nie podoba mi się awansowanie posłusznych wałkoni i ignorantów, podczas gdy utalentowani, wykształceni i przez to niezależnie myślący ludzie, zostają zwalniani z pracy. Nie podoba mi się buta i pewność siebie rządzącej grupy, gdyż - jak ówczesny szef partii, Kania, słusznie powiedział przed kilku laty - grupa ta w obliczu licznych szkód, jakie wyrządziła państwu i narodowi, powinna okazywać pokorę. Nie podoba mi się, że władze mało nauczyły się z doświadczeń przeszłości, jakkolwiek naród nauczył się bardzo dużo. Nie podoba mi się, że partia - gdy brakuje jej siły argumentów - stosuje argumenty siły i zapomina przy tym o starej prawdzie księcia Talleyranda, że bagnetem można wiele dokonać, tylko nie można na nim siedzieć.

Andrzej Szczypiorski

## NIEZNANA RELACJA Z KWK "WUJEK"

Co u nas? Jak to u nas. Lepiej być nie może  
No to i dobrze, że aby nie gorzej  
Żyjemy świetnie bo jeszcze żyjemy  
I nie zginęło nam nic - oprócz kraju  
Trochę go ludzie po nocach szukają  
Ale w ogóle zwyczajnie się dzieje  
Jakoś tu zwyczajni, że się zawsze działo  
Każdy dowcipy pędzi i do gardła leje  
Jak ci opowiem strasznie się uśmiejesz  
To co się działo gdzieś się zapodziało

/Ernest Bryll "List", V 83 r./

# PĘTLA

- Kopalnia to jest straszny rygor. Zjazdy o określonej godzinie i paru minut nie urwiesz. Zjeżdżamy na dół i nie pogadasz przez telefon, nie wyskoczysz po papierosa, nie masz pustych przebiegów. Wszystko jest wyszpanowane do granic.

Dlaczego ja to wolę? W górnictwie jest tak, że możesz liczyć tylko na siebie i ja to traktuję jak sprawdzanie się. Jak chodzenie po górach. Idziesz, klniesz, pocisz się i nie wracasz... Druga sprawa - zarabiam teraz około 40 tysięcy, a w każdym innym fachu miałbym ledwie połowę. Żona jest na wychowawczym i 40 tysięcy na trzy osoby, przy dorabianiu się, to nie jest za dużo, ale starcza.

Mam 27 lat.

ROK 1981 - Na temat "Wujka" co ci mogę powiedzieć? Pracowałem wtedy na nocne zmiany od 24.00 do 7.30. Z soboty na niedzielę zjechaliśmy na dół, robiliśmy normalnie, około 2.00 przechodzili obok ludzie i powiedzieli, że mamy kończyć robotę, bo przewodniczącego "Solidarności", Ludwiczaka, bardzo pobili i na kopalni wybuchł strajk. Myśmy przerwać nie mogli, bo robiliśmy przebudowę chodnika, co by znaczyło, że zamykamy główną ulicę, więc wyjechaliśmy jako ostatni o 5.30 i od razu poszliśmy do żaźni, gdzie byli ci z nocnej zmiany i ci, którzy przyszli na rano.

W sumie nikt nic nie wiedział.

A rzeczywiście, żona Ludwiczaka przybiegła w nocy na kopalnię strasznie pobita, dosłownie zmasakrowana, powiedziała, że drzwi siekiera rozwalili, męża pobili i zabrali ze sobą. Oglądałem potem ich mieszkanie - kipsz był niemożliwy, jak po wojnie. Tak wojowali z bezbronnym.

W sumie to była straszna nowość - to, co usłyszeliśmy o 7.00 z megafonów: o stanie wojennym, o mobilizacji kopalni, i tę mowę Jaruzelskiego... Myśmy się wtedy domagali tylko jednej rzeczy, aby uwolnić Ludwiczaka, ale w dyrekcji powiedzieli nam, że niewiele więcej od nas wiedzą.



Mieliśmy czekać.

Jak pamiętasz, to była niedziela. Na kopalnię przyszedł ksiądz, powiem ci, dziewczyno, że taka msza to coś innego niż w kościele, tu gdzie widzisz ten brud, ubrania na łańcuszkach i to białe prześcieradło, wokół zapalone lampy górnicze i tych górników, którzy nie wiedzą co jest grane i zastraszo-nych, bo wiadomo, że jak jednego pobili, to po każdego mogą przyjść.

Po mszy czekaliśmy do 12.30, wreszcie w dyrekcji powie- dziano, że odpowiedź będzie w poniedziałek o 14.00 i zaczęli-śmy się w tym strachu rozchodzić... Jak dziś to widzę, oni chcieli zyskać na czasie. I w poniedziałek ranna zmiana zje- chała normalnie, o 14.00 ludzie czekali, popołudniowa zmiana już nie pracowała, a oni nic, jakby nie było żadnej sprawy. Tymczasem było wiadomo, że kopalnia strajkuje i to spontani- cznie.

Jeszcze wtedy bez żadnej organizacji.

Więc idąc na noc, wziąłem więcej jedzenia, papierosów, wiedziałem już, że ludzi z akademików wyrzucili i na ich mie- jscę weszło ZOMO, co dawało nam do myślenia... Ludzie pobrali maski, pochłaniacze, przebrali się w kombinезony i czekamy. A ciągle jeszcze komitetu strajkowego nie było... I tak całą noc ludzie przeżazili, przespali na ławkach, był jeden wielki bałagan, a ludzi trzy tysiące. Cała załoga, łącznie z admini- stracją, liczy 6 tysięcy, więc trzy tysiące, to prawie wszyscy, którzy pracują naprawdę. Czyli na dole.

I wtedy rozmawiałem z ludźmi - czemu zostali? Atmosfera stanu wojennego to była pierwsza makabra, druga - mobilizacja kopalni, to że nie było mowy o 8-godzinnym dniu pracy. No i była opinia, że razem bezpieczniej. Nie wyciągną i nie wywio- zą nie wiadomo gdzie. A plotki krążyły różne.

Dopiero we wtorek rano, 15 grudnia, zaczął się tworzyć ko- mitet strajkowy. Na kopalni jest 15 wydziałów, każdy wydele- gował jednego pracownika z "Solidarności", lub nie, raczej ze względu na zaufanie, z tej piętnastki jeszcze wybraliśmy pięć osób ścisłego komitetu i zaczęliśmy ten bałagan organizować.

Głównie chodziło o sprawy kopalni i każdy oddział miał te- ren do pilnowania. Po drugie, miejsca do spania - każdy od- dział miał suchy i ciepły punkt. Wreszcie żywność - kupa lu- dzi była z hoteli robotniczych, nie mieli nikogo bliskiego, o herbatę było trudno, papierosy na kartki. Nas, dziewczyno, ratowała ludność cywilna z osiedla, i to było coś świętego. Ich postawa. To osiedle obok "Wujka" zawsze żyje życiem kopa- lni, zawsze wie, czy coś się stało, czy był wypadek, ale wte- dy kobiety ciągle stały wzdłuż ogrodzenia, w ten mróz, w każ- dym miejscu była herbata, jedzenie, informacje z miasta, in- formacje dla Katowic. Katowice wiedziały już, że "Wujek" strajkuje.

Wtorek to był wspaniały dzień.

Był porządek, organizacja, poszliśmy do dyrekcji z żąda- niami: obalenia stanu wojennego, uwolnienia Ludwiczaka, nie- wyciągania żadnych konsekwencji wobec strajkujących. Oni pow- tarzali, że nie wiedzą, co jest grane. I tak czekaliśmy... Była jedna rzecz dziwna. Chcieliśmy powiesić na głównym szy- bie zjazdowym biało-czerwoną flagę, aby wiadomo było, że

strajkujemy, ale nigdzie nie można było jej znaleźć. A potem okazało się, że nie było też ropy i benzyny, jakby wszystko wcześniej było przygotowane.

A to co było najlepsze - to prawdziwa solidarność ludzi, naszej cywilnej ludności z osiedla, z Katowic, górników.

Taka rzecz: idą dwie dziewczyny pod murem, my stoimy na murze, przerzucają nam karton papierosów. W takich czasach!

Albo przyjeżdża kobieta z Katowic, z dużą torbą i mówi: panowie, pracujemy w małym zakładzie i zmiotą nas jak zaczniemy, ale gdybyście nas przygarnęli, to się tu wszyscy sprowadzimy strajkować z wami. Jak otworzyła torbę, to coś ścisnęło w gardle, wszyscy oni oddali swoje śniadania i każdy co mógł dołożył z domowych zapasów...

Albo noc z wtorku na środę. Był straszny mróz, mieliśmy zmieniać warty co godzinę, górnicy śpią na betonie, w kombinazonach, obojętnie kogo budzę, wstaje zaspany, naciąga kufajkę, idzie. Nikt mi nie ubliżył, nie zwalił na kolegę, niektórzy wracali po dwóch godzinach, bo raźniej było czućwać szóstkami.

Taka solidarność - to było coś pięknego.

W ciągu tej nocy, nie wiadomo kto i po co, cztery razy puszczają plotkę, że wojsko atakuje. To nie była prawda. Natomiast wtedy kopalnia zaczęła się zbroid. Kuźnia pracowała non stop. Tego nikt nie ustalał, ale czuło się, jak w ludziach rośnie determinacja, a puszcza strach, jak ludzie godzą się z tym, że wreszcie oni zaatakują, ale my nie będziemy stali z gołymi rękami... Podchodzę do takiego chłopaczka młodszego ode mnie, a on ostrzy pręt i mówi: pokażę tym skurczybykom wojnę.

Tylko co myśmy mieli? Kawałek sztyla, pręt i łańcuch. I taką famę, że kopalnia i bramy są podminowane. Rozumiesz, dziewczyno? Jak kobiety zza ogrodzenia pytały nas - co będzie? - to mówiliśmy, że wysadzimy się wszyscy /a nie mieliśmy nawet benzyny/. Gadka była po to, żebyśmy się sami wzmacnili i żeby się nas bali.

I bali się.

My też. I jeszcze jak. Ale z jednej strony wiedzieliśmy, że nie strajkujemy sami, z drugiej, że jak w kopalni "Staszic" strajk opanowali i ludzie rozeszli się, to ZOMO wpadło do hoteli robotniczych i strasznie górników tłukli, więc wiedzieliśmy, że jedyny ratunek, to siedzieć razem i nawet było założenie, że w razie czego zjedziemy na dół. Teraz widzę, że to było ogromne ryzyko, bo tlen tłoczy się z góry jednym szybem, a drugim wyciąga dwutlenek.

Zresztą, jak wiesz, do zjazdu nie doszło.

Natomiast na dole strajkował "Piaś". I powiem ci, że nie ma porównania między naszym strajkiem a nimi. Bo tam to było prawdziwe bohaterstwo. Oni pod ziemią spędzili całe Święta, nie wiedząc czy wyjdą, czy jeszcze zobaczą rodziny. Oni już byli z u p e k n i e s a m i. Jak Westerplatte. I właśnie ciwie to o nich należałoby pisać, ale jest taka rzecz, że oni nikomu nie chcą nic mówić, nawet mnie. Tylko ja, jako górnik, wiem, że strajk pod ziemią musi być straszny. Dlatego milczą, bo to sobie powiedzieli wewnętrznie. Rozumiesz?

No, a my jeszcze we wtorek zaczęliśmy stawiać barykady. Przyniósł do pomocy trzech fachowców z Centralnego Ośrodka Górniczo-Przemysłowego, zrobili szkic kopalni, wyznaczili, na którym terenie najlepiej się bronić; bo cała kopalnia jest za duża. My zwołaliśmy wiec, jak się okazało, że górnicy chcą się bronić, to zaczęliśmy się okopywać. I wtedy okazało się, że w kopalni nie ma ropy! Poszedłem po pomoc do ludności cywilnej, każdy co miał przynosił w kanistrach, uruchomiliśmy wi-deokamery, stawialiśmy barykady z wózków, na nich beczki po benzynie /taki akcent psychologiczny/, przy drugiej bramie - kolejowej - węglarki ustawiliśmy i założono wykolejnice, przy bramie wejściowej reduktory, to samo przy wykopach samochodów, od strony kolei biegł wysoki mur, więc nic nie budowaliśmy, wreszcie, od strony Ligoty, wewnątrz terenu kopalni, była jeszcze jedna barykada między starą żaźnią i kuźnią. Powstało zamknięte koło.

W środę rano około 9.00 dowiedzieliśmy się, że jadą do nas. Dyrekcja udawała, że jej nie ma, więc już sami czekaliśmy. Około 10.00 zadzwoniłem z portierni do komitetu strajkowego i mówię: Stasiu, od strony Ligoty widzę dwa radiowozy. Zaraz potem nadjechały armatki wodne i skoty. A nas na barykadzie było dwunastu i mieliśmy taką instrukcję, że jeśli tę pierwszą barykadę obalą, to mamy się cofnąć do następnej między kuźnią i żaźnią. I tam się bronić.

Stanęli półkolem. Wtedy gdzieś z boku i z tyłu usłyszeliśmy skandowanie: ges-ta-po!... Wówczas ruszyła armatka wodna, za nią czołgi zaczęły walić w mur, za nimi ustawiało się ZOMO. Myśmy ich zatrzymali tylko na chwilę zapalonym drzewcem, którym machaliśmy nad tymi pustymi beczkami po benzynie. Zaraz ruszyli znów, w mig rozwalili barykadę, ale my byliśmy już na tej wewnętrznej.

Mieli do przebycia uliczkę długości 200 m, ale wtedy zdarzył się taki zabawny przypadek, że jeden z czołgów wjechał na drzewiarke /taką platformę na kółkach, jeżdżącą po szynach/ i mógł tylko wraz z drzewiarką jeździć kilkadziesiąt metrów w jedną lub drugą stronę, więc zasadniczo był uziemiony. I to zatrzymało następnego czołgi. Natomiast za nimi zaczęła się formować kordon ZOMO i zaczęli swój popisowy numer - łomot po tarczach.

Jak zobaczyłem ich, to nabrałem takiego pietra, aż mi się portki trzęsły. Dziewczyno, to nie były byki, ale normalne smoki.

Tyle, że jak ruszyli w naszym kierunku, a na dachach kuźni i żaźni były tłumy górników, to my do beczek, a oni w nogi. A potem zaczęli rzucać petardy, ale wiatr był korzystny dla górników, więc my za petardy i w nich. A jak się zaczęli bliżej pchać, to z dachów poleciało całe kopalniane żelastwo - śruby, kardany, żańcuchy, gaśnice... Nie pamiętam ile czasu trwała ta przepychanka.

Powiem ci, że to wyglądało fatalnie. Bo cały czas na dodatek do tej walki latał nad kopalnią helikopter i rzucał ogromne petardy, które dawały straszne detonacje i straszliwy gaz. Mieliśmy na twarzach mokre ręczniki, co trochę pomagało, ale jak dostałem taką petardą, to koledzy musieli mnie zanieść pod prysznic. I cucić... W tym wszystkim jedno było pocieszające, że ZOMO miało tarcze nieodporne na mroź i jak który dostał kardanem, to tarcza szła na kawałki.

Wreszcie któryś z górników rzucił hasło: na nich! I zaczęliśmy ich gonić.

Jak my runęli, to oni zaczęli zwiewać i rzucać wszystko, co mieli w łapach. Wygoniliśmy ich za kopalnię ze 100m. W tej ucieczce zżapaliśmy trzech zomowców.

Zadzwoniliśmy do dyrekcji z ultimatum: jeśli ZOMO nie odstąpi, to my wieszamy każdego zżapanego na murze. Z trzech stron kopalni.

I odstąpili.

Tylko, że była taka sprawa. Walcząc z naszej strony i biorąc zakładników, nie wiedzieliśmy, że od głównej bramy padli górnicy. Rozumiesz?

I widzisz, przez cały czas, kiedy zaczynaliśmy strajk, kiedy podejmowaliśmy decyzję o obronie kopalni, o tym, że zostajemy, towarzyszyło nam przekonanie, że nie będą strzelali. Owszem, pobijają, połamoczą, ale nie użyją broni.

A dlaczego nie?

Nie wiem.

No, ale jeszcze wcześniej kiedy zżapaliśmy tych trzech, ZOMO wycofało się, zostali czołgi, my nie wiemy kto w nich siedzi - nasi, nie nasi? W każdym razie uznaliśmy, że w końcu to też ludzie, położyliśmy im na czołgach jedzenie i papierosy.

A oni nic.

Dopiero jak odeszliśmy kilkadziesiąt metrów jeden się otworzył, wyszedł chłopakczek i zapytał czy możemy poprosić Ryska S., który pracuje na szybach, bo to jego kolega. I dopiero Rysiek wytłumaczył im dlaczego strajkujemy. Oni, dziewczyno, nie wiedzieli nic poza tym, że my nie chcemy pracować. No, to potem prawie byli po naszej stronie i powiedzieli, że nie będą się wtrącać.

Była 15.00. Prowadziliśmy tych zomowców, a oni tylko w kółko, żeby ich nie zabijać, bo mają rodziny /jakbyśmy my rodzin nie mieli/ i żeby ich nie oddawać ZOMO tylko wojsku, bo ZOMO zabije ich za to, że dali się zżapać. Wtedy, idąc, dowiedzieliśmy się, że są ranni i zabici.

Jak weszliśmy na punkt sanitarny, to ja zobaczyłem coś takiego - siedem noszy na ziemi, stał krzyż i zapalone lampy górnicze i oni nakryci prześcieradkami, a te prześcieradka poplamione krwią.

Całą akcją dowodził pułkownik. Nie wiem z jakiej był formacji, ale w mundurze wojskowym. Zapewniał, że chce załatwić sprawę po dobroci, że sam miał ojca górnika, a jak zobaczył twarze tych zabitych, to płakał.

Tyle, że było za późno.

A co się działo dalej na kopalni, to już wiem od ludzi i tyle mogą ci powiedzieć. Od strony kolei atakowało ORMO, przystawiali drabiny do muru, wżazili, a wtedy górnicy odpychali ich. Jak w oblężeniu zamku.

Między szybami była jakaś ochotnicza jednostka, jak zobaczyła górników, od razu odeszła.



Od strony dyrekcji czołg rozwalił mur i barykadę. I z tamtej strony, ale s p o z a kopalni, padły strzały. Tam na górze stoi blok mieszkalny. I stamtąd, z za rogu, strzelano. Choć tam nikt nie mógł być atakowany. Nikt z nich.

I nikt z nich nie został skazany.

Więc siedmiu zabitych, mnóstwo rannych. Znow zrobiliśmy wiec i on wygląda całkiem inaczej niż we wtorek. Ludzie byli załamani. Z poczuciem klęski. Ale jak wyjść z otoczonej kopalni? A jeszcze dostaliśmy wiadomość, że z karetek wyciągają rannych górników i ładują zomowców... Zdania były podzielone - poddać się, albo siedzieć do końca, zjechać pod ziemię...

Chciałem jeszcze powiedzieć, że ludność cywilna zachowywała się wspaniale. Osiedle było otoczone, zomowcy rzucali gazy do okien, nawybijali szyb, natłukli ludzi, a kobiety rzucały się na czołgi, z tych wybitych okien poleciały garnki z wrzątkiem, butelki, żelastwo.

Nasza jedyna broń.

Pod naszym blokiem zomowcy złapali chłopaczka 12-13 lat, skopali bucioramai, kobiety wywaliły na nich kupę rzeczy, oni powybijali szyby. Nie wiem co się stało z tym dzieciakiem.

Co nas przekonało nie tyle o kapitulacji, co o zakończeniu strajku? Była 18.00, siedzieliśmy w dyrekcji na rozmowach, nagle dzwoni telefon i słyszymy, że to połączenie z Gdańskiem, na Wybrzeżu panuje spokój, sytuacja opanowana, a Port Północny całkowicie zbombardowany. Skąd mieliśmy wiedzieć, że w Gdańsku przerwano walki po wiadomości, że u nas zabijano górników?

Wtedy ten pułkownik powiedział nam, że jeśli chcemy przyjąć na swoje sumienie górników z kopalni i zarazem ludność cywilną z osiedla, to możemy siedzieć dalej. Bo oni więcej na teren nie wejdą, ale przylecą samoloty i wszystko zrównają z ziemią. I jeśli raz się krew polała, to n i e w a ż n e i l u d z i z g i n i e d a l e j .

Powiem ci, dziewczyno, że nie wiem czy dziś nie zrobiliby tego samego, bo się opinii nie boją.

Nie mogliśmy tego przyjąć na swoją odpowiedzialność.

I zostały małe postulaty. Żeby podali wiadomość o strajku. Żeby wyjaśnić sprawę morderstwa na górnikach. Żeby nie zwalniać za udział i żeby nas nagle nie zaatakowali. Oni się wtedy zgodzili na wszystko. A ten pułkownik dał nam słowo.

Co ono było warte? Nie mieliśmy wyjścia.

O 19.00 było po wszystkim.

Wychodziłem jako jeden z ostatnich, bo musieliśmy jeszcze tych zakładników przeprowadzić do budynku dyrekcji. Gdyby nie podwójny szpaler górników na tych 80 metrach od bramy do budynku, to by ich rozszerpano gołymi rękami.

W sumie, sprawy morderstwa nie wyjaśniono. Chcieliśmy urządzić górnicze pogrzeby z orkiestrą, a odbyły się tylko rodzinne, każdy na innym cmentarzu i w innych terminach. Opisanie strajku i ataku na kopalnię było i w prasie codziennej i w "Expresie reporterów", akurat na odwrot, niż było naprawdę. Tylko w tym "expresie" na końcu było pół strony o tym co mówi RWE i to była cała prawda. Tylko to.

Takie było nasze porozumienie.

A przed kopalnią zaraz staną krzyż. Mija kilka dni, wyjeżdżamy z nocy, a krzyża nie ma. Spalony i wyrąbany. Więc wszystko zaczyna się od początku, bo ranna zmiana mówi, że nie wyjedzie, jak krzyża nie będzie na miejscu. W południe krzyż jest.

Na początku tak bardzo krzyża nie pilnowali, ale zaczęli zjeżdżać ludzie z całej Polski i to zaoczyło ich boleć.

Więc zrobili po mojemu. Suka od rana do wieczora przy krzyżu, kontrole samochodów, wreszcie zrobili obwodnicę i taki, niby porządek. Ogrodzenie wokół krzyża, tablica, patrole. Nie szło świeczki zapalić, kwiatów położyć.

Ale coś ci powiem. Ciągłe były i znicze, i kwiaty. Nie dali rady upilnować.

Miałem wtedy 23 lata.

ROK 1985 - Długi czas potem siedziałem na walizkach. Wychodziłem do pracy ze szczoteczka do zębów, uważałem wracając, żeby się w razie czego stracić. W ich łapy wpaść nie chciałem.

I czas mijał.

Potem poznałem dziewczynę, ożeniłem się, mam dziecko, dziecko jest wiąże ludzi, mieszkanie małe, ale własne mamy, gratów niedużo, ale wszystko z mojej pracy.

Z "Wujka" odszedłem, przeniósłem się do Zagłębia. Różnica jest taka, że w Zagłębiu bałagan większy niż na Śląsku, taki typowo polski i więcej bieda-szybów, a "Wujek" to jedna z najbogatszych kopalni. Ale znów tu, gdzie pracuję, mam spokój. Ani słowa na temat związków, na temat partii, nikt nie wpływa na człowieka, nic nie wkurza.

A tam, wstyd powiedzieć, kupa ludzi sprzedaje się za głupoty. Za mieszkanie, samochód, wycieczki. Mojego kumpla, który ze mną strajkował, przyłapałem jak składkę płacił, a on się tłumaczy, że to dla mieszkania.

W sumie są to te same numery, co już były.

Tylko, że człowiek powinien mieć swoje zdanie, swoją godność i ani się nie dać zastraszyć, ani kupić... Jak wielu kupiono? Widzisz, to zależy, jak patrzysz. Jeśli tak, że do "Solidarności" przyłazły różne hieny, to nic dziwnego, że się szybko do "albiników" przyłączyły, a po stanie wojennym odetchnęły. Z kolei, patrząc w cyfrach, to na "Wujku" w nowych związkach jest około 15 procent, więc niby niewiele. Ale jeśli to są twoi kumple i ty myślisz, że za te meble czy auta oni się sprzedają, i nie tylko siebie, ale swoje rodziny, dzieci, a może i dalsze pokolenia, to tak jakby zdradzili wszyscy.

I jeszcze coś ci powiem. Ja do "Solidarności" nie należałem. Nie należałem nigdy do niczego, bo nie chciałem, żeby ceniono mnie za jakąś przynależność, czy żeby od tego było mi łatwiej. I do "Solidarności" na "Wujku" miałem swoje zastrzeżenia, bo moim zdaniem za mało walczyli o nasze robotnicze prawa, za mało zajmowali się górnictwem. Ale w tym czasie przynajmniej zaczęto traktować nas jak ludzi i to była wielka zasługa związku, a poza tym w tamtych czasach, a już

szczególnie w strajku, powstała ta atmosfera jedności wszystkich ludzi. I to była naprawdę solidarność.

I tego najwięcej szkoda.

I myślę, że o taką solidarność głównie trzeba walczyć, a by nie było między ludźmi nienawiści, zawiści, kombinatorstwa, małych interesów i sprzedawania siebie samego za głupoty.

A to jest.

I jest jeszcze coś. Kiedyś, przed "Solidarnością", działo się dużo złych rzeczy, ale jakby bardziej dyskretnie, jakby oni liczyli, że to wszystko będzie na dłuższą metę. A teraz, ci nowi, bez skrępowania idą na całość, jakby sądzili odwrotnie - że jutro może ich już nie być.

Ale powiem ci serio - teraz trudno byłoby cokolwiek ruszyć. Więc myślę sobie, że dobrze mi się trafiło. Robota normalna, górnicza, bez propagandy. Żona gospodarna. Dzieciak udany. Kto wie, może za granicę wyjadę pozarabiać?

I od tego cyrku odskoczę.

Notowała ES

### CZERWONA ŚMIERĆ

Górnikom z kopalni "Wujek"

Czarny, czarny jest węgiel  
Czarno, czarno pod ziemią,  
Czarny dzień, czarna noc.  
Węgla więcej i więcej,  
Czarne są nasze ręce  
Gryzie nas - czarny pot.

Czarne są nasze płuca,  
Czarna flegma nas dusi  
Czarny pył - czarna śmierć.  
Czarne świeci nam słońce  
Tylko w żyłach gorąca  
Płynie nam - czerwona krew.

Było biało, najbielej  
Gdy tak łatwo ginęli:  
Biały śnieg - czarny cel.  
Padli czarni w pół biegu  
Lecz rozkwitli na śniegu  
W sztandar nasz - krew i biel.

Czarne nasze śpiewanie,  
Czarne, czarne czekanie  
Na wasz ból, na wasz kres.  
By wylała rzekami  
Między nami i wami  
Z waszych rąk - czerwona śmierć.

# Kamienista droga Józefa Becka

Na europejskiej arenie politycznej lat trzydziestych jedną z najbardziej charakterystycznych i znanych, a zarazem najbardziej kontrowersyjnych i trudnych do rozszyfrowania postaci był polski minister spraw zagranicznych, pák Józef Beck. W oczach licznych przeciwników politycznych - polskich i obcych - miał w sobie coś z tajemniczego Cagliostro, inni doszukiwali się w nim machiawelskich znamion Talleyranda, oponenti bardziej neutralni oceniali jego taktyczne uzdolnienia na miarę Metternicha, a przyjaciele i zwolennicy Becka uważali po prostu, że jego polityka jest mądra i przewidująca, a taktyka - odważna i odpowiadająca tendencjom mocarstwowym Polski. Te sumaryczne oceny przedstawiają jednak dla historii znikomą wartość. Odpowiedzi na pytanie dotyczące syntetycznej oceny długoletniej działalności, osiągnięć i błędów ministra spraw zagranicznych RP trzeba szukać w osobowości i psychice Becka, a także w obiektywnych warunkach politycznych tego okresu.

## W SZEREGACH WOJSKOWYCH

Chociaż rodzina Becków osiedliła się w małej zachodniogalicyskiej miejscowości, Limanowie, to jednak Józef Beck był rodowitym warszawiakiem i odznaczał się nienagannymi manierami, właściwymi elicie kulturalnej tego miasta. W 1913 roku Józef Beck rozpoczął swoje studia wyższe na Politechnice lwowskiej. Szybko jednak doszedł do przekonania, że znajduje się na niewłaściwej drodze życia. Politechnika wymagała od studentów posiadania dwu przymiotów: prawdziwych zdolności i upartej, mrówczej pracowitości. J. Beck dysponował w tym czasie tylko jednym z tych przymiotów: talentem. Na początku 1914 r. przeniósł się więc do Wiednia i zapisał na studia w słynnej wówczas Akademii Eksportowej. Jednakże już w sierpniu tego roku rozpoczęła się wielka wojna europejska, która niebawem przekształciła się w generalną wojnę światową. Józef Beck, mając lat dwadzieścia, wstąpił do tworzących się w Galicji Legionów Polskich i w ten sposób zakończył faktycznie swoje wyższe studia cywilne.

W szeregach wojskowych spisywał się doskonale; rozkazy wykonywał ściśle, był zewnętrznie opanowany i odważny, miał poczucie humoru, a ponadto odznaczał się błyskotliwą inteligencją, umiał narzucić swoją wolę podwładnym, a równocześnie był dobrym i sympatycznym kolegą. Szybko uzyskał stopień oficerski w artylerii drugiej brygady Legionów Polskich i zdobył wysokie odznaczenie bojowe - krzyż *Virtuti Militari*. Po kryzysie przysięgowym w Legionach, podjął współpracę ze stworzoną przez Piłsudskiego Polską Organizacją Wojskową. Niebawem jednak, jako obywatel austriacki, został postawiony szarży oficerskiej i wcielony do c.k. armii.



Gdy zakończyła się wielka wojna, Beck powrócił do szeregów Wojska Polskiego z opinią bystrego, odważnego i zasługującego na zaufanie oficera. W 1919 r. dowodził chlubnie baterią artylerii konnej na Wołyniu; następnie został przydzielony do oddziału drugiego Sztabu Generalnego, gdzie wysoko oceniono jego talenty organizacyjne i dyplomatyczne. Odtąd pozycja Józefa Becka nie tylko umacniała się szybko, ale również ustalała kierunkowo. Kolejno pełnił on funkcje dyplomatyczno-wojskowe w Bukareszcie, Budapeszcie i Brukseli, by z początkiem stycznia 1922 r., mając lat zaledwie 28, otrzymać nominację na szczególnie ważne i eksponowane w tej dziedzinie stanowisko attache wojskowego w Paryżu. Tu rozwinął odpowiadającą jego temperamentowi wielką i wielostronną aktywność, nie zawsze miłą naczelnym władzom wojskowym i politycznym Francji. Po takich, w istocie rzeczy drugorzędnych, kolizjach, rygorystyczne władze francuskie zażądały w połowie 1923 roku odwołania Becka z paryskiej placówki dyplomatycznej, określając go jako "persona non grata" /1/. Fakt ten spowodował następstwa wprawdzie niegroźne dla stosunków francusko-polskich, ale w każdym razie niekorzystne i co najgorsze - trwałe. Beck zachował na długie lata głęboki uraz do Francji, a paryska Quai d'Orsay nieufność i niechęć do późniejszego wpływowego polskiego męża stanu.

W roku następnym Beck, jako jeden z najzdolniejszych oficerów WP, został odkomenderowany na dalsze studia w Akademii Wojskowej w Warszawie. Przewrót majowy spowodował decydujący przełom w jego życiu i w jego karierze: został powołany na stanowisko szefa gabinetu ministra spraw wojskowych. Wobec zupełnego wyjątkowej pozycji Józefa Piłsudskiego jako ministra tego resortu, Beck znalazł teraz szerokie pole do wykazania swoich wrodzonych talentów, swojej dokładności i inteligencji w wykonywaniu poleceń. Pełniąc tę funkcję, zdobywał równocześnie wgląd w najważniejsze i najtajniejsze sprawy państwowe, głównie tych resortów, którymi Piłsudski interesował się szczególnie, czyli ministerstwa spraw wojskowych i spraw granicznych.

Dalszym ważnym etapem w rozwoju kariery Becka był rok 1930. Uzyskał on wówczas /w wieku 36 lat/ trzy ważne nominacje: w hierarchii wojskowej podniesiony został do rangi pułkownika; następnie w sierpniu, w gabinecie tworzonym przez Piłsudskiego, mianowany został formalnie podsekretarzem stanu w Prezydium Rady Ministrów, a faktycznie "prawą ręką" premiera; wreszcie - na początku grudnia tegoż roku - został podsekretarzem stanu w resorcie spraw zagranicznych. Piłsudski już wówczas planował powierzenie Beckowi funkcji kierowniczej w tym ministerstwie, uważając, że w sytuacji gdy dookoła państwa zbierają się groźne i złośliwsze chmury, taktyka szefa polskiej polityki zagranicznej musi być zsynchronizowana i uzgodniona w całej rozciągłości z jego, Piłsudskiego, własnymi koncepcjami strategicznymi. W ówczesnej sytuacji Beck był prawdopodobnie najwłaściwszym kandydatem na stanowisko szefa resortu spraw zagranicznych.

Stan niepokoju w świecie, szczególnie zaś w Europie, potęgował się w tych latach wyraźnie i ciągle. Francja - skazana po pierwszej wojnie światowej na odgrywanie roli sterowniczej na krytycznym konfliktach i antagonizmach europejskim - miała wówczas przed sobą, nie, porzucając za wszelką cenę kompromi-

su i doktrynalnie pacyfistyczne. W Niemczech przejawiał się stan głębokiego, chronicznego niepokoju na tle źle maskowanej tendencji do wyzwolenia się z krępujących je klauzul traktatu wersalskiego oraz wynikający z uporczywej walki nazistów o władzę. W 1931 r. podjęta została pierwsza, fragmentaryczna i nieudana, próba "Anschlusu", tj. zjednoczenia Austrii z Niemcami. W 1932 r. Niemcy domagają się ostro prawa do równości zbrojeń, a po uznaniu tego postulatu przez państwa zachodnie, wycofują się nagle z Komisji Rozbrojeniowej. Rosja sowiecka w tym czasie zwiększa intensywność zbrojeń i demonstruje rosnące zainteresowanie polityką międzynarodową. Na Dalekim Wschodzie toczy się wielka wojna, w Hiszpanii panuje stan permanentnej rewolucji, a utworzona tak niedawno Liga Narodów choruje już na umiarkowaną starość. Liga Narodów i mocarstwa demokratyczne ustępują pod naciskiem siły na każdym kroku. Bezpieczeństwo zbiorowe z upływem każdego roku staje się coraz bardziej oczywistą fikcją. We wszystkich dziedzinach życia gospodarczego potęgą się potwornym kryzys: kurczą się gwałtownie obroty w handlu wewnętrznym i międzynarodowym, topnieją zapasy złota monetarnego w bankach emisyjnych, zanika kredyt i wszelki ruch inwestycyjny, mierzniaki wartości stają się ruchome, a bezrobocie wzrasta lawinowo. Wszystko to wywiera przemożny wpływ na elementy polityki międzynarodowej, przesycając beznadziejnością całą atmosferę w świecie.

W tych warunkach dochodzi do zmiany na stanowisku ministra spraw zagranicznych w Warszawie. Miejsce bardziej samodzielnego, ostrożnego i wytrawnego Augusta Zaleskiego zajmując w dniu 2 listopada 1932 r. pułkownik Józef Beck.

#### DWIE OSOBOWOŚCI

Dotychczasowe doświadczenie życiowe nie zdołało jednak wykrystalizować w nim jednorodnej, zdefiniowanej psychicznie indywidualności. Równocześnie egzystowały w nim dwie odmienne, często sprzeczne i przeciwstawiające się sobie osobowości: z jednej strony - wybitnego, zrównoważonego i nieprzeciętnie utalentowanego męża stanu, z drugiej zaś - zadzierzwytego, czasem ryzykanckiego, politycznie naiwnego i zarozumiałego pułkownika, pragnącego dowodzić współpracownikami cywilnymi. Gdy Beck pełnił już funkcję samodzielnego, a później nawet niekontrolowanego szefa polskiej polityki zagranicznej, zawsze rodziła się obawa, by nie wystąpił na scenę ten drugi zamiast pierwszego, pułkownik zamiast przetrwałego i wytrawnego ministra. W jednym tylko - stosunkowo krótkim - okresie swej działalności Beck był całkowicie wolny od ulegania iluzjom politycznym, od wytworzenia niepotrzebnych zadrażeń, od zgubnych snów o mocarstwowej Polsce. Były to dwa lata /1932-1934/, w ciągu których zasadniczymi sprawami zewnętrznopolitycznymi odrodzonej Polski sterował w rzeczywistości sam Józef Piłsudski, a pułkownik Józef Beck był tylko wykonawcą jego poleceń. Po śmierci wielkiego Marszałka to rozdwojenie osobowości Becka stawało się z każdym rokiem coraz bardziej wyraźne i bardziej niepokojące.

Syntetyzując bilans prawie siedmioletniej działalności J. Becka jako ministra spraw zagranicznych Polski, nikt z obiektywnych krytyków nie może jednak odmówić mu ani wielkich uzdolnień i inteligencji, ani też wielkich zasług czy nawet historycznych osiągnięć tylko dlatego, że przejawiał się w nim czasem zwykły, nagi człowiek, niecierpliwy, egocentrycz-

ny i pełen próżności. Przecież w ciągu tych siedmiu bardzo trudnych lat, kiedy ugięły się, a nawet zamały największe autorytety polityczne świata, minister Beck bronił wytrwale i sumiennie idei pokoju i porozumienia w stosunkach między-narodowych, aż po nieprzekraczalną dla męża stanu granicę utraty niezależności własnego państwa i honoru własnego narodu. Z obu wielkimi, bardzo trudnymi i niebezpiecznymi sąsiadami Polski doprowadził do podpisania długoterminowych paktów o nieagresji, wyrażonych i jasnych w treści, uczciwie dotrzymywanych przez stronę polską. Z dużą gorliwością i spokojem likwidował i rozbrajał niezliczone, drobne, a zatruwające atmosferę incydenty na wschodniej granicy Polski, zatargi narodowościowe i spory prawne z Gdańskiem; walczył wytrwale o należyte traktowanie mniejszości polskiej w Niemczech. Z reguły minister Beck potrafił się wnieść ponad osobiste sympatie i antypatie oraz prawidłowo oceniał aktualną sytuację polityczną i jej doraźne komplikacje.

W imię prawdy historycznej należy tu z całym naciskiem podkreślić, że Beck alarmował dość wcześnie o niebezpieczeństwie niemieckim, że osobiście nalegał na przpieszanie budowania gotowości obronnej Państwa, apelując do marszałka Rydza-Smigłego o nieuleganie ciągłym naciskom czynników dyplomatycznych, zmierzających do odrodzenia pełnej mobilizacji wojsk polskich. Domagał się skąsownie i z całą stanowczością, by interwencje obce były kierowane do niego, gdyż obowiązek wytrzymania i odparcia tych nacisków spoczywa na nim. Gdy Hitler, przygotowując rozprawę zbrojną, zaincjuował z początkiem 1939 r. wojnę nerwów przeciwko Polsce, Beck nie tylko umiał wytrzymać spokojnie przez wiele miesięcy napiętą do ostateczności sytuację, ale ponadto doprowadził do tego, że - w myśl intencji Józefa Piłsudskiego - wojna przeciwko Polsce przybrała od początku charakter wielkiego konfliktu ogólnoeuropejskiego. Trzeba uświadomić sobie w całej rozciągłości, że to, co wbrew licznym traktatom i wielokrotnym deklaracjom publicznym czołowych mężów stanu Europy nie wywołało, poza czczynymi protestami słownymi, żadnej solidarnej i czynnej reakcji - ani jawne i brutalne podeptanie traktatów wersalskiego i locarneskiego przez Hitlera i jego rząd, ani dokonanie siłą "Anschlussu" Austrii, ani wydarcie Sudetów, ani doszczętne zniszczenie państwa czechosłowackiego - to wszystko po napaści na Polskę stało się faktem historycznym niezmierniej doniosłości, który przecież zadecydował ostatecznie o katastrofalnej klęsce Hitlera i ustrojów faszystowskich. Wystąpienie zbrojne Wielkiej Brytanii i Francji w obronie zaatakowanej Polski nie było ani przypadkowe, ani samorzutne; dokonało się ono wbrew niezmordowanemu wysiłkom dyplomacji hitlerowskiej zmierzającej do politycznego izolowania i okrażenia Polski, a równocześnie było poważnie utrudnione przez postawę Związku Radzieckiego. Wystąpienie Wielkiej Brytanii i Francji było rezultatem sytuacji, którą pieczołowicie i konsekwentnie przygotowywał Beck i jego aparat dyplomatyczny. W istocie rzeczy J. Beck uczynił wówczas wszystko, co praktycznie łażać w granicach możliwości polskiego ministerstwa spraw zagranicznych.

Dość często zachodzi jednak zjawisko, szczególnie w odniesieniu do ludzi formatu historycznego, a obojętnych na własną popularność, że cechy podrzędne i uboczne ich osobowości wysuwają się na plan pierwszy, przesłaniając ich wielkie i trwałe wartości i osiągnięcia. Wydaje mi się, że taka sytuac-



ja zachodzi właśnie w przypadku politycznej sylwetki Józefa Becka, jaka utrwałała się szeroko w naszej opinii publicznej. Jest to tym bardziej zrozumiałe i naturalne, że przywary jego charakteru - trzymane w ostrej dyscyplinie wojskowej w czasie bliskiej współpracy z Józefem Piłsudskim - były istotnie dość liczne i rzucające ostre refleksy na jego działalność publiczną.

**SZKODLIWE ZŁUDZENIA** Tak więc fakt, że minister Beck - z reguły realista w polityce - ulegał, w ważnych nawet sprawach, szkodliwym złudzeniom czy iluzjom, zwłaszcza gdy harmonizowały one z jego własnymi teoriami i postulatami politycznymi, jest niezaprzeczalny. Niemniej, nie może on obciążać zbytnio jego osobistego rachunku. Wybitny historyk francuski, P. Renouvin /2/, konstatuje wprawdzie, że Beck ulegał naiwnym iluzjom nie raz, lecz wielokrotnie i organicznie, ale jakby na jego usprawiedliwienie dodaje, że współcześni politycy tej miary co Chamberlain, Churchill, Eden, Daladier, Bonnet i inni ulegali notorycznie iluzjom w stosunku do zamiarów i posunięć Hitlera czy Stalina. W przypadku polskim złożyło się tak fatalnie, że Beck, który oceniał realistycznie tendencje i możliwości polityczne Francji, Anglii czy Ligi Narodów, albo też przewidywał prawidłowo praktyczne znaczenie projektowanych paktów zbiorowego bezpieczeństwa i wiele innych jawnych i zakamuflowanych chwytów politycznych, ulegał długo iluzjom co do dobrej woli i uciążliwości w działaniu właśnie Hitlera i jego "dwunastu zbójców", Mussoliniego albo Stalina i Mołotowa. Gdy Piłsudski poczytywał pakt niemiecko-polski z 26 stycznia 1934 roku za niepewny, posiadający wartość raczej taktyczną niż merytoryczną, za układ dający najwyżej parę lat odprężenia i spokoju znękaną kryzysem gospodarczym Polsce, to Beck ufał w trwałość nowego stosunku Niemiec do Polski, a zapewnienia Hitlera, Goeringa, Gebbelsa i szefa Reichswehry, generała Blomberga o definitywnej zmianie niemieckiego nastawienia do naszego kraju - wtkaczone mu w czasie wizyty berlińskiej w lipcu 1935 r. - brał za dobrą i szlachetną monetę. Rozmowy prowadzone w Berlinie w 1935 r., jak i wiele późniejszych, określone były przez Becka jako "tout a fait satisfaisantes" - całkowicie zadowolające. W tym czasie próbował on nawet sformułować rozumowe argumenty dla pozytywnej oceny i trwałości znornalizowanych - po podpisaniu paktu z 1934 r. - stosunków niemiecko-polskich. Głosił mianowicie, że Hitler jest organicznym i typowym produktem austriackim, że obca jest mu psychika pruska, przesiąknięta tradycyjną nienawiścią do Polski i Polaków. Również wśród głównych współpracowników Hitlera nie ma ani jednego rodowitego Prusaka i dlatego pokojowa koegzystencja narodu niemieckiego z polskim po raz pierwszy od kilku stuleci stała się możliwa. Te tendencje podtrzymywała wiara Becka w zasadniczy i nienaruszalny antagonizm nazistowsko-komunistyczny.

Takich niebezpiecznych złudzeń w umysłowości szefa polskiej polityki zagranicznej było jednak znacznie więcej. Jeszcze na początku 1939 r. Beck był przeświadczony, że Hitler ograniczy swoje pretensje terytorialne do Austrii i Sudetów. Podobnym złudzeniom ulegał Beck w sprawie Gdańska, sądząc, że za ustępstwa wewnętrzniepolityczne dla nazistów, scementuje silnie port gdański z Polską. Wbrew złej woli sterujących polityką gdańską nazistów, oczekujących tylko sygnału z Berlina do "Anschlussu" Wolnego Miasta z Reichem, Beck bronił



interesów gdańskich, sporadycznie nawet przeciwko Gdyni, o której jeszcze w ostatniej, już wojennej publikacji książkowej /5/ napisał kilka krytycznych i niesłusznych słów. Polskiemu ministrowi spraw zagranicznych nie dał do myślenia nawet tak jaskrawy fakt, że w czasie gdy on z trąbuny Ligi Narodów brał w obronę gdańskich nazistów, H. Schacht 28 stycznia 1936 r. wygłosił w Bytomiu /4/ gwałtowną mowę antypolską i rewizjonistyczną. Całkowite ocknięcie się z tej pajęczyny niemieckich złudzeń nastąpiło u Becka dość późno, bo na przełomie 1938-1939 r. i było dla niego wstrząsające.

Choć nieufność Becka do polityki sowieckiej była od początku zaostrzona, to jednak i w tych relacjach zachodziły, i to aż do drugiej połowy 1939 r., wypadki zdumiewającej łagodności. Jeszcze w maju tego roku Beck przypuszcza, że stosunki nasze ze Związkiem Radzieckim mają nowe szanse wyrównania, szczególnie, jak zapisuje /5/, wobec tego, że M. Litwinow, komisarz ludowy dla spraw zagranicznych, "notoryczny wróg naszego państwa", zwolniony został ze swego stanowiska. Cały ówczesny świat polityczny poczytywał ten fakt za wyraźny gest pojednawczy Stalina wobec Hitlera. Litwinow, odmiennie niż jego następca, Mołotow, miał zdecydowanie antyhitlerowskie nastawienie, reprezentował tendencje pokojowe i - przynajmniej w pewnych granicach - popierał ugodową politykę Ligi Narodów. Jeden tylko Beck wyrażał nie zaniepokojenie, ale zadowolenie z tej zmiany personalnej. Byłem obecny w Spale, gdy informował on Prezydenta Rzeczypospolitej o swojej rozmowie w dniu 10 maja 1939 r. z przejeżdżającym przez Warszawę zastępcą komisarza do spraw zagranicznych, Potiomkinem - tym samym, który pod koniec 1938 r. rozgłaszał w kołach dyplomatycznych Berlina prorocstwo, że zbliża się dzień czwartego rozbioru Polski. Potiomkin zapewniał teraz Becka, w imieniu i z upoważnienia rządu sowieckiego, że w razie konfliktu zbrojnego z hitlerowskimi Niemcami, rząd radziecki zajmie w stosunku do Polski "jak najbardziej życzliwą postawę". /6/ W ten sposób zachęcał on Polskę i jej rząd do usztywnienia swego odpornego stanowiska wobec pretensji niemieckich.

IMPROWIZACJE

Jest to może nieuniknione zjawisko, że z upływem lat kierowania ważnym i wpływowym resortem państwowym, gromadzą się w osobowości szefa - obok kapitału rutyny i doświadczenia - pewne spaczenia czy dewiacje psychiczne, spowodowane zarówno chwałstwem otoczenia, jak i stopniowym zanikiem zmysłu samokrytyki. Podobne objawy można też zaobserwować w wystąpieniach publicznych i w działalności ministra Becka, szczególnie od połowy 1935 r. W jego pośmiertnie wydanej książce "Dernier Rapport", wykazującej tak głęboką i przenikliwą znajomość międzynarodowego mechanizmu politycznego, można znaleźć surową, czasem zjadliwą i niesprawiedliwą krytykę obcych mężów stanu, a również jego poprzednika na stanowisku szefa polskiego ministerstwa spraw zagranicznych, A. Zaleskiego, przy rosnącym stale samouznanii dla własnych występów czy posunięć. Te posunięcia - przygotowywane początkowo precyzyjnie i pieczołowicie przez wytrawny i fachowy aparat ministerstwa - z biegiem lat coraz częściej miały charakter nieprzemysłanej do końca improwizacji. Toteż nie przynosiły one oczekiwanych rezultatów. Pierwsze takie większe potknięcie miało miejsce w połowie września 1934 r. na forum Ligi Narodów. Wówczas to minister Beck wypowiedział jednostronnie obowiązujący Polskę układ z dnia 28

1 czerwca 1919 r. o ochronie praw mniejszości narodowych. Z polskiego punktu widzenia, krok ten miał swoje uzasadnienia: chodziło głównie o zabezpieczenie przed wtrącaniem się do spraw polskich przez - wstępujący właśnie do Ligi Narodów - Związek Radziecki. Formalnie też wniosek polski domagał się usunięcia wszelkiej dyskryminacji, czyli uogólnienia zobowiązań co do ochrony mniejszości narodowych, wedle identycznej procedury. Nie można jednak było przejść do porządku nad tym, że zobowiązanie polskie było formalnie związane z uznaniem naszych granic przez czynniki międzynarodowe, a także, że w naszym państwowym interesie leżało jak najsumienniejsze przestrzeganie istniejących - złych czy dobrych - zobowiązań traktatowych. W rezultacie, obok ostrej krytyki kroku polskiego przez ministrów: brytyjskiego, Simona i francuskiego, Barthou, przedstawiciele Niemiec i Włoch podkreślili dobitnie - oczywiście na różnych drogach - istniejący związek między układem o ochronie mniejszości a sprawą granic Polski. Toteż reprezentant Polski uznał za chwilowo najkorzystniejsze wycofanie wniosku ministra Becka spod głosowania.

Oczywiście, pomyłki, a nawet ciężkie błędy są w dziedzinie polityki zagranicznej często nie do uniknięcia; zdarzają się nawet najwytrawniejszemu dyplomacie. Z reguły bowiem stoi się tu przed koniecznością rozwiązywania jednego równania, wypełnionego całym szeregiem niewiadomych. Hipotezy są tu częste, pewniki - wielką rzadkością. Ale zadaniem rozbudowanego i wyposażonego obficie w środki materialne resortu jest takie przygotowanie i naświetlenie ministrowi każdej ważniejszej sprawy, by pomyłki i niepowodzenia zredukować do granic możliwie najmniejszych. Trzeba przyznać, że resort Becka ulegał coraz wyraźniej złudzeniu, że on sam wie wszystko lepiej, niż cały zespół jego fachowych współpracowników. Nie bez pewnej słuszności twierdzi sumienny znawca tego resortu, Kajetan Morawski /7/, że "Beck z błędnego założenia wyciągał inteligentnie niezyciowe wnioski, a w ministerstwie spraw zagranicznych ludzie myślący inaczej lub w ogóle myślący samodzielnie, usuwani byli z urzędu". W tych warunkach potknięcia musiały się mnożyć. Ten niekorzystny stan rzeczy podsycała coraz bardziej dwolista natura Becka, o obliczu i postawie cywilnej i wojskowej.

Aktualną i ważką sprawą w 1934 r. stała się próba przeferowania koncepcji zbiorowego bezpieczeństwa we wschodniej i centralnej części Europy, tzw. Paktu Wschodniego. Głównymi propagatorami tej koncepcji były rządy francuski i radziecki, a najważniejszymi uczestnikami paktu miały być Niemcy, Rosja i Polska. Ale Niemcy i Polska - z nieco odmiennych powodów - były przeciwne temu projektowi. W szerokiej opinii publicznej, nieświadomej kulisów tej sprawy, Polska naraziła się jednak na zarzut współdziałania z Niemcami hitlerowskimi. W tych warunkach Beck, znając pozytywne nastawienie Małej Ententy do Paktu Wschodniego, usiłował skłonić do zajęcia negatywnego stanowiska w tej sprawie przynajmniej niektóre z państw bałtyckich. Toteż w połowie 1934 r. udał się on m.in. z wizytą do Łotwy, w złudnej nadziei nakłonienia jej rządu do przyłączenia się do tezy polskiej. W czasie wizyty Becka w Rydze, jego kolega łotewski oświadczył publicznie, że jego kraj i rząd "nie uchylił się od współpracy w ramach Paktu Wschodniego". Pod koniec lipca tego roku wszy-

stkie państwa bałtyckie zadeklarowały solidarnie w Moskwie, że popierają w całej rozciągłości koncepcję Paktu Wschodniego.

Podobne siły motoryczne sprawiły - jak się wydaje - że polityka gdańska Becka nie zawsze była szczęśliwa. Wysoki Komisarz Ligi Narodów w Gdańsku, profesor historii i historiozofii w Bazylei, człowiek cieszący się dużym autorytetem i wpływami w sferach międzynarodowych, żali się 7 listopada 1937 r., że "polityka polska dopomogła w ostatnich latach do osłabienia pozycji Ligi Narodów w Gdańsku, a równocześnie zdewaluowała polskie uprawnienia w Wolnym Mieście" /8/. Przepuszczenie Becka, że w sprawie gdańskiej można się porozumieć bezpośrednio z Niemcami, eliminując Ligę Narodów i swoich zachodnich przyjaciół, okazało się błędne. Skutek tych zabiegów był taki, że 18 października 1937 r. minister Neurath oświadczył ambasadorowi Lipskiemu z naciskiem, że "wizująca pomiędzy Niemcami i Polską sprawa gdańska wymagać będzie zasadniczego rozwiązania", przy czym nie pozostawił wątpliwości, że rozumie przez to przyłączenie Gdańska do Reichu.

W tym czasie ożywia Becka nowa idea. W obliczu dwóch wzajemnie wrogich bloków - faszystowskiego i demokratycznego - pragnie on zorganizować "trzecią siłę", blok państwa neutralnych, znajdujących się pod wpływami Polski. Dla dwóch powodów koncepcja ta nie może mieć powodzenia. Po pierwsze dlatego, że - oczywiście niesłusznie - opinia międzynarodowa poczytuje politykę polską za niewyraźną, nieszczerą i budzącą zadrażnienia. Prasa francuska pod koniec okresu międzywojennego pisze i propaguje ętwarcie: La Pologne reste notre alliee en droit, elle ne l'est plus en fait. Po drugie - nie ma oddanych współpartnerów dla tej idei. Ani państwa skandynawskie, ani bałtyckie, ani tym bardziej Mała Ententa, ani Węgry, ani państwa bałkańskie nie dostrzegają wyraźnych korzyści dla siebie z takiej demonstracji, drażniącej tylko groźnych rekinów. Ten stan rzeczy charakteryzował dość wymownie fakt, że szef najbardziej Polsce przyjaznego państwa, tj. Węgier, admirał Horthy, apelował na początku 1938 r. do Polski, aby w imię wielkich i wspólnych celów zwróciła Niemcom Gdańsk i Korytarz.

Stopniowo coraz częściej na arenie międzynarodowej pojawiać się poczyna jako reprezentant Polski minister-pułkownik Józef Beck. Jestem jak najdalszy od uwłaczania wysokiej i odpowiedzialnej szarży pułkownikowskiej w wojsku; sędzę tylko, że to, co jest rozumne, dobre i właściwe w ramach organizacyjnych wojska, może być czasem złe lub pożąłowania godne w działalności cywilnego ministra spraw zagranicznych. Beck był szczególnie silnie przywiązany do swojej szarży pułkownikowskiej i do wojskowych form działania; lubował się w mundurze i w etykietce wojskowej. Obcy znali te słabe strony polskiego ministra i często nie szczędzili mu tych bezwartościowych uprzejmości. W lipcu 1935 r. Niemcy przyjmowali go w Berlinie "z wielkimi honorami wojskowymi", a ceremoniał powitania go w Rzymie, w marcu 1938 r. "był prawie królewski". Beck nie omieszkał podkreślić tego wyraźnie w swoim pamiętniku /9/, napisanym przez pułkownika i zatytułowanym manierą wojskową jako "Dernier rapport".

Przyjaźnie usposobiony do Becka były ambasador i minister, Edward Raczynski, przytacza w swoich wspomnieniach /10/ incy-



dent, który normalnie nie mógł zdarzyć się ani szefowi spraw zagranicznych, ani nawet pułkownikowi za życia Piłsudskiego. Zdarzył się jednak ministrowi Beckowi. Oto w listopadzie 1936 r., w czasie oficjalnego pobytu polskiego ministra w Londynie, brytyjski Foreign Office wydał bankiet na cześć polskiego gościa, zapraszając najbardziej wpływowe osobistości stolicy. Edward Raczynski pisze: wymęczony wizytą minister "wypił na tym obiedzie kieliszek lub dwa, co wystarczyło by usposobić go egocentrycznie i zaczepliwie. Toteż rozmowa jego z Montagu Normanem, papieżem londyńskiej City, wypadła niedobrze, przy wyraźnej obustronnej irytacji". A był to człowiek miarodajny w dziedzinie wszelkich międzynarodowych operacji finansowych Anglii w tym czasie. W maju 1937 r. Polska - podobnie jak wiele innych krajów - wysłała do Londynu na uroczystości koronacyjne Jerzego VI delegację rządową pod przewodnictwem ministra spraw zagranicznych J. Becka. Na uroczystościach tych minister Beck - może dla większego splendoru - wystąpił w mundurze pułkownika, co oczywiście było różnie komentowane.

To "pułkownikowskie hobby" Becka było powiązane z przesadnym przeświadczeniem o przemożnej roli polskiego ministra spraw zagranicznych na europejskiej arenie politycznej. Tak np. w chwili gdy wszystkie struny gry międzynarodowej były napięte na całym kontynencie do granic wytrzymałości, Beck dla podkreślenia swojego stoickiego spokoju, udaje się pod koniec maja 1938 r. z rewizytą do Sztokholmu. Z zadowoleniem notuje w swoim pamiętniku, że na samą wiadomość o jego podróży, międzynarodowa giełda niezwłocznie uspokoiła się. //1//

Jednakże wszystko to nie posiada większego i trwałszego znaczenia wobec dwóch wielkich akcji politycznych podjętych przez ministra Becka pod koniec 1938 r. Idzie tu o sprawę Zaolzia i wystąpień wiążących się bezpośrednio i pośrednio z zagadnieniem wspólnej granicy polsko-węgierskiej.

W sprawie Zaolzia cała nawastrwiona przeszłość historyczna, a nawet pewne argumenty taktyczne, przemawiały na korzyść stanowiska Polski i postulatowi ministra Becka sierowania do Czechosłowacji dwunastogodzinnego ultimatum z żądaniem cesji Zaolzia. Po załamaniu się państw centralnych w 1918 r. obie dzielnicowe Rady Narodowe, czeska i polska, zgodnie i sprawiedliwie podzieliły Cieszyński Śląsk według granicy etnograficznej. Jednak w obliczu powikłań zbrojnych na wszystkich prawie pograniczach Polski, Czesi wykorzystali te nasze trudności i zajęli się polskie Zaolzie. Wytworzyło to nieprzyjemne napięcia pomiędzy obu bratnimi narodami. Marszałek Piłsudski, nie zgłaszając doraźnie postulatów odzyskania Zaolzia, próbował kilkakrotnie na różnych płaszczyznach doprowadzić do odprężenia z naszym południowo-zachodnim sąsiadem. W lecie 1930 r. w pewnym fragmencie gospodarczym tego planu, polecił i mnie wykonać określone zadanie. Byłem wówczas przez kilka dni w Czechosłowacji i przez parę godzin rozmawiałem z prezydentem T. Masarykiem na zamku w Topolczankach. Z wielu względów nie udało się wówczas stąpić ostrza niechęci czesko-polskiej.

Nie było to winą rządów pomajowych. Wielki przyjaciel narodu czeskiego i słowackiego, Wincenty Witas, w czasie swojego azyłu politycznego w Czechosłowacji, napisał na ten temat, że w stosunku do Polski "rząd czesko-słowacki postęgiwał



się nie tylko przemocą, ale także zdradą, połamawszy wszystko, dobrowolnie zawarte umowy" /12/. Inny czołowy polityk, Maciej Rataj, były marszałek Sejmu, powiedział na wiosnę 1938 roku do wybitnego czeskiego historyka, polityka i publicysty, wysłannika rządu praskiego dla nawiązania kontaktów z opozycją polską, Fiali, że "gdybym został dzisiaj ministrem spraw zagranicznych nie mógłbym właściwie robić nic innego, jak to, co czyni obecnie Beck" /13/. Na konferencji w dniu 30 września 1938 r. na Zamku w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej, marszałka Smigły-Rydz, premiera, ministra spraw zagranicznych i skarbu, minister Beck wysunął również argumenty taktyczno-polityczne, mające wesprzeć jego wniosek wysłania niezwłocznie ultimatum do Pragi. Twierdził on - nie bez słuszności - że to, co wydarzyło się w Monachium i co było reminiscencją projektowanego przed paru laty "Paktu Cztzech", może się stać bardzo niebezpiecznym precedensem na przyszłość, również w odniesieniu do żywo-nych spraw Polski. Należy - jego zdaniem - szybko i możliwie drastycznie przeciwstawić się takim metodom załatwiania konfliktów terytorialnych, wywołując widmo - niezbyt prawdopodobnej w tym przypadku - wojny. Tylko takie zdecydowane i odważne wystąpienie Polski może uchronić ją przed powtórzeniem się nowego Monachium. Również bliskie sąsiedztwo Niemiec w tym rejonie zmusza Polskę do niezwłocznego działania. Jeżeli będziemy wahać się i zwlekać, to powstać może niebezpieczeństwo zagarnięcia tego cennego, wysoko uprzemysłowionego skrawka ziemi przez Niemcy. Wówczas sprawa polskich pretensji do Zaolzia byłaby przekreślona na długo. W końcu - mówił Beck - domagamy się od dłuższego czasu i mamy zasadniczą zgodę rządu czechosłowackiego równorzędnego traktowania postulatów polskich z prawami przyznanymi przez Czechosłowację mniejszości niemieckiej. Dziś, gdy rząd praski odstępuje Reichowi ziemie zamieszkałe przez Niemców, i to za aprobatą mocarstw zachodnich, musimy upomnieć się stanowczo o analogiczne uregulowanie małego, ale rzeczowo uzasadnionego postulatu Polski.

Z tymi wywodami Becka zgadzali się w zasadzie wszyscy uczestnicy konferencji na Zamku w dniu 30 września 1938 r. Ostre spieście powstało dopiero wówczas, gdy jeden z uczestników - minister skarbu - sprzeciwił się ultimatywnej formie polskiego wystąpienia, argumentując, że chwila jest wyjątkowo nieodpowiednia. Ultimatum stworzy poczty merytorycznego i taktycznego współdziałania z agresorem hitlerowskim przeciwko Czechosłowacji. Apelował on, by zastosować w tym przypadku normalną procedurę dyplomatyczną i wytworzyć możliwie spokojną i rzeczową atmosferę. Szło po pierwsze o to, aby w opinii publicznej nie identyfikować postępowania polskiego z niemieckim, po wtóre - aby nie działać zbyt pośpiesznie i ponadto w warunkach dysharmonii z naszymi przyjaciółmi na zachodzie, wreszcie po trzecie - aby nie stwarzać niebezpiecznego pretekstu dla interwencji Związku Radzieckiego, związanego przecież układem o warunkowej pomocy dla Czechosłowacji. Marszałek Smigły-Rydz gwałtownie przeciwstawił się tym wywodom, a minister Beck zlekceważył dwa pierwsze motywy, na trzeci zaś wcale nie odpowiedział, choć był już w posiadaniu cierpkiej i niecc dwuznacznej noty radzieckiej z dnia 22 września tego roku, której jednak nie podaź do wiadomości uczestników konferencji. Jeszcze tego samego dnia ultimatum polskie zostało skierowane do Pragi. W wymaganym terminie 1 X 1938 przyjęto żądania polskie. Marszałek Smigły-Rydz i minister Beck trium-

fowali. Chwilowo naraziliśmy się tylko na słowne potępienie naszej akcji przez wielu wpływowych polityków Zachodu i Wschodu. Ale sprawa nie została w ten sposób zamknięta ostatecznie.

SPRAWA  
RUSI  
PRZYKARPACKIEJ

Organicznie związał się z tą sprawą drugi kompleks zagadnień, wynikających z postępującego rozkładu państwa czechosłowackiego pod brutalnymi ciosami zadawanymi mu przez Hitlera w latach 1938-1939. Wówczas Beck postawił sobie - poza rewindykacją Zaolzia - trzy dodatkowe cele polityczne: przejście w tej czy innej formie opieki nad samodzielną Słowacją przez Polskę, albo łącznie - przez Polskę i Węgry; wzmocnienie prestiżu politycznego przez uczestnictwo Polski w ustaleniu nowej granicy, rozdzielającej Słowację od Węgier; a wreszcie - zrealizowanie postulatu wspólnej i bezpośredniej granicy polsko-węgierskiej. Należało jednak brać przy tym pod uwagę fakt, że Niemcy hitlerowskie nie zgodzą się ani na pokrzyżowanie ich własnych planów co do strategicznego okrażenia Polski, w czym wysunęły na wschód obszar Słowacji miał odgrywać poważną rolę, ani też na żadne, nawet najmniejsze wzmocnienie politycznej pozycji naszego państwa, chyba tylko za cenę jawnego i integralnego włączenia Polski w orbitę interesów i coraz bardziej ryzykancyknych posunięć politycznych i prestiżowych Niemiec. W efekcie końcowym prowadziłyby to jednak do przekreślenia naszej niepodległości. Na co więc mogliśmy liczyć, podejmując tak szeroko zakrojoną akcję międzynarodową? Otyóż nie na własną, dostatecznie dużą potęgę państwową i nie na możnych, a niezawodnych sojuszników. Własne siły militarne poczynaliśmy wówczas dopiero wzmacniać i z trudem doprowadzać do wymaganego poziomu jakościowego, osiągniętego już wcześniej przez główne państwa europejskie; w żadnym przypadku zaś nie mogliśmy wyrównać wojskowego potencjału ilościowego z naszymi prawdopodobnymi przeciwnikami. Do tej gry nie mieliśmy też możnych sprzymierzeńców. Nie tylko przywódcy Związku Radzieckiego i Małej Ententy spoglądali wrogo na aktualne tendencje polityczne Polski, ale również i odpowiedzialni politycy demokracji zachodnich odnosili się do nich z wyraźną niechęcią, spotęgowaną po rewindykacji Zaolzia. Toteż rezultat naszej inicjatywy podjętej pod koniec 1938 r. nie mógł być dla nas pomyślny.

Czechosłowacka Ruś Przykarpacka była praktycznie jedynym okręgiem, który mógł być zajęty siłą przez wojska węgierskie, by następnie doprowadzić do utworzenia upragnionej wspólnej granicy węgiersko-polskiej. Ale Węgrzy obawiali się reakcji Małej Ententy, a w szczególności Rumunii, a także nie chcieli narażać się na niezadowolenie Niemiec. Sprawa skomplikowała się, gdy rząd praski 8 października 1938 r. nadał Rusi Przykarpackiej szeroką autonomię. Już dnia następnego powstał na tej podstawie w Użhorodzie rząd "Ukrainy Zakarpackiej" pod przewodnictwem mgr. Wołoszyna. Fakt ten zelektryzował ludność ukraińską w Galicji wschodniej, a liczne zastępy "Strzelców Siczowych" przedostały się z Polski na teren Ukrainy Zakarpackiej, uważanej wówczas za rodzaj Piemontu przyszłej, zjednoczonej i niepodległej Ukrainy. Rząd Wołoszyna - jako antypolski i antysowiecki - cieszył się wyraźnie protekcją Niemiec. W tych warunkach Węgrzy obawiali się wkroczyć na drogę faktów dokonanych. Wówczas mini-

ster Beck postanowił przyspieszyć bieg pożądaných wypadków i rozstrzygnięć.

Przedo wszystkim pragnął on zjednać sprzymierzoną Rumunię dla idei uzyskania przez Polskę wspólnej granicy z Węgrami, rozbrajając jej negatywny stosunek do częściowej choćby - a tak niezbępcznej perspektywie dla Rumunii - rewindykacji węgierskich granic historycznych. Beck sądził, że ten cel osiągnie, proponując Rumunii - w porozumieniu z Węgrami - niezbępczny zresztą udział w parcelacji terytorium Rusi Przykarpackiej. Gdy rząd rumuński, związany paktem sojusznicznym w ramach Małej Ententy, odniósł się negatywnie do tej myśli, Beck postanowił przedłożyć osobiście swoje sugestie królowi Karolowi II, licząc na zasadniczą przynajmniej ich aprobatę. Istotnie, dnia 19 października 1938 r. doszła do skutku wizyta ministra Becka w towarzystwie ambasadora Rogera Racyńskiego u króla Rumunii w Galacu, na jachcie królewskiej. W naradzie wziął udział ponadto rumuński minister spraw zagranicznych Petrescu Commene, tan sam - jeśli mnie pamięć nie myli - który w 1944 r. dokonał ważnego i historycznego dzieła, doprowadzając do zerwania stosunków sojusznicznych Rumunii z Niemcami i nawiązania wojskowej i politycznej współpracy z blokiem antyhitlerowskim. Beck zgodnie z własną późniejszą relacją, przedstawił przebieg tej narady następująco: celem jego wizyty jest chęć porozumienia się co do losów Rusi Przykarpackiej na wypadek całkowitego rozkładu państwa czechosłowackiego. Logika - mówił minister Beck - wymaga, aby los tej prowincji był rozstrzygnięty przez porozumienie się Rumunii, Polski i Węgier. Rząd węgierski prosił ministra Becka o podjęcie inicjatywy w tej sprawie, więc on przedkłada królowi zasady swojej koncepcji terytorialnego podziału Rusi pomiędzy Węgry i Rumunię. Oczywiście, iż Polska sama nie zgłasza tu żadnych pretensji terytorialnych. Trzeba jednak zrozumieć, że rząd rumuński, który był złączony silniejszymi więzami interesów z Czechosłowacją niż z Polską, mógł się poczuć dotknięty forsowaniem sugestii Becka. Czechosłowacja jako żywy twór państwowy wciąż jeszcze istniała. Toteż minister Commene, "un parfait imbecile" - jak pisze Beck /14/ - wylał na niego istny potop słów "pozbawionych wszelkiego sensu, z których on nic nie rozumiał". Negatywne nastawienie Rumunii do zamiarów Becka potwierdził w sposób wyraźny i spokojny król Karol II. Swoją relację z tej konferencji uzupełnia minister Beck informacją, że ów "imbecile" postarał się o rozgłoszenie w całej Europie przebiegu tej poufnej narady z dodatkiem własnych, wysoce krytycznych komentarzy. Nieco później wydał on jeszcze jak najsurowszą opinię o charakterze polskiego ministra, doznaczając złośliwą uwagę, że dyplomacją nie można komenderować jak szwadronem ułanów. Na tym prestiżowo przykrym incydencie sprawa granicy węgiersko-polskiej nie została jednak wyczerpana i zamknięta.

Pod koniec października 1938 r. Węgrzy wyrazili zgodę na arbitraż państw "osi Berlin - Rzym" w sprawie ustalenia ich nowej granicy ze Słowacją i rozstrzygnięcia kompleksu zagadnień związanych z Rusią Przykarpacką. Wówczas minister Beck zaproponował udział Polski w tym sądzie rozjemczym. Prawie odwrotnie, bo 30 października, rząd niemiecki polecił zawiadomić Becka, że uważa udział Polski w sądzie arbitrażowym za zbędny. Już 2 listopada sąd ten wydał orzeczenie, w którym poza drobnymi poprawkami granicy słowacko-węgierskiej, potwierdził samodzielnosc Rusi Przykarpackiej w związku Federa-



cyjnym z Czechosłowacją. Dopiero w połowie marca 1939 r., gdy Hitler - łamiąc własne, świeże i uroczyste zapewnienia, i ryzykując wielki konflikt międzynarodowy - zajęł zbrojnie Czechy i Morawy i rozciągnął "opiekę" wojskową na Słowację, wojska węgierskie - wykorzystując moment - przystąpiły do akcji i zajęły Ruś Przykarpacką.

Jednakże w ciągu ostatnich kilku miesięcy cała sytuacja polityczna w Europie centralnej uległa radykalnej zmianie. Wobec zbrojnej a bezkarnej agresji hitlerowskiej, jawnego i systematycznego gwałcenia prawa samostanowienia narodów, wobec zupełnego okrażenia militarnego Polski i preparowania jej do czwartego rozbioru, taka sprawa jak wspólna i przyjazna, ale peryferyjna granica węgiersko-polska - straciła swoje niedawne znaczenie polityczne, strategiczne i gospodarcze.

#### WYBRAŁ KAMIENISTĄ, ALE POLSKĄ DROGĘ

Za wytworzony ogólny stan rzeczy w latach 1938-1939 nie można oczywiście obarczać odpowiedzialnością, nawet z większego polskiego punktu widzenia, ministra Becka. Nie miał on i nie mógł mieć jakiegokolwiek wpływu na agresywne instynkty Niemiec hitlerowskich. Do równowagi politycznej nie mogła ich przywołać ani Anglia, ani Francja, ani ostrzegawczy głos prezydenta Stanów Zjednoczonych. Józef Beck nie był zwolennikiem metod monachijskich, nie był stronnikiem tendencji ograniczania odpowiedzialności głównych mocarstw świata do słownych, bezwartościowych protestów i nie popartych siłą deklaracji. Atmosfera polityczna była przesycona bezprawiem i wiarołomstwem, a najuroczystsze, dobrowolne zobowiązania praktycznie nie miały żadnej wartości. Ale gdy wielu mężów stanu traciło już wiarę w zachowanie pokoju, J. Beck bódzącał napór tego fatalizmu, wierzył jeszcze i walczył o pokojowe metody rozstrzygnięcia konfliktów międzynarodowych. Może najłapidarniej, ale całkowicie słusznie, ocenił ten zasadniczy rozdział polityki Becka socjalista i przeciwnik rządów sanacyjnych, Adam Cieszkosz, mówiąc: "pragnął on istotnie ocalić pokój i prowadził pokojową politykę. Zasadniczym błędem jego działania było to, że wierzył, iż regulując stosunki z Niemcami, ubezpiecza pokój na trwał." /15/. Również wybitny rumuński minister spraw zagranicznych, następca Comnena a, Gafencu, który odbył z ministrem polskim kilka poufnych rozmów, odpierając lansowane za granicą zarzuty, stwierdził w swoich pamiętnikach, że "patriotyzm Becka nie był skalany germanofilstwem". Pragnął on z najlepszą wolą i wiarą wzmocnić prestiż państwa polskiego, wykorzystać metody dyskryminacyjne narzucone Polsce w chwilach jej odradzania się, a więc i skąbości, zmusić do szanowania jej sprawiedliwie nabytych praw historycznych i rzeczowych, a zapomnianych w ciągu prawie półtora wieku niewoli i poddańców oraz zachować spokój i równowagę pomiędzy dwoma trudnymi i potężnymi sąsiadami.

Trzeba wreszcie - w imię obiektywizmu - powiedzieć, że krytyka działalności Becka jest łatwa, gdyż jak każda aktywna indywidualność popełniał on wiele pomyłek i błędów. Ale znalezienie innej, zasadniczo odmiennej alternatywy polityki polskiej jest - nawet dziś, po rozegraniu wielkiego dramatu wojennego - niezmiernie trudne. Dwie takie różne koncepcje kryły się wówczas w zakamarkach politycznych Polski. Jedna z nich głosiła chęć kapitulacji wobec sowietów, celem rzekomej



obrony Polski przed spodziewaną agresją hitlerowską; druga sugerowała zbratanie się z Hitlerem przeciwko zachłannej ekspansji komunizmu stalinowskiego. Obie te deprawacje polityczne Beck odrzucał zdecydowanie i kategorycznie. Wybrał drogę kamienistą, trudną, pełną jawnych i ukrytych niebezpieczeństw - ale prostą i polską.

Eugeniusz Kwiatkowski

Przypisy:

1. O tym fakcie wspomina również H. Roos, Polen u. Europa, Tübingen 1957.
2. P. Renouvin. Les Crises du XX<sup>e</sup> Siecle. Vol. II, str. 70 i in. Paris 1958.
3. Colonel Joseph Beck. Dernier Rapport. Neuchatel-Paris, str. 15.
4. Diariusz i teki J. Szembeka. T. II, str. 388-389, Londyn 1965.
5. J. Beck, op. cit., str. 175; porównaj też: A. Bregman - Najlepszy sojusznik Hitlera, str. 15-17. Londyn 1961.
6. Wyd.: Documents on Polish-Soviet Relations. Vol. I, str. 28, Londyn 1961.
7. K. Morawski. Wspólna droga. s. 66, Paryż 1962.
8. H. Roos. Polen u. Europa. Str. 296, Tübingen 1957.
9. Colonel Joseph Beck, op. cit., str. 97 i 145.
10. E. Raczyński. W sojusznicy Londynie. Str. 16-18. Londyn 1960.
11. J. Beck, op. cit., str. 153.
12. W. Witos. Moje wspomnienia. T. II, str. 250. Paryż 1964.
13. B. Stanisławska. Wielka i mała polityka J. Becka. Str. 112-113. Warszawa 1962.
14. Colonel Joseph Beck, op. cit., str. 173.
15. Na antenie 22-28 XII 1963, A. Ciżkosz - Polityka Becka.

x x x

#### OD REDAKCJI

Publikowany przez nas drugi szkic historyczny Eugeniusza Kwiatkowskiego, wybitnego męża stanu Polski Niepodległej /pierwszy - patrz nr 3 - poświęcony był Józefowi Piłsudskiemu/, przedstawia sylwetkę polityczną, a także psychologiczną, Józefa Becka, ministra spraw zagranicznych w ciągu ostatnich 7 lat II Rzeczypospolitej.

Józef Beck był tyleż wybitną, co kontrowersyjną postacią na scenie politycznej Polski międzywojennej. Jak wielu ówczesnych wybitnych polityków swój rodowód wywodził z Legionów, a pierwsze kroki w karierze politycznej na wielką skalę stawiał pod okiem Józefa Piłsudskiego, jako szef jego gabinetu w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Był Beck uczniem i pupilem Marszałka, który wyraźnie wyróżniał, a nawet faworyzował młodego oficera, ceniąc jego zalety umysłu, a niewątpliwie także bezgraniczną wierność i oddanie. Można powiedzieć, że Piłsudski wychował Becka na ministra spraw zagranicznych, natchnął go swoimi koncepcjami, a także zaszczerpił mu swoje uprzedzenia i fobie.

Gdy zabrakło wielkiego Marszałka, pułkownik Józef Beck - wówczas już od przeszło dwu lat szef resortu - stał się nieja-

ko automatycznie kontynuatorem jego dzieła, reprezentantem i strażnikiem interesu Polski na arenie międzynarodowej. W tej roli, dzięki osobistym talentom i sile charakteru, prędko wysforował się na II-III miejsce w państwie, które co prawda nie nominalnie, ale faktycznie zajmował *ex aequo* z Głównym Inspektorem Sił Zbrojnych, marszałkiem Rydzem-Smigłym, podobnie jak Beck, osobistym protegowanym Marszałka. O ile jednak wybór Rydza i wytypowanie go na swego następcę w wojsku poprzedziły liczne wahania i rozterki ze strony Marszałka, o tyle nic nie wiadomo, aby jakiegokolwiek wątpliwości budziła w nim osoba Becka. To Beck - przypomnijmy - był ostatnią osobistością ze świata polityki, którą Piłsudski wezwał do siebie, będąc już na łożu śmierci.

Oparcie, jakie czuł ze strony Piłsudskiego i czynione mu przez Marszałka wyraźne awanse, trafiły u Becka na podatny grunt cech charakterologicznych, takich jak wybujały egocentryzm, wyniesiona z wojska duma, nadmierna pewność siebie i skłonność do komenderowania, nietolerowanie cudzego odmiennego zdania oraz, raczej niemiecka, próżność. Rzecz ciekawa - te cechy, z wyjątkiem ostatniej, miał również jego wzór i nauczyciel - marszałek Józef Piłsudski. I zapewne pod jego wpływem uległy one u Becka rozwinieciu i pogłębieciu.

Nie ułatwiało to życia Beckowi, przysporzyło mu wielu wrogów i w niemałej mierze wpłynęło na dość rozpowszechniony krytyczny osąd jego polityki. Wskazuje na ten aspekt w swoim wnikliwym szkicu Eugeniusz Kwiatkowski, który jednak obiektywnie oddziela to, co stanowiło ludzką przywarę od tego, co może i powinno określać wielkość Becka jako postaci historycznej: osiągnięcia i niewątpliwe sukcesy, a z drugiej strony - błędy jego polityki. To trzeba sprawiedliwie i bez uprzedzeń wyważyć na szali, biorąc pod uwagę wszystkie złożone i dramatyczne uwarunkowania czasów, w których przyszło Beckowi kierować polską suwerenną polityką zagraniczną. Trzeba też koniecznie uwzględnić niewątpliwy handicap, jakim dla Becka był moralny i patriotyczny obowiązek kontynuowania polityki Marszałka. Kontynuowania pewnych sztywnych zasad w nowych, stale zmieniających się i pogarszających dla Polski warunkach międzynarodowych. To był ciężar chwilami ponad siły jednego człowieka. A przecież Beck miał ambicje samodzielnego kształtowania polskiej polityki zagranicznej, samotnego stawiania czoła wyzwaniu swych trudnych czasów.

Gdy to wszystko sobie uświadomimy, gdy uświadomimy sobie, jaką nikłą wartość praktyczną miały te wszystkie alianse Polski, o które Beck z takim uporem zabiegał, walcząc do ostatka o nienaruszalność naszych granic, ale nigdy za cenę honoru Polaków! - inaczej zapewne spojrzymy na tę wielką, a zarazem jakże tragiczną postać polskiego dramatu, który nadal trwa. I jakże przejmująco, jakże aktualnie zabrzmia nam w uszach słowa pułkownika Józefa Becka, który na pamiętnym majowym posiedzeniu sejmu w 1939 roku wołał schrypniętym głosem z trybuny, że Polska nie zna pojęcia pokoju za wszelką cenę, że granicą nieprzekraczalną dla ustępstw jest nasz honor.

Szkic Eugeniusza Kwiatkowskiego, interesujący w warstwie faktograficznej, ma również ten dodatkowy walor, że zwyczajnie po ludzku przybliżył nam postać Józefa Becka, człowieka uczciwie służącego swemu krajowi, człowieka, którego osobis-

ty los tak tragicznie splótkł się z losem Ojczyzny. Ta postać, niesłusznie i pochopnie osunięta w cień historii, zasługuje na szacunek i pamięć potomnych.

Redakcja

Jerzy Narbutt

#### PAMIĘCI JÓZEFA BECKA

Nie straszcie nas kulami -  
Polakom kule nie straszne;  
jak kiedyś szli na obce,  
tak w Grudniu poszli na własne.

Nie chępcie się łatwym zwycięstwem  
gdy jego podstawa jest krucha;  
kule - sięgając ciała -  
przecież nie sięgną ducha.

I tym się różni od innych  
plemion to polskie plemię,  
że chcąc pokoju - nie chce  
pokoju za wszelką cenę.

/"Strzelec", pismo OM KPN, nr 1/83/

# Moje rozmowy z ojcem

Należę do pokolenia Października 1956, mimo że me najcięższe przeżycia wiążą się z marcem 1968 r. Byłem w latach 1956-57 czynnym działaczem młodzieżowym, zakładałem na gruzach ZMP Rewolucyjny Związek Młodzieży /RZM/, zasiadałem we władzach niezależnego wtedy od władz partyjnych ZMS. Bardzo często popadałem w publiczne konflikty z moim ojcem, któremu po powrocie do Sekretariatu KC na VIII plenum KC PZPR w październiku 1956 r., podlegał odcinek młodzieżowy. Przysporzyłem ojcu swymi wystąpieniami wiele zgrzyot i kłopotów. Jedno moje przemówienie w Klubie Dyskusyjnym na UW, przedrukowane przez ZMS-owski biuletyn "Lewą Marsz", odbiło się echem nawet na Kremlu i ojciec do końca życia nie pozbył się uczuleń na moje wystąpienia publiczne. Moje stanowisko /często po młodzieżowemu skrajne i uproszczone/ budziło w nim sprzeciw i próbę wyjaśnienia mi, że życie jest zawsze bardziej złożone niż nasze schematy i nie daje się wpasować w monichejskie podziały na czarne i białe. W dyskusjach z nim, dotyczących przeważnie spraw bieżącej polityki, nie sposób było uniknąć i dziejów najnowszych. Czasem raziły go moje uproszczone oceny, czasem wykazywał zadziwiającą mnie lojalność wobec swych partyjnych przeciwników, broniąc ich dobrego imienia przed moim schematycznym szufladkowaniem. Tak w czasach, gdy rząd dusz sprawowało "Po prostu", bronił on w dyskusji ze mpa Wiktora Kłosiewicza - b. przewodniczącego CRZZ i swego stałego przeciwnika. Przypominał mi, że to właśnie W. Kłosiewicz domagał się na VIII Plenum KC PZPR, w lipcu 1956 r., podwyżki płac robotniczych o 30% /ja twierdziłem, że CRZZ miało w nosie robotniczą biedę/. Odnosiłem czasem wrażenie, że odruchowo na moje "a" mówi kategoryczne "b" i rzadko ustępowałem z pola. /łatwiej ulegałem później, po latach, gdy byłem już "bankrutem politycznym" i gdy oszczędzanie go uważałem za swój obowiązek/. W sporze jednak operował faktami i teraz, po latach już, "sine ira" wywlekam z pamięci opowiedziane mi epizody czy oceny wydarzeń i usiłuję utrwalić je dla szerszej publiczności.

x x x

Relację moją należałoby rozpocząć od opowiadania ojca, jak to wraz z Edwardem Ochabem, w lipcu 1944 r., wojskowym jeepem, samctrzed z kierowcą, przybyli do wyzwolonego już Lublina, wyprzedzając podążającą tam I Armia LWP. Miasto pełne było uzbrojonych AK-owców, bo wojska radzieckie pomaszerowały już na zachód, w pościgu za wycofującymi się Niemcami. Żołnierze od "Bora" patrzyli jak na raroga na dwóch oficerów od Berlinga, po czym grupka najciekawszych poszła w stronę do knajpy. I bez wódki nie kryliby swych poglądów, bo zupełnie - mimo świeżych przecieży doświadczeń Wilna i losów podkomendnych gen. "Wilka" - nie zdawali sobie sprawy z grozy swego położenia. Byli młodzi, pewni siebie, swej siły, pe-



zni ufnosci w przyszłość. Wypowiadali się lekceważąco o armii Berlinga, wytykali jej rolę jako narzędzia wrogiego mocarstwa. Nie zabrakło też sprawy dominacji żywoźców żydowskich oraz innych argumentów, znanych od lat jako dorobek ideowy reakcyjnego Ciemnogrodu. Dla ideowych bądź co bądź komunistów, stanowili ich rozmówcy zupełnie obcy im świat. Mnie przejmowała grozą myśl, że ci młodzi AK-owcy, przez tyle lat karmieni antysowiecką propagandą, wciąż jeszcze nie mieli nawet przeczucia nadsięgającej niebawem tragedii.

Ojciec do końca życia nie chciał uznać za błąd tego, co było grzechem pierworodnym PRL - narzucenia narodowi polskiemu przez Stalina rządów PPR. Zaiste, tragedią polskich komunistów było jałtańskie pochodzenie ich władzy - władzy z obcego nadania. Już w Polsce Niepodległej polityka Kominternu i Stalina powodowała wielokrotnie kurczenie się wpływów komunistycznych i tak już osłabionych zarządzonym przez Lenina - wbrew radom Marchlewskiego i Radka - marszem na Warszawę w 1920 r. I rozwiązanie przez Stalina KPP, i "nóż w plecy" 17 września 1939 roku, poprzedzony paktem Stalina z Hitlerem, i antypolskie represje NKWD na Kresach Wschodnich, i Katyń - wszystko to obciążało hipotekę PPR bez jej udziału. Objęcie władzy przez PPR obróciło się z czasem krzywdą dla samego komunizmu polskiego. PPR była partią kadrową, wychodzącą z głębokiego /po podwójnego/ podziemia, zbyt słabą liczebnie, by mogła sprostać chociażby zadaniu obsadzenia swoimi ludźmi wszystkich kluczowych stanowisk w aparacie władzy. Wchłaniała i wchłaniać musiała tysiące i dziesiątki tysięcy karierowiczów, przyszłych neocendeków, którzy po latach, w marcu 1968 r., zgotowali starym komunistom prawdziwy pogrom. Był to odwet Historii za gwałt dokonany na społeczeństwie.

Naturalny rozwój ideowy społeczeństwa uległ przerwaniu. Racja stanu "dyktatury proletariatu" nakazała zerwanie obcych ideowo wątków myślowych, snutych przez pokolenia Polaków, zabroniła publicznej ich artykulacji, ale oczywiście nie mogło to zapobiec ich trwaniu w utajeniu lub nocnych rodaków rozmowach. Myśl marksistowska, która miała być przemocą narzucona społeczeństwu, dzięki monopolowi propagandy partyjnej, sama stała się ofiarą tych praktyk. Najpierw odbijała się od świadomości szerokiej rzeszy społecznych niczym przysłowiowy groch od ściały. Dziś, kiedy jest wyrazem ideowym pewnych tylko nurtów w partii, przechowujących - wbrew nowym racjom stanu - stare przekazy ideowe, sama podlega tym samym restrykcjom.

Tak zresztą odczuwał sprawę ojciec, który już na początku lat sześćdziesiątych zaczął dostrzegać w kierowniczych warstwach PZPR kierunki ideowo obce, jego zdaniem, komunizmowi, zaś po Marcu 1968 r. często ujmował rzeczy tak, jakby uważał za komunistów tylko weteranów KPP, wiernych jej ideałom. Coraz częściej dostrzegał rozbrat pomiędzy komunizmem a polityką PZPR. Mówił więc ojcu, że w sumie lepszy interes zrobili komuniści Finlandii niż Polski i innych KDL. Nie przeżyli ani berliowszczyzny, ani innych skutków panowania racji stanu nad ideałami sprawiedliwości społecznej. No i - last but not least - istnieją jako kierunek ideowy, czego nie da się powiedzieć o komunistach polskich, którzy roztopili się w PZPR.

Ojciec bolał nad tymi zjawiskami, ale uważał, że partia nie miała wyboru. PPR - jego zdaniem - reprezentowała rację stanu Polski. Polski ponadustrojowej, bez przynajmniej. Przewidział

to jeszcze Alfred Lampe. Tylko PPR mogła zapewnić Polsce rekompensatę w postaci Ziemi Odzyskanych na zachodzie i północy kraju za utracone Kresy Wschodnie. Inne stronnictwa - nawet lewicowe, jak PPS-WRN i PSL - zbyt były pochłonięte pragnieniem niemożliwego, tj. utrzymania przy Polsce Lwowa i Wilna, by mogły dostrzec realia ówczesnego układu sił na świecie. Obóz londyński nie miał swego Benesa ani Paasikivi, toteż Stalin, by utrwalił swe zdobycze terytorialne z września 1939 r., musiał już w 1944 r. przekazać władzę w Polsce PPR.

Po latach przekonałem się, że i polskim komunistom nie łatwo było ulegać Stalinowi w tym względzie, chociaż jeszcze przed wojną głosili program oderwania Kresów Polskich od Polski. Ojciec już na emeryturze zateknął nagle do Lwowa, gdzie jako 16-letni chłopak pracował - po wydaleniu z gimnazjum - jako pomoc murarska na budowie jakiejś okazałej kamienicy. Wtedy mi się przyznał, że i dla nich, dla komunistów, nie były to łatwe decyzje. Ale - jak podkreślał - posiadali oni zdolność postrzegania realiów i walczyli o urzeczywistnienie cudu: o powrót Polski nad Odrę i Bałtyk.

Tu ciekawostka: opowiadał mi syn Ksawerego Fruszyńskiego, Olc, że to jego ojciec w Kujbyszewie /tj. Samarze nad Wołgą/ podsunął w 1942 r. przyszłemu przywódcowi ZPP program powrotu Polski na ziemię Piastów, jako koncepcję reorientacji z tradycji Jagiellonów na tradycję Bolesława Krzywoustego. A że komuniści polscy byli wtedy na etapie przemawiania antyniemieckiej frazeologii Obozu Narodowego, przejęli więc wraz z "Rotą" i tradycją Grunwaldu również program rewindykacji terytorialnych na Niemczech. Ziarno padło na podatny grunt.

Więc w 1944 r., gdy przyszło wyzwoleńcze krajów okupacji niemieckiej, ci programowi rewolucjonisci musieli podjąć się jedynej możliwej Realpolitik: wziąć władzę wbrew całemu narodowi i poszukać z nim jakiejś płaszczyzny porozumienia. Porozumienie atoli napotykało na trudności, bo wciąż przeszkadzała pamięć o obcych źródłach tej władzy, a nade wszystko ustawiczne błędy narzucanej przez Kreml polityki, lekceważącej realia krajowe. Toteż, przy każdej próbie dogadania się ze społeczeństwem, uczuciem dominującym była obawa, czy nie uszkodzi się niewnie "niełzja" z Moskwy.

Dyskusję z ojcem o "grzechu pierworodnym" PRL sprowokowałem kiedyś uwagą, że przejście do "demokracji ludowej" byłoby w Polsce znacznie łagodniejsze, gdyby PPR nie ujęła od razu steru rządów, lecz pozwoliła na bardziej strawną dla narodu formułę. Ojciec mi na to odparł, że w Rumunii dr Petru Groza utworzył rząd prokomunistyczny jeszcze wcześniej niż się stało w Polsce. Upierałem się jednak dalej, że wczerec węgierski, gdzie w 1945 r. wolne wybory przyniosły zwycięstwo partii "kiszgoda" /drobnych gospodarzy/, oznaczałyby w Polsce rządy PSL w koalicji z PPS-WRN. Zaoszczędziłoby to Polsce wojny domowej, umożliwiłoby powrót setek tysięcy żołnierzy z PSZ na Zachodzie i uchroniłoby dziesiątki tysięcy AK-owców, wywiezionych na zatracenie za krąg polarny lub do Karagandy. Ich kości bieleją teraz na olbrzymich przestrzeniach tundry i tajgi - od Murmańska aż do Koryzmy. A iluż mieszka tam nadal na osiedleniu i od lat wyczuje daremnie cudu, który wróciłby ich na ojczyznę kono? Kto ich /maszynopsis nieczytelny - przyp. red./ uratuje dla Polski?! /... - maszynopsis nieczytelny - przyp. red./.



Ojciec podkreślał zresztą całą bezsilność władz lubelskich wobec wojsk radzieckich, idących zwycięskim marszem przez Polskę i zabezpieczających sobie tyły według własnego rozważania politycznego, nie licząc się ze stanowiskiem KC PPR. Przytoczył przykład Wincentego Witosa, aresztowanego mimo podanego wieku przez NKWD i wyrwanego z rąk gen. Sierowa dzięki interwencji B. Bieruta u samego Stalina. Władze radzieckie były panem położenia, zaś władze polskie pozbawione były wobec nich wszelkich atutów.

Nawet już po Październiku 1956 r., kiedy władze polskie stawiały sprawę powrotu do Kraju Polaków wywiezionych niegdyś z terenu PRL lub z Kresów /?/ na wschód - "w miasta nie stol oddalonyje" - napotkały na twardej opór Moskwy. Chruszczow wręcz im powiedział: "Co wam po tych ludziach? Mają oni za swe krzywdy tyle żalu do władzy radzieckiej, że mielibyście w Polsce przez nich same kłopoty". Do głowy mu nie przyszło, że ich brak - to jeszcze większy kłopot dla władzy i ból dla każdego, kto czuje po polsku.

PPR przejęła władzę z rąk Stalina w warunkach bezwzględnej dominacji ZSRR na całym obszarze na wschód od Łaby. To były ramy określające pole manewru. Przez długi czas panowała w Polsce dwuwładza, gdyż każdy radziecki komendant wojskowy mógł działać, nie biorąc pod uwagę zbyt zawziętej dlań polityki PPR i PKWN. Umocnianie się nowej państwowości z PPR na czele było zarazem umacnianiem suwerenności tej władzy wobec pomniejszych urzędników radzieckich /przy stałej niekwestionowanej kuratelii odgórnej Stalina/. To też był istotny parametr, określający ówczesne położenie Polski. I przeciwnie, każde zachwianie się władzy komunistycznej w którymkolwiek KDL, powodowało natychmiastowy wzrost dominacji radzieckiej. Po prostu "towarzysze radzieccy" łatwiej cedują większy zakres władzy na danym terenie organom miejscowym, jeśli wszystko tu gra. Przy większych zakłóceniach przejmują ster w swoje ręce.

Ojciec podkreślał wyraźnie, że kierownictwo PPR było bardziej elastyczne i samodzielnie myślące, niż się powszechnie sądzi. Że wmiarę możliwości usiłowało prowadzić politykę liberalną jak na ówczesne warunki i /mające twardej żywot/ komunistyczne schematy myślowe. Że wobec AK-owców w lesie zastosowano kilkakrotnie amnestię i że wywózki na Kołymę - to nie był pomysł uzgodniony z PPR. Że byli tolerancyjni wobec Kościoła. Że w ogóle w pierwszych latach władzy ludowej przywódca PPR byli szczerymi zwolennikami poszukiwania nowych dróg do socjalizmu, bez kopiowania radzieckich wzorów, zwłaszcza w rolnictwie. Trwało tak aż do przełomu w roku 1948, zarządzanego przez A. Zdanowa na posiedzeniu Kominformu.

Odrzucał też ojciec, jako propagandowy fałsz, tezę, że to "berlingowcy" w kierownictwie PPR byli nosicielami polityki twardej ręki wobec AK. Wiele razy powtarzał, że to "marcowe" kłamstwa. Przychodzący z I Armii komuniści, nie znali położenia w Kraju, więc całkowicie zawierzali ocenom "krajowych" PPR-owców. Ojciec twierdził, że to właśnie okupacyjne porachunki między AI-owcami i AK-owcami w dużym stopniu przyczyniły się do jeszcze większego zaognienia stosunków. Ż. Dworakowski, z którym ojciec odnowił na emeryturze starą przyjaźń, zerwana przez Październik 56, godzinami opowiadał ojcu o działalności "Antyku" - antypepcerskiej komórki Delegatury. I ja w pierwszych latach PRL naczytałem się wiele wspomnień działa-

czy podziemnej PPR o stosowanych wobec nich przez Delegaturę, mało budujących metodach walki. Później, w wieku dojrzałym, od znajomych AK-owców usłyszałem wiele o odwrotnej stronie medalu. Kiedyś, pod wpływem uprzejmej, acz mało przyjemnej, wymiany zdań w moim miejscu pracy pomiędzy AK-owcem i AI-owcem, w której wypłynęła sprawa por. S. z warszawskiej AI, który AK-owców wydawał w ręce Gestapo, dałem wyraz swoim uczuciom w tej sprawie. Na to ojciec odpowiedział z goryczą, że wojna doprowadziła do okropnego zdzioczenia obywateli również wśród komunistów. Ozygniono rzeczy, które byłyby nie do pomyślenia w przedwojennej KPP.

Nie wiem, jak było w KPP, ale o zdzioczeniu świadczą nie tylko porachunki pomiędzy PPR a obozem londyńskim, ale i sposoby rozwiązywania konfliktów pomiędzy szamymi komunistami. Jako przykład mogą służyć dwie głośne "dintojry" PPR-owskie - zamordowanie Marceliego Nowotki oraz zamordowanie braci Mołojców w związku z tą sprawą, a ponadto zamordowanie przez bojówkę PPR-owska d. przywódcy KPP /członka ostatniego kierownictwa krajowego/ - Leona Lipskiego /"Łukasza"/.

Słuchałem kiedyś przez radio rewelacji o gen. M. Moczarsze, opowiadanych przed mikrofonami RWE, przez dawnego politruka z jego oddziału, Korneckiego. M.in. opowiadał on o zastrzeleniu młodej Żydówki przez oficera ze sztabu Moczara, gdy ta znużdzika mu się jako kochanka. Ojciec, który również służył tej audycji, powiedział mi, że tu nie chodziło o antysemityzm /jak dowodził Kornecki/, lecz o kompletne zdzioczenie. W czasie wojny dla wielu o słabszych podstawach moralnych, życie ludzkie straciło wszelką wartość, więc najlepiej było pozbyć się kochanki przy pomocy kuli rewolwerowej. /A swoją drogą działo to się nie w dżungli, lecz w oddziale partyzanckim. Gdzie indziej byłby za to sąd polowy!/  
O Moczarsze opowiadał ojciec przy innej sposobności, jak to kierownictwo PPR było zmuszone prowadzić dochodzenie partyjne w sprawie zamordowania pewnego działacza PPS w czasie przesłuchania w łódzkim WUBP. Wobec energicznych protestów władz centralnych PPS, kierownictwo PPR musiało wejść w tę sprawę. M. Moczars, który stał na czele łódzkiego WUBP, tłumaczył się, że zamordowany był krypto-WRN-owcem i podczas przesłuchania dał wyraz swej nienawiści do władzy ludowej. Przesłuchujący go funkcjonariusz UB nie wytrzymał /... - maszynopis nieczytelny - przyp. red./ Hilary Mino, mówiąc do ojca o Moczarsze, zwykł był mawiać "Mietek z wieszakiem".

H. Minc, podobnie jak ojciec, patrzył z góry na agentów NKWD, zwerbowanych w trudnych dla polskich komunistów latach 1939-1941. Ojciec opowiadał mi o innej rozmowie z H. Mincem, w której obydwaj z satyfacją stwierdzali, że musiało w ich postawie być coś niemilego dla NKWD, bo nigdy nie usiłowano żadnego z nich zwerbować.

Miał też ojciec w głowie całą kartotekę zwerbowanych przez NKWD polskich komunistów. O jednym ze swych przyjaciół sprzed wojny, z KZMP - W.H. - powiedział, po wysłuchaniu mej pochlebnej o nim opowieści: "Tak, to był dobry komunist, ale cóż, kiedy dał się zwerbować...". W pierwszej chwili nawet nie zrozumiałem, co ma piernik do wiatraka.

Opowiadał przy innej sposobności, jak jeszcze przed wojną - w KZMP czy w KPP - pędził precz kogoś, kto przyznał się do współpracy z wywiadem ZSRR. Nie chodziło tylko o względy



konspiracyjne. Mógł szanować Richarda Sorgego, czy pochodzącego z Polski szefa "Czerwonej Orkiestry" Leopolda Treppera, ale to było coś zupełnie innego. Oni szpiegowali Hitlera, a nie swoich. Agencji NKWD, pracujący w polskiej partii, musieli mieć podwójną lojalność i w układach konfliktowych nie wiadomo było, czy można było na nich liczyć. Znane były zresztą przypadki intryg i wręcz donosów do "centrali" na Kremlu na polską partię i jej przywódców. Za taki donos trzeba było odwozać z wojska gen. Z. Berlinga. /Jeśli dobrze pamiętam relację ojca, to jednym z zauszników gen. Berlinga w tym przedsięwzięciu był dawny działacz ZPP oraz socjalista, dr Bolesław Drobner. Odwołanie nastąpiło już po desancie na Czerniakowie i do tej pory wieść gminna niekaskę gen. Berlinga wiąże z próbą pomocy walczącej Warszawie, kreuując zeń męczennika za sprawę narodową/.

Pogardę dla agentów NKWD zaczął ojciec z jakąś jakby podświadomą niechęcią do funkcji policyjnych, dziwna wręcz u wyznawcy "rewolucyjnej dyktatury proletariatu". Opowiadał mi, że w 1945 r. zwrócił się do niego poprzez wspólnych znajomych, przebywający jeszcze w tym czasie w kraju Zygmunt Zaremba z propozycją legalizacji PPS-WRN. Ojciec, w imieniu Kierownictwa PPR, udzielił oczywiście odpowiedzi odmownej. I dodał natychmiast, jak gdyby w obawie, że tak istotny szczegół ujdzie mojej uwadze, że ani w głowie mu było wydanie polecenia, by przez inwigilację pośredników wysledzić Zygmunta Zarembę. Niechęć do policji, w tym i "czerwonej" policji, zaczął zarazem z kultem dla Feliksa Dzierżyńskiego. Poczuł się urażony, gdy już po jego dymisji z Biura Politycznego w 1963 r., pozwoliłem sobie zakpić z "żelaznego Feliksa". Z wycieczki do Moskwy nadeszła widokówkę przedstawiającą Kubiankę z pomnikiem Dzierżyńskiego pośrodku placu. Pomnik druta Wanizora (??) jest nawet artystycznie udany. Ale ja potraktowałem sprawę jako powód do żartów, czym niezmiernie dotknąłem ojca. Ojciec często zresztą powtarzał, że Dzierżyński stał się ofiarą praktyk swych następców, że był człowiekiem innego zupełnie formatu ideowego i moralnego, niż Jągoda, Jeżow czy Beria. Już po moim wyjściu z więzienia w 1969 r., które to więzienie jeszcze bardziej naważyło moje emocjonalne związki z bolszewizmem, wskazywał mi ojciec odpowiedni ustęp z wydanych na Zachodzie wspomnień Iwanowa "Razumnika", który opisywał sianiającego się ze zmeżenia Dzierżyńskiego, dokonującego nocnego obchodu więzień w Moskwie w ramach zbierania skarg i zażaleń. Działo to się w 1918 r., w czasie wojny domowej, gdy terror bolszewicki sięgał szczytu. "Razumnik" opisywał, jak ostro wsiadł na Dzierżyńskiego za bezpodstawne aresztowanie pisarza rosyjskiego, tamten zanotował coś w notesie i Iwanowa po kilku dniach wypuszczono na wolność. Ojciec najwyraźniej był przywiązany do swych ideałów młodości, do bohaterów rewolucji bolszewickiej i do jej pierwotnych haseł wyzwolenia klasy robotniczej. Wspominał często Rosję lat dwudziestych, która jawiła się w jego opowieści jako kraj żyjący w warunkach autentycznej wolności dla człowieka z ulicy: bez paszportów, bez "propiski" /obowiązku meldowania się przy zmianie miejsca zamieszkania/ i bez przypisania chłopów do ziemi - bez tego wszystkiego, co na wzór carskich czasów zaprowadził w latach trzydziestych Stalin i co dziś wydaje się nieodłącznym atrybutem życia sowieckiego.

Dyktaturę Stalina traktował jako gwałt nad bolszewizmem, który Stalin zniszczył niczym Napoleon resztki jakobinów.

/Pierwsze uwagi krytyczne o rządach Stalina usłyszałem od niego grubo przed XX zjazdem KPZR i broniłem Stalina z zapałem młodzieńca/. Po załamaniu się reform popaździernikowych wyglądał wciąż na świecie oznak odrodzenia się antystalinowskiego ruchu komunistycznego. Wiązał swe nadzieje z odrodzeniem komunizmu w Europie, w warunkach wolności i demokracji parlamentarnej. Pasjonował się wypowiedziami komunistów włoskich i hiszpańskich, brytyjskich i skandynewskich, interesował się sprzecznymi prądami w partii francuskiej, wiązał nadzieje ze swymi starymi przyjaciółmi ze studiów w Moskwie i pracy w Międzynarodówce Młodzieży.

Opowiadał mi, że po lutym 1948 r. spodziewał się wielkich zmian, jakie miał przynieść eksperyment czechosłowacki. KPCz była - jego zdaniem - partią autentycznie wpływową, wychowaną w tradycji demokracji parlamentarnej, więc powinna była wytyczyć nowe drogi rozwoju demokracji socjalistycznej. Klement Gottwald sprawił mu gorzki zawód. Nadzieje na wytyczenie nowych dróg przez czeskich komunistów odrodziły się w nim w styczniu 1968 r. Bardzo cenił "Program działania" uchwalony przez KC KPCz na plenum kwietniowym 1968 r., natomiast nie szczędził uwag krytycznych na temat nieodpowiedzialności prasy czechosłowackiej ze szczególnym uwzględnieniem /... - maszynopis nieczytelny - przyp. red./.

Niestety, całą wiosną praską, i nie tylko wiosną, prześledziłem wtedy na Mokotowie i nie zapamiętałem zbyt wiele jego wniosków z rozbioru przykładu czechosłowackiego.

Utrwały mi się natomiast w pamięci uwagi o wypadkach węgierskich 1956 r. Mieszkałem wtedy, po powrocie ze studiów uniwersyteckich w Moskwie, u rodziców i ojciec, nawet mając na uwadze moje niezbyt prawowierne poglądy, dość często dawał wyraz swym przemyśleniom na ten temat. Ojciec spędził lato 1956 r. nad Balatonem i przy tej sposobności widział się z Ernő Gerő, którego znał sprzed wojny, z Moskwy, z przedstawicielstwa w Międzynarodówce Młodzieży. Opowiadał, że według ocen ówczesnego kierownictwa WPP, położenie na Węgrzech, po usunięciu Rakosiego, było wymienite. Opowiadał to z wyraźną ironią. O uroczystym pogrzebie Iaszko Rajka i jego towarzyszy ze sprawy, zorganizowanym na jesieni 1956 r., ojciec mówił, że Ernő Gerő sam w ten sposób apelował do narodu: "Precz z nami, winowajcami tej zbrodni!".

O Imre Nagy'u, a raczej o jego polityce już po powrocie do steru rządu na fali powstania narodowego, na przełomie października i listopada 1956 r., mówił ojciec zrazu z dużą sympatią, a później z coraz większym krytycyzmem. Imre Nagy, jego zdaniem, zgubił się w wirze wydarzeń, zaś formując rząd koalicyjny, w którym komuniści nie mieli już większości, podpisał wyrok na siebie i na kraj. Powinien był - zdaniem ojca - utrzymać przewagę komunistyczną w rządzie i zarazem tłumaczyć narodowi, że tylko antystalinowscy komuniści stanowią rękojmię polubownego ułożenia się z ZSRR. Tak stało się w Polsce i stanowiło to wzór dla Węgrów do naśladowania.

Ojciec opowiadał o spotkaniu w Belwederze 19 października 1956 r., kiedy zabierając głos jako rzecznik nowego, październikowego kierownictwa PZPR i odpierając zarzut Chruszczowa, że ustawa się z władz partyjnych wypróbowanych przyjaciół ZSRR, odparł z dumą: "My tu wszyscy jesteśmy wypróbowanymi przyjaciółmi Związku Rad".



Po drugiej interwencji radzieckiej na Węgrzech miał ojciec mieszane uczucia, bo z jednej strony mówił z satysfakcją, że Kreml nareszcie docenił nowe kierownictwo PZPR, które zwiastowało na Węgrzech miało wtedy wielki autorytet. Z drugiej jednak strony wyrażał obawy, że po interwencji radzieckiej przez wiele dziesięcioleci nie będzie na Węgrzech mowy o żadnym socjalizmie, tak komunizm został obrzydzoły wśród społeczeństwa. Janos Kadar sprawił mu w tym względzie przyjemną niespodziankę, odrabiając po 10 latach w pewnym stopniu teren. Oczywiście, sukces Kadara był w głównej mierze skutkiem sromotnych niepowodzeń Gomułki, który rozpoczynał w 1956 r. w nieporównywalnych do Kadara warunkach, a w 1968 r., czy 1970, przegrywał z nim pod względem popularności czy też /... - masywność nieczytelny - przyp. red./ u ludzi.

Na wiosnę 1958 r. ojciec, po ciężkiej operacji, został wysłany na rekonwalescencję na Krym i zabrał mnie dla towarzystwa. Podczas przechadzki w okolicy Jałty spotkał się w miejskim ogrodzie Ernő Gerő, ale ojciec w porę go zauważył i salwowaliśmy się przed bezpośrednim spotkaniem ucieczką. Edward Ochab, który za namową ojca ustąpił w październiku 1956 r. swe stanowisko i sekretarza KC "Wiesławowi", uratował Polskę przed losem Węgier, a zarazem siebie przed losem E. Gerő.

Październik 1956 - to był szczytowy triumf w życiu ojca. Wielokrotnie wracał do tamtych dni w swych opowieściach, tym bardziej, że zawsze miał we mnie wdzięcznego słuchacza. Czerwoną nicią przez dzieje wydarzeń roku 1956 przechodzi walka stronnictw w łonie aktywnego kierowniczego partii: nurtu odnowy i nurtu zachowawczego. O "Natolinie" i jego genezie mówił mi ojciec wielokrotnie rzeczy zupełnie odbiegające od stereotypów, ukształtowanych przez "Po prostu", a tym bardziej od ocen rozprawy Witolda Jedlickiego "Chamy i Żydy". O broszurze Jedlickiego wręcz mówił, że powieła policyjne, moczarskie wersje i oceny wydarzeń, godzące w nurt reformatorski i tak już słabną w na początku 1962 r., tj. w chwili wydania rozprawy W. Jedlickiego. Pala społecznego wzburzenia opadała, pozbawiając oparcia reformatorów partyjnych, zagrożonych przeciwnymarciem stalinowskiej konserwy spod znaku dawnego "Natolina". W takich okolicznościach rozprawa W. Jedlickiego napędzała wodę na młyn gen. Moczara.

Ale niezależnie od tych ocen, ojciec wielokrotnie opowiadał mi dzieje walk frakcyjnych w PZPR w 1956 r. Według ojca, frakcja "natolińska" grupowała działaczy partyjnych z wysokiego szczebla administracji państwowej /ministrów i wicepremierów/, zbierających się w niedziele i święta w pałacyku URM w Natolinie. Członkowie BP KC PZPR mieli wtedy swoje mieszkania w Konstancinie, tak że w Natolinie zbierała się elita II stopnia wtajemniczenia.

Byli oni krytyczni wobec polityki kierownictwa partyjnego z B. Bierutem na czele i podzielali oceny podsuwane im w rozmowach przez pracowników Ambasady ZSRR, wyrażające nastawienie Kremla na stopniowe i ostrożne reformowanie spuścizny po zmarłym Stalinie. Była to zatem swoista grupa nacisku na "Tomasa" zorganizowana przez Kreml. Nie pierwsza i nie ostatnia próba uprawiania zabronionej przez statut partyjny działalności frakcyjnej pod parasolem ochronnym towarzyszy radzieckich.

Takie grupy nacisku sowieci organizowali w wielu partiach komunistycznych, kiedy byli niezadowoleni z polityki ich kie-

rownictwa. W 1948 r. Tito musiał wsadzić do więzienia A. Hebranga i S. Zujowicia za taką właśnie działalność, w Chinach afera partyjnego wielkorządcy Mandżurii, tow. Cao Cana, za życia Stalina zakończyła się /... - maszynopis nieczytelny - przyp. red./ i partyjnym potępieniem Cao Cana. Później, w latach sześćdziesiątych, N. Ceaucescu w Rumunii i Fidel Castro na Kubie uwieźlili przywódców frakcji promoskiewskiej, prowadzących krecią robotę przeciwko kierownictwu partyjnemu.

"Natolińczycy" w pierwszym okresie swej działalności odgrywali - zdaniem ojca - pozytywną nawet rolę, gdyż naciskali na konserwatywne kierownictwo PZPR w kierunku niezbędnych zmian. Do pierwszego starcia ojca z "Natolinem" doszło na VI plenum KC w marcu 1956 r., po śmierci B. Bieruta w szpitalu kremleńskim. Roman Zambrowski miał już wtedy opinię najradkalniejszego w całym BP zwolennika odnowy. /Pamiętam uczucie grozy, z jakim powitałem jeszcze w Domu Studenta w Moskwie rewelacje na ten temat, przekazywane mi przez mego kolegę ze studiów, Andrzeja Żołątkowskiego, który wrócił właśnie z Warszawy i był postawą mego ojca wielce zbudowany/. Toteż gdy na VI plenum KC wysunięto wniosek o powrocie R. Zambrowskiego do Sekretariatu KC, skąd został wyprowadzony w marcu 1954 roku pod naciskiem Chruszczowa, na I plenum KC wybranego na II Zjeździe, ówczesny przewodniczący CRZZ Wiktor Kłosiewicz zgłosił swój kategoriyczny sprzeciw. Ojciec wyjaśniał spór tym, że jego obecność w Sekretariacie KC zbyt wzmocniłaby pozycję E. Ochaba na stanowisku I sekretarza KC, bo ojciec uchodził za człowieka wyjątkowo twardego. Do sporu wtoczył się Chruszczow, który przesądził sprawę. Chruszczow tłumaczył obłudnie, iż tow. Zambrowski jako członek Politbiura i tak zasiada w najwyższym kierownictwie partyjnym, więc sprzeciw przeciwko jego wejściu do Sekretariatu KC nie jest bynajmniej podważaniem jego pozycji w partii, ani podważaniem zasług. /Fama przekreśliła ten incydent i uczyniła z ojca niefortunnego kandydata na stanowisko I sekretarza KC, co oczywiście jest zwykłym nieporozumieniem/.

Okres pomiędzy VI a VII plenum KC był w Polsce okresem odwilży znacznie przekraczającej granice cierpliwości towarzyszy radzieckich. Zwłaszcza wypowiedzi na łamach polskiej prasy budziły w nich coraz większe zastrzeżenia. Toteż towarzysze z Natolina zaczęli coraz bardziej nawoływać do umiarkowania. Tak na VII plenum KC - tuż po wypadkach poznańskich - doszło do sojuszu pomiędzy konserwatywną większością w Biurze Politycznym a natolińską "frondą". Konserwatyści mieli przewagę w BP, natomiast "liberałowie" - przewagę na plenum KC, którą wykorzystano dla wprowadzenia do składu BP umiarkowanych przeciwników "Natolina" - Edwarda Gierka i Romana Nowaka. W ten sposób zrównoważono przewagę "stalinowców" w Biurze Politycznym.

Na VII plenum przedstawiciel "Natolina", Bolesław Rumiński, zażądał powrotu "Wiesława" do władz partyjnych, co "liberałowie" przyjęli niezwykle wrogo. Wielu z nich wykazywało, że "Wiesław" to autokrata, nie umiejący pracować kolegiąlnie. Przy sposobności chcieli zaszkodzić "Natolińczykom" w Moskwie /padły zarzuty o odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznym/. B. Rumiński po wydarzeniach /... maszynopis nieczytelny - przyp. red./ /Gdy po kilku miesiącach, w październiku 1956 roku, "liberałowie" wynieśli Gomułkę do władzy, zarówno "Wiesław", jak i "puławianie" byli zainteresowani w ukryciu



przed opinią publiczną treści dyskusji na VII plenum KC. Jedynie "natolińczycy" domagali się, w imię "jawności życia politycznego", wydrukowania stenogramu VII plenum KC. Najgłośniej domagał się tego W. Kłosiewicz, zastąpiony na stanowisku przewodniczącego CRZZ przez L. Łogę-Sowińskiego, bo on na VII plenum domagał się rehabilitacji Gomułki oraz 30% podwyżki płac pracowniczych./

Jednocześnie "natolińczycy" domagali się rozliczeń za nadużycia władzy w bezpieczeństwie, ze szczególnym uwzględnieniem roli "towarzyszy żydowskich" w aparacie MBP. Wynikało to zresztą z wytycznych z Moskwy, gdzie nie rozumiano się na tych subtelnościach, jak polonizacja inteligencji pochodzenia żydowskiego, wskutek czego wielu ludzi /na Kremlu zaszufladkowanych jako żydowska mniejszość narodowa/ czuło się Polakami i aluzje o żydowskim rodowodzie przyjmowało jako zwykły rasizm rodem z Norymbergi. Problem odpowiedzialności za zbrodnie stalinowskie miał swój dodatkowy wymiar polsko-radziecki i wiązał się ze sprawą suwerenności partii i państwa. Był to problem roli doradców radzieckich, zwłaszcza doradców w MBP i Głównym Zarządzie Informacji MON. "Żydzi", w zastępstwie radzieckich doradców - to było jedynie słuszne rozwiązanie "Natolina". w sprawie odpowiedzialności za okres "błędów i wypaczeń".

Ponieważ "natolińczycy" mieli również zastrzeżenia doktrynalne przeciwko programowi bardziej gruntownej demokratyzacji życia społecznego, uchwalnemu na VII plenum KC głosami "liberalnej" większości, wyglądało, że mają oni program /... - maszynopis nieczytelny - przyp. red./ aparatu władzy przy zachowaniu, bez zmian, podstawowych zasad gry, wprowadzonych za czasów Stalina. Dla uspokojenia opinii publicznej i załóg robotniczych daliby podwyżki płac, zaś poczucie sprawiedliwości /czy też chęć zemsty/ zaspokoili by wybrane odpowiednio kozły ofiarne pochodzenia żydowskiego. Potrzebny był jeszcze popularny przywódca, o czystych rękach, który by ten program rozpropagował jako program "przemian". Później twardą ręką zaprowadzono by porządek.

Ojciec wprost tego nie mówił, ale sam się domyślał, że obawiał się rozwiązania, w którym "Wiesław" opowiedziałby się za takim ruchem "rewindykacji", urzeczywistniającym program "Natolina". Gdy jednak po osobistym spotkaniu z "Wiesławem", u niego w domu na Saskiej Kępie, stwierdził, że poglądy na "Wiesław" nie "natolińskie", lecz wręcz "poprościackie", wysunął koncepcję przeciągnięcia "Wiesława" do obozu reform. Mówił mi, że to nie była prosta sprawa udać się do urzędującego I sekretarza KC z wnioskiem, by ustąpił swe stanowisko swemu wieloletniemu adwersarzowi. Na szczęście E. Ochab nie upierał się przy swym stanowisku i tak doszło do zmian październikowych.

Przed VIII plenum KC Biuro Polityczne podało się całe do dymisji, by dać "Wiesławowi" możliwość dobrania sobie współpracowników. Zagrożeni odejściem "na grzyby" stalinowcy zaalarmowali Moskwę i do Warszawy w dniu otwarcia plenum KC przyleciał TU-104 z 4 przedstawicielami Prezydium KC KPZR z Chruszczowem na czele. Jednocześnie wojska radzieckie rozpoczęły "ćwiczenia", podobne ruchy podjęły jednostki LWP, podlegające rozkazom zagrożonego usunięciem z władz partyjnych "marszałka dwóch narodów" Konstantego Rokossowskiego. W Warszawie krążyły pogłoski o listach proskrypcyjnych działaczy

partyjnych, przewidzianych do aresztowania przez stalinowców, w razie powstania puczu. Na uczelniach odbywały się wiece studentów, to samo w tych licznych zakładach przemysłowych, gdzie na czele organizacji partyjnych stali czynni zwolennicy przemian, jak Lechosław Goździk z PZO.

W tej scenarii odbywały się rozmowy ustępującego BP z Ochabem na czele oraz Gomułki z przywódcami radzieckimi. Pytałem ojca, czy Rosjanie byli przeciw kandydaturze Gomułki. Ojciec odparł, że nie. Że chodziło raczej o odejście takich "wypróbowanych" przyjaciel ZSRR", jak Zenon Nowak, no i o Rokossowskiego. Natomiast z lektury dziennika ówczesnego ambasadora Jugosławii w Moskwie, Vekjka Miciunowicia, jak i z ważnej lektury dziennika ojca, można wywnioskować, że Rosjanie byli bardzo zaniepokojeni zmianami w Warszawie.

W Budapeszcie w lecie 1956 r., po wielu wahaniach, usunięto M. Rakosiego, zastępując go E. Gerő. Stało się to w obecności Anastasa Mikojana, zapewne z jego inicjatywy. Tu zmiany odbywały się bez uzgodnienia, w dodatku w grę wchodził człowiek do niedawna usunięty z partii i uwięziony, oskarżony o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne. Prawdopodobnie dopiero bezpośrednie zetknięcie się z "Wiesławem" przekonało Rosjan, że mają do czynienia z komunistą z prawdziwego zdarzenia i to władającego swobodnie rosyjskim.

W ogóle ekipa październikowa była pod tym względem wyjątkowo udana, bo umiała, dzięki wieloletniemu doświadczeniu, rozmawiać z Rosjanami w sposób twardy, a zarazem przyjazny. Jest to język najlepiej przemawiający do nich, bo nie lubią oni traktowania z góry, a gardzą pieszczotami się i podlizującymi. Grozę położenia w całej pełni /bo i w dniach październikowych 56 odczuwaliśmy powagę położenia/ zrozumieliśmy jednak dopiero po wkróceniu czołgów radzieckich do Budapesztu. Niewiele brakowało, a mielibyśmy takie same jatki w Warszawie i to zaledwie w dwanaście lat po upadku powstania. /Zresztą Budapeszt też przeżył ciężkie obłężenie i walki uliczne na wiosnę 1945 r./. Na szczęście spotkanie w Belwedrze przebiegało w atmosferze partyjnej wymiany zdań i tak zostało zaszufladkowane przez towarzyszy radzieckich. Ale ja do tej pory nie mogę powstrzymać się od myśli, że niewiele brakowało a podzieliłbym los rodziny Imre Nagy a i Pala Maletera. /Albo - co gorsza - los rodziny Hafizullacha Amina - czerwonego prezydenta Afganistanu, zamordowanej wraz z nim przez spadochroniarzy radzieckich podczas walk o pałac prezydencki/.

Widać ojciec miał podobne odczucia, bo śledził już po śmierci Imre Nagy i Pala Maletera dzieje ich sprawy. Po amnestii na Węgrzech w 1963 r., utargowanej na Chruszczowie przez Johna Kennedy'ego, opowiadał ojciec treść jakichś przecieków na temat procesu Imre Nagy i towarzyszy. Według jednej z tych wersji, Imre Nagy, Pal Maleter i Geza Losonczy mieli zginąć z rąk KGB gen Sierowa jeszcze w Rumunii i ich miejsce na ławie oskarżonych miało świadczyć pustkami. Było to zapewne przekłamanie sprawy Gezy Losonczego, istotnie zamordowanego w więzieniu w Budapeszcie przed rozprawą sądową Imre Nagy i towarzyszy oraz sprawy Jossafa Szilagyi, skazanego na śmierć na podstawie tzw. "kiblowego" wyroku sądu, również przed tą rozprawą. Ojciec potępiał te represje jako zupełnie niepotrzebne i tylko pogarszające i tak trudne po-



Rożenie Kádára. Rosjanie uczyniliby lepiej, gdyby dali wolną rękę miejscowym komunistom węgierskim, mającym lepsze rozeznanie tego, co można, a czego nie można czynić w ich kraju. Bo co do tego, że rzecz całą wyreżyserowali Rosjanie /może generał Sierow, a może Jurij Andropow?/ i że Kádár nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia, nie miał ojciec żadnych wątpliwości. Te układy, kiedy kierownictwo partyjne musiało firmować moskiewską reżyserię, ojciec znał z własnego doświadczenia, z okresu stalinowskiego w Polsce. Ojciec był ideowym komunistą, tj. ideowym zwolennikiem przyjaźni z Krajem Rad, ale uważał, że dla swego własnego dobra Rosjanie powinni szanować swych sąsiadów i nie ingerować po próżnicy na własną oraz miejscowych komunistów zgubę.

Sierpień 1979 - sierpień 1981

Antoni Zambrowski

X X X

Jerzy Zamróz

### ROZMOWY Z CIENIEM

Gdy redaktorowi "Mostu" wpadł do ręki, dość zresztą nieczytelny, egzemplarz tekstu "Moje rozmowy z ojcem" Antoniego Zambrowskiego, przyniósł mi on ten egzemplarz z propozycją, abym opatrzył tekst krytycznym komentarzem. Będzie to jak ułał do naszego pisma - stwierdził. - Może spełnić ważną rolę w edukacji młodych czytelników w dziedzinie historii najnowszej - argumentował. Tym bardziej, że jest to dokument dość niezwykły. Zderzają się w nim bowiem dwie racje i postawy. Jedna to relacja - z drugiej ręki co prawda - o działaniach i niektórych przemysłeniach jednego z czołowych kadrowców KPP, Związku Patriotów Polskich w ZSRR w czasie wojny, a potem jednego z czołowych eksponentów nowej władzy w kraju - Romana Zambrowskiego. Druga zaś - to spojrzenie na te sprawy jego syna, Antoniego, młodego "gniewnego", komandosa z Uniwersytetu Warszawskiego, człowieka mającego duże zasługi w tworzeniu rzeczywistej opozycji politycznej w Polsce w okresie popaździernikowym.

Kiedy przeczytałem uważnie "Moje rozmowy z ojcem" po raz drugi - bo już kiedyś wpadły mi w ręce - ogarnęły mnie poważne wątpliwości, czy jest to w ogóle tekst dla naszego pisma. Po pierwsze dlatego, że jest to relacja nieobiektywna. O działalności R. Zambrowskiego i ewolucji jego poglądów pisze syn, który jest swoim ojcem niewątpliwie zafascynowany i nawet będąc "rewolucjonistą", nie potrafi spojrzeć na fakty z należyтым dystansem i obiektywizmem. Mamy więc do czynienia z podwójnym "wybielaniem" określonej postaci. Po drugie - wielkie jest w tym kilkunastostronicowym tekście "materii pomieszanie". Subiektywne oceny Romana Zambrowskiego jeszcze bardziej gmatwa subiektywne pojmowanie zjawisk historycznych przez Antoniego oraz wręcz zadziwiająco fałszywe oceny - jak na zaangażowanego październikowca. Po trzecie - może relacja

ta wniosłaby wiele nowego do naszej wiedzy o działaniach "właścicieli Polski Ludowej" w momencie kiedy została napisana /sierpień 79 - sierpień 81/, ale po ukazaniu się zbioru rozmów Teresy Torzańskiej z byłymi prominentami pt. "Oni" - stała się zaledwie dodatkowym przyczynkiem.

Ale ponieważ redakcja "Mostu" nie odstąpiła od zamiaru publikowania tekstu A. Zambrowskiego - wychodząc z założenia, że może być dla czytelnika ciekawy ze względu na swą treść oraz formę - trzeba opatrzyć go chociażby kilkoma merytorycznymi uwagami. Podkreślam k i l k o m a tylko, bo chodzi wyłącznie o pomoc czytelnikowi we właściwym odczuciu tekstu. Bowiem prostowanie wszystkich zawartych w nim uproszczeń i zafałszowań wymagałoby polemiki obszerniejszej od prezentowanego materiału.

X X X

Ta część relacji Antoniego, która dotyczy przybycia jego ojca z ZSRR do kraju w lipcu 1944 r., mówi o okresie, co do którego oceny są znane, jasne i niedwuznaczne. Polska, nie tylko w wyniku działań Armii Czerwonej, ale i uprzednio prowadzonej cynicznej gry Stalina z aliantami, znalazła się bez reszty na łasce i niełasce Rosji. Jej wolę wypełniali w kraju sowieccy namiestnicy, uprawnoczeni przez WKP/b/, czy też - bardziej bezpośrednio - przez NKWD. Wszelkie działania mające na celu zmianę tego stanu rzeczy, podejmowane przez ludzi kierujących się polską racją stanu, były z góry skazane na niepowodzenie, zaś gra polityczna prowadzona przez sowieckich namiestników była tylko i niezmiennie grą pozorów.

Bez emocji, a nawet z pozycji zaangażowanego człowieka lewicy, określił to Władysław Bieńkowski, pisząc między innymi, iż paradoksem, jakich nie szczędzi ludzkości historia, było to, że rewolucja ustrojowa po II wojnie przyszła do Polski w szacie skrojonej dla całkiem innej postaci - wielkiego imperium o diametralnie przeciwnych tradycjach, wykształconych przez despotyzm bliski wschodnim wzorom. Nie chodzi tu o krytykę radzieckiego modelu socjalizmu. W tamtych obiektywnych warunkach inny być nie mógł - jako że ludziom zdaje się tylko, iż mogą unieważniać rzeczywistość, przeskakiwać ją, dowolnie nadawać jej kształt... Ten właśnie model socjalizmu nie mógł nie zderzyć się w Polsce z tradycją ukształtowaną w całkiem odmiennym nurcie rozwojowym.

Spółczesność - konstatuje Bieńkowski - po tragicznych doświadczeniach wojny i okupacji z ogromną energią i entuzjazmem przystąpiło do dźwignia z ruin i zgłiszcz odrodzonej ojczyzny. I niestety jednoczyło się w tym dziele, zresztą wbrew polityce nowej władzy. Ta bowiem nie miała nic lepszego do zrobienia jak od razu, w pierwszych momentach, odepchnięcie i potępienie przynajmniej 80 procent tego narodu za to, że w okupacyjnej nocy za naturalny symbol istnienia państwa polskiego uważało emigracyjny rząd w Londynie. Armia Krajowa, która /niezależnie od wszystkich politycznych aspektów/ jednoczyła naród, kierowała pełną ofiar walką i umacniała ducha oporu - została pokwitowana przez nową władzę sławnym określeniem: "AK - zapluty karzeł reakcji". Wtedy właśnie, kiedy głównym zadaniem powinno być stworzenie jak najszerszego pomostu między nowym ustrojem i jego rzecznikami a narodem, który przez okres wojny nie mógł działać i myśleć inaczej - zwłaszcza że nurt komunistyczny w ruchu oporu



powstał znacznie później i stanowił wąską strugę w szerokim narodowym morzu. Ci, którzy do dziś nie zrozumieli znaczenia tej zniewagi, niewiele rozumieją i z całej dalszej historii...

"Ojciec do końca życia nie chciał uznać za błąd tego, co było grzechem pierworodnym PRL - narzucenia narodowi polskiemu przez Stalina rządów PPR" - pisze Antoni Zambrowski. A dlaczego? To Roman Zambrowski miałby uznawać za błąd to, co czynił świadomie, z pełnym przekonaniem i zaangażowaniem? Przeszedł odpowiednie kominternowskie przeszkolenie i dobrze wiedział co robi. Zaś o tym, jak robi, mogą zaświadczyć - żeby nie wdawać się w szczegółową egzegezę działań tego człowieka - dwa wymowne przykłady.

Na zebraniu warszawskiego aktywu PPR w czerwcu 1946 r. Zambrowski, odwołując się do referatu Gomułki na plenum KC, mówił, że w Polsce istnieje możliwość "pokojowego, ewolucyjnego przerzastania w socjalizm bez rewolucji, bez dyktatury proletariatu, bez systemu sowieckiego, zachowując w całej rozciągłości system parlamentarny, uzupełniony samorządem terytorialnym, wielopartyjność i możliwość istnienia opozycji".

Była to doktryna narodowych dróg do socjalizmu, głoszona przez wiele partii komunistycznych przy dobrotliwej akceptacji Kremla. Ale czy tak doświadczony i znający sowieckie realia działacz nie wiedział, że jest to tylko gra pozorów?

Już w cztery lata później, w artykule zamieszczonym w 5 numerze "Nowych Dróg", kiedy zaczęto forsować w Polsce kółchozy, R. Zambrowski pisał:

"W Plenum KC, ustalając podstawowe zadania partii w realizacji sześcioletniego planu budowy fundamentów socjalizmu w Polsce, podkreśliło z całą siłą podstawową wytyczną w bieżącej polityce partii i w jej walce o socjalistyczną przebudowę wsi: zasadę oparcia się o biedotę, umocnienia sojuszu ze średniakiem i bezwzględnej walki z bogaczem wiejskim w procesie konsekwentnego ograniczenia i wypierania elementów kapitalistycznych w ekonomice wsi.

Zasada ta została wypracowana przez Lenina i Stalina w ciągu wielu lat, poprzedzających w ZSRR powszechną kolektywizację, stanowiła podstawę polityki bolszewickiej na wsi, stwarzając na bazie industrializacji kraju - najpomyślniejsze warunki dla umocnienia się sojuszu robotniczo-rolniczego i dojrzewania mas pracującego chłopstwa do przejścia na drogę socjalizmu.

Jak wiadomo, wpływy gomułkowszczyzny opóźniały i wypaczały stosowanie tej wytycznej w polityce naszej partii. Dopiero zwrot w polityce partii na wsi, który nastąpił po przewyciężeniu odchylenia prawicowego i nacjonalistycznego w partii, dopiero coraz bardziej konsekwentne wcielanie w życie nauk Lenina i Stalina o sojuszu robotniczo-rolniczym i oparcie się na doświadczeniu przebudowy socjalistycznej wsi w ZSRR - umożliwiły naszej partii coraz dokładniejsze precyzowanie tych zasad...".

Zestawienie tych cytatów jest dostatecznie wymowne, by określić kierunek politycznej ewolucji R. Zambrowskiego, jeśli

w ogóle o takiej ewolucji - a nie o dobrym wyczuciu taktyki - może być mowa.

Dorabianie ideologii i "uszlachetnianie" zarówno działania, jak i jego intencji ex post nie jest zresztą, by znów powołać się na zbiorek "Oni", niczym nowym, ani zaskakującym.

I Antoni Zambrowski ulega tym mitom, pisząc: "Ojciec podkreślał wyraźnie, że kierownictwo PPR było bardziej elastyczne i samodzielnie myślące, niż się powszechnie sądzi, że w miarę możliwości usiłowano prowadzić politykę liberalną jak na ówczesne warunki i /mające twardy żywot/ komunistyczne schematy myślowe".

Zambrowski-junior ciągle nie może odróżnić taktyki od strategii, żywi ponadto złudzenia, że różne ruchy pozorowane na szczytach władzy miały ideowe motywacje. W rzeczywistości natomiast mieliśmy w Polsce do czynienia - w pierwszym okresie powojennym - z miniaturą Kremla, zarówno w myśleniu, jak i w działaniu.

Nie o błędach bowiem, a o systemie mówić trzeba. O jakich bowiem błędach może być mowa, kiedy rzeczą jasną jest, że władza Stalina i jego lokalnych eksponentów w podbitych krajach była najdoskonalszym z możliwych wcieleń despotycznego socjalizmu - systemem, którego główną funkcją społeczną jest utrzymanie monopolistycznej i niekontrolowanej władzy rządzącego aparatu. Pisał o tym m.in. lapidarnie w roku 1971 Leszek Kożakowski:

"Wszelkie instytucjonalne i faktyczne zmiany, jakie nastąpiły lub dadzą się pomyśleć nie naruszają tej podstawowej zasady - utrzymania władzy - której podporządkowane są wszelkie polityczne i gospodarcze poczynania panujących... Wszystkie przemiany zasze i wyobrażalne w ramach systemu są nieistotne i łatwo odwoływalne, gdyż nie mogą być zinstytucjonalizowane bez rozkładu całego mechanizmu. Zaspokojenie podstawowych oczekiwań zarówno klasy robotniczej, jak inteligencji jest niepodobieństwem w granicach określonych przez główną funkcję systemu. Mamy do czynienia z organizmem całkowicie nieelastycznym, pozbawionym urządzeń samoregulujących i zdolnym do zmian tylko w obliczu gwałtownych katastrof, które zdarzają się od czasu do czasu, lecz nie pozostawiają, prócz powierzchniowych ustępstw i przegrupowań w łonie rządzących klik, żadnych skaz na fizjologii całości...".

X X X

Czy taką "katastrofą" były krwawe wypadki poznańskie w 1956 roku oraz gwałtowny ruch mas nazwany "Polskim Październikiem"? Na to pytanie trzeba przede wszystkim odpowiedzieć w tym komentarzu, bowiem wokół wydarzeń poznańskich i październikowych skupia się wiele wątków w tekście Antoniego Zambrowskiego.

Ale przede wszystkim trzeba uściślić relacje: ruch październikowy - Gorułka. Bo na tym tle występuje wiele nieporozumień, nie tylko w tekście Zambrowskiego.



Określenie "Polski Październik" to skrót myślowy obejmujący wydarzenia i procesy, które narastały i zachodziły w Polsce już w latach poprzedzających doniosły rok 1956. W październiku nastąpiła kulminacja wydarzeń uświetnionych VIII Plenum KC PZUR i dojściem do władzy Gomułki. Ale przed Październikiem był tragiczny czerwiec w Poznaniu - dramatyczny zryw robotniczego protestu. Było też wiele wydarzeń przystających drogi społecznego rozwoju. Było rozliczanie z okresu stalinowskiego i poststalinowskiego bezprawia, przywracanie praworządności, rehabilitowanie niewinnie zgładzonych i prześladowanych. Był proces narastania ludzkiego gniewu i narastania nadziei, proces żywiołowego brania sobie przez społeczeństwo praw, których zostało pozbawione.

W okresie tym słynne "Po prostu" w marszu formułowało program Polskiego Października. Nie ono jedno zresztą, ale przypada mu w tym czasie czołowa rola. W prasie, ale i na robotniczych zebraniach, zaczęto dostrzegać wtedy nie tylko poszczególne drzewa, ale cały las. Odszłonili się wszystkie ciemne strony systemu sprawowania władzy.

"Po prostu", koncentrując się początkowo na sprawach młodzieży, zaczęło wywać do tworzenia tzw. grup rewolucyjnych i zastępowania nimi skostniałych struktur, np. zarządów ZMP. Pojawił się problem absolwentów wysyłanych z nakazem pracy do wsi i małych miasteczek. Wiedli tam nędzny żywot, szykanowani przez członków zastarzałych klik i układów. Dla istniejących struktur byli już niebezpiecznymi konkurentami. Powstała więc idea tworzenia Klubów Młodej Inteligencji, jako ośrodków, gdzie młodzi, wykształceni ludzie mogliby robić coś dla siebie i dla otoczenia. Kluby te, jako struktury nieformalne i nie mieszczące się w ramach istniejącego systemu, były prześladowane i rozwiązywane.

Ten ruch młodzieży był fenomenem "Polskiego Października". Dzięki temu, że współgrał z tym, co działo się w większych zakładach pracy /Zerań, Fabryka Motocykli, Cegielski, Nowa Huta/ nabierał coraz większego znaczenia, zaś "Po prostu", rozpoczynając od pomagania młodzieży w działaniu, stało się wkrótce trybuną demaskatorską, trybuną wymiany doświadczeń i trybuną intelektualno-programową już nie tylko młodzieży i młodej inteligencji.

Październikowe postulaty wyrażały się w śledzaniach: zagwarantowania suwerenności kraju i poprowadzenia go rzeczywiście własną, polską drogą; wprowadzenia samorządu robotniczego i demokratycznej samorządności społeczeństwa; odrzucenia awanturkowej koncepcji kolektywizacji wsi i przyjęcia racjonalnej drogi jej unowocześnienia; przywrócenia praworządności i naprawienia krzywd okresu stalinowskiego, usunięcia z władz ludzi skompromitowanych i niekompetentnych.

Ruch odnowy w kraju był rzeką o wislu nurtach. Wewnątrz partii nabrali żywszych impulsów wtedy, kiedy - najpierw nieśmiało, a potem otwarcie - stanęła sprawa powrotu Gomułki do życia politycznego. Gomułka miał program i miał wielu zwolenników zarówno w partii, jak i w całym społeczeństwie.

Ale trzeba jasno powiedzieć, że Gomułka chciał dojść do władzy - a myślał o tym jeszcze przed Poznańskim Czerwcem - drogą przekształceń i rozgrywek wewnątrz partii. On nie stawił na żaden ruch oddolny. On tego ruchu się bał i - zagodnie mówiąc - bardzo go nie lubił. Masowy ruch oddolny, ruch

październikowy, zaskoczył go i odebrał mu wiele wiatru z żagli. Po prostu naród sam sobie wziął wiele z praw, które Gomułka chciał temu narodowi ofiarować.

Nie można - a ciągle się to dzieje, zarówno nieświadomie, jak i przy pomocy świadomych manipulacji - utożsamiać Października z Gomułką, bo i on sam z ruchem mas się nie identyfikował. Stał się oczywiście, gdy było trzeba, na czele tego ruchu, ale po to, by go skanalizować i ująć w odpowiednie ramy.

Kiedy więc A. Zambrowski pisze, że jego ojciec po spotkaniu z Gomułką przekonał się, że "Wiesław" ma poglądy wręcz "poprościackie" - cała sprawa polega na dużym nieporozumieniu.

Demonizowana w relacji A. Zambrowskiego jest również rola, jaką w przebiegu wydarzeń odgrywali "natolińczycy" i "puławianie". Istotną i ważną politycznie rozgrywką była rozgrywka z Chruszczowem i delegacją radziecką przybyłą niespodziewanie, bez zaproszenia, by wpłynąć na obrady Plenum KC. Tę rundę wygrał Gomułka, zaś pomagali mu zarówno jego zwolennicy, jak i przeciwnicy. Ci ostatni ze strachu.

Gomułka miał swój program; wyraził go lapidarnie na wiecu ludności Warszawy:

"Dość wiećcowania i manifestacji. Czas przejść do codziennej pracy, ożywionej wiarą i świadomością, że partia zespolona z klasą robotniczą i narodem poprowadzi Polskę po nowej drodze do socjalizmu".

Był to program zakładający koniec inicjatywy mas i przejęcie inicjatywy przez skłóconą i porozbijaną partię, której uporządkowanie i wzięcie w karby "Wiesław" postawił sobie za cel nadrzędny.

Powiedział wyraźnie na krajowej naradzie aktywu partyjnego w listopadzie 1956 r. do czego sprowadzają się rozbieżności w partii:

"Pierwsze - to pojmowanie sprawy suwerenności Polski i drugie - to pojmowanie treści, jaka tkwić winna w tym, co nazywamy demokratyzacją naszego życia w ramach ustroju socjalistycznego. Niektórzy członkowie KC partii żywili obawy, czy ułożenie naszych stosunków partyjnych i państwowych z KPZR i Związkiem Radzieckim na zasadach przyjętych przez VIII Plenum nie pociągnie za sobą ujemnych następstw; nie kwestionując potrzeby pewnych zmian, stali oni jednak na gruncie zachowania poprzedniego stanu rzeczy. To była główna linia podziału w kierownictwie partyjnym".

Gomułka widział więc wyraźnie te podziały. Ale dla siebie wyciągnął wnioski, że trzeba lawirować między skłóconymi i robić swoje. To znaczy powoli skupiać wszystkie cugle we własnym ręku. Wiedział i oczywiście przecenił to, że stał się przywódcą charyzmatycznym. Wykonywał sobie walkę z rewizjonizmem i dogmatyzmem, nie widząc jak powoli, ale coraz bardziej wyraźnie, staje się więźniem tego wszystkiego, co w partii zachowawcze, wsteczne.



A że lubił - i nie potrafił inaczej - kierować się swoim własnym, rzeczywiście "chłopskim" rozumem, musiało się skończyć, jak się skończyło.

Ale, wracając do tekstu Antoniego Zambrowskiego. Niewątpliwie pokazuje on pewne mechanizmy działania, motywacje i oceny. Są to jednak oceny i motywacje dokonywane ex post. Potwierdzają tylko znany fakt, że - jeśli nawet - ludzie, którzy stali u steru władzy chcą dokonać analizy przeszłości, mogą to czynić dopiero, kiedy od tej władzy są wolni. Ale i wtedy zapominają, że ich działanie było z góry zdeterminowane przez system i jego mechanizmy. Od tego, jak by się nie szarpać, uwolnić się nie można.

Jerzy Zamróż

Od redakcji: Autor powyższego komentarza do wspomnień Antoniego Zambrowskiego o swoim ojcu, był w latach 1955-1957 aktywnym uczestnikiem ówczesnych wydarzeń. Stąd jego opinie i oceny mają szczególną - naszym zdaniem - wartość.

Michał Heller, Aleksander Niekricz

## Krwawa jesień 1956

Oficjalne przyznanie się na XX Zjeździe KPZR w Moskwie do przestępstw dokonanych przez reżim Stalina, wywołało silną reakcję nie tylko w polskich kołach politycznych i intelektualnych, ale przede wszystkim wśród polskich robotników, których sytuacja ekonomiczna pozostawiała wiele do życzenia.

28 czerwca 1956 roku powstał robotnicy fabryki samochodów ZISPO w Poznaniu. Do nich dołączyli robotnicy innych fabryk. Ruch rozpoczął się od pokojowej demonstracji, ale wkrótce doszło do starć. Oddziały milicji zostały zaatakowane przez robotników, a zagarniętą broń rozdano uczestnikom demonstracji. Żądania demonstrujących brzmiały: "Żądamy chleba!" i "Wycfać z Polską wojska radzieckie!".

Żołnierze jednostek regularnych, wezwanych dla rozpedzenia tłumów, nie tylko odmówili strzelania do nich, ale bratali się z robotnikami. Rząd ogłosił stan wojenny, wprowadził oddziały czosków Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i zdławił powstanie. Zgodnie z oficjalnymi polskimi danymi, zginęło 38 osób, a 270 zostało rannych.

W KC PZPR rozpoczęła się ostra walka. Kierownictwo partyjne zmuszone było zrehabilitować represjonowanych w minionych latach działaczy partyjnych i państwowych. Jeden z nich, gen. Komar, powołany został na dowódcę wojsk Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Władysław Gomułka wysunął program polepszenia sytuacji chłopów oraz normalizacji stosunków z ZSRR. Popierały go szerokie masy chłopskie, robotnicy, intelektualiści i znaczna część Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jednak część Biura Politycznego, tak zwana Grupa Natolińska, przeciwna reformom, zaczęła przygotowywać przewrót. Miało to się stać na plenum KC PZPR, które powinno było wybrać nowe Biuro Polityczne.

W bardzo złożonej i niejasnej sytuacji zjawila się nagle w Polsce radziecka delegacja partyjno-rządowa w składzie: Chruszczow, Mikołaj, Mołotow i Kaganowicz, aby uczestniczyć w posiedzeniu plenum KC. Do składu delegacji włączony został także dowódca wojsk krajów Układu Warszawskiego, marszałek Koniew. Oznaczało to, że kierownictwo radzieckie jest gotowe - gdyby to było konieczne - zastosować siłę. Taką radę dawał w szczególności minister obrony PRL, marszałek Rokossowski, wysłany do Polski przez Stalina po wojnie. /Rokossowski był z pochodzenia Polakiem/. Jak twierdzi Chruszczow, Rokossowski powiedział, że "antyradzieckie, nacjonalistyczne i reakcyjne siły nasiliły swą działalność i że jeśli konieczne jest zapobieżenie wzrostowi tych kontrrewolucyjnych elementów, to on /Rokossowski/ jest do naszej dyspozycji".

Zdżawienie ruchu w Polsce rękami polskimi byłoby bardzo na rękę kierownictwu radzieckiemu, ale przy dokładniejszej analizie sytuacji okazało się, że na armię polską nie bardzo można liczyć. Istniała inna perspektywa, dostatecznie poważna - wykorzystanie wojsk radzieckich przeciw tradycyjnie antyradzieckiej Polsce i do tego jeszcze w chwili dojrzewania kryzysu politycznego. Tym niemniej, liderzy rozpięcy gotowi byli zastosować siłę. Koniew otrzymał rozkaz rozpoczęcia ruchu wojsk w kierunku Warszawy. Gomułka, który został wybrany na pierwszego sekretarza KC PZPR, zażądał jednak od Chruszczowa natychmiastowego wstrzymania marszu wojsk radzieckich w kierunku stolicy Polski i skierowania ich z powrotem do swoich baz.

I tu rozegrała się gorsząca scena. Chruszczow zaczął kłamać, twierdząc, że Gomułka otrzymał nieprawidłową informację o ruchu wojsk radzieckich. Gomułka raz jeszcze powtórzył swoje żądania i uprzedził o możliwych poważnych komplikacjach, jeśli wojska radzieckie będą kontynuować swój marsz. Chruszczow dał rozkaz zatrzymania czołgów, ale nie powrotu do baz, kazał czekać. W odpowiedzi na to warszawski Komitet partyjny wydał rozporządzenie o wydaniu broni robotnikom Warszawy, którzy gotowi byli stawić opór wojskom radzieckim, gdyby te weszły do Warszawy. Ale dopiero po zapewnieniu Gomułki, że nie tylko nie ma on zamiaru prowadzić polityki antyradzieckiej, ale na odwrót, będzie popierał przyjaźń z ZSRR, Chruszczow i jego towarzysze wrócili do Moskwy, a dywizje radzieckie do miejsc ich zakwaterowania.

Zamieszki w Polsce nie przekształciły się w ogólne powstanie z wielu przyczyn. Jedną z nich polegała na tym, iż w Polsce w czasach stalinowskich, represje przeciw zwolennikom bardziej umiarkowanego kursu nie przyjęły charakteru ostrej rozprawy, rozstrzeliwań i masowych czystek wewnątrz aparatu partyjnego i państwowego. Kiedy 21 października 1956 roku Gomułka doszedł do władzy, większość aparatu partyjnego opowiedziała się za nim. Z Biura Politycznego zostali wydalen najbardziej proradzieccy politycy - m.in. Zenon Nowak oraz marszałek Rokossowski, który opuścił Polskę w ogóle i powrócił do Związku Radzieckiego.

x x x

Inaczej ułożyły się wydarzenia na Węgrzech, gdzie namiętności rozpalily się o wiele silniej niż w Polsce. Wydarzenia dojrzały tam, coraz bardziej nasilając się, w ciągu trzech i pół roku.

Powróciwszy z Moskwy do Budapesztu po XX Zjeździe KPZR, Matyas Rakosi oświadczył swoim przyjaciółom: "Za kilka miesięcy Chruszczow będzie ogłoszony zdrajcą i wszystko powróci do normy."

Jednak wewnętrzna walka polityczna na Węgrzech dalej zaostrzała się. Rakosiemu nie pozostawało nic innego, jak obietnica ponownego rozpatrzenia procesów Kászlo Rajka i innych straconych przez niego liderów partii komunistycznej. Na wszystkich szczeblach władzy, a nawet w organach bezpieczeństwa państwowego, AVH, najbardziej zienawidzonej przez naród instytucji na Węgrzech, żądano dymisji Rakosiego. Prawie otwarcie nazywano go "zabójcą". W połowie lipca 1956 roku do Budapesztu, w celu uzyskania takiej dymisji, przyjechał Nikołan. Dotychczasowy przywódca węgierski zmuszony był podporzą-



uknować się jego żądaniom i wyjechał do ZSRR, gdzie dokonał żywota, przeklęty przez swój naród i pogardzany przez radzieckie kierownictwo.

W centrum wydarzeń znalazła się nie tylko węgierska inteligencja, ale także robotnicy przemysłowi. Największe przedsiębiorstwa Budapesztu stały się oparciem dla powstania, zaś udział w ruchu znacznej części młodzieży wycisnął określone piętno na jego charakterze. Kierownictwo polityczne znalazło się w ogniu ruchu a nie kierowało nim, tak jak to miało miejsce w Polsce.

Podstawowym zagadnieniem było stacjonowanie wojsk radzieckich na terytorium krajów wschodnioeuropejskich, to znaczy faktyczna okupacja tych krajów przez Armię Czerwoną.

X

Chruszczow, chociaż z trwogą w sercu, ale nastawiony pokojowo powrócił z Warszawy do Moskwy, ponieważ Gomułka udało się przekonać go, że Polska pozostaje w obiegu socjalistycznym i, co więcej, nie sprzeciwia się nawet stacjonowaniu wojsk radzieckich w bazach na jej terytorium. Nowe kierownictwo radzieckie wolało uniknąć przelewu krwi, ale było na to zdecydowane, gdyby w grę wchodziło odłączenie się satelitów od ZSRR, choćby w postaci ogłoszenia ich neutralności i nieuczestnictwa w blokach. Taki przykład mógłby bowiem doprowadzić do rozkładu całego systemu socjalistycznego. Wielkie szczęście Jugosławii polegało na tym, że nie miała ona wspólnej granicy z ZSRR, a także i na tym, iż posiadała liczącą się armię, która doskonale sprawdziła się podczas drugiej wojny światowej. A kierownictwo radzieckie było wychowane w szacunku do siły.

X

Węgry nie były Polską, a Imre Nagy nie był Gomułką.

Trzyletnie niepokoje wkraczały w swoje apogeum. 22 października w Budapeszcie zaczęły się demonstracje z żądaniem powołania nowego kierownictwa z Imre Nagy em na czele. 23 października Nagy został premierem i zwrócił się do społeczeństwa z apelem o złożenie broni. Jednak w Budapeszcie stały czółgi radzieckie i to było powodem wzburzenia narodu.

Tego samego dnia odbyła się ogromna demonstracja, uczestnikami której byli studenci, uczniowie starszych klas, młodzieńcy robotnicy. Do nich dołączyli się żołnierze-dezerterzy i w ogóle przechodnie. Demonstranci skierowali się ku pomnikowi bohatera rewolucji 1848 roku, polskiego generała Józefa Bema. Przy budynku parlamentu zebrało się około 200 tysięcy osób. Demonstranci zrzucili z postumentu pomnik Stalina. Sformowały się oddziały zbrojne, które przyjęły nazwę "Bojowników o wolność". Grupały one 20 tysięcy osób; wśród nich można było zobaczyć wielu byłych więźniów politycznych, których naród uwolnił z więzień. "Bojownicy o wolność" zajęli różne dzielnice stolicy, powołując główne dowództwo z Falem Maléterem na czele i nazwali siebie Gwardią Narodową.

W przedsiębiorstwach węgierskiej stolicy powstały komórki nowej władzy - rady robotnicze. Wsunęły one swoje socjalne i polityczne postulaty; wśród nich było też żądanie, które doprowadzić do wściekłości kierownictwo radzieckie: domagać się mianowicie wycofania wojsk radzieckich z Budapesztu i



z całego terytorium Węgier.

Drugą okolicznością, która wprawiła w popłoch rząd radziecki była odbudowa partii socjaldemokratycznej, a następnie stworzenie rządu wielopartyjnego.

Chociaż Imre Nagy został premierem, ale nowe, w większości stalinowskie kierownictwo, na czele z Ernő Gőere, usiłowało izolować go, pogarszając tym samym sytuację.

24 października do Budapesztu przybyli Mikojan i Susłow. Zalecili oni niezwłoczne zastąpienie Gőere na stanowisku pierwszego sekretarza przez Janosa Kadara, który niedawno został uwolniony z więzienia. Tymczasem, 25 października przy budynku parlamentu miało miejsce zbrojne starcie z wojskami radzieckimi. Nagy powiadomił walczących o swoim zamiarze nalegania na wyprowadzenie wojsk radzieckich z miasta i dał rozkaz przerwania ognia. Ale starcia trwały nadal. Zbuntowany naród żądał natychmiastowego wycofania oddziałów radzieckich i stworzenia nowego rządu jedności narodowej, w skład którego wchodziłyby i inne partie.

26 października, po powołaniu Kadara na pierwszego sekretarza i odejściu Gőere, Mikojan i Susłow wrócili do Moskwy. Na lotnisko udali się w czółgu. Powracali po długich i szczegółowych pertraktacjach z kierownictwem węgierskim. Czy wierzyli, że na Węgrzech możliwe jest uspokojenie na tych samych zasadach, na których zostało ono osiągnięte pięć dni przedtem w Polsce? Oznaczałoby to pozostawienie Węgier w charakterze sojusznika Układu Warszawskiego, rewizję stosunków handlowych na korzyść Węgrów, liberalizację reżimu z uwzględnieniem specyfiki życia węgierskiego i wycofanie wojsk radzieckich po ustabilizowaniu sytuacji. Wydaje się jednak, iż Susłow i Mikojan uważali, że jest to mało prawdopodobne.

28 października, kiedy walki w Budapeszcie jeszcze trwały, rząd węgierski dał rozkaz przerwania ognia i powrotu oddziałów zbrojnych do swoich dzielnic, gdzie miały oczekiwać na instrukcję. Imre Nagy ogłosił przez radio, że rząd węgierski doszedł do porozumienia z rządem radzieckim w sprawie niezwłocznego wycofania oddziałów Armii Czerwonej z Budapesztu i włączenia oddziałów zbrojnych robotników i młodzieży w skład regularnej armii węgierskiej. Informacja o wycofaniu wojsk radzieckich wywołała burzę entuzjazmu i została uznana za koniec okupacji radzieckiej.

30 października rząd zniósł system obowiązkowych dostaw produktów rolnych.

Kraj poparł stolicę. Robotnicy rzucali pracę aż do przerwania walk w Budapeszcie i wycofania wojsk radzieckich. Delegacja rady robotniczej przemysłowej dzielnicy Miklosz wysunęła wobec Imre Nagy a żądanie całkowitej ewakuacji wojsk radzieckich z Węgier do końca roku.

W referacie Mikojana i Susłowa o sytuacji na Węgrzech, wygłoszonym przez nich po powrocie z Budapesztu 26 października na Prezydium KC KPZR, stwierdzili oni - jak wynika ze wstępnika "Prawdy" z 28 X 1956 r. - że jakoby istnieje gotowość wyrażenia zgody na program demokratyzacji pod warunkiem, że zapewni on dominację partii komunistycznej i utrzyma Węgry w systemie Układu Warszawskiego. W rzeczywistości artykuł ten był tylko zasłoną dymną. Temu samemu celowi służył także rozkaz dany wojskom radzieckim, aby wymaszerowały z Budapesztu.

Kremł chciał zyskać na czasie, aby przygotować odwet, który miał być dokonany nie tylko w imieniu pozostałych uczestników Układu Warszawskiego, ale także Jugosławii i Chin. Siły internacjonalistyczne na Węgrzech miały reprezentować cały obóz socjalistyczny. W ten sposób odpowiedzialność spadłaby na wszystkich jego członków.

Wojska radzieckie zostały wycofane z Budapesztu, ale skoncentrowano je w rejonie lotniska budapesztańskiego. Ambascada radziecka, której personel pozostał w mieście, stale informowała Kremł o rozwoju sytuacji.

30 października, kiedy Mikołaj i Susłow ponownie przebywali w Budapeszcie, Prezydium KC KPZR przyjęło - jak twierdzi Chruszczow - jednogłośnie rezolucję o zbrojnym zdławieniu rewolucji węgierskiej sformułowaną, oczywiście, w zwykłej stalinowskiej terminologii. Głosiła ona, że byłoby niewybaczalnym błędem ZSRR pozostawanie neutralnym w zaistniałej sytuacji i "nie udzielenie pomocy klasie robotniczej Węgier w jej walce z kontrrewolucją".

Przyjęta w tym dniu deklaracja "O równości partii komunistycznych" była w rzeczy samej jedynie kamuflażem decyzji o interwencji i bezwzględny zdławieniu rewolucji węgierskiej. Chruszczow otwarcie mówił o tym, że przywódcy radzieccy bali się reakcji na wydarzenia węgierskie w innych krajach socjalistycznych Europy Wschodniej i Południowo-Wschodniej.

Na prośbę Prezydium KC KPZR do Moskwy na odbycie narady przybyła delegacja chińska na czele z Liu Szao-tsi. Z początku, według wspomnień Chruszczowa, Liu oświadczył, że wojska radzieckie winny być wycofane z Budapesztu i że powinno się dać możliwość klasie robotniczej Węgier "samej zdławić kontrrewolucję". Jednak, wydusiwszy z siebie zgodę na tego rodzaju rozwiązanie, niezadowolony z odpowiedzi chińskiej, Chruszczow nadal proponował rozpatrzenie problemu interwencji. Liu Szao-tsi, po konsultacji telefonicznej z Mao Tse-tungiem, potwierdził jednak stanowisko chińskie. Ponieważ było to całkowicie sprzeczne z decyzją o interwencji, faktycznie podjętą już przez Prezydium KC KPZR, Chruszczow poinformował 31 października Prezydium o stanowisku Chińczyków, nalegał niezwłocznie wykorzystać wojsko. Marszałek Koniew, który wezwany na posiedzenie Prezydium oświadczył, iż jego oddziałom wystarczy trzech dni dla zdławienia "kontrrewolucji" na Węgrzech /a w rzeczywistości - rewolucji/, otrzymał rozkaz wprowadzenia wojska w stan gotowości. Rozkaz został wydany za plecami Liu Szao-tsi, który tego samego dnia wracał do Pekinu absolutnie pewny, że interwencji radzieckiej nie będzie. Postanowiono poinformować go o decyzji przeprowadzenia interwencji w chwili pożegnania go na lotnisku Wnukowc. Aby wywołać większe wrażenie na Liu, Prezydium KC KPZR zjawilo się na Wnukowie w pełnym składzie. Znowu zaczęły się obłudne rozmowy o "dobru narodu węgierskiego" i w końcu Liu Szao-tsi poddał się. W ten sposób zostało zapewnione poparcie Chin.

Następnie Chruszczow i Mołotow - upelnomocnieni przez Prezydium KC - udali się kolejno do Warszawy i Bukaresztu, gdzie dosyć łatwo otrzymali zgodę na interwencję. Ostatnim etapem podróży była Jugosławia. Radziecka delegacja przyjechała do Tito, mając już w ręku zgodę pozostałych krajów socjalistycznych na zdławienie rewolucji na Węgrzech. Delegaci radzieccy oczekiwali, że spotka ich poważny sprzeciw ze



strony Tito. Ale - jak twierdzi Chruszczow - "byliśmy przyjemnie zdziwieni... Tito powiedział, że absolutnie mamy rację i powinniśmy posłać naszych żołnierzy jak najszybciej w bój... Byliśmy przygotowani, że spotka nas sprzeciw, ale zamiast tego otrzymaliśmy jego szczerę poparcie. Powiedziałbym nawet, że Tito posunął się dalej i przekonywał nas, że powinniśmy jak najszybciej rozwiązać ten problem" - kończy swoje wyznania Chruszczow.

W ten sposób został rozstrzygnięty los rewolucji węgierskiej.

1 listopada rozpoczęła się radziecka inwazja na Węgry. Na protest Imre Nagy a ambasador radziecki Andropow odpowiedział, że dywizje radzieckie, które weszły do Węgier, przytwarzają jedynie po to, aby wymienić stacjonujące tam wojska.

3000 czołgów radzieckich przekroczyło granicę węgierską od strony Ukrainy Zakarpackiej i Rumunii. Wezwany znów do Imre Nagy a ambasador radziecki został uprzedzony, że Węgry na znak protestu przeciw naruszeniu Traktatu Wersalskiego /wejście wojsk wymagało zgody odpowiedniego rządu/ wystąpią z Układu Warszawskiego. Rząd węgierski swą decyzję w tej sprawie ogłosił tego samego dnia wieczorem, a ponadto ogłosił też neutralność Węgier i zwrócił się do Organizacji Narodów Zjednoczonych z protestem przeciw wtargnięciu wojsk radzieckich.

Ale wszystko to nie wzbudziło niepokoju rządu radzieckiego. Angielskie, francuskie i izraelskie wtargnięcie do Egiptu odwróciło uwagę społeczności światowej od wydarzeń na Węgrzech. Rząd amerykański potępił działania Anglii, Francji i Izraela. Tym samym rozbitcie w obozie zachodnich sojuszników stało się oczywiste. Nie było żadnych oznak, że mocarstwa zachodnie udziela pomocy Węgrom. Sytuacja międzynarodowa układała się wyjątkowo sprzyjająco dla interwencji Związku Radzieckiego na Węgrzech. Propaganda radziecka związała w jeden supeł wojnę na Bliskim Wschodzie z wydarzeniami węgierskimi, przedstawiając je jako spisek imperialistów przeciw "obozowi pokoju i demokracji". Wyjaśnienie to, wraz ze stwierdzeniem, iż na Węgrzech zabijają komunistów i ma miejsce bunt kontrrewolucyjny w celu odbudowy kapitalizmu, zostały zaakceptowane przez ludność Związku Radzieckiego. Przyjęła ona zdławienie rewolucji węgierskiej albo obojętnie, albo z uczuciem ulgi, że nieprzyjemności, dzięki Bogu, ma poza sobą.

Wieczorem 1 listopada wojska radzieckie zajęły lotniska węgierskie, a następnego dnia Andropow, kamuflując przygotowania wojenne, zaproponował rządowi węgierskiemu wyznaczenie dwóch delegacji, politycznej i wojskowej, żeby rozpatrzyć wycofanie wojsk radzieckich z terytorium węgierskiego i omówić problemy polityczne, wynikające z Układu Warszawskiego. Pertraktacje te winny były rozpocząć się następnego dnia. Rząd węgierski, nie życząc sobie komplikacji, przyjął propozycję, zaś oddziały radzieckie kontynuowały rozwój operacji.

Jednocześnie Prezydium KC KPZR zaczęło przygotowywać nowy rząd węgierski, który miał zastąpić, nazywany od tego momentu "kontrrewolucyjnym", rząd Imre Nagy a. Pierwszy sekretarz węgierskiej partii komunistycznej, Janos Kadar, zgodził się objąć stanowisko premiera przyszłego rządu. Został on przywieziony przez radziecki samolot wojskowy do Użgorodu. 3 listopada nowy rząd został sformowany. O tym, iż rząd Kadara został utworzony na terytorium ZSRR, dowiedziano się dopiero po

dwóch latach. Oficjalnie o jego istnieniu poinformowano o świecie 4 listopada, kiedy czołgi z czerwoną gwiazdą wjeżdżały do stolicy Węgier.

W przeddzień utworzony został w Budapeszcie koalicyjny rząd z Imre Nagy em na czele. Do rządu tego weszło trzech przedstawicieli partii komunistycznej, trzech z partii robotników, trzech z partii socjaldemokratycznej i dwóch z partii Petöfiiego. W jego składzie znalazł się także bezpartyjny generał, Pál Maleter. Wszystkie partie koalicyjne zgodziły się, że Węgry nie przyłączą się do żadnego bloku wojskowego i że pozostaną krajem neutralnym.

Tymczasem 3 listopada w Budapeszcie rozpoczęły się oficjalne pertraktacje między delegacją radziecką i węgierską. Operacja, mająca na celu wprowadzenie w błąd rządu Nagy a, była przemyślana w szczegółach. Delegacja radziecka, na czele której stał generał Malinin<sup>x</sup>, stwarzała pozory, iż spiera się jedynie o do terminu ewakuacji wojsk radzieckich /Węgrzy proponowali 15 grudnia 1956 roku, a delegacja radziecka - 15 stycznia 1957 roku/. Wznowienie pertraktacji było wyznaczone na godz. 22.00 wieczorem. Tymczasem w Radzie Bezpieczeństwa, która zebrała się o dziewiątej rano, delegacja ZSRR oświadczyła, iż między Węgrami a Związkiem Radzieckim prowadzone są rozmowy na temat wycofania wojsk. Posiedzenie Rady przerwano. Kiedy zaś zebrała się ona znów, ZSRR złożył veto wobec rezolucji potępiającej radziecką interwencję na Węgrzech. Po licznych rezolucjach, przyjętych przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych, w których Związek Radziecki zobowiązany został do bezwzględnego wycofania swoich wojsk z Węgier, Zgromadzenie Ogólne 12 grudnia 1956 roku surowo potępiło ZSRR za zdławienie siłą praw narodu węgierskiego. Za tą rezolucją głosowało 55 państw, w tej liczbie wiele krajów Azji i Afryki.

Pod koniec dnia 3 listopada na terytorium Węgier znajdowało się już 11 dywizji radzieckich. Węgierska delegacja wojskowa, na czele z ministrem obrony narodowej, generałem Palem Maleterem, która wieczorem zjawiała się w celu kontynuowania pertraktacji w sztabie wojsk radzieckich, została w zdradziecki sposób zaaresztowana przez naczelnika KGB, generała Sierowa. Dopiero kiedy Nagy nie mógł porozumieć się ze swoją delegacją wojskową, zrozumiał, iż został oszukany przez kierownictwo radzieckie. Ale wciąż jeszcze odmawiał wydania rozkazu rozpoczęcia regularnych działań wojennych.

4 listopada o godzinie 5 rano artyleria radziecka skierowała ogień na stolicę Węgier. Po pół godzinie Nagy zawiadomił o tym przez radio naród węgierski.

Siły były nierówne. Radzieckie siły zbrojne przewyższały siły rewolucji węgierskiej liczebnością, nie mówiąc już o uzbrojeniu i technice wojennej. Węgierscy obrońcy wolności walczyli bohatercko. Trzy dni czołgi radzieckie gromiły Budapeszt. Zbrojny opór w kraju trwał do 14 listopada.

Nikt nie udzielił pomocy Węgom. Węgierska rewolucja została zgnieciona przez gąsiennice czołgów radzieckich, przy

<sup>x</sup> Był to szef KGB generał Iwan Sierow, którego imię czarnymi zgłoskami zapisało się również w historii naszego kraju. /Red./



obojętności krajów zachodnich.

Po zdławieniu rewolucji radziecka administracja wojskowa wspólnie z organami bezpieczeństwa państwowego, przystąpiły do rozprawy z obywatelami węgierskimi; zaczęły się masowe aresztowania i deportacje do Związku Radzieckiego.

Imre Nagy i jego najbliżsi współpracownicy znaleźli azyl w ambasadzie jugosłowiańskiej. Tito, który wyraził zgodę na zdławienie rewolucji węgierskiej siłą, nie chciał jednak skazać swego imienia współdziałaniem w zabójstwie legalnych przywódców Węgier. Po długich, dwutygodniowych, pertraktacjach nowy węgierski premier, Kadar, dał pisemną gwarancję, że Imre Nagy i jego współpracownicy nie będą prześladowani za ich działalność. Kadar oświadczył, że mogą oni opuścić ambasadę jugosłowiańską i że razem z rodzinami zostaną odwiezieni do swoich domów. Jednak autobus, w którym jechał Nagy w towarzystwie dwóch jugosłowiańskich dyplomatów, został przechwycony przez oficerów radzieckich, którzy aresztowali Nagy a i następnie wywieźli do Rumunii. Rząd radziecki pozostawił bez odpowiedzi protest jugosłowiański. Zwycięzcy nie liczą się z pokonanymi ani z chwilowymi sprzymierzeńcami, a Tito był właśnie chwilowym sprzymierzeńcem.

Później, Imre Nagy, kiedy nie zechciał pokajać się, został skazany przez sąd zaoczny i stracony. Wiadomość o tym została opublikowana 16 czerwca 1958 roku. Ten sam los spotkał także generała Pála Maletera.

Chruszczow, nawet piętnaście lat po wydarzeniach węgierskich, nie wypowiedział ani jednego słowa żalu w związku z tym, co się wydarzyło. Nawet do głowy mu nie przyszło, oczywiście, że przez ten cały czas on sam i kierownictwo radzieckie zachowywało się zdradziecko i wiarołomnie. Ale takie pojęcia dla niego, konsekwentnego leninowca, po prostu nie istniały.

Trum.: Bogna OLSKA

Andrzej Kurbski

# Zmierzch imperium?

Motto:

"Jestem przekonany, że Władza Radziecka dogoni i przegoni kapitalistów..."

/Włodzimierz Lenin/

To prawda, że suwerenne państwa nie bankrutują. To prawda, że ZSRR je s z c z e utrzymuje się na drugiej pozycji w świecie pod względem wartości produktu narodowego brutto, ale na swoim karku kolos sowiecki czuje oddech małego Japończyka. To tylko kwestia czasu i to bardzo krótkiego. Natomiast w przeliczeniu dochodu narodowego na 1 mieszkańca ZSRR może na razie jeszcze rywalizować z Koreą Południową, znacznie jednak ustępując Tajwanowi, nie mówiąc już o jakimkolwiek uprzemysłowionym kraju Europy.

Tak, dziś dla nikogo nie ulega najmniejszej wątpliwości, że "Kraj Rad", którego twórca zapowiadał w dającej się przewidzieć przyszłości "dognać i pobić Amierikę", nie tylko doznał bolesnego fiaska na polu walki idej, lecz w istocie rzeczy jest również bankrutem gospodarczym.

Kiedy mówimy /zresztą bałamutnie/ o "kryzysie polskim", musimy sobie zdać sprawę, iż jest to k r y z y s s y s t e m u, systemu nieefektywnego, marnotrawnego, niemoralnego wreszcie; systemu, za którym stoi jego "zaplecze społeczne" w postaci n o m e n k l a t u r y - nowej klasy wysszkującej, klasy równie nieudolnej, co i drapieżnej, niezdolnej ani do ryzyka skutecznych reform, ani do rezygnacji ze swoich uprzywilejowanych pozycji, umożliwiających absolutną władzę bez jakiegokolwiek odpowiedzialności wobec kraju, społeczeństwa bądź klasy, której organizacyjną emanacją ona się mieni.

Wszystkie poważne ośrodki badawcze na świecie zgodne są, że w Związku Sowieckim ukształtowały się z biegiem lat, początkowo jakby w sposób niedostrzegalny, trzy płaszczyzny kryzysu: e k o n o m i c z n a, d e m o g r a f i c z n a i s p o ł e c z n o - p o l i t y c z n a.

PLASZCZYŻNA  
EKONOMICZNA

Oprócz chronicznej niewydolności sowieckiego modelu gospodarczego, powstałego w niezwykle specyficznej sytuacji przeszło pięćdziesiąt lat temu i od tego czasu praktycznie niezmiennego, już w latach sześćdziesiątych zaistniał nowy, groźny dla przyszłości tego kraju dylemat, a mianowicie przesuwanie się bazy surowcowej coraz dalej na Wschód, za Ural.

O ile 80 proc. potencjału przetwórczego przemysłu znajduje się w europejskiej części Rosji, to baza surowcowa na tym obszarze stanowi zaledwie 20 proc. pozyskiwanych dóbr. Innymi słowy, surowce wydobywa się dziś tam, gdzie transport jest słabo rozwinięty, infrastruktura wątku, a ludzi jest mało, mimo prowadzonej od wielu lat kampanii zaciągu do pracy w Syberii.

Dynamika wzrostu tak dochodu narodowego w ZSRR, jak i przyrostu produkcji, systematycznie maleje od końca lat sześćdziesiątych i oscyluje aktualnie na poziomie 3-5 proc. rocznie, miast kilkunastu, jak dawniej. Pod tym względem Związek Sowiecki plasuje się na odległym miejscu nie tylko w stosunku do dynamicznie rozwijających się niekiedy krajów Trzeciego Świata, lecz również zaczyna ustępować poszczególnym krajom socjalistycznym, jak Bułgaria czy NRD, nie mówiąc już o Chinach, które zadziwiają świat osiągnięciami gospodarczymi, odkąd ekipa starego Denga śmiało zerwała z doktrynerską i samobójczą polityką radykałów zapatrzonych w "model sowiecki".

Struktura handlu zagranicznego ZSRR stanowi odbicie struktury przemysłu, materiałochłonnej i energochłonnej, o niskiej wydajności pracy na 1 zatrudnionego. Co z tego, że propaganda sowiecka z dumą podkreśla, iż "co czwarty naukowiec na świecie pracuje w ZSRR"? Nic z tego literalnie nie wynika. Dotychczas 60 proc. wpływów z eksportu do krajów kapitalistycznych pochodziło ze sprzedaży ropy naftowej. Obecnie, jak wiadomo, ceny ropy spadają, rosną natomiast ceny maszyn i urządzeń oraz technologii importowanych do Związku Sowieckiego /przeciętnie o 10 proc. rocznie/. Na inwestycje modernizacyjne pozostaje więc coraz mniej środków, a tu jeszcze rozmaite ograniczenia Zachodu w zakresie pozyskiwania nowoczesnych technologii.

Kiedy w krajach uprzemysłowionych liczba zainstalowanych robotów zwiększyła się w ciągu obecnej dekady przeciętnie trzykrotnie, kiedy w krajach tych trwają intensywne prace nad trzecią generacją robotów "dotykających", "widzących", "słyszących" i "rozmawiających", nikt - na dobrą sprawę - nie wie, ile jest robotów w ZSRR. Wiadomo natomiast, że powstał "program" robotyzacji w krajach RWPG; podpisano /uroczyście/ stosowne porozumienia, nawiązano współpracę itp., itd. w tym samym dobrze znanym stylu. Niewiele z tego wynika nie tylko dla czytelników prasy w tych krajach, ale również dla przemysłu, gdzie nadal problemem pozostaje prosta mechanizacja lub automatyzacja, gdzie przede wszystkim liczy się siła rąk.

Dziś w ZSRR modne są hasła związane z komputeryzacją. Mówi się o konieczności rozwoju środków informatycznych, absolutnie nie rozumiejąc /bądź pomijając/ istotę rzeczy. Informatyka może odegrać i już odgrywa swoją rolę - na drodze postępu ludzkości - rolę w społeczeństwach o t w a r t y c h. Po prostu nie da się postawić przy każdym komputerze czekisty z "kałasznikowem". "Najbardziej progresywny system społeczny" znalazł się w konflikcie nie do przezwyciężenia z rozwojem środków informatycznych, stanowiących jak dotąd apogeum twórczych poszukiwań człowieka.

Liderzy sowieccy, planiści, przytłaczająca /niestety/ większość społeczeństwa "Kraju Rad" nie mogą sobie uzmysłowić prawdy równie prostej, co i oczywistej: energia, surowce i



kapitały są l i m i t o w a n e, natomiast nie jest liri-  
towana t e c h n o l o g i a ! Lecz tę nową technologię  
mogą tworzyć i używać jedynie ludzie w o l n i, ludzie o  
wysokich kwalifikacjach zawodowych i moralnych. Oto dlaczego  
bije dziś godzina prawdy dla bankrutów na Kremle...

O głębokim kryzysie rolnictwa kołchozowego czy państwowe-  
go w ZSRR właściwie już nie wypada nawet wspominać. Tu się  
zaczęła rewolucja i tu też przede wszystkim nastąpiła total-  
na porażka kompleksowej strategii komunizmu.

"W naszym kraju stworzone zostały obecnie wszelkie niez-  
będne warunki dla dalszego potężnego wzrostu wszystkich ga-  
łęzi rolnictwa. Coraz większego rozmachu nabiera zainicjowany  
przez przodujące kołchozy i sowchozy ogólnonarodowy ruch o  
to, aby w najbliższych latach doгонić i prześcignąć Stany  
Zjednoczone pod względem produkcji mięsa, mleka, masła na 1  
mieszkańca" - głosiła uchwała grudniowego plenum KC KPZR z  
1959 roku.

W tym czasie Związek Sowiecki importował 3-4 miliony ton  
zboża rocznie, przy produkcji własnej 141,2 miliony ton /USA  
- 186,6/. Przypomnijmy, że w rolnictwie amerykańskim pracuje  
3 proc. ogółu zatrudnionych, w ZSRR zaś - 50 procent. Areał  
upraw zbożowych i innych płodów wynosi: w USA - 141 mln ha,  
w ZSRR - 200 mln ha. Amerykanie produkują rocznie zboża w  
granicach 300 milionów ton, Rosjanie zaś 160-180 milionów  
ton. Dla przypomnienia, plany na obecną pięcioletkę zakłada-  
ły 200-220 mln ton. Amerykanie eksportują 150 mln ton zboża  
i pasz, Rosjanie zaś "doprowadzili" swój import do 50 mln  
ton w okresie 1984/1985!

W kategoriach ekonomicznych i jedno i drugie rolnictwo  
jest e k s t e n s y w n e, z tym, że zbiory zbóż w rolni-  
ctwie amerykańskim wynoszą przeciętnie 23 q/ha, w radzieckim  
natomiast - 13 q/ha.

Jest jeszcze jeden niezwykle ważki aspekt rozkładu rolni-  
ctwa sowieckiego, o którym pisała swego czasu "Russkaja  
Myśl", ukazująca się w Paryżu: "... kołchozy nie tylko nie  
spełniły ekonomicznych oczekiwań, które wiązano z ich utwo-  
rzeniem, lecz aktualnie stanowią one ponury obraz duchowego  
rozkładu tej warstwy społecznej na przestrzeni wieków będącej  
żywicielką kraju /.../ I nie tylko żywicielką kraju /.../  
miłość chłopa do ziemi, umiłowanie pracy, szacunek do życia  
ludzkiego, do osobowości człowieka - wszystkie te cechy, oś-  
wiecone wiarą w Boga, czyniły z rosyjskiego chłopa ostoję  
państwa".

Działki przyzagrodowe w ZSRR zajmują zaledwie 3 proc.  
areału, lecz dają 1/3 produkcji rolnej! 34 mln działek to:  
13 mln - w kołchozach; 11 mln - w gosselchozach /PGR-y/;  
10 mln - w posiadaniu mieszkańców miast. Jeśli zbiory ziemi-  
niaków w sektorze uspołecznionym wynoszą 7-8 ton/ha, to w  
gospodarstwach przyzagrodowych - 30 ton!

Prasa sowiecka szumnie doniosła, iż inwestycje w rolnict-  
wie /oczywiście - uspołecznionym/ w roku 1984 wyniosły 38  
mld rubli, co powinno stanowić wymowny dowód troski partii i  
rządu itp. A może sięgnijmy do innej statystyki, z której  
wynika, że dochody państwa z tytułu sprzedaży alkoholu wno-  
szą rocznie 45 mld rubli...



W rolnictwie efektywność inwestycji praktycznie nie istnieje, natomiast - według poufnego memoriału filii Akademii Nauk ZSRR w Nowosybirsku - w kraju zwyckiego socjalizmu rejestruje się 40 milionów alkoholików, co 6 dziecko rodzi się defektywne na skutek alkoholizmu rodziców, spożycie zaś sięga 30 l na 1 mieszkańca.

PLASZCZYZNA  
DEMOGRAFICZNA

"Nie było ani jednego państwa, które przeżyłszy schyłek demograficzny, przejawiający się starzeniem się ludności, nie upadłoby" - twierdził Alfred Sauvy.

Statystyki sowieckie nie od dziś zwracają uwagę na trwałą tendencję spadku urodzin w Federacji Rosyjskiej, zaś wzrostu w republikach środkowoazjatyckich. Proporcje wynoszą 1:2. W tej sytuacji zdecydowanie zmniejszył się udział narodów grupy słowiańskiej w stosunku do grupy tureckiej. Co oznacza termin "słowiański", wyjaśnia - w pewnym sensie - mistrz paradyksu Aleksander Zinowiew, który mówi: "Jako Rosjanin mam pełną świadomość, że w moich żyłach nie ma ani kropli krwi słowiańskiej".

Supremacja narodowościowa Rosji jest więc poważnie zagrożona i to ze wszystkimi implikacjami tego stanu rzeczy. Według specjalistów zachodnich w roku 2000 co drugi żołnierz Armii Czerwonej będzie "żółty". W przewidywaniu otwartego konfliktu komunizmu sowieckiego z islamem/wojna w Afganistanie, napięcia w stosunkach z Pakistanem i Iranem, płynna sytuacja na Bliskim Wschodzie/, wspomniana prognoza demograficzna nie może być budująca dla sowieckich generałów.

Ukraińcy dla odmiany stanowią 20 proc. ludności ZSRR, lecz zarazem wśród więźniów politycznych jest ich 40 proc. Postępująca rusyfikacja Ukrainy napotyka na rosnący opór, który wzrosnie zapewne w związku ze zbliżającym się tysiącletciem chrztu Rusi Kijowskiej - kolebki państwowości rosyjskiej, bezlitośnie spacyfikowanej jeszcze "za carów", a niemal uśmierczonej "za bolszewików".

Sytuacja demograficzna stanowi stosunkowo mało znane, aczkolwiek niezwykle wymowne oskarżenie władzy sowieckiej. Porównanie danych demograficznych /trzy kompletne spisy ludności - 1897, 1959, 1970/ pozwala wnioskować, że straty w latach 1914-1946 wyniosły 60 milionów ludzi; uwzględniając zaś zaludnienie obszarów zagarniętych przez Sowiety w wyniku drugiej wojny światowej - 40 milionów.

Według demografów sowieckich ludność ZSRR wyniesie w roku 2000 ok. 300-310 mln osób, podczas gdy Dymitr Mendelejew zakładał w swoich prognozach dla Rosji na rok 2050 - 800 mln...

PLASZCZYZNA  
SPOŁECZNO-POLITYCZNA

Tu kryzys przejawia się przede wszystkim w kompletnym rozkładzie więzi rodzinnych, więzi nieformalnych /atomizacja społeczeństwa i totalna kontrola ze strony państwa/ oraz w spadku aktywności zawodowej. Ilustracją tej sytuacji jest właśnie w szeregach garni ające pijanstwo, kiedy widok pijanego dziecka /poza dużymi aglomeracjami/ niko nie dziwi. Jeżeli w 1925 roku odsetek notorycznych pijaków wśród robotników wynosił ok. 11 proc., a alkoholików 3-4 proc. /doprawdy, znając "normy" sowieckie, trudno pojąć, gdzie przebiega granica.../ - to pod koniec lat siedemdziesiątych już ok. 37 proc. Natomiast w la-

tach obecnej dekady k l ę s k a sięgnęła swego apogeum, m.in. w kontekście "odmłodzenia" tej plagi. W 1925 roku odsetek młodzieży do lat 18, nadużywającej alkoholu, wynosił 16,6 proc., obecnie 90-95 proc.!

Najlepsi i najodważniejsi, jak Sołżenicyn, Sacharow, Orłow, Jemkin i wielu innych, od lat wskazywali, że próg niebezpieczeństwa jest tuż tuż, za nim zaś znajduje się z a - g ę d a b i o l o g i c z n a. Jedynie Sołżenicyn z nich jest obecnie w wolności. Sacharow na zesłaniu bez wyroku. Orłow, Jemkin, ojciec Gleb Jakunin, księga na Litwie, którzy próbowali założyć społeczną organizację do walki z alkoholizmem - w obozach koncentracyjnych... Trzeba zrozumieć wreszcie, że dzisiejszych władców Rosji Sowieckiej nie interesuje "odległa perspektywa" kompletnego zwyrodnienia narodu; ich interesuje s p o ł e c z e ń s t w o i n e r t n e, zatamitowane, pozbawione jakichkolwiek godziwych aspiracji życia duchowego, a nawet i materialnego, poza określonym /przez władze/ minimum, jednostki bez twarzy własnej, masy amorficzne.

Andriej Sacharow stwierdza w swoich "Rozważaniach o pokoju i postępie", że spożycie alkoholu w ZSRR wzrosło w stosunku do spożycia w Rosji carskiej trzykrotnie.

Ubocznym, ale chyba nie jedynym produktem rozkładu społeczeństwa sowieckiego na tle powszechnego pijaństwa jest r o z p a d r o d z i n y.

Według sowieckich statystyk, w 1960 roku na 1 tys. zawartych małżeństw przypadały 104 rozwody; w 1975 roku - 288; w 1977 roku - 323. Następnie zaprzestano publikacji tych danych, co - zgodnie ze znaną praktyką: problem nie znany, nie pokazany - nie istnieje - oznacza, że wszystko jest w najlepszym porządku. Ale w Rosyjskiej Federacji w 1984 roku rozpadło się co drugie !! małżeństwo.

Niewątpliwie spece od manipulacji i propagandy zdają sobie sprawę, że alkoholizm i rozpad więzi rodzinnych występują głównie /jeśli nie wyłącznie/ w Federacji Rosyjskiej, w europejskiej części kraju, natomiast skala zagrożenia maleje i niemal zanika na obszarach zamieszkałych przez ludy znajdujące się w kręgu oddziaływania islamu, a więc w Azji Środkowej. Stąd nasilenie presji, a nawet permanentnych ataków na "pokostości przeszłości", "religianstwo", "nacjonalizm", "hołdowanie starym obyczajom" itp. Trzeba rozbić, zdeintegrować i zdemoralizować tę zwartą i potencjalnie groźną dla władzy społeczność, oderwać ją od jej korzeni, które okazały się - wbrew oczekiwaniom sowieckich kolonizatorów - niezwykle mocne.

Faktem jest, że na początku agresji sowieckiej w Afganistanie próbowano użyć jednostek o znacznym odsetku ludności pochodzenia nierosyjskiego, lecz "żółty" żołnierz z czerwona gwiazdą na czapce po prostu nie chciał się bić w imię obcych mu racji, a "obiecanych" Amerykanów i Chińczyków w Afganistanie nie spotkał... Czy oznacza to, że Rosjanie, Ukraińcy i inni lepiej walczą? Poza elitarnymi formacjami komandosów i spadochroniarzy /ich liczba znacznie wzrosła ostatnimi czasami/, składającymi się zwyczajnie z przeszkolonych odpowiednio reżimieszków i zawodowych morderców, wartość bojowa żołnierzy 40-tej armii sowieckiej w Afganistanie jest niezwyk-

te niska. Pijaństwo, narkomania, handel /nawet bronią/, zata-rgi z oficerami /nawet zabójstwa ostatnich/, dezercja - oto zjawiska zwykłe dla codziennej rzeczywistości sowieckich oku-pantów. Tu zachodzi niewątpliwe sprzężenie zwrotne: morale rekrutów niskie, bo niskie jest morale młodzieży sowieckiej w ogóle; poziom moralny młodych i nie tylko młodych ludzi u-lega dalszemu obniżeniu na skutek powrotu krańcowo zdemoralizowanych żołnierzy z Afganistanu do kraju.

Trzeba wszakże pamiętać, że - według ocen ekspertów - przez "piekło afgańskie" przewinęło się przeszło 500 tys. młodych przeważnie ludzi. Ilu nie powróciło? Nie ma tu, oczy-wiście, oficjalnych statystyk. Źródła niezależne oceniają liczbę zabitych i ciężko rannych żołnierzy sowieckich na kil-kadziesiąt tysięcy. Można powiedzieć, że "to nic nie znaczy dla tego kraju". Tak, jeżeli Japończyków cechowała dawniej pogarda dla śmierci, to Rosjan zawsze pogarda dla życia - własnego, a zwłaszcza cudzego. Niemniej, jak stwierdzają na-der liczne źródła, w tym nieoficjalne sowieckie, w społeczeń-stwie ZSRR narasta /podskórnym nurtem/ frustracja na tle a-wantury afgańskiej.

Jeżeli na g l e telewizja pokazuje migawki z Afganis-tanu, a widz dostrzeżga płonące wozy opancerzone, helikoptery w akcji, piechotę zalegającą pod ogniem partyzantów; jeżeli czytelnik dowiaduje się, że korespondent "Izwestii" mógł lądować w oblężonym mieście /notabene w zeszłym roku trium-falnie "wyzwolonym"/ jedynie pod warunkiem, że helikoptery "zduszają" na moment lądowania ogień przenośnych rakietnic przeciwlotniczych partyzantów; jeżeli dowódca wozu opance-rzonego informuje innego dziennikarza: "Najechałeś na gałąź na drodze - wybuch. Zjechałeś na pobocze - wybuch. Anteną zahaczyłeś o drzewo - wybuch" - to niech mi dają rodzimi publicyści - donoszący z satysfakcją o obwieszczonych przez Bąbraka Karmala wyborach do rad lokalnych - widz i czytelnik sowiecki /o polskim już nie wspomina/ powie jedno: "... tuł czo-to nie tak...".

Skoro o "wyborach", o których była mowa i w polskiej pra-sie i w telewizji, otóż na 29 prowincji Afganistanu "wybory" mają się odbyć do końca roku zaledwie w czterech...

X X X

Podczas swego pobytu w Warszawie wiosną 1985 r. nowo kre-owany "gensek" KC KPZR, Michaił Gorbaczow, w rozmowie z Ja-ruzelskim zdobył się na zaskakującą szczerość, stanowiącą zarazem pośrednią krytykę faktu wyboru Konstantina Czernien-ki, po śmierci Jurija Andropowa, na stanowisko Sekretarza Generalnego: "Straciliśmy jeszcze bez mała dwa lata, a czas nagli. Wyczerpał się dynamizm eksperymentów /.../ należy przechodzić do stworzenia całościowego systemu gospodarowa-nia i zarządzania...".

Jeżeli uwzględnimy, że o reformie w ZSRR m ó w i s i ę od połowy lat pięćdziesiątych - to stracono więcej, aniżeli dwa lata. Wystarczy przypomnieć reformatorskie zapędy Nikity Chruszczowa, które zmierzały do stworzenia "sownarchozów", czyli terytorialnych kompleksów gospodarczych, korzystają-cych ze znacznego marginesu niezależności względem centrum. Godzi się również przypomnieć, że za Breżniewa premier Alek-siej Kosygin co najmniej dwukrotnie próbował od nowa zapo-czątkować reformy gospodarcze, mając pełną świadomość, że mo-



del sowiecki jest anachroniczny, nieefektywny i niezwykle marnotrawny.

Również Jurij Andropow pragnął zasłynąć jako "reformator" /udało mu się to tylko częściowo: na łamach warszawskiej "Polityki" po jego śmierci ukazał się panegiryczny artykuł o takim właśnie tytule/, ale skończyło się na polowaniu na ludzi w kawiarniach, kolejkach i żaźniach, gdzie "budowniczo- wie komunizmu" spędzali czas bynajmniej nie wolny od pracy.

W s z y s t k i e dotychczasowe "eksperymenty" i "reformy" w Kraju Rad spotkał tempam los - centrum nie dopuściło do liczących się kroków, mogących zagrozić szczególnej pozycji nomenklatury.

A "nomenklatura" - to nie mit. To r e a l n a siła, dobrze zorganizowana, złączona wspólnotą interesów, mająca wymierną pozycję ekonomiczną, konkretny stan posiadania, stanowiące dorobek jej niekontrolowanych i autokratycznych rządów. To 2 0 m i l i o n ó w l u d z i. Biurokracja partyjna, biurokracja państwowa, kompleks wojskowo-przemysłowy i wreszcie /a może przede wszystkim/ aparat przymusu i represji... To ONI: Bajbakow, przewodniczący Gosplanu, kolejni szefowie KGB, w tym także Andropow; resortowi ministrowie - żonglerzy wskaźnikami i statystykami, z których wynika coraz mniej; to marszałkowie Ustinow /zmarły niedawno/, Ogarkow, Kulikow, admirał Gerszkow i kohorty ich urzędników, oficerów i czekistów, dobrze opłacanych, korzystających z niespotykanych nie tylko w Rosji, ale nigdzie na świecie, przywilejów, nieodpowiedzialnych ani wobec narodu, ani partii, która jest fikcją /bo istnieje tylko aparat partyjny/, ani Boga /w którego nie wierzą/, ani historii/, ostatnią kartę której - ich zdaniem - wypełnia właśnie ONI...

Nikt ciągle nie wie, na dobrą sprawę, co reprezentuje sobą Michaił Gorbaczow - "super-star" prasy zachodniej i krajów socjalistycznych. Że zwalcza alkoholizm? Andropow też to czynił, a zmarł na niewydolność nerek, jako przysięgły amator whisky, w czym, nawiasem mówiąc, prasa zachodnia upatrywała dowód jego... postępowości. Że spędził kiedyś incognito urlop we Francji? Że jego żona potrafi gustownie ubrać się, korzystnie odróżniając się w ten sposób od Ninny Chruszczow czy małżonki Gromyki? Że potrafi odróżnić - w przeciwieństwie do innych mężów stanu "realnego socjalizmu" - takie pojęcia, jak "plan" i "program"?

"... Rozwijając nadal zasadę scentralizowanego rozwiązywania zadań strategicznych, trzeba śmiało posuwać się drogą rozszerzania praw przedsiębiorstw, ich samodzielności, wdrażać rachunek gospodarczy i..." - tak, tak, to słowa Michaiła Gorbaczowa. Słowa, które już wypowiedzieli przed nim tak Chruszczow, jak i Breżniew, tak Kosygin, jak i Andropow.

W Komitecie Centralnym i w wielu sowieckich instytucjach nadal siedzą ludzie /np. minister handlu zagranicznego Kato- liczew, czy wspomniany Bajbakow/, którzy okłaskiwali jeszcze genialne pomysły Chruszczowa, dotyczące kompleksów teryto- rialnych. Ci sami ludzie, którzy następnie z oburzeniem potępiali "niedorzeczne" woluntarystyczne koncepcje obalonego przywódcy. Dziś ci s a m i towarzysze optują, niepomni niczego, za tym samym pomysłem, nawet nie w nowym opakowa- niu... Ich żądnymi pomysłami z siódma nie wysadzisz. O co się walczyło w Październiku 1917 roku?...



Ze podcinają gałąź, na której siedzą? Po pierwsze, ONI siedzą w fotelach, podróżują w opancerzonych "Czajkach" i ŻIL-ach, mają daczę pod Moskwą, nad Morzem Bałtyckim, w So-  
szi i gdzie tylko będą sobie życzyć... Gdyby zechcieli pochy-  
lić się w zadumie nad np. s t r u k t u r ą i m p o r t u  
/ok. 40 proc. maszyny i urządzenia i przeszło 20 proc. zboże  
i artykuły spożywcze/, bądź rzucić okiem na s t r u k t u -  
r ę e k s p o r t u /12 proc. - maszyny i urządzenia, nie-  
mal wyłącznie do krajów RWPG, i przeszło 50 proc. paliwa/ -  
może wówczas... Ale nie... ONI wiedzą, że "Kraj Rad" jest  
p o t ę g ą b e z w i e l k o ś c i, której egzystencja  
związana jest w y ł ą c z n i e z szantażem atomowym; która  
bardziej aniżeli Rosja carska, jest "więzieniem narodów";  
która nie sprostała wyzwaniu rewolucji naukowo-technicznej i  
technologicznej, natomiast rzuciła bezwzględne wyzwanie poko-  
jowi na całym świecie, stawiając ludzkość w obliczu tragicz-  
nych dylematów.

Z impasu, w którym znalazł się potężny kraj, przywódcy  
kremlewscy widzą - zgodnie z programowymi tezami Lenina o wo-  
jnie i pokoju z 1919 roku - tylko jedno wyjście: KONFRONTACJĘ.

Andrzej Kurbski

Stefan Kościelec

## Patrząc na Chiny...

Mówiąc o sprawach polskich warto czasem spojrzeć na... Pe-  
kin, a nie tylko na Moskwę, Berlin, Bonn i Waszyngton. Komu-  
nistyczne Chiny i Rosja są swymi naturalnymi wrogami i konk-  
urentami, właśnie przez bliskość ideologii i podobieństwo mo-  
delu gospodarczo-politycznego. Historyczny spór o ogromne ob-  
szary Azji - odebrane a niezaludnione należycie przez Rosję -  
też nie jest tu bez znaczenia.

Chiny chcą być światowym mocarstwem i mają po temu obiek-  
tywne warunki: ludność, teren, zasoby, poczucie państwowe i  
narodowe, tradycje. Miotały się jednak na drodze wiodącej do  
tego celu. Próba stania się potęgą gospodarczą drogą "Wiel-  
kiego Skoku" poniosła fiasko. Próba przekształcenia się w po-  
tęgę ideologiczną i skutecznego pociągnięcia "światowej wsi"  
przeciw "światowemu miastu" przy pomocy "Rewolucji Kultural-  
nej" - tak samo. Obecnie Chiny dążą do potęgi, zachowując si-  
lną władzę polityczną i ideologiczną, co w ich warunkach jest  
chyba w pełni możliwe, a zarazem wreszcie pozwalają rozwijać  
się gospodarce przy pomocy wypróbowanych i najskuteczniejszych  
metod; w gruncie rzeczy na drodze kapitalistycznej /choć się  
tego tak wprost nie nazywa/ i przy ożywionej współpracy z  
najbardziej rozwiniętymi krajami /USA, Japonia, członkowie  
EWG/.

Ograniczone potrzeby, pracowitość, dyscyplina, ambicja i  
bardzo stara kultura - to wszystko, przy dopływie nowoczesnych

technologii i kapitałów, daje szansę Chinom na powtórzenie modelu rozwoju Japonii i to w krótkim już bardzo czasie. Konsekwencje natury wojskowej i politycznej tego rozwoju nie każą na siebie długo czekać.

Jeśli Rosja pod rządami Gorbaczowa zaczyna się dzisiaj miotać, poszukując sposobu na podniesienie ogólnej efektywności gospodarki i wydolności systemu, to nie po to, aby dogonić Zachód, co jest już raczej niemożliwe, lecz aby sprostać wyzwaniu ze strony Chin. Szanse, że to się jej uda, są jednak bardzo niewielkie.

Gospodarka radziecka znajduje się wprawdzie na wyższym poziomie niż chińska, a w każdym razie jest bardziej rozbudowana - chodzi głównie o przemysł - lecz funkcjonuje o wiele gorzej. Chińczycy idą na strukturalne zmiany ekonomiczno-społeczne, likwidując w praktyce komuny rolne i tworząc gospodarkę chłopską, a w przemyśle i innych gałęziach gospodarki, przechodząc na działanie praw ekonomiki, współpracę z obcym kapitałem itp. Gorbaczow natomiast unika zmian systemowych, narzuca jedynie od góry usprawnienia organizacyjne, dyscyplinuje, dokonuje wymiany kadr na młodsze i bardziej wykształcone. Jeśli zmiany te nie rozbiją się o inercję i opór aparatu oraz brak odczuwalnego zainteresowania ze strony społeczeństwa, to w najlepszym wypadku przyniosą bardzo ograniczoną poprawę.

Wynik konkurencji radziecko-chińskiej wydaje się więc być przesądzony w wymiernym historycznie okresie, zważywszy, że USA nie będą tutaj bezstronne, bo chcą zlikwidować globalne zagrożenie radzieckie, a chińskie im jeszcze długo nie grozi.

Zmiana w układzie sił: ChRL-ZSRR musi doprowadzić do skokowego przesilenia. Historia uczy, że nie odbywa się to przy pomocy licytacji słownej posiadanymi atutami, lecz drogą rozgrywki przeważnie militarnej. Odbędzie się ona w warunkach, gdy w ślad za likwidacją radzieckiej przewagi gospodarczej, nadejdzie likwidacja przewagi militarnej. Gdy Chiny będą miały porównywalny niszczycielski potencjał - rakiety, głowice - i więcej bardziej wytrzymałych i skłonnych do poświęceń żołnierzy. A przy tym ChRL nie ma porównywalnych z Rosją problemów narodowych i religijnych.

I tu stanowisko Ameryki łatwe jest do przewidzenia, przy czym efektywna pomoc z jej strony nie musi mieć charakteru czynnego udziału w walkach. Chodzi o to, by uniknąć casus belli, nie narażać terytorium USA, nie tworzyć nowych teatrów wojny, nie wciągać sojuszników z NATO. Można powiedzieć, że Rosja będzie miała dość problemów z Chinami, aby też nie rozszerzać konfliktu.

Ameryka najprawdopodobniej przyspieszy wybuch konfliktu i włączy się weń na etapie, kiedy Chiny nie będą jeszcze w stanie same sobie poradzić na sto procent. Chodzi o to, by mogła ona kierować konfliktem i przerwać go, gdy uzna, że jej cele są już zrealizowane. A celem tym nie jest bynajmniej likwidacja Rosji i zastąpienie jej Chinami, lecz pozostawienie obu stron na trwałym statusie drugorzędnych mocarstw światowych oraz pozbycie się wszelkiej konkurencji politycznej i militarnej.

W przypadku Rosji, który nas bardziej obchodzi, trzeba by się liczyć, być może, z jakimś zachowaniem jej wpływów poza

jej granicami, lecz nieprawdopodobne wydaje się utrzymanie panowania ZSRR w tych krajach imperium, w których opór byłby odpowiednio silny, a i nacisk Zachodu, praktycznie USA, byłby zgodny z tymże oporem. Jeśli przy takim obrocie wydarzeń potrafilibyśmy dać głos w odpowiedni sposób i w odpowiednim momencie - nie spóźniając się i nie narażając na przedwczesną represję - wówczas do dyskusji mogłaby pozostać jedynie linia Curzona i to nie wiadomo czy z Moskwą, czy też z Kijowem, Mińskiem i Wilnem...

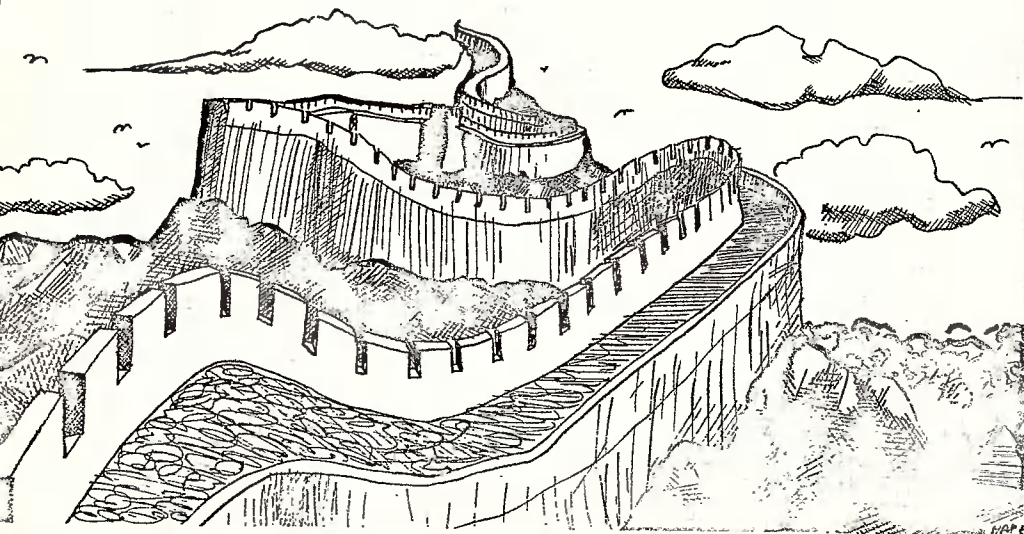
X X X

Mamy oto powyżej wywód, w którym wszystkie przesłanki wyjściowe są chyba prawdziwe, a tok rozumowania wydaje się logiczny i konsekwentny. Do tego wniosek krzepiący, pozwalający spokojnie udać się na kolejną Mszę za Ojczyznę, nie dbając o to, że Pan Bóg daje - czasem - wygrać na loterii tym, którzy nie tylko się modlą, lecz również skłonni są cokolwiek postawić.

I właściwie nie można powiedzieć, że przedstawiony tu przebieg wydarzeń jest absolutnie niemożliwy. Teoretycznie może być również i tak, lecz warto może przeciwzyć także i inne warianty...

Stefan Kościelec

中国





# Fakty-Sygnaly-Opinie

MARKSIZM JEST W DEFENSYWIE

/Rozmowa ze Zbigniewem Brzezińskim/

- Panie profesorze, pański esej opublikowany w kwartalniku "Foreign Affairs" o możliwościach przewyciężenia konsekwencji Jałty wywołał bardzo znaczne i żywe reakcje w Europie Wschodniej - tak oficjalne, ze strony rządowych śródków przekazu, jak z kół niezależnych. Natomiast na zachodzie Europy reakcje były mniej żywe. Czy pan się tego spodziewał?

- Trzeba rozróżnić reakcje na Zachodzie. W Stanach Zjednoczonych reakcja była dosyć znaczna i w zasadzie pozytywna. Nie entuzjastyczna, ale pozytywna. Dość duże zrozumienie wykazały szczególnie koła naukowe i ludzie, którzy zawodowo zajmują się sprawami zagranicznymi. We Francji i we Włoszech reakcje były pozytywne, w Anglii raczej przeważały negatywne. Brytyjczycy wychodzą z założenia, że odejście od Jałty jest przedczesne, że zaszkodziłoby detente, skomplikowało stosunki Wschód-Zachód. W Niemczech reakcja była negatywna, nie spotkałem się z żadnym poważniejszym oddźwiękiem pozytywnym. Niemcy uważają, że najważniejszą sprawą jest problem ogólnoniemiecki, że Republika Federalna Niemiec powinna prowadzić niezależną politykę wschodnią, szczególnie w kwestii niemieckiej, i wobec tego zalecenia zawarte w moim artykule uznano za szkodliwe z niemieckiego punktu widzenia.

- Czy chodziło im szczególnie o postulat potwierdzenia nienaruszalności wszystkich istniejących w Europie granic?

- Sprawa granic była raczej pomijana. Niemcy sądzą, że poruszanie sprawy Jałty, kwestii przyszłości Europy w szerszej perspektywie, odciągnęłoby Niemcy od koncentrowania się na problemie niemieckim, od budowania pomostów z Niemcami Wschodnimi, od stwarzania lepszych warunków dla współpracy między Niemcami Zachodnimi a Rosją sowiecką.

- Na wschodzie Europy - tak Bowin w "Izwiestiach" jak Broniarek czy Wojna w "Trybunie Ludu" - polemizując z pańskim artykułem podnosili głównie sprawę niemiecką. W wygodny dla siebie sposób pomijali kwestię gwarancji granic i wyciągali argument, jakoby w wypadku rewizji Jałty sprawa niemiecka odrodziła się, a najbardziej ucierpiałaby na tym Polska. Czy sądzi pan, że w Niemczech istnieją jeszcze tak silne tendencje rewizjonistyczne wobec polskich ziem zachodnich, jak twierdzi propaganda PRL?

- Wydaje mi się że te tendencje zanikają. Proces ten jest jednak dość powolny i nie można wykluczyć, że w jakichś zupełnie odmiennych warunkach w przyszłości pogłyby się odrodzić. Ale Niemcy są coraz bardziej skłonni uznać obecne terytorialne status quo. Jest to nurt bardzo ważny, którego podtrzymywanie wymaga większego zrozumienia przez Niemców specyfiki Europy Wschodniej; muszą oni pojąć, do jakiego stopnia przyszłość Niemiec zależy od większego niezależnienia

Polski od Rosji. Do tego właśnie zmierzał mój artykuł.

- Ernest Skalski, niezależny publicysta krajowy, w swojej broszurze o Jakcie pisał, że koszty utrzymania imperium sowieckiego stają się dla Rosji coraz wyższe i coraz bardziej dotkliwe. Skalski sądzi, że w pewnym momencie dla Moskwy będzie wygodniejsze wyrażenie zgody na taką ewolucję Europy Wschodniej, jaką pan przewidywał, czyli ewolucję w kierunku większej niezależności, wydajniejszej gospodarki itd. Czy dostrzega pan oznaki takiego procesu w Rosji rządzonej przez Gorbaczowa? Doniesienia z Moskwy i Warszawy zdają się świadczyć o czymś wręcz przeciwnym, o wprowadzeniu stalinowskiego modelu traktowania krajów Europy Wschodniej.

- Wyrażenie przez Moskwę zgody na bardziej normalny stan rzeczy w Europie Wschodniej wydaje mi się rzeczą nieosiągalną. Kreml w żadnym momencie nie będzie gotów na świadome i celowe wyrażenie zgody na zmianę status quo. Natomiast rzeczą nieuniknioną jest powolna akceptacja de facto ewolucyjnego procesu zmian w Europie Wschodniej. Żadne ze znanych w historii imperiów nie zniknęło dlatego, że władza zgodziła się na jego likwidację. Zmiany polityczne, psychologiczne i kulturalne następowały powoli: spowodowały one ewolucję tych imperiów, ich przekształcenie się w coś zupełnie odmiennego. Moim zdaniem to właśnie musi z czasem nastąpić w Moskwie. W tym procesie mogą ujawniać się pewne dialektyczne przemiany nawet w kierunku przeciwnym: nie wykluczam, że Gorbaczow stara się obecnie o zacieśnienie więzów między Europą Wschodnią a Rosją Sowiecką, ale na dłuższą metę osiągnięcie tego celu mu się nie uda, ponieważ kierunek rozwoju w Europie Wschodniej zmierza do zdobycia przez poszczególne państwa większej autonomii, która z czasem zacznie przeradzać się w niezależność.

- Wspomniał pan w swoim esej o konieczności potwierdzenia porozumień helsińskich i kontynuowania tak zwanego "procesu pohelsińskiego". Czy jest to jednak możliwe? Kiedy w dziesiątą rocznicę podpisania Aktu Końcowego KBEW Szewardnadze powiedział wyraźnie, że Związek Sowiecki nie godzi się na łączenie "ideologicznej" kwestii praw człowieka ze sprawą poprawy stosunków międzynarodowych, nikt z obecnych przedstawicieli Zachodniej Europy nie zaprotestował. Czy przypadkiem Europy Zachodnia nie jest gotowa złożyć prawa człowieka - nie swoje oczywiście, lecz prawa narodów Europy Wschodniej - na ołtarzu poprawy stosunków z Moskwą?

- W Europie Zachodniej bezwzględnie występują tendencje ku szerokiemu przystosowaniu się do sąsiedztwa ze Związkiem Sowieckim. Ale moim zdaniem nie powinno się z tego wyciągać wniosku, że karta helsińska jest szkodliwa. Wręcz przeciwnie. Sam fakt jej istnienia zmusza przywódców sowieckich do zajęcia stanowiska defensywnego. Muszą oni bronić się przed zarzutami państw zachodnich o naruszaniu praw człowieka. Karta helsińska daje Zachodowi podstawę do poruszania tej kwestii. Ameryka czyni to nieustannie. Nie przesądzam przyszłego stanowiska Europy Zachodniej wobec tej sprawy. Obecnie przechodzimy okres, w którym Europa Zachodnia rzeczywiście jest skłonna do ustępstw, ale to nie musi trwać wiecznie. Spójrzmy na przemiany, jakie nastąpiły w społeczeństwie francuskim, szczególnie w kręgach intelektualistów. Marksizm jest w całkowitej defensywie. Związek Sowiecki nie jest poważnie brany pod uwagę jako model przyszłości. Są to bardzo istotne przemiany oddziałujące na ogólne stanowisko europejskiej opinii publicznej.

- Ktoś powiedział żartobliwie, że we Francji wszyscy popierają "Solidarność" - lewica, ponieważ "Solidarność" jest związkiem zawodowym, a prawica - ponieważ "Solidarność" jest antykomunistyczna. W Anglii z kolei wszyscy są przeciwni "Solidarności": lewica dlatego, że "Solidarność" jest antykomunistyczna, a prawica - ponieważ "Solidarność" jest związkiem zawodowym. Jak wobec tego, pańskim zdaniem, kształtować się będzie poparcie dla niezależnych ruchów społecznych istniejących i powstających w bloku sowieckim? Czy będzie ono w Europie Zachodniej malało czy rosło?

- Sądzę, że ruch oporu w Europie Wschodniej będzie się powoli poszerzał. To nie nastąpi w sposób nagły, dramatyczny. To, co się stało w Polsce ma niesłychane znaczenie. Przed dziesięcioma laty nawet w najśmielszych marzeniach nikt nie mógł się tego spodziewać. Kto mógłby wówczas przypuszczać, że komunizm poniesie tak nieprawdopodobną, spektakularną klęskę, jaką poniósł w Polsce?! Przykład Polski na pewno oddziałuje na inne kraje Europy Wschodniej, może w sposób niezbyt widoczny w tej chwili, ale w najbliższych pięciu czy dziesięciu latach stanie się to w pełni odczuwalne, co z kolei będzie miało wpływ na opinię publiczną Zachodu.

- Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał: Jacek Kalabiński  
/"Przegląd Polski"/

### PRÓBA BILANSU

/Głos w dyskusji/

10 milionów. Nigdy jeszcze w historii Polski tylu ludzi nie wstąpiło w szeregi, legalnie co prawda, ale bez błogosławieństwa rządzącej władzy, istniejącej organizacji. Status związku zawodowego sprawił, że akcesu nie mogli dokonać uczniowie, siłą rzeczy odpadli wojskowi. Gdyby nie to, mielibyśmy chyba z 15 milionów.

13 grudnia 1981 r. "Solidarność" formalnie przestała istnieć i już następnego dnia podjęto próby bilansu. Jaki był ten Związek, czy czegoś dokonał, czy był tylko efemerydą, jakie popełnił błędy, ilu z tych 10 milionów /pozostaliśmy przy tej liczbie/ zdało egzamin choćby na "3", ilu było cwaniaków, ile wtyczek? Parametry do tych szacunków brane były z faktów i realnej oceny, ale i z fusów, nastroju, sytuacji szacującego, stopnia rozczarowania, atmosfery w domu i w zakładzie pracy, czy w środowisku. Kształtowały się więc one w sposób bardzo zróżnicowany. Wachlarz opinii był szeroki - od "wielcy pokonani" do "kompromitacji" i "klapy". Przeważało jednak rozczarowanie. Tylu ich /nas/ było, a niczego nie wymyślili, nie zabezpieczyli się, wzięto ich jak dzieci, siła była tylko w gębie. Wystarczyła jedna noc i po balu.

Potem pokazały się pierwsze, bardziej wyważone opinie, sądy, oparte na przemyśleniach, dyskusjach, głosach tych,



których zdanie miało jakiś ciężar gatunkowy. Surowe, ale już bliższe prawdy. A jaka jest ta prawda?

Zróbmy pewne założenia.

1. Jeśli przyjmiemy, że na 10 ludzi w każdym kraju cywilizowanym przypada przynajmniej jeden głupiec, jeden drań i jeden koniunkturalista, to zakładając nawet, że niektóre z tych "typów" łączą w sobie wyżej wymienione cechy, wypada nam, że na 10 milionów członków "Solidarności", 2 miliony to osły i szmaciarze. W tym sporo "oddelegowanych" - tak to nazwijmy umownie. Dwa miliony bądź z nastawieniem, żeby walić kłody pod nogi, bądź psujących wszystko co się da, po prostu z głupoty. Procent ten w kierownictwie Związku był z pewnością niższy, powiedzmy, że nawet znikomy, ale był. W organach kierowniczych szczebla terenowego zbliżał się prawdopodobnie do średniej krajowej. Wnioski nasuwają się same.

2. Nigdy jeszcze w historii ruch społeczny nie potrafił w ciągu kilkunastu miesięcy skryształizować taktyki i strategii. Formacje ideologiczne, znaczące w dziejach, potrzebowały na to kilku, jeśli nie kilku dziesiątków lat. Ileż to czasu potrzebowały demokracje zachodnie, faszyzm, narodowy socjalizm, czy bolszewizm na to, by ich program oraz "metody nacisku i perswazji" okazały się skuteczne. A tu zaledwie 16 miesięcy...

3. Jakie błędy popełniła "Solidarność"? Można mówić o błędach taktycznych, bo strategicznych nie popełniła, jej szanse zawsze uwarunkowane były tzw. racją stanu i najbliższym sąsiedztwem. Wielu mówi: Bydgoszcz. Pierwsza próba sił po Sierpniu i daliśmy się wymanewrować! A co mieliśmy zrobić? Strzelać /z czego/? Podpalać /co/? Protestować /gdzie/? Inni jeszcze uważają, że pamiętne posłanie do zniewolonych braci obraziło i oburzyło Wielkiego Brata. Jakby ten Brat był podatny na takie uczucia. A przecież zawsze wysoko nieśliśmy hasło "Za Waszą i Naszą Wolność". Posłanie było tylko nadaniem konkretnego wymiaru tej idei. Można było o s t r o ż n i e j, można było unikać wielkich słów, ale nastroj społeczny wymagał, aby przynajmniej od czasu do czasu rzucić jakieś hasło ważne i krzepiące, jakieś słowa potwierdzające, że rządy dusz sprawują patrioci, ci, z których jesteście dumni.

Nie brak głosów, że we frazeologii niektórych tekstów czy wystąpien zbyt "pobrzękiwały" akcenty antyradzieckie. Tak było, ale po pierwsze - jest to zgodne z naturą człowieka uczciwego, a po drugie - nadawało to tym słowom wiarygodność i stanowiło emocjonalne iunctim między piszącym /czy mówiącym/ a masami dla których były te słowa artykułem pierwszej duchowej potrzeby.

4. Związek istniał i próbował działać w warunkach bez precedensu w krajach naszego bloku. Rutyna i doświadczenie mówiły, że szanse - choćby częściowego - partnerstwa "Solidarność" miała jak "Żyd na okupację", bo p r a k t y k a cześniowacko-węgiersko-berlińska świadczyła dowodnie, iż czerwony zawsze rusza czołgami, gdy centrala uzna, że trzeba dać po łbie. Tak było i tym razem.

5. Teraz możemy już mówić tylko o tym, co zostało z tych 16 miesięcy tej jakby pół-niepodległości, bo chyba dla wszystkich jest jasne, że bez względu na to, co by się nie mówiło pod koniec 1981 roku w Radomiu czy w Gdańsku, operacja rozbi-

cia Związku była z całą pewnością przesądzona i jedyną wartością ruchomą w ich planie była data.

Zostało sporo. Głównie przekonanie, że istnieje jakaś forma organizacyjna i towarzyszący jej zestaw haseł /program to może zbyt duże słowo/, nadal atrakcyjny dla społeczeństwa. Przy pomyślnej koniunkturze mogący się odrodzić w ciągu dosłownie kilku godzin. Związkowy gabinet cieni okrzepł i trwa, sprawdził się w 75 proc., w najtrudniejszych, a więc wiarygodnych, warunkach terroru i prześladowań.

Ci, o których mowa, to ludzie wartościowi, z charakterem i autorytetem chyba większym, niż wtedy, gdy słyszeliśmy ich po raz pierwszy z trybun i związkowych "barykad". Wtedy mieli tylko mniej lub bardziej fascynującą teraźniejszość, teraz przemawia za nimi i przeszłość, próba krat.

Ci, których wysoka fala solidarnościowa wyniosła na czoło pochodu, na ogół zdali egzamin twarzy i charakteru, zarówno ci, którzy mieli już za sobą lata walki z reżimem, jak i ci, których nazwiska nic nam nie mówiły przed Sierpniem 1980.

Wrzućmy teraz trochę dziegciu do tej beczki miodu:

A. Kraj o wiele lepiej niż emigracja zniósł czas po 13 grudnia. Było, co prawda, trochę polemik bez sensu, trochę wzajemnych przepychanek i pretensji, nie brakowało rozdźwięków. Ale to ludzkie, tak jest wszędzie. Agendy związkowe i afiliowane za granicą nie wszędzie sprawdziły się na miarę naszych marzeń. Można na to odpowiedzieć, że tak bywa zawsze, czego dowodzi praktyka i historia. Z pewnym dystansem warto tu zacytować znane sformułowanie Bierdiajewa, że zarówno komunizm, jak i chrześcijaństwo, lepiej znoszą próbę prześladowań, niż próbę triumfu. Tak było i z "Solidarnością".

B. Zbyt mało, jak na potrzeby społeczne, było po 13 grudnia przykładów nie tylko skutecznego, ale i brawurowego działania. Przez prawie cztery lata spadło kilku czołowych działaczy, kilkunastu "odklepało" - wszystko jakby w normie. Wielu jest nadal nieuchwytnych dla bezpieki, na miejsce tych, którzy czasowo, czy na stałe, wypadli z gry - przyszli nowi. Już nie do gotowego, jak twierdzili niektórzy w okresie 16 miesięcy, ale ich akces miał i ma miejsce w warunkach nobilitujących te desperackie decyzje.

Wspomniane wyżej brawurowe działania, to przykładowo ucieczka Narożniaka, pomysłowe akcje ulotkowe, przebitki na ekranach TV i radio "Solidarność". To m.in. słynne już przemówienie Bujaka przez głośniki na Placu Wilsona 31 sierpnia 1985 roku. Ale to trochę mało. Akcje strajkowe i protestacyjne - o dziwo - skuteczniejsze były w czasie stanu wojennego, przy o wiele dalej idących konsekwencjach. Tymczasem demonstracja nie musi być strajkiem czy pochodem, może wyrażać się w innej formie. Na przykład chodzeniem konkretnego dnia tylko nieparzystą stroną ulicy albo ogłoszeniem przez TKK, w związku z jakąś konkretną datą, "Dnia wzorowej pracy i uprzejmości". W fabrykach robota na "sześć fajerek", w usługach szczególna uprzejmość i życzliwość, w szkołach wszyscy przygotowani do lekcji, wszędzie punktualność, uśmiech, troska o wygląd itd. Taka akcja, jak sądzę, ma szanse na bardzo szeroki zasięg, bo trudno wyobrazić sobie represje za pozytywną nadwyżkę w stosunku do "normy krajowej".

Zbilansujemy więc niniejsze rozważania. Jest lepiej, niż można było wyobrazić sobie sytuację w prawie cztery lata po pamiętnym wiarokomstwie czerwonego; jest lepiej, z tamtej właśnie perspektywy. Brutalnie wytłumione emocje i nadzieje mimo wszystko tlą się żywo i uparcie. Drugi obieg funkcjonuje znakomicie, mimo wpisanych w kalkulację wpadek drukarni, kolportażu, a niekiedy i redakcji. Ma on coraz szerszy zasięg, docierając również do szkół. Edukacja patriotyczna i społeczna osiągnęła poziom i zakres trudny do wyobrażenia przed kilku laty. Straciliśmy na możliwości manewru, zyskaliśmy na świadomości i wierze w słuszność postaw i wyborów.

A to jest ta właśnie siarka, którą czerwony smok musi kiedyś się udławić. Wie o tym i stąd jego permanentna zgaga.

/R./

### "VIDEO IZ RASSIJI..."

Reżyser i publicysta amerykański, Diwiatkin /zapewne potomek emigrantów rosyjskich/, odwiedził Związek Radziecki, w efekcie czego powstał film "Video iz Rassiji - Mówi narod". Jak stwierdza pisarz i dziennikarz emigracyjny Sergiej Dawłatow, który osobiście zna Diwiatkina, jest to twórca dociekliwy, obiektywny, komunikatywny, zaś znajomość języka rosyjskiego niewątpliwie była mu wielce pomocna podczas jego peregrynacji po miastach, miasteczkach i osadach Kraju Rad, w trakcie licznych rozmów zarówno z dziarskimi komsomolcami, jak i z wiekowymi starowinkami w chustach, zarówno z pewnym siebie aparaczkikiem, jak i robotnikiem w rozdeptanych butach z cholewami, utyskującym na trudności z utrzymaniem żony i sześciorga dzieci. Rozmawiał Diwiatkin także z radzieckimi pankami, którzy w swoich wypowiedziach byli mniej "urzędowi" w porównaniu z przytłaczającą większością ludzi radzieckich, głoszących "jak jeden mąż" /czy też żona/ pochwałą pokojowej polityki Związku Radzieckiego i stanowcze potępienie dla agresywnych zakusów imperialistów amerykańskich.

Sergiej Dawłatow załamuje ręce nad postawą Diwiatkina i innych amerykańskich intelektualistów, a właściwie nie tylko. "Dlaczego wypowiedzi Rosjan są tak do siebie podobne?" - dziwi się.

A to przecież jasne dla każdego mieszkańca imperium sowieckiego, a przede wszystkim dla "prostego sowieckiego człowieka", że decydując się na rozmowę z "inostrancem" staje on niejako do... egzaminu. W tym momencie patrzy na niego, w jego najgłębszym przekonaniu, cały Kraj Rad i co najmniej połowa naszego globu. W tym momencie losy wojny i pokoju na całym świecie zależą od tego, co on powie i czy przekona od razu tego "inostranca", który przecież, co tu dużo mówić, jeśli nie jest etatowym funkcjonariuszem CIA, to już na pewno - "oswiadomitelem", czyli informatorem, czyli po prostu szpiclem w języku ludzi normalnych. Bo przecież - rozumuje taki obywatel "najbardziej wolnego i szczęśliwego społeczeństwa" - w przeciwnym razie, jak by on mógł wyjechać za granicę, mieć taki sprzęt i w ogóle po co jemu cała ta



zabawa?

Swego czasu w telewizji moskiewskiej wyświetlano film amerykański, poświęcony wątpliwym praktykom CIA. Podobno cieszył się on ogromnym powodzeniem. Również pewien dociekliwy korespondent /chyba również agent, ale czyj?/ sondował opinie radzieckich widzów na temat tego filmu, którzy zgodnie twierdzili, że taki film na pewno nie był wyświetlany w USA! Na kolejne pytanie, w jakim celu w takim razie został nakręcony, odpowiedzieli równie zgodnie: "w celach zysku, tam o wszystkim decyduje zysk...".

Wracając do filmu "Video w Racji - Mówi naród", Amerykanów uderzyła ta sowiecka jednomyślność i szablon odpowiedzi i nijak nie są oni w stanie pojąć "historycznej odpowiedzialności każdego radzieckiego człowieka za losy świata", o którym, tak na marginesie, wie on żałośnie mało, a właściwie nic...

W kadrze filmu Diewiatkina pojawia się młoda i ładna dziewczyna, która zapewnia /kogo?/, że "Amerykanie pragną wojny". Na pytanie - dlaczego, na jakiej podstawie ona tak myśli - odpowiada rozbrajająco: "... A ja wcale nie myślę... o tym piszą w gazetach, mówią w telewizji...". Otóż to!

Pewna Rosjanka - d a m a, która całe swe świadome życie mieszkała za granicą, a której mąż, dziennikarz, po "wyzwoleniu" stał się mieszkańcem GUŁAG-u, połączyła się z nim /po odbyciu przezeń kary, kiedy był już jedynie zesłańcem/ i razem przebywali przez następne lata na dalekiej Północy. Nawet nie powodziło im się szczególnie źle, ot, nie zajmowali eksponowanych stanowisk, ale nikt ich na dobrą sprawę nie prześladował, "zwyczajnie" miano ich na oku, jak każdego "sowieckiego człowieka", w trosce, oczywiście, o niego samego.

Otóż owa Pani, kiedy w rozmowie z zagranicznym gościem /skądinąd osobą bliską, nawet bardzo bliską/ padło nazwisko Sołżenicyna, orzekła bezapelacyjnie "Zdrajca!". Na pytanie zaś - kogo zdradził Sołżenicyn - czy śledczego, w systemie sowieckim łączącego funkcje interpretatora "prawa" i jego realizatora... a może sędziego, postać niewiele znaczącą, pozbawionego jakichkolwiek uczuć i odruchów ludzkich dozorcę obozowego? Otóż owa dama odpowiedziała: "Przecież piśała o tym prasa centralna! To nie jakiś tam..." - w tym miejscu padła nazwa gazety, w której pracował jej mąż, nim został "wyzwolony" i wywieziony na Północ.

Oba zdarzenia są jedynie pozornie do siebie podobne, przynajmniej w warstwie powierzchniowej; natomiast w pierwszym przypadku w kadrze znalazła się osoba młoda, może aktywistka, w każdym bądź razie produkt systemu. W drugim zaś ktoś, kto - jak się rzekło - całe swe świadome życie pozostawał w kręgu spraw i ludzi, ogłędnie mówiąc obcych, a właściwie wrogich rzeczywistości sowieckiej. Ekspiacja? Oportunizm życiowy? Lęk - nieodłączny towarzysz ludzi radzieckich przez całe ich życie? Bezlitosny uniformizm opinii? Brak rzetelnej informacji? Nie szukajmy żadnej uniwersalnej odpowiedzi na nasze wątpliwości. To są bardzo biedni ludzie. Musimy ich zrozumieć, pod jednym wszakże warunkiem, że nie będą próbować narzucać swoich poglądów nam, ludziom z

innego świata. To prawda - jak powiedział Aleksander Zinowiew - że "Rosjanie nie są ludźmi, którzy mogliby władać światem". Ale, dodajmy, że - niestety - Rosjanie o tym nie wiedzą!

Julian

### SYTUACJA W BUŁGARII

Najwierniejszy sojusznik Związku Sowieckiego, korzystając z jego bogatych doświadczeń historycznych, dopuścił się działań typowych dla mrocznego okresu stalinizmu. Od pierwszych dni br.\* rozpoczęto akcję zmiany imion i nazwisk mniejszości tureckiej na bułgarskie. Tego gwałtu dokonywano z niezwykłym okrucieństwem. Akcja została starannie przygotowana. Wielu młodych Turków powołano do wojska, gdzie zmuszono ich do przyjęcia bułgarskich imion; nazwiska mieli otrzymać po powrocie do miejsca zamieszkania, by nie różniły się od narzuconych reszcie rodziny.

Niezwykle dramatycznie akcja przebiegała w większych skupiskach mniejszości tureckiej, szczególnie w górach południowej Bułgarii. Zmobilizowane zostały olbrzymie siły milicji z całego kraju, wspierane przez wojsko i specjalne oddziały, tzw. "czerwone berety". Oddziały wojskowe kordonem otaczały wioski w celu uniemożliwienia ucieczki. Tymczasem "agitatorzy" i milicja przystępowali do "hawracania". Nie wszędzie jednak akcja przebiegała zgodnie z przewidywaniami. Naoczni świadkowie twierdzą, że mimo wyjątkowo mroźnej zimy, mieszkańcy wiosek gromadnie, wraz z dziećmi i dobytkiem, uciekali w góry, gdzie ukrywali się tygodniami. Istnieją dane o zamieszkach i ofiarach śmiertelnych. Ich rzeczywista liczba jest starannie ukrywana. Niektóre źródła w Bułgarii i za granicą podają liczbę zabitych od 40 do 880. Szczególnie okrutnie zdławiono wiec protestacyjny, zorganizowany przez Turków w mieście Kyrdżali. Na czele pochodu szły kobiety z dziećmi. W celu rozpędzenia ich użyto wozów strażackich, a dla większej skuteczności poszczuło psami milicyjnymi. Rozpowszechniają się pogłoski o użyciu broni palnej.

Pomyślano o wszystkim. W izbach położniczych wbrew woli matek nadawano dzieciom bułgarskie imiona. O determinacji Turków świadczą przypadki odmowy odebrania dziecka ze szpitala po tak dokonanym "zabiegu".

W celach propagandowych wykorzystano już "nawróconych" sportowców tureckich, uprawiających szczególnie popularne wśród Turków dyscypliny: podnoszenie ciężarów i zapasy.

Licząc na tradycyjną nieufność Bułgarów wobec Turków, rozpowszechnia się pogłoski o ich zamiarze walki o autonomię, szacując ich liczebność na 1 milion. Według oficjalnych danych, Turków jest nie więcej niż 400-500 tysięcy. Próbuje usprawiedliwić barbarzyński akt bułgaryzowania Turków szlachetnymi intencjami, etnicznym Turkom przypisuje się bułgarskie pochodzenie, uznając ich za potomków janczarów. Ostatnie informacje mówią o wprowadzeniu od 1 marca br. zakazu używa-

\* 1935 - red.

nia w miejscach publicznych języka tureckiego oraz noszenia jakichkolwiek elementów ubioru typowych dla tradycji tureckiej. W odczuciach ludności bułgarskiej dają się zauważyć wstyd i przerażenie. Nie można jak dotąd ustalić, kto wydał polecenie przystąpienia do akcji, będącej tylko jednym ogniew wieloletniego procesu formalnego likwidowania mniejszości narodowych w Bułgarii. Jedno jest pewne: władze bułgarskie potrzebują Turków tylko za granicą.

/o/

### OSTATNIE ZWYCIĘSTWO UŁANÓW KARPACKICH

U kresu była Bolonia. Przedtem dolina Padu, Pesaro, Ancona. Jeszcze wcześniej pustynne piaski Sidi Barrani, epopeja Tobruku, walki w delcie Nilu, Palestyna. I syryjskie początki, kiedy to mjr Władysław Bobiński objął dowództwo zawiązku późniejszego Pułku Ułanów Karpackich. Szlak znaczonej krwią i nadzieją. Szlak znaczonej krzyżami poległych z dala od Ojczyzny młodziężnej kleszczami dwu zdradzieckich potęg. Szlak Ułanów Karpackich, którzy do kraju wybierali drogę długą, choć z możliwych najkrótszą.

Szli z obozów internowania na Węgrzech i Rumunii, z Dalekiego i Bliskiego Wschodu. Zataczali koło, które miało się zamknąć w wolnym Kraju. Wiedzieli, że po drodze będą groby, krew i pot. Znój walki, w której traci się zdrowie i nierządno życie. To już nie była fanfaronada defilad, uroda koni, urok rycerskiego ethosu trochę na pokaz, tak jak na pokaz były niegdyś w grudziądzkim nowicjacie ułańskim białe rękawiczki.

To była już wojna. Zwyczajna wojna, w której wielkość jednych przepłata się zawsze z małością drugich, wojna, w której piękne i łatwe o Ojczyźnie słowa należało zastąpić znojnym i trudnym dla Ojczyzny czynem.

Taki był też szlak Karpackich Ułanów - trudny i znojnny. Bo tylko trudy i znoje walki dawały nadzieję. Na to, że dojdą. I tę drugą, którą zawsze chowa się przed sobą w najskrytszym zakątku żołnierskiego serca - że jak ktoś po drodze padnie, to pozostanie choćby pamięć potomnych. Wdzięczna pamięć ofiary najwyższej...

x x x

...Różnie było. Różnie było z tą pamięcią, boć przecież ileż to lat ci, co mieli monopol na patriotyzm kazali współrodakom zapomnieć. Pamiętany i czczony miał być tylko kierunek prowadzący z Lenino na Berlin. Inne miały być zapomniane bądź ledwie wzmiankowane w narodowej pamięci.

Ale naród wiedział i wie nadal, że bez historii, prawdziwej historii i pamięci o swoich - zginie. Dlatego postanowił na przekór wszystkiemu pamiętać do wszystko, co tej pamięci warte. Ta właśnie pamięć serdeczna o kolegach ułanach, których kości zżółcone są na szlaku bojowym Ułanów Karpackich, kazała do dziś żyjącym żołnierzom Pułku, zapisać w kamieniu



proste słowa:

PAMIĘCI POLEGŁYCH  
NA PIASKACH PUSTYNI LIBIJSKIEJ  
I ZIEMI WŁOSKIEJ  
ŻOŁNIERZY PUŁKU  
UŁANÓW KARPACKICH  
KOLEDZY

Tablicę tej treści wmurowano w Kościele pw. Matki Boskiej Częstochowskiej w Warszawie. Tablicę odsłonił rtm. Zbigniew Wołyński, poświęcił zaś Jego Ekscelencja Ks. Bp dr Zbigniew Kraszewski.

x x x

Kościół na Zagórnej, w ciepłe jesienne przedpołudnie 28 września, był świadkiem niecodziennej uroczystości. Na Mszę Sw. koncelebrowaną przez JE Biskupa Kraszewskiego przybyli pozostali przy życiu Ułani Karpaccy. Nie tak wielu ich było. Nieubłagany czas robi swoje, a i część ułanów rozsiana po świecie przybyć nie była w stanie. To była uroczystość także tych, którzy przybyć nie mogli. Ale przede wszystkim była to uroczystość nas wszystkich, którzyśmy urodzeni wtedy, kiedy nie istniał już Pułk Ułanów Karpackich pamiętać chcemy o świadectwie krwi złożonej w ofierze Ojczyźnie przez tamte, doświadczone wojną pokolenia.

W tym znaczeniu ułańska epopeja walki o wolną, suwerenną Polskę na marne nie idzie. I zapomniana nie będzie, póki harcerze drużyny pielęgnującej ułańskie tradycje, stojący w poczcie przy ołtarzu, będą wiedzieli, tak jak ich dziadowie, że polskość dziś i zawsze zawiera się wciąż nieodmiennie w dwu słowach: Bóg i Ojczyzna.

"Polegli na polu chwały" - te słowa Apelu Poległych rozbrzmiewające w Kościele na Zagórnej, skandowane były przez znajdujących się w świątyni reprezentantów wszystkich polskich pokoleń. Werble i trąbka wzywające do Apelu - dodajmy to koniecznie - rozbrzmiewa w Kościele na Zagórnej dzięki nieustrudzonym wysiłkom proboszcza, Ks. Prałata Adama Tymienieckiego, który powierzony sobie Dom Boży uczynił skarbnicą pamięci narodowego honoru. Stąd emblematy akowskich pułków i zgrupowań wiszące na ścianach świątyni, zaświadczające o tym, że z pamięci narodu walki o wolność wymazać się nie da.

Walczyli o tę wolność także Ułani Karpaccy. Ale nie tylko o wolność dla swojego kraju. Zgromadzonym na uroczystości wysokim przedstawicielem dyplomatycznym Stanów Zjednoczonych, Australii, Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch, przypomniał to rtm. Zbigniew Wołyński słowami: "Myśmy, Panowie, walczyli o wolność nie tylko swojego kraju. Myśmy walczyli również o wolność Waszych krajów. I Wy tę wolność macie. O tym, Panowie, powinniście stale pamiętać. Bo my pamiętamy".

Owo "my" znaczyło nie tylko Ułanów Karpackich zgromadzonych w nawie kościoła. Owo "my" w ustach najstarszego rangą żyjącego żołnierza Pułku, znaczyło naturalną solidarność pokoleń. "My" było wypowiedziane w imieniu wszystkich, dla których słowa: wolność, Ojczyzna, Polska - nie są odświętnie

przywoływanym dźwiękiem bądź cynicznym kamuflażem narodowego zaprzaństwa...

X X X

Przypomnienie historii Pułku Ułanów Karpackich w homilii, jaką wygłosił JE Biskup Zbigniew Kraszewski, było bardzo potrzebne, jako że części zebranych na uroczystości, historia ta była nieznana. Ale czyż może być inaczej, skoro wydany w Londynie w 1966 roku "Zarys historii pułku" pod redakcją Jana Bielatowicza, jest konfiskowany przez celników na peerelowskiej granicy? Konfiskowany, bo ta tradycja ma być zapomniana?

Dlatego na warszawską uroczystość można patrzeć dwójako. Można widzieć w niej serdeczne spotkanie po latach weteranów walki o wolną Polskę. I tym ona z pewnością była.

Ale była także czymś więcej. Była przypomnieniem pokoleniowych korzeni narodowej tożsamości. Była widowym znakiem solidarności polskich pokoleń, wyznaczanej wciąż i wciąż słowami Poety:

"Walka o wolność gdy się raz zaczyna  
Krwia ojca spada dziedzictwem na syna."

Było więc to spotkanie wezwaniem i wyzwaniem dla wszystkich, którzy spełniali ułani Karpackiego Pułku, upatrują w dążeniu do wolnej i suwerennej Rzeczypospolitej. Ten bowiem okrucieństwo narodowego wysiłku, na jaki składa się historia Pułku Ułanów Karpackich, skupia w sobie naszą, polską, ciągle obecną w nas tęsknotę za tym, żeby Polska była Polską.

I w tym właśnie sensie - rozumianym na przekór podziałom pokoleniowym, politycznym, ideowym i jakim tam jeszcze - warszawska uroczystość była jakże ważnym, ostatnim zwycięstwem Ułanów Karpackich.

SAR

D O N O S

Do WUSW i Kuratorium w Łodzi

Powstali wkrótce po 13 grudnia. Tajne Wydawnictwo Oświatowe w Łodzi było i pozostaje ich inicjatywą - kilku nauczycieli, którzy za motto swej działalności przyjęli słowa Programu "Solidarności": "Mówienie i pisanie prawdy jest koniecznością dla zachowania tożsamości narodowej i kształtowania świadomości społecznej". To zdanie piszą na każdym z dotychczas wydanych zeszytów. Wydali do tej pory: "Człowiek istota sumienia - szkic o twórczości J. Andrzejewskiego", "Sejm Czteroletni, Konstytucja 3 Maja, Targowica - teksty źródłowe", "List otwarty do władzy" Bratkowskiego, "Łopatologiczny słownik nowomowy", "Syn a może sen" Przemyska, "Wiwisekcja systemu - rzecz o A. Sołżenicynie", Rozmowę z prof. Turlejską, "Sześć lat wojny o niepodległość" Kukiela, "Imperializm ZSRR". Do druku przygotowują rozszerzone wydanie słownika nowomowy i esej o radzieckiej literaturze niezależnej. Mówią,

że odkłamują dla uczniów wyższych klas licealnych i ludzi ze średnim wykształceniem w kilku zakładach pracy robotniczej Łodzi. Około 500 egz. każdego zeszytu rozprawdzili błyskawicznie. Mieli trochę kłopotów z zeszytem 3 /teksty źródłowe/. Są więc ostrożniejsi. Niewypału wydańczego absolutnie nie mogą mieć, bo dołożą do interesu, jako że pracują i piszą społecznie. Niskie ceny zeszytów pokrywają im tylko koszty papieru i druku. Mogą publikować teksty tylko do 20 stron druku - to górna granica ich możliwości. Ważkiem nie są w stanie zrobić więcej. Mówią, że ich odbiorca dłuższych tekstów nie chce. Nie pragną się rozrastać, chyba żeby mieli lepszą technikę. Są cały czas w tym samym składzie, jak w lutym 1982. Dlatego sądzą, że są bezpieczni. I takimi chcą pozostać. A te pół tysiąca egzemplarzy każdego zeszytu dają im spokojne sumienie. Nie obiecują więcej, ale i nie proszą o pomoc. Poza tym każdy z nich żyje normalnie. Mówią, że trzeba oszczędzać siły i nerwy, bo to wszystko się nie skończy w trzy kwartały. Mówią także, że wielkie programy urzeczywistniane są małymi inicjatywami i że ludzie mają te tylko prawa, z których decydują się korzystać. Ale adresu nie chcą podać.

I chyba mają rację.

Z poważaniem

Adam Znormalizowany

Od redakcji "Mostu" dokładamy wybór haseł z - poprawionego i rozszerzonego - "Łopatologicznego słownika nowomowy" autorstwa doc. dr. rehab. Wacława Turkucią, który to słownik - dzięki współpracy TWC z wydawnictwem "Świadectwo" - mógł się ukazać w o wiele większym niż "zwyczajowe" 500 egz. nakładzie i w objętości 84 stron. Czytając, bawiliśmy się doskonale. Dziękujemy i gratulujemy. /Red./

**AGRESJA** - Atak na jakiś kraj bez zgody Związku Radzieckiego. To samo - za zgodą Związku Radzieckiego - nazywa się Braterska Pomoc.

**BRATERSTWO** - Stosunek dwustronny pomiędzy Kadeelami a ZSRR, polegający na przekazywaniu przez ZSRR ideologii i starego sprzętu wojskowego, a przez Kadeele materialnych dowodów wdzięczności i szacunku.

**DEMASKOWANIE** - Publikowanie przez środki masowego przekazu Prawdziwych Wiadomości o faktach, o których ludzie dowiedzieli się wcześniej z Fałszywych Wiadomości lub których naczynymi świadkami byli sami. Demaskowanie jest odpowiedzią na SZKALOWANIE.

**EGZEKUTYWA** - Tajny obrządek kultowy Marksizmu-Leninizmu na wszystkich szczeblach hierarchii, na którym odbywają się sądy kapturowe nad współwyznawcami lub niewiernymi /poddanymi/.

**FAŁSZYWA WIADOMOŚĆ** - Każda wiadomość nie będąca Prawdziwą Wiadomością, tj. taka wiadomość, która nie została opublikowana w "Prawdzie" i nie nadaje się do publikacji w tej gazecie. /For.: "Aresztowany za rozpowszechnianie Fałszywych Wiadomości"/.

**GRUPKA, TLUMEK** - Grupa ludzi, niezależnie od wielkości, wyrażająca publicznie swój krytyczny stosunek do działań APARATU.



GRUPEKA może liczyć do tysiąca osób, TŁUMEK do dwudziestu tysięcy.

**IDEOWY, ŚWIATEŁY, ŚWIADOMY, ZAANGAŻOWANY, AKTYWNY** - Cechy POSTĘPOWYCH działaczy i działań. Działacze i działania REAKCYJNE noszą nazwy: FANATYCZNY, ZASLEPIONY, HAZAŚLIWY, KRZYKLIWY, Manipulant, Gracz Polityczny.

**IMPERIALIZM AMERYKAŃSKI** - Wtrącanie się USA w wewnętrzne sprawy Związku Radzieckiego na całym świecie.

**JEDYNIIE SZUSZNY** - Jedyńie słuszne jest to, co zadekretuje CENTRALA. Określenie najczęściej stosowane do linii Partii, Programu Partii i innych uroczystych terminów.

**KTO ZA TYM STOI I KOMU TO SŁUŻY?** - Pytanie retoryczne, stanowiące typowy komentarz do informacji o wszelkich działaniach sprzecznych z interesem APARATU, czyli NIELEGALNYCH. Prawidłowa odpowiedź brzmi: Stoi za tym CIA, a służy to Reżyjonistom Zachodnioniemieckim.

**LINIA PARTII** - Mityczna figura geometryczna, której jeszcze nikt nie widział, toteż nie wiadomo, jak wygląda. Na pewno nie jest to linia prosta. Na podstawie obserwacji /patrz ODNOWA/ należy przypuszczać, że jest to okrąg, elipsa lub spirala. Wiadomo natomiast z całkowitą pewnością, że jest to figura Jedyńie Szusznia, że jej klimat wytycza CENTRALA i że ma ona prowadzić przez INTEGRACJĘ do KOMUNIZMU.

**ŁAD I PORZĄDEK** /nierozdzielna zbitka pojęciowa "Ład i Porządek"/ - Sytuacja w kraju, w której nie ma śladu ANARCHII i publikowane są jedyńie Prawdziwe Wiadomości. Ład i Porządek umożliwia prawidłową Konsultację Społeczną i jest warunkiem wstępnym Porozumienia Narodowego.

**MARKSIZM-LENINIZM** - Religia państwowa, obowiązująca w postaci ortodoksyjnej we wszystkich KADEELACH ze Związkiem Radzieckim na czele. Poza granicami KADEELÓW jedyna większa grupa wyznawców żyje we Francji. Wyznawcy M-L noszą potocznie nazwę Marksjan. M-L został stworzony przez sektę BOLSZEVIKÓW i jej przywódcę Włodzimierza Ilicza Uljanowa, który przyjął religijne imię "Lenin". Religia ta powstała w Rosji w pierwszej ćwiartce XX w. i jest tam dalej rozwijana przez uczonych doktorów w piśmie /nazwa własna: "ideolodzy"/ aż do chwili obecnej.

**NIEPODLEGŁOŚĆ** - Niezależność polityczna danego kraju od USA.

**ODRODZENIE** - Dostanie się pod władzę CENTRALI czyli WYZWOLENIE. Przykłady: Święto Odrodzenia Polski /d. E. Wedel/, Obywatelski Komitet Odrodzenia Narodowego, Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, Odrodzenie ruchu związkowego, Odrodzenie ZLP itp.

**PAŃSTWO** - Państwo, to APARAT. APARAT twierdzi "Państwo, to My".

**PEWIEN** - patrz OKREŚLONY

**PRZEDSTAWICIEL SPOŁECZEŃSTWA** - Członek SPOŁECZEŃSTWA, niekiedy ucharakteryzowany na zwykłego człowieka, wyznaczony przez APARAT do publicznego wyrażania poparcia dla Programu Partii. Synonimy: PATRIOTA, Prawdziwy Robotnik, Matka Polka /patrz też AKTYWISTA/.

**REALIZM POLITYCZNY** - Teoria głosząca, że w wyniku wyroku historii Polska musi bezterminowo być KADIELEM i dążyć po drodze Internacjonalizmu Proletariackiego i pełnej INTEGRACJI gospodarczej i kulturowej. Teoria ta głosi bezzasadność wiary w możliwość jakichkolwiek zmian w stosunkach polsko-radzieckich i w konsekwencji nakazuje szukania szczęścia w rezygnacji i dążeniu do KOMUNIZMU. Legitymizacja Władzy Aparatu w PRL oparta jest na argumentacie, że jeśli naród nie wykaże Realizmu Politycznego, to Związek Radziecki udzieli mu Ostatecznej Braterskiej Pomocy.

**SOLIDARNOSĆ** - Uwaga: "Solidarność" w znaczeniu NSZZ w Nominowimie Oficjalnej nie istnieje i nigdy jej nie było, ponieważ ważna została za NIESOBĘ /tzn. za coś w rodzaju specyficznego niebytu - przyp. red. M./

**TALON** - Oficjalna zapówka dawana przez APARAT swoim członkom i członkom SPOŁECZENSTWA za posłuszeństwo i dyspozycyjność /podobne pojęcia: PRZYDZIAŁ, REKOMENDACJA, SKIEROWANIE/.

**UMACNIANIE, UGRUNTOWYWANIE, WZMACNIANIE, ZWIERANIE** - Syzyfowe prace, stanowiące treść i radość życia MARKSJAŃ, do wykonywania których stale nawołują ich kapłani.

**WALKA O POKÓJ** - Pojęcie będące wynikiem niewłaściwego przetłumaczenia rosyjskiego zwrotu "bórbá za mir", co po polsku oznacza "walka o świat".

**ZOMO** - Prywatna armia APARATU, służąca do utrzymania Ładu i Porządku. Składa się głównie z białych najemników, rekrutowanych wśród tubylców oraz z kryminalistów, którym udziela azylu na wzór francuskiej Legii Cudzoziemskiej. W okresach szczególnych, jak konieczność dokonania Porozumienia Narodowego i NORMALIZACJI, wciela się na siłę do ZOMO również zwykłych poborowych, którzy być może staną się przez to kryminalistami i za kilka lat będą stanowili jeden z Błędów Poprzedniej Ekipy. Elitą ZOMO jest SB.

### DROBIAZGI WYBOROWE

Syn mojej sąsiadki jest uczniem III klasy i to wszystko, co można o nim powiedzieć. Nigdy jeszcze niczym się nie wyróżnił, uczy się przeciętnie, na boisku też należy do średniaków. Rodzic, partyjny - i to mocno - dziennikarz, temat wyborów w domu nie wałkował, mama - osoba "przy mężu" - też nie rozwodziła się nad sprawą. Tylko starsza córka raz, przy świadkach wycedziła, że zrobiłaby obojgu niezły numer, gdyby 13 października z a p o m n i a ł a wrzucić to, co trzeba do urny. I właśnie wtedy nasz 9-latek uświadomił sobie, że w jego dotychczas płaskim i bezbarwnym statusie obywatelskim szkoły i podwórka, nadszedł przełomowy moment. Że los zesłał mu szansę, której przegapić nie wolno, bo prędko może się nie powtórzyć.

I gdy pani od polskiego spytała retorycznie, już podważonych chłopców i dziewczynki, czy wszyscy rodzice pójdą tego historycznego dnia wypełnić swój obywatelski obowiązek, od chłodnego, lecz afirmatywnego pomruku wyraźnie odbił dyszkant

owego chłoptasia: "U mnie w domu wybory olewają...".

Salę zamurowało, pani też milczała dłuższą chwilę, aby wreszcie drewnianym głosem zarządzić przerwę na 5 minut przed dzwonkiem. I udała się do gabinetu dyrektora.

Łatwo sobie wyobrazić, co było dalej. Tatusz długo się musiał tłumaczyć, synek długo nie mógł siedzieć. Ale przestał już być nikim. Z zainteresowaniem śledzić będziemy jego losy. Są przesłanki, że nie będzie konformistą; na początek dobre i to.

X X X

W pierwszych dniach października DTV rozpoczął się nas-trojowymi pejzażami pięknej jesieni w łązienkach. Młoda mama z pociechą w wosku pochwaliła aurę i wdzięki entourage u, kończąc swe exposé nadzieją, że "piękna pogoda potrwa jesz-cze trochę, aby... do wyborów".

Potem niech leje, taplajmy się w błocie. Fajna mamusia. Ciekawe, jak wychowa pasażera wózecka.

X X X

Mój znajomy, od lat na liście nomenklatury ds. gospodarki w jej międzynarodowych uwarunkowaniach, człowiek niewątpli-wie inteligentny, w cztery oczy nawet interesujący partner /stary reżimowy wróbel, wie co gówno, a co rubel/, uznał przemówienie premiera w ONZ za wyważone i "w ogóle niezłe". Spytałem go, co tam było takiego, z czym warto było tak da-leko jechać. Odpowiedział, że kto inny pojechałby, a raczej poleciał z tekstem na pewno gorszym, a tak wypowiedź może być zaaprobowana, przynajmniej we fragmentach, przez wielu Polaków nie zakochanych w czerwonych, a również przyjęta przez - jak powiedział - wielu rozsądnych ludzi na świecie.

Wyrazikiem wtedy przekonanie, że premier zmarnował okazję, aby uzyskać powszechny consensus. Co by z pewnością osią-gnął, wnosząc pod głosowanie projekt rezolucji potępiającej trzęsienia ziemi.

Akurat było po Meksyku, wniosek miałby szansę.

X X X

Jeden z moich kolegów na pytanie, czy 13-ego idzie do wy-borów /pytanie padło w szerszym gronie, o charakterze poli-tycznie mieszanym/, odpowiedział: - "Jestem człowiekiem przesądny, tego dnia w ogóle nie wychodzę z domu".

/r./

### Z KSIĘGARNI PÓKI

Co jakiś czas od 40 lat dowiadujemy się, że znowu podręczniki szkolne nie będą wydrukowane na czas, lub że będzie ich mało. "Nasza" planowa gospodarka ciągle ma kłopoty ze zdobyciem papieru na podręczniki, encyklopedie, słowniki oraz klasykę polską i światową. Koleżki i duży ruch w księ-garniach wskazują na to, że społeczeństwo chce czytać dobre książki. A co jest drukowane i dostarczane w wielkich ilość-



ciach do księgarń?... o tym mówi "Dysponenda" Książki i Wiedzy, którą otrzymaliśmy od księgarskiej "Solidarności". Nasz czytelnik zapewnia nas, że "kolekcjoner może wciąż zamówić sobie niemal komplet prac Lenina w starych, dobrych wydaniach i po umiarkowanych cenach /od 4,5 do 10 zł za tom/. " Szczególniej uwadze czytelników poleca 9. tom wydany w 1953 r., którego na półkach leży jeszcze 10.417 egz. z 15 tysięcy nakładu! W sumie w składnicy zalega 46 tytułów książek Lenina!

Tylko pobieżne podsumowanie ilości książek ideologiczno-partyjnych wskazuje na ogromne straty, jakie ponieśliśmy przy ich wydaniu i składowaniu /niektóre leżą po 30 lat/. Otóż okazuje się, że "Książka i Wiedza" ma na stanie partyjnych bibli 1.216.800 egzemplarzy!!!

Wyraźnie przodujący autorzy to: Opara - "Marksizm a religijność" /28.443 egz./, Reniak - 23.176, Rakowski - 10.381, Rogowski - 12.027. Również "nasza" konstytucja, wielokrotnie poprawiana, nie cieszy się popytem /wszak czekają nas następne poprawki/, leży jej 91.320 egz., Statutu PZPR - 31.868 egz. Przy notorycznym braku historii /drażni Historia Komunistycznej Partii ZSRR - 13 tys. egz.

Najwięcej niechodliwych książek mają na sumieniu Lenin, Marks i Engels, do których dołączają rozmaite przemówienia, relacje ze zjazdów partii komunistycznych itp.

Przerażające są dane, ale niestety prawdziwe.

M61

/ "Solidarność. Wiadomości wojenne."  
Łódź, 2.02.1985 r., nr 3/144/

### FUTBOL I INTEGRACJA

Jedno z pytań, zadanych rzecznikowi rządu na cotygodniowych konferencjach prasowych brzmiało: "Czy awans naszych piłkarzy do meksykańskich finałów zintegrował Polaków?". Rzecznik, w którym drzemią jeszcze resztki poczucia humoru, wykręcił się odpowiedzią, że to pytający jest fachowcem od tematu, więc sam dobrze wie, co i jak, i tak dalej.

Pytającym był b. członek władz SDP, dzisiaj /widać dobrze czuje się w tej roli/ jeden z prominentów SD PRL, znany dziennikarz sportowy, człowiek skądinąd sympatyczny i w środowisku lubiany. Widać jednak, że z natury rzeczy wąskimi ramami sportu czuje się skrepowany i postanowił wyjść na szersze wody. W stylu komentarzy "działki sportowej" w DTW, z której słyszeliśmy już, jak to naród padł na kolana przed faktem zakwalifikowania się naszych futbolistów do meksykańskich finałów i jaki to ciężki frajer i niecnota ten Kozakiewicz, że kraj oczyszty opuścił.

Co do Kozakiewicza, to nasi propagandyści sportowi sprawę nieco poszkapili - i profesjonalnie, i psychologicznie. Fakt, że ktoś od nas dał dyla i wypiął się na czerwonego, z reguły temu komuś przysparza sympatyków. W tym przypadku było jednak

nico inaczej. "Kozak" dał nogę, ale i zapisał się na "Reichsdeutscha" /trudno zresztą powiedzieć dlaczego i po co/. A to co innego, i dlatego dość typową reakcją tych wszystkich, którzy tak bardzo cenili go za pamiętny "łokieć" na olimpijskich łożnikach, był raczej absmak. Wielu z nas wyjeżdża i nie wraca, niektórzy nawet po pewnym czasie uzyskują obywatelstwo krajów pobytu, ale tak od razu i to niemiec-  
kie...

Gdyby pan Władek był pan Horst czy Erwin i nazywał się choćby Franke, Ludwig lub Schmidt - to co innego. Ale i Władek, i Kozakiewicz? Podobno wśród przodków jego żony byli Niemcy. Możliwe. Ale być mistrzem olimpijskim i autorem historycznego już gestu, a stać się "mężem swojej żony"? Trochę głupio.

Gdyby komentarz w DTV uderzył w tę stronę, miałyby szansę oddźwięku. A tak było tylko jak zwykle ple-ple.

A teraz wróćmy do wspomnianego już pytania o integrację narodu za sprawą drużyny Antoniego Piechniczka. Na pytanie red. Niemca /on to być chyba/ można by nawet odpowiedzieć twierdząco, ale pod warunkiem, że pełna odpowiedź brzmiała-by: "Tak, na półtorej godziny". No i może jeszcze na pierwszy kwadrans po chorzowskim meczu, kiedy wspominało się co ciekawsze momenty i oceniało grę obu zespołów i zawodników.

A potem był jak zwykle DTV i wszystko wróciło do normy.

/R./

### W video-kinie

### BEZ NADZIEI

Znamy ją wszyscy. Z ciężką torbą przewieszoną przez ramię wędruje ulicami miasta. Od domu do domu. Z piętra na piętro. Roznosi skromne renty i kolorowe listy z Zachodu. Czasami ktoś odpali jej końcówkę z niespodziewanej przesyłki. Zbiera te mizerne datki, stanowiące jakże pożądany dodatek do uposażenia. My - wiemy o niej mało. Ona zaś zna na ogół kłopoty mieszkańców w swoim rejonie. Wie, kto mieszka sam. Kto czeka na list od dzieci, kto jest smutny, a kto wesoły. Komu wiedzie się dobrze i kto z trudem wiąże koniec z końcem. Dawniej była listonoszką. Pewnego dnia mianowano ją doręczycielką. Ta zmiana w nazewnictwie nie odmieniła jednak jej życia. Nadal od świtu przemierza miasto obciążona ciężką torbą. Jej koledzy w innych krajach /bo są to na ogół mężczyźni/ jeżdżą do odbiorców na motorowerach, w samochodach, lub mają specjalne wózki przeznaczone do wożenia przesyłek. Posiadają również specjalną odzież ochronną na chłodne dni i na mroź. Nasza pani przez okrągły rok wygląda identycznie. Dla niej nic się nie zmienia.

Listonoszka - czy też doręczycielka - jest bohaterką ostatniego filmu, jaki AGNIESZKA HOLLAND zrealizowała w Polsce. "KOBIETA SAMOTNA" nigdy nie ujrzała światła dziennego,

wędrując na półki.

Film ten jest bezbrzeżnie smutny. Tak samo życie w realnym socjalizmie. Życie, skazujące ludzi na apokrypsy, na egzystencję bez godności. Los kobiety samotnej jest szczególnie trudny. Dźwiga ona na swoich barkach ciężar znacznie przewyższający jej możliwości. Bohaterka filmu Agnieszki Holland jest matką kilkulatniego chłopca. Mieszka daleko od miejsca zatrudnienia. Dojeżdża. Jej dzień to praca, praca, praca. Przeróżające warunki mieszkaniowe stają się przyczyną jej dodatkowych problemów. Powrót wieczorem do domu nie oznacza odpoczynku. Jest dalszym ciągiem koszmaru. Znikąd nie może oczekiwać pomocy. Jest samotna i pozbawiona nadziei. Nie ma w Polsce takiej siły, która by tej kobiecie mogła pomóc w zamianie mieszkania. A ci, którzy mogliby pomóc, urzędują w kafkowskim "zamku", strzeżeni przez partyjnych czynowników podrzędnego szczebla i wyposażonych w pały milicjantów. Scena wizyty bohaterki w Komitecie partii należy do najbardziej brutalnych w tym filmie. Jest to bicie głową w mur. Ta partia jest już tylko dla siebie.

Kobieta samotna nie ma żadnych szans na normalną, ludzką egzystencję. Co ją czeka? Podwyżka, premia, może paczka na św. Mikołaja, którą jej Rada Zakładowa przydzielił dla dziecka... A mimo to w kobiecie tej tli się iskierka nadziei. Ona - zadziwiająco - ciągle jeszcze w coś wierzy. W jakąś zmianę na lepsze. W jakiegoś mężczyznę, który może okazać się lepszy od męża alkoholika, który ją porzucił. W cud, który sprawi, że nagle stanie się bogata, niezależna, inna.

Nie sposób zrozumieć tego filmu bez znajomości realiów życia w PRL. Na Zachodzie wielu pewno wzruszy racjami i powie: "jak to, ona ma przecież pracę?". Ależ oczywiście, że ma pracę. Ma zajęcia, które skazało ją na to beznadziejne wegetowanie. Ma to bytowanie bez przyszłości.

Pewnego dnia istotnie coś się w życiu bohaterki zmienia. Zjawia się on. Młody kaleka po wypadku w kopalni. Z groszową rentą, z głębokim urazem wobec tych, którzy uniemożliwili mu normalne życie w społeczeństwie. Nagle staje się tak, jak w wierszu Lesmiana:

"Ona była żebraczką, a on był żebrakiem,  
Pokochali się nagle na rogu ulicy  
I nie było uboższej w mieście tajemnicy..."

W domu pojawia się telewizor i kobieta samotna zaczyna organizować swoje niby normalne życie w tym nienormalnym świecie. Po pewnym czasie coś się jednak psuje. Wiadomo, nędza nie sprzyja uczuciom. W pracy też ktoś dybający na jej lepszy rejon zaczyna ją wygryzać. Znikąd pomocy. Znikąd ratunku. Sytuacja bez wyjścia. I wtedy jedna desperacka decyzja. Bez chwili namysłu. Jakby w szoku. Podarte przekazy. Nie doręczne pieniądze.

I realizacja marzenia dotychczas nieosiągalnego. Samochód, "Syrenka", bo cóż by innego? Stara, zużyta "Syrenka". To właśnie tą "Syrenką" tych dwoje postanawia wyruszyć za granicę, do NRD. Nie ważne zresztą gdzie. Za granicę. Magiczne dwa słowa, samym swoim brzmieniem wywołujące dreszcz rozkoszy i wizję innego, lepszego życia.

Stara, zużyta "Syrenka" ładuje w rowie. Koniec nadziei na inne, lepsze życie. Teraz już naprawdę nie ma wyjścia. Już



tylko śmierć może pokonać kres cierpieniom tych dwojga.

Nie ma w tej rzeczywistości miejsca dla kobiet samotnych. Nie ma go także dla kalekich mężczyzn. Nie zaplanowano dla nich miejsca. Przeszkadzają jedynie w marszu ku lepszej, świetlanej przyszłości.

Powie ktoś, że widzę tych zdarzeń jest skrajna, że obraz życia w PRL przeczerniony. Może... Może dla tych, którzy nie widzą, lub nie chcą widzieć tego, co dzieje się wokół. Ktoś-ray przywykli, zaprobowali. Wyznają zasadę, że "trzeba żyć". Byle jak, coraz gorzej, ale żyć, żyć za wszelką cenę, nawet upodlenia.

Bohaterkę filmu gra Maria Gwalińbóg. Gra ją znakomicie, przejmująco. Dostawiała swoje aktorstwo do wymogów tego obrazu. Ona, zazwyczaj tak ekspresyjna, wyraziście, znacząca piętnem swojej indywidualności wszystkie kreowane postaci, tu stała się wyciszona, zszarzała. Atmosfera "Kobiety samotnej" jest duszna. Ciężko oddychać. W pejzażu podmiejskim i w mieście czai się groza okrutnej beznadziei. Egzystencja nacechowana walką o przetrwanie dusi i przygniata wszystko. Nie do obrony staje się to bytowanie, pozbawione wszelkich perspektyw na cień uśmiechu.

Partnerem Marii Gwalińbóg jest w tym filmie Bogusław Linda. Znakomity w roli kaleki. Również odmleniony. Zewnętrznie wprost nie do poznania. Gorzkie studium desperacji, upadku wiary i utraty nadziei.

Niewątpliwie "Kobieta samotna" nie jest filmem "ku pokrzepieniu serc". To przerażające w swej ostatecznej wymowie studium beznadziei, ma jednak na celu poruszenie widza. Uświadomienie mu tego, co stara się od siebie odsunąć. Wskazuje, czym dla wielu stało się nasze życie. Jaki jest świat, w którym żyją nie tylko kobiety samotne, ale wiele innych kobiet i mężczyzn, i dzieci.

Ten ostatni przed wyjazdem Agnieszki Holland film, powstał tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego. Po upływie czterech lat nie stracił na aktualności. Nic się od tego czasu nie zmieniło na lepsze. Tyle, że doręczycielka z pewnego rejonu nie nosi już znaczka "Solidarności". Straciła nadzieję, postarzała się. Przybyło jej zmarszczek. Torba coraz bardziej cięża. Czeka na emeryturę. Mówi, że może odpoczenie. Jej życie minęło tak jakoby niepostrzeżenie. Doręczycielka. Taka jak inne. Jakich wiele. Kto zabrał im młodość, szczęście, wiarę? W obronie takich jak ona powstał film "Kobieta samotna".

Czarny realizm naszych czasów sprzyja realizacji takich właśnie dzieł, których nie zastąpią pozycje rozrywkowe typu "Och, Karol", jakże mile widziane przez władzę.

"Kobieta samotna", spopularyzowana dzięki taśmie video jest kolejnym triumfem nad zniewoleniem. Wściekłość władzy, której kolejny film zakazany - zrealizowany zresztą za jej własne pieniądze - wyknął się z pancernych szaf, musi być ogromna.

Niezależne kino wolnych ludzi staje się faktem

Eta

PRZYPADK

Na szczycie niedostępnej góry, w jaskini leżącej akurat w połowie drogi między niebem a Ziemią, mieszkał starzec. Zadaniem starca było utrzymanie harmonii wśród ludzi, zwierząt i roślin, zgodnie z wolą najwyższego władcy losów - Opatrzności. Po zaistnieniu na świecie człowieka, muchy czy paproci, rozkładał na kamiennej podłodze mapę Ziemi, uważnie jej się przyglądał, wyszukiwał odpowiednie miejsce i według tego mieszkał w tyglu cechy charakteru, wygląd, skłonności i inteligencję, a następnie, sobie tylko znaną metodą, przekazywał tę mieszkankę małej istocie. Tak trwało miliony lat. Świat funkcjonował bez zakłóceń.

Aż któregoś dnia - właśnie przyszło na Świat dziecko człowieka - starzec spojrział na mapę i zaszepił się. Nie znalazł wolnego miejsca. Po namyśle postanowił usunąć coś ze świata roślin. Ale zabranie chociażby jednego ziarenka piasku naruszało tak pieczołowicie wypracowaną harmonię. Trzeba było przesunąć wszystkie punkty na mapie.

Z roślinami starzec poradził sobie szybko. Gorzej wypadło ze zwierzętami. Dwa gatunki ssaków musiał nawet, chcąc nie chcąc, przerzucić do wody. Najciężej jednak było z ludźmi. Sapał, mruczał, tarł ręką czoło i marszczył brwi.

- Gdy rolników zmienię w szweców, tego sklepiarza postawię w miejsce filozofa, z filozofa zrobię urzędnika, a pastucha przeniosę na nauczyciela, to zdobędę tym sposobem jedno miejsce wśród wariatów.

Starzec rzucił się do tygli i zazgrzytał zębami. Brakowało składników dla wariata.

Kilka razy wracał do mapy. Przesztawiał, zamieniał, wymieniał. To szrodnierz zostawiał królem, to król przemieniał się w żebraka, a z idioty powstawał mąż stanu. Ale wciąż coś nie pasowało. Gdy było miejsce, nie mógł dobrze odpowiednich cech charakteru, i na odwrót. W końcu rozpaczony i zniecierpliwiony do najwyższego stopnia przestał troszczyć się o właściwy dobór materiału. Upychał wszystko, jak leci. Cechy władców dawał adwokatom, skłonności sklepiarzy profesorom, mędrcom przydzielał głupotę, a dziennikarzom służalczość.

Kiedy zapełnił mapę do końca, spojrział ze smutkiem na swoje dzieło i westchnął głęboko. Od tego westchnienia powiał lekki wiatr. Ziarenko piasku, które przed wiekami przykleiło się do mapy i zostało, niechcący, sprawcą tego całego zamieszania, z wdziękiem zsunęło się na ziemię, odsłaniając jeszcze jeden biały punkt w kwadracie karier wojskowych i państwowych.

Starzec zajrzał do tygla. Na dnie zostało trochę materiału na pozabawionego skrupułów rzezimieszka. Wyskrobał tę resztkę, wykonał pracę, po czym odwrócił się plecami do Ziemi.

Uwaga, Czytelnicy!

Pragniemy Was poinformować, że na skutek kilku nieszczęśliwych zbiegów okoliczności - w tym wzmógłonych wysiłków Służby Bezpieczeństwa - mimo naszych starań nie ukazał się 3 numer naszego pisma /choć liczymy, że część materiałów, które zawierał, zostanie wykorzystana w innych wydaniach "Mostu"/. Duże kłopoty były również z numerem 4, który drukowany był dwukrotnie /pierwszy nakład, niestety, dostał się w ręce przeciwnika/ i ukazał się ze znacznym opóźnieniem. Nie ukrywamy, że w sposób dotkliwy zachwiało to materialnymi podstawami naszej działalności. Aby przełamać te trudności, nakładem "Mostu" ukazały się wkrótce dwa bloczki filatelistyczne - jeden poświęcony 10 rocznicy wydarzeń czerwcowych 1976 w Radomiu i Ursusie /w cenie 100 zł/ i drugi związany z jubileuszem 40-lecia "Kultury" paryskiej /w cenie 150 zł/. Odpowiednia informacja na ten temat, jak również określenie wysokości nakładu, podane zostaną w stosownym czasie w prasie "codziennej".

Serdecznie Was pozdrawiamy

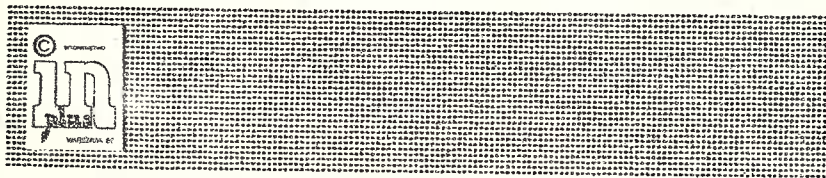
Zespół "Mostu"



Kwitujemy ponownie: Teresa - 2, Mata - 7, Holandia - 8,5,  
R. Bos - 1. Dziękujemy!

Dziękujemy: Ziuk - 500.

Erazmowi dziękujemy za 100.



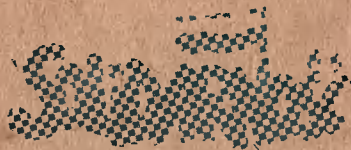
Numer zamknięto 31 grudnia 1985 r.

**Solidarność**, wspólna poręka, wspólne zobowiązanie, wspólna odpowiedzialność jednych za drugich.

**Solidarny**, *n.-l.* (*f.* *solidaire*; od *l.* *sólidus*, całkowity) odpowiedzialny, jednozgodny; obowiązujący każdego z osobna do odpowiedzialności za wspólne przedsięwzięcie.

**Solidaryzm**, *n.-l.* doktryna głosząca zbieżność interesów między klasami społecznymi; zorganizowanie ekonomiczno-gospodarczo-społecznej solidarności w państwie.

**Solidaryzować się**, łączyć się z kimś, zgadzać się, poczuwać się do wspólnej odpowiedzialności.



II nagroda (przyznana przez Tygodnik „Solidarność”) w ogólnopolskim konkursie na plakat „Solidarność”.  
Autorką jest Iwona Górka

600,-